Sierra Simone

Między
królem
a królową

Amerykański książę

Sierra Simone

Amerykański książę

PRZEŁOŻYŁ
Marcin Stopa

Dla Ashley, Sereny i Melissy
– które chronią sadzawkę dla żółwi

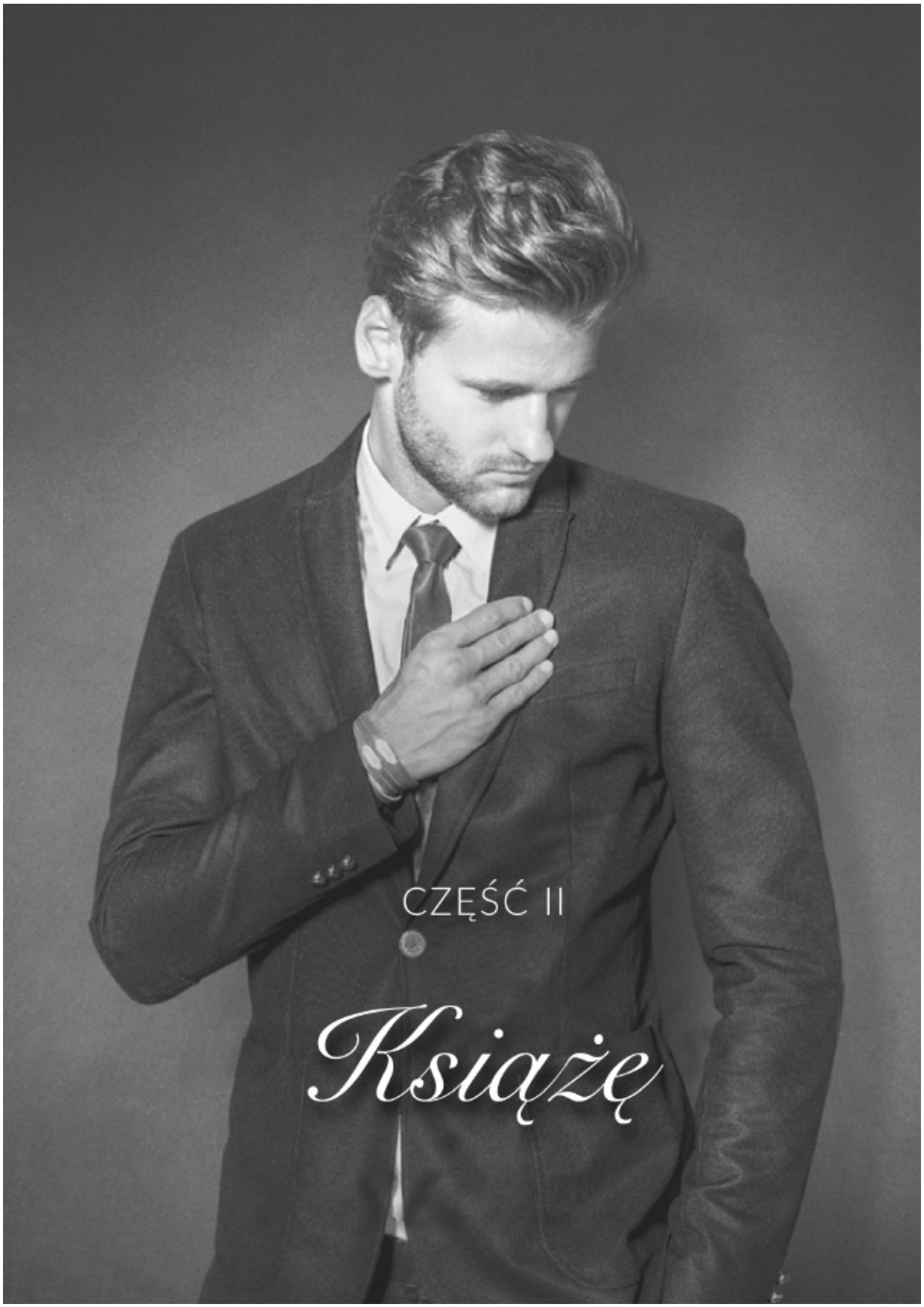

CZĘŚĆ II

Książę

1

Embry

przed

Króla poznałem, mając dwadzieścia jeden lat.

Ale opowiadanie o tym byłoby wybieganiem w przyszłość.

Zacznijmy ode mnie, Embry’ego Moore’a, syna budzącej ogólny strach gubernator Vivienne Moore. W oczach świata musiałem jawić się jako książątko. Dorastałem, galopując na własnym koniu i żeglując jachtem po należącym do nas pieprzonym jeziorze, uczyłem się w najlepszych szkołach, wcześnie zakończyłem naukę w college’u i pojechałem na wojnę, wyobrażając sobie, że wojaczka to niezła zabawa.

I tak było, zanim wojna zaczęła się naprawdę, gdy jeszcze ludziom wydawało się, że karpatiańscy separatyści uspokoją się, jak to dotąd zwykle z nimi było. Z początku zatem wyglądało to na wspaniałą przygodę: pobawić się w żołnierza wśród malowniczych gór, a zarazem zbierać punkty do cefałki przydatnej w dalszej, nieuchronnie czekającej mnie karierze politycznej.

Tak to jest z książętami.

Łatwizna.

I rzeczywiście *było* łatwo… przez pierwszy miesiąc.

Pewnego wieczora zachciało mi się papierosa. Przegapiłem przez to początek bójki. W różowym zmierzchu przestała mnie razić nawet brzydota przysadzistych budynków bazy i pamiętam, że gdy zabrałem z łóżka srebrną papierośnicę i wracałem z nią truchtem przez dziedziniec, myślałem o tym, że świat nie mógłby być piękniejszy, niż był w tamtej chwili. Smugi oranżu, czerwieni i purpury na zachodzie, ciemny zarys górskich grani na wschodzie, rześkie, czyste powietrze i obietnica gwiazd migocących ponad moją głową. Co mogłoby być wspanialszego? Co innego mogłoby zatrzymać bieg moich myśli i zaprzeć dech w piersi, pozostawiając jedynie najgłębszy podziw i wdzięczność przeplatającą się z niedowierzaniem?

To pokazuje, jak odmiennie wtedy myślałem, pytając, *co* zamiast *kto*.

Biegłem przez dziedziniec, wyciągając papierosa, żeby go zapalić, gdy niewyraźny szaro-brązowo-zielony kształt przemknął obok mnie i wpadł na drugą sylwetkę w tych samych zgaszonych barwach. Odskoczyłem, papieros wytrącony z mojej ręki został zdeptany, a mnie samego omal nie wciągnęło tornado pięści i butów, wokół którego szybko tworzyło się zbiegowisko.

– To był mój ostatni papieros, dupku – rzuciłem w powietrze.

Duży gość, na którego wołaliśmy Dag – nikt już nie pamiętał, jak naprawdę się nazywał – przypatrywał się bójce z założonymi rękami i wyrazem obrzydzenia na twarzy.

– Idioci.

Mruknąłem potakująco. W kantynie przestano ostatnio sprzedawać papierosy w ramach kolejnej inicjatywy prozdrowotnej, a ja naprawdę, *naprawdę* nie miałem ochoty maszerować półtora kilometra do położonej

w dole ukraińskiej wioski po paczkę fajek na wieczór. Teraz jednak wyglądało na to, że spacer mnie nie minie.

– Zamierzasz coś z tym zrobić? – spytał Dag, wskazując ruchem głowy kłębowisko ciał.

– Po tym, jak zdeptali mi papierosa? Zasługują na podbite oczy – zażartowałem, ale Daga mój żart nie rozśmieszył. – Zresztą to nie moi ludzie.

To była bardzo wielka pierdolona baza. Nie zamierzałem marnować sił na dwóch idiotów bijących się o Bóg wie co.

– Ale jesteś tu jedynym oficerem – zauważył Dag.

– Jakby to miało jakieś znaczenie. – Rozejrzałem się i stwierdziłem, że faktycznie byłem w tym zbiegowisku najstarszy rangą.

Westchnąłem ciężko na użytek Daga i wymamrotawszy pod nosem coś w tym sensie, że nie jestem żadną pieprzoną babysitterką, ruszyłem z miejsca, by rozdzielić chłopaków i uświadomić im, że jeden z nich wisi mi papierosa.

Jednak ktoś mnie uprzedził.

Barczysty mężczyzna wkroczył w sam środek bójki tak spokojnie, jakby spacerował po plaży, chwycił jednego z żołnierzy za koszulę na karku i odciągnął go od przeciwnika. Natychmiast potem obezwładnił drugiego, a uczynił to wszystko tak szybko, że ledwie zarejestrowałem wzrokiem drobne szczegóły jego sylwetki. Błyszczące oczy. Pełne usta. Ciemne włosy. Oliwkowa karnacja tego rodzaju, z jaką człowiek przychodzi na świat, tego rodzaju, co przez całą zimę zachowuje ciepły odcień brązu. Włoch, a może Grek.

– Ja pierdolę – powiedział Dag z uznaniem. Albo i bez. Czasem trudno było go rozszyfrować.

Z baraku mieszczącego koszary wyszedł Percival Wu, jeden z naszych tłumaczy, i przystanął za nami.

– To Colchester – odezwał się ściszonym głosem. – Przyjechał wczoraj.

W tamtej chwili nie obchodziło mnie, kto to taki. Ulżyło mi, że nie muszę wdawać się w kretyńską awanturę, i tyle. Szczerze mówiąc, zaledwie przed kilku miesiącami opuściłem mury szkoły oficerskiej i wciąż jeszcze odczuwałem komenderowanie podwładnymi jako coś krępującego.

Wychowałem się w kręgu władzy, pośród ludzi, którym wydawanie rozkazów przychodziło bez wysiłku, jednak sam na ogół unikałem brania na siebie odpowiedzialności za cokolwiek. Konsekwencje to było coś, od czego się wymigiwałem, a ludzie obchodzili mnie o tyle, o ile zapewniali mi dobrą zabawę. Nie miałem żadnego doświadczenia w troszczeniu się o innych… Sam ledwie unikałem pakowania się w tarapaty.

Zresztą prawdę mówiąc, nie bardzo się o to starałem. Po co miałbym to robić, skoro na ogół wynikała z nich wyłącznie dobra zabawa?

Zdaję sobie sprawę, że mówiąc to, wychodzę na egocentryka i egoistę, bo też taki właśnie byłem. Byłem złym, samolubnym dzieckiem, które wyrosło na złego, samolubnego dorosłego… Jednak należy pamiętać, że egoizm nie jest równoznaczny z byciem niepomnym swoich występków. Zdawałem sobie sprawę z tego, jak bardzo byłem zły. Wiedziałem, jak strasznie grzeszyłem, choć mówiłem sobie, że nie wierzę w grzech. Późną nocą, po pijatyce, pierdoleniu lub bójce, zależnie od okoliczności, leżałem w łóżku i patrzyłem w gwiazdy kręcące się nade mną na nocnym niebie i wiedziałem – po prostu *wiedziałem* – że jest we mnie coś sprzecznego z naturą. Byłem świadom tego, że niektórzy ludzie przychodzą na świat niedobrzy, spaczeni, naznaczeni wewnętrzną pustką, i wiedziałem, że urodziłem się bez tego czegoś, co czyni ludzi odważnymi, czystymi lub dobrymi. Zdawałem sobie sprawę z tego, że urodziłem się bez sumienia,

czy może bez serca lub bez duszy. Rozmyślałem nad tym, aż w końcu zwijałem się pod kołdrą w kłębek i wciskałem twarz w poduszkę. A kiedy uchodziło ze mnie powietrze, wspominałem okropności popełnione tamtego dnia. Rozpamiętywałem okropności popełnione w ciągu całego życia. I nienawidziłem siebie za to całe zło. Nienawidziłem siebie za swój egoizm, za swój bezmyślny egocentryzm i obojętność. Zdawałem sobie sprawę, że nie powinienem poddawać się impulsom gniewu, żądzy czy pragnienia ucieczki od rzeczywistości aż po ich nieunikniony krwawy, lepki bądź pogrążony w odurzeniu finał, a jednak to czyniłem.

Za. Każdym. Razem.

Lecz wówczas był dopiero wczesny wieczór, jeszcze nie zapadła noc wraz z nieodłącznym poczuciem odrazy do samego siebie. W tamtej chwili czułem wyłącznie ulgę i niejasną wdzięczność, a także chętkę na papierosa.

– No i po widowisku – powiedziałem do Daga i odwróciłem się, by ruszyć w drogę do wioski. I wówczas zdałem sobie sprawę, że ktoś za mną stanął. I nie był to ani smukły Wu, ani zwalisty Dag. Znieruchomiałem, ale nie odwróciłem się.

Nie od razu.

– Zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego papieros jest dla ciebie ważniejszy od twoich ludzi, poruczniku?

To był głos tego rodzaju, który każe ci przystanąć. Głęboki, owszem, i w ciekawy sposób jednocześnie ochrypły i dźwięczny, jak melodia, której nuty zostały opalone wzdłuż krawędzi.

Jednak to nie brzmienie głosu wstrzymywało moje kroki… to jego czystość. Siła. Nie buńczuczność bez pokrycia, jakiej pozorem często chełpią się młodzi mężczyźni, lecz autentyczna siła.

Spokojna, czysta, rzetelna.

Jednoznaczna.

To był głos człowieka, który nocami nie zwija się w łóżku, myśląc, że wolałby się nigdy nie narodzić.

Odwróciłem się, wytrącony z równowagi już przez sam ten głos, ale na widok twarzy poczułem się znokautowany. Ciemne brwi nad oczami o tak złożonym odcieniu zieleni, że nie potrafiłem orzec, czy tak naprawdę były jasne, czy ciemne. Usta nieskłonne do śmiechu, wydatne kości policzkowe, a do tego kwadratowa szczęka porośnięta ciemną szczeciną. Wziąwszy pod uwagę superregulaminową fryzurę i połysk butów, stojący za mną mężczyzna nie wyglądał na niechluja zaniedbującego poranne golenie. Po prostu Colchester należał do tych facetów, których twarz nie pozostaje gładka dłużej niż przez kilka godzin.

Jednak nie tylko rysy miał uderzające. Przede wszystkim wyraz twarzy, spojrzenie. Wydawał się w moim wieku, a mimo to w jego obliczu było coś takiego, co czyniło go ponad wiek dojrzałym. Jak tak teraz o tym myślę, to nawet nie była kwestia wieku. Raczej kwestia *czasu*. Wyglądał jak człowiek z innej epoki, który powinien jechać konno przez gęstwinę lasu, ratować damy w tarapatach i uśmiercać smoki.

Szlachetnie.

Heroicznie.

Królewsko.

Wszystko to przebiegło mi przez myśl w mgnieniu oka. I już w następnym momencie ogarnęło mnie niespodziewane, krępujące uczucie, jakby on właśnie zobaczył dość, żeby przeniknąć *mnie* na wylot, żeby przejrzeć na wskroś mój egoizm, pustą zmysłowość i leniwą rozwiązłość. Jakby widział czy przeczuwał wszystkie te noce, kiedy wciskałem twarz w poduszkę i żałowałem, że nie starcza mi odwagi, by raz na zawsze zakończyć swoją marną egzystencję.

Naraz zrobiło mi się wstyd. Zawstydziłem się tego, że jestem sobą. Tego, że jestem Embrym Moore’em – pieprzonym, gówno wartym podporucznikiem Embrym Moore’em. I to mnie wkurzyło. Bo kim niby był ten pieprzony przystojniak, żeby mnie zawstydzać? Tylko *ja sam* mogłem wzbudzać w sobie to uczucie.

Zbliżyłem się do niego na dwadzieścia centymetrów, prężąc pierś w bojowej postawie. Nie bez satysfakcji odnotowałem, że góruję nad nim wzrostem o ponad dwa centymetry, on z kolei miał co najmniej dziesięć kilogramów muskulatury więcej ode mnie. Jednak jeszcze większą satysfakcję sprawiło mi odkrycie, że nosi na mundurze złotą belkę. Podporucznik jak ja.

Odzyskałem głos.

– To nie moi ludzie, *poruczniku*.

– I dlatego pozwoliłbyś im się nawzajem zmasakrować?

Wywróciłem oczami.

– To duzi chłopcy. Potrafią o siebie zadbać.

Twarz Colchestera zachowała swój surowy wyraz.

– To nasze zadanie: dbać o nich.

– Ja pierdolę, nawet nie wiem, co to za jedni.

– I taką postawę zachowasz, kiedy przyjdzie nam walczyć w górach z Karpatiańczykami? Będziesz myślał wyłącznie o swoich bezpośrednich podkomendnych?

– Och, uwierzcie mi, poruczniku Colchester, nigdy nie spuszczam z oczu moich ludzi. Ani rąk.

Dag i Wu zaśmiali się, a ja wyszczerzyłem zęby w uśmiechu, lecz naraz w mgnieniu oka zostałem przyparty do metalowej ściany baraku, a ciepłe przedramię Colchestera dociskało moją szyję.

– Dla ciebie to wszystko żarty? – zapytał cicho, tak cicho, że inni nas nie słyszeli. – A te góry wokół nas to teatralna dekoracja? A naboje w twojej giwerze to ślepaki? Bo dla Karpatiańczyków to nie są żarty. Oni nie strzelają ślepą amunicją, poruczniku Moore. A ładunki wybuchowe, którymi minują drogi, to nie fajerwerki. Poprowadzisz tych ludzi do boju, nawet jeśli będą w ciebie wątpić, nawet jeśli sam w siebie zwątpisz, więc uwierz, że warto się o nich troszczyć. Tu, tam, czy gdziekolwiek cię diabli zaniosą. A jeśli nie czujesz się na siłach, to lepiej zamelduj się u kapitana i poproś, żeby odesłał cię do domu.

– Pierdol się – warknąłem.

Mocniej docisnął przedramieniem moją tętnicę szyjną, odcinając – choć nie całkowicie – dopływ krwi do mózgu, przesunął oczami po mojej twarzy, a potem powędrował wzrokiem w dół po moim ciele, które przypierał własnym do ściany. W cieniu jego oczy zdawały się ciemne, jak mroczne głębie jeziora, lecz poza tym nie było w nim nic z chłodu. Czułem ciepło jego ciała, widziałem pulsowanie tętnicy na jego szyi. Na moment rozchylił usta, a długie rzęsy zatrzepotały, jakby chciał zamknąć oczy, ale zapomniał, jak to się robi.

– Pierdol się – powtórzyłem, ale słabiej, z powodu niedotlenienia i czegoś, nad czym w tamtej chwili jeszcze się nie zastanawiałem.

Przysunął usta do mego ucha i szepnął:

– Osobiście wolałbym wypierdolić ciebie.

Cofnął się i opuścił rękę. Wciągnąłem powietrze do płuc i od świeżej porcji tlenu moja krew ścięła się lodem.

Kiedy przejaśniło mi się przed oczami, porucznika Colchestera już nie było.

2

Embry

po

Moje życie składa się z dwóch części.

Wtedy i teraz. Przed i po.

Teraz jestem mężczyzną żyjącym w stanie małżeńskim, w pewnym sensie. W groteskowym, szalonym, przecudnie popieprzonym sensie, którego nie uznałoby żadne państwo ani żaden kościół. To jednak nie czyni mego małżeństwa ani trochę mniej realnym. Tamta chwila, gdy Greer, Ash i ja ujęliśmy się za ręce i zaprzysięgliśmy sobie – wówczas nawet nie pojmowaliśmy w pełni, co takiego sobie przysięgamy, lecz uczyniliśmy to, bo uświadomiliśmy sobie, że nie zdołamy dłużej z tym walczyć – była chwilą mego ślubu. *Wszystko* to był mój ślub, ściśle rzecz biorąc, tamto i to, co nastąpiło potem: pot i łzy, i rozpryśnięte nasienie, jakiś rodzaj tajemniczego starożytnego obrzędu, który odprawiliśmy, podążając za głosem instynktu, taniec, który potrafiliśmy odtańczyć, choć nigdyśmy się go nie uczyli.

Spodziewałem się, że ten dzień będzie dla mnie dniem wiecznego potępienia. Dniem kary za bycie złym, samolubnym człowiekiem, człowiekiem, przez którego cierpiał Ash, cierpiała Greer, cierpiało tak wielu innych ludzi w ciągu trzydziestu pięciu lat mego życia. Szedłem nawą, prowadząc pod ramię Abilene, kuzynkę Greer, i myślałem wyłącznie o tym, jak straciłem szansę na to, by to był mój własny ślub. Ash byłby gotów wyrzec się swego ukochanego Kościoła katolickiego, swojej kariery i swojej przyszłości, bylebym tylko to ja nadchodził do niego wzdłuż nawy, byleby mógł wsunąć obrączkę na mój palec, ale ja mu odmówiłem.

Dwukrotnie.

Więc to była moja pokuta. To, że nadszedłszy nawą, zamiast stanąć przed nim, miałem stanąć obok niego, wciąż nosząc na szyi ślady jego zębów, wciąż czując w ustach smak soków jego żony, i miałem patrzeć, jak się uśmiechają, jak płaczą, jak się całują. Miałem nie dostać *ani* ukochanego mężczyzny, ani ukochanej kobiety. To oni mieli odtąd mieć siebie nawzajem, podczas gdy ja miałem zostać z niczym.

To było to, co musiałem znieść. To było to, co musiałem zaakceptować.

Tyle tylko… że tego nie uczyniłem. Jakimś sposobem moja pokuta została odprawiona, a brzemię grzechów zdjęte. Pragnął mnie Ash. Pragnęła mnie Greer. I mnie, niedoskonałego, okropnego mnie chcieli dopuścić do swojego dopiero co zawartego małżeństwa. Powinienem odmówić. Dla ich dobra, dla dobra mojej własnej duszy. Ale nie mogłem. Po prostu pragnąłem tego – pragnąłem ich – zbyt mocno.

Chciałem wierzyć, że to się powiedzie. Że jakimś cudem my troje zdołamy tego dokazać. Ponieważ piętnaście lat znajomości z Ashem i pięć lat znajomości z Greer nauczyło mnie, że nigdy się od tego nie uwolnię… od tego świerzbienia, od tego palącego pożądania ich obojga. Nie byłem w stanie pokochać nikogo innego. Przypiszcie to, czemu chcecie – losowi,

pechowi, genetycznemu dopasowaniu czy psychicznej traumie – cokolwiek to było, związało mnie z nimi jak rdza wiąże się z metalem. To zderzenie cząsteczek i sił nieodwracalnie zmieniło nas troje. Nie było od tego odwrotu.

Takie myśli kołatały mi się po głowie, gdy mrugałem oczami w ciemności. W moim życiu zdarzały się chwile, gdy budziłem się w nieoczekiwanych okolicznościach, zdezorientowany i przerażony, oczekując gradu karpatiańskich kul, jednak tym razem obudziłem się w cieple błogiego spokoju. Słodkiego podniecenia. Powracającego pożądania.

Tu nie ma kul.

Jest ciepła dłoń na moim brzuchu, duża i trochę szorstka, uczucie znajome i nieznajome naraz. Otwieram oczy szeroko i w blasku światła z łazienki widzę obok siebie muskularne ciało śpiącego prezydenta. Prześcieradło częściowo okrywa jego smukłe biodra, jednak jest zsunięte dość nisko, by widoczna była ciemna linia zarostu biegnąca od pępka w dół, i dość cienkie, by rysowała się pod nim masywna krzywizna członka. Śpi z leciutko rozchylonymi ustami, jego długie rzęsy opadają na policzki i nie ma w nim surowej powagi, która zwykle maluje się w kącikach jego ust i w oczach. Wygląda młodziej niż zwykle, niemal jak tamten gniewny chłopak, który przyparł mnie własnym ciałem do ściany koszar w Karpatach. Wygląda młodziej i bardziej bezbronnie.

Ściska mnie w sercu. Bo go kocham, bo jest piękny i ponieważ nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziałem go naprawdę pogrążonego we śnie. Zdarzały się drzemki na pokładzie samolotu, przysypianie w limuzynie, ale prawdziwy sen z głębokim oddechem, rozluźnionymi, bezwładnie rozrzuconymi członkami… nie widziałem tego od czasu naszej wspólnej służby w Karpatach. Greer dobrze mu robi.

Staram się nie być o to zazdrosny.

A skoro mowa o Greer, to uświadamiam sobie, że nie ma jej już w łóżku między nami, nie leży także u boku żadnego z nas. Przeciągam się i mrużę oczy, wpatrując się w światło dobiegające ze szczeliny pod drzwiami do łazienki. Ash i ja ujeżdżaliśmy ją w nocy na całego… Nie jestem pewny, co takiego robią kobiety po uprawianiu seksu, ale Ash dostatecznie wiele razy wykorzystywał seksualnie moje chętne ciało, żebym potrafił to sobie wyobrazić. Decyduję się nie zakłócać jej prywatności, choć dziwnie czuję się w łóżku bez niej. Tak *znakomicie* dobraliśmy się we trójkę, tak świetnie dopasowaliśmy się, tak zgodnie chwytaliśmy każdy oddech… Wystarczyło kilka godzin, by jej nieobecność sprawiła, że powietrze dotkliwie ciąży na mej skórze, a łóżko zdaje się zimne i puste.

Poruszywszy się, zakłócam sen Asha, który przeciąga się, zsuwając prześcieradło i odsłaniając biodro oraz górną część muskularnego uda. Jego dłoń porusza się na moim brzuchu i odczuwam szokującą intymność tego gestu, jednocześnie nową i świetnie znajomą. Pomimo wszystkich rund, jakie zaliczyliśmy tej nocy – lub ściślej rzecz ujmując, *ubiegłej* nocy, jak należy sądzić po błękitnym świetle poranka sączącym się spoza zasłon – mój fiut budzi się pod jego dotknięciem, sztywnieje i twardnieje, i nie potrzeba mu do tego nic więcej poza lekkim ruchem dłoni Asha przesuwającej się po moim podbrzuszu.

Unosi powieki i obdarza mnie sennym uśmiechem. Jego twarz stanowi tak niezwykły widok, zarówno przez swoją otwartość, jak i przez swój błogi wyraz, że wpatruję się w nią i chłonę, jak człowiek umierający z pragnienia. Po Karpatii, po Morganie, po mnie, po Jenny nigdy bym nie uwierzył, że ujrzę Asha oddychającego i uśmiechającego się bez całej tej dławiącej go udręki. Widzieć go takim, choćby przez chwilę, to dar, niezasłużone błogosławieństwo. Wyciągam dłoń i przesuwam po jego

szczęce, jak można się tego spodziewać, już porośniętej szorstką szczeciną, a potem przeciągam opuszkami palców po ustach ułożonych w senny uśmiech.

– To już rano? – pyta, a mój fiut znów się pręży, tym razem na dźwięk jego głosu, zawsze trochę szorstkiego, jakby ktoś przeciągał po jego słowach papierem ściernym, ale teraz, gdy ledwo co ocknął się ze snu, brzmiącego jak przesypywany żwir.

– Prawie.

– Gdzie ona jest?

Ona.

Nasza Greer.

Znów powraca dojmujące odczucie pustki w miejscu, gdzie powinna leżeć, i przez moment ogarniają mnie rozbawienie i strach naraz, bo skoro nie jestem w stanie znieść rozstania przez krótką chwilę, którą Greer spędza w łazience, to jakim cudem przeżyjemy najbliższe dwa i pół roku? Albo, cholera, sześć i pół, w przypadku reelekcji Asha?

– Jest w łazience – odpowiadam, usiłując stłumić świeżą obawę przed oczekującymi nas trudnościami. – Sam dopiero co się obudziłem.

Ash odchrząkuje, a jego dłoń ponownie przesuwa się po moim brzuchu. Wędruje *w dół*, mijając pępek. Mój fiut jest teraz sztywny i twardy, pulsuje w chłodnym powietrzu.

– Uwielbiam cię w chwili tuż po przebudzeniu. – W głosie Asha już nie pobrzmiewa senność, wciąż jednak brzmi szorstko i twardo. – Masz rozszerzone źrenice, od tego twoje oczy wydają się ciemniejsze, policzki masz zarumienione od snu, a twoje ciało… – Złośliwa dłoń muska żołądź, nabrzmiałą i ciemnosiną w półmroku panującym w pokoju. – Twoje ciało wygląda na chętne do spełniania moich zachcianek.

Zaciska dłoń na trzonie penisa, a ja jęczę.

– Takie chętne – mruczy, a ja tylko czekam, aż obróci mnie na brzuch i wedrze się we mnie, lecz on tego bynajmniej nie robi. Wypuszcza mego członka i układa swoje ciężkie, twarde ciało na moim w taki sposób, że stykamy się piersiami, a nasze wzwiedzione fiuty zostają ściśnięte między jego i moim podbrzuszem. Muska wargami moje wargi raz i drugi, i uśmiecha się, gdy wysuwam usta do prawdziwego pocałunku.

Prowokuje mnie jeszcze raz czy dwa, wydobywając skądś z głębi mego ciała jęk frustracji, po czym kładzie kres naszemu obopólnemu cierpieniu, opuszczając głowę, rozchylając mi wargi i wdzierając się językiem głęboko w moje usta. Jego pocałunek jest nieśpieszny, ale zaborczy, to on narzuca tempo i głębokość penetracji. Ledwie mogę złapać oddech, tak bardzo się wdziera, ale nie dbam o to. Nie chcę, nie potrzebuję innego powietrza niż to, którym obdarza mnie Ash. Trwa to kilka minut, po których odrywa się ode mnie i opiera swoje czoło o moje.

– Och, Embry – mówi łamiącym się głosem. – Tak mi ciebie brakowało.

Serce mi krwawi, gdy to słyszę.

– Czy ty mi to kiedykolwiek wybaczysz?

– Co?

Tak trudno przychodzi mi to wymówić, nawet w półmroku.

– Że za ciebie nie wyszedłem.

Ash wstrzymuje oddech.

– Embry…

– Możesz być ze mną szczery. – Pragnę być jego dzielnym, małym księciem. Chociaż raz. – Zasługuję na odpowiedź.

Ujmuje moją twarz w dłonie i odsuwa głowę, by spojrzeć mi w oczy.

– To wspomnienie zawsze będzie mnie bolało, Embry. Nie będę udawać, że jest inaczej. Ale do tej pory z pewnością sam się już zorientowałeś, zresztą mówiłem ci to wprost… zaakceptuję cię w każdej

formie, w jakiej zechcesz mi się oddać. Jeśli wszystko, co będziesz mógł mi ofiarować, to kilka skradzionych nocy, przystanę na to.

Na widok jego czułej miny dławi mnie wzruszenie i mrugam, żeby powstrzymać łzy. Nie mogę tego znieść. Nie mogę ścierpieć tego wszystkiego, co przed nim ukrywam. Tak kompletnie nie rozumie, kto tu naprawdę cierpi i przez kogo, kto przeżywa prawdziwą udrękę wyrzeczenia się swoich pragnień, że omal nie wygaduję się ze wszystkim. Niewiele brakuje, abym opowiedział mu o tym, co wydarzyło się wtedy przed laty, o Merlinie, o prawdziwych powodach, dla których nie mogłem za niego wyjść. Jednak słowa więzną mi w gardle. Zbyt długo kłamałem, żeby teraz móc ot tak wyznać prawdę.

Ash odbiera moje milczenie jako potwierdzenie swoich słów.

– I Embry, jeśli obaj kochamy Greer, to być może tak właśnie miało być. Może to los zrządził, że zeszliśmy się we troje w taki, a nie inny sposób. Gdybyśmy wtedy, przed laty, wzięli ślub, nie zdobylibyśmy jej.

Wiem, że stara się mnie pocieszyć, i to jest tak popieprzone, tak cholernie popieprzone, bo to ja wydłubałem mu dziurę w sercu, a teraz on usiłuje podnieść na duchu *mnie*. Nawet nie zdaje sobie sprawy, jak wiele okrutnej niesprawiedliwości go spotkało – jego, który w najmniejszej mierze sobie na to nie zasłużył.

– Daj spokój – szepcze, opuszcza głowę i chwyta mnie zębami za płatek ucha. – Przestań się chlastać. – Zaciska szczęki, a mój fiut na przekór bólowi pręży się i ociera o jego twardy brzuch.

– Pozwól, że sam cię ukarzę – powiada, a ja na to mówię w duchu: „och, tak, Boże, tak, proszę”. Wyłącznie u stóp Asha miewam poczucie, że odpokutowałem za całe zło, jakiego się dopuściłem. Wyłącznie pod jego bezlitosną dłonią mogę znaleźć ulgę od wyrzutów sumienia.

Kąsa mnie i palący szlak jego zębów zmierza od ucha do żuchwy, od żuchwy do gardła, a potem dalej w dół, przez pierś i brzuch. Jego oczy błyszczą w półmroku.

– Chcesz, żeby Greer to zobaczyła? – pyta między jednym ugryzieniem a drugim. – Skręcam się pod jego ustami, czuję, że z czubka mego fiuta wycieka preejakulat. – Chcesz, żeby zobaczyła, jak wyglądasz na kolanach?

– Tak – jęczę i prężę się, usiłując go dotknąć. Okrutna ręka przygważdża mnie do łóżka.

Zmagam się z nią.

Walczę. Prawdę mówiąc, zawsze walczę. Aż wreszcie, na sam koniec, kiedy już zostanę pokonany, wreszcie to czuję. Spokój. Błogi spokój. Przestrzeń, którą wyrzeźbił dla mnie, przestrzeń bez winy, bez nienawiści do samego siebie, bez udręki. Tylko spokój i miłość, jego dłoń na moim karku i łzy zasychające na mojej twarzy.

Greer, doskonale uległa, stworzona do tego, by przewodzić poza sypialnią i służyć w sypialni… Czy zrozumiałaby, gdyby zobaczyła, jacy jesteśmy, Ash i ja, we dwóch? Ona podporządkowuje się, bo dzięki temu czuje się bezpieczna, bo do tego się urodziła, ja natomiast podporządkowuję się dlatego, że jestem stworzony do cierpienia. Bo lubię cierpieć.

Bo lubię walkę i klęskę, którą się ta walka kończy.

– Tak – powtarzam, gdy Ash unieruchamia moje biodra chwytem potężnych, twardych dłoni. – Proszę.

– Patrzcie go, jaki chętny. – Kąsa delikatne ciało tuż obok członka, a ja krzyczę. – Zwykle muszę się trochę namęczyć, żebyś zechciał. – Kolejne ukąszenie. Kolejny jęk wyrywa się z moich ust. – Pójdę po nią.

Materac ugina się, gdy Ash przenosi ciężar ciała na jedno kolano, wstaje i odchodzi. Ciemne cienie znaczą wypukłości mięśni grzbietu. Porusza się,

jakby się skradał. Nawet kompletnie nagi wygląda władczo. Groźnie.

Czekając na ich wspólny powrót, nie masturbuję się, chociaż jestem tak twardy, że w całym moim ciele poza członkiem nie została chyba ani kropla krwi. Jestem gotów do tego, żeby pierdolić i być pierdolonym, jestem tak napalony, że nie mogę się doczekać…

– Nie ma jej tu.

Ash mówi spokojnym głosem, ale ja już znam ten spokój. Takim kamiennym spokojem tchnie, gdy szef sztabu nachyla się, by szeptem przekazać mu złe wiadomości. Tak samo spokojny był wówczas, gdy lekarze ostatecznie zdiagnozowali raka u Jenny. To ten spokój okazywał w lasach Karpatii, gdy wśród drzew zaczynały świstać kule.

Natychmiast zrywam się na nogi i pędzę do łazienki, by się przekonać na własne oczy. Jasne, jest tak, jak powiedział, a kiedy wracam, ma nisko na biodrach luźno zawiązane lniane spodnie od piżamy i telefon w dłoni.

– Nie ma jej telefonu, a zasuwka w drzwiach jest odsunięta – mówi, wciąż tym opanowanym głosem. – Idę pogadać z Lukiem. Może wybrała się na siłownię albo na basen.

Wątpię, by tak było. Greer ma wiele zalet, ale na pewno nie jest rannym ptaszkiem. Wszystkie te poranki, gdy musiała wymykać się z Białego Domu o niewyraźnej porze przed świtem… za każdym razem, kiedy wkraczałem z kawą i gazetą, zastawałem ją przycupniętą na kanapie, opatuloną w ogromny szlafrok Asha, a gdy zapalałem światło, mrugała oczami jak sowa. Ash powiedział mi kiedyś, że rankami najczęściej musiał ją dosłownie brać na ręce i nieść z sypialni do salonu, żeby nie usnęła na powrót. Jest w tym obrazie coś do bólu słodkiego. Nie mogłem się doczekać, aż ujrzę ich poranny rytuał na własne oczy, a może nawet dostąpię zaszczytu wzięcia jej ciepłego, sennego ciała we własne ręce i kołysania go, póki się nie obudzi.

Jednak teraz nawet o tym nie wspominam. Podnoszę zmięte spodnie od smokingu z podłogi, gdzie rzuciłem je wczoraj, i wciągam. Ledwie zdążyłem zapiąć rozporek, rozlega się pukanie do drzwi. Jestem bliżej, więc otwieram z nadzieją, że ujrzę w nich Greer. Już niemal czuję ulgę, że wszystko kończy się dobrze, jednak w progu stoi nie ona, lecz Merlin. Jak na siebie wydaje się dziwnie zmęczony i rozbity.

– Greer została porwana – mówi cicho.

Dwadzieścia minut później siedzimy ubrani w salonie, wokół stolika do kawy wraz z Merlinem i agentem służb specjalnych imieniem Bors. Kay, córka ludzi, którzy adoptowali Asha, i zarazem szefowa jego sztabu, chodzi w tę i z powrotem przed oknami apartamentu, naradzając się z kimś przez telefon. Belvedere, osobisty asystent prezydenta, stoi z boku i także rozmawia przez telefon, otoczony wianuszkiem tajnych agentów o zaciętych twarzach.

– Ani Luc, ani Lamar nie zameldowali się o właściwej porze – wyjaśnia Bors – więc zszedłem z posterunku na schodach, żeby sprawdzić, co się z nimi dzieje. Obaj leżeli nieprzytomni i skrępowani na końcu korytarza, za rogiem.

Ash pociera twarz dłońmi.

– Ilu agentów w sumie zaatakowano?

– Licząc z Lukiem i Lamarem pięciu, wyłącznie tych, których obezwładnienie było absolutnie konieczne. Ludzie, którzy porwali panią Colchester, działali z chirurgiczną precyzją. Wycięli szybę na pierwszym piętrze i wygląda na to, że zwiali uliczką. Tam właśnie znaleźliśmy ciało faceta imieniem Daryl, pracownika hotelu.

Nie mogę dłużej usiedzieć w miejscu. Podnoszę się i zaczynam nerwowo chodzić w tę i z powrotem za kanapą, na której siedzi Ash, jak lustrzane odbicie Kay.

– To Melwas. Wiesz, że to jego sprawka, Ash.

– Wiem – odpowiada poważnym tonem. – Wiem.

– Myślałem, że przygotowaliśmy się na to! Różne hotele, zmiany dokonane w ostatniej chwili!

– To za mało – przyznaje Merlin. – Nie doceniliśmy go. *Ja* go nie doceniłem. Tak mi przykro, Maxen. To moja wina, mój błąd. Powinienem był to przewidzieć.

Teraz Ash także wstaje, kładzie dłoń na ramieniu Merlina. Jakim, kurwa, cudem znajduje w sobie w tej chwili tyle spokoju?

– Nie winię cię, stary druhu – mówi do swego doradcy. – Wszyscy powinniśmy byli mieć się na baczności, ale mimo wszystko nie wydaje mi się, żebyśmy mogli to przewidzieć.

Merlin wzdycha, a po jego minie widać, że jest mocno strapiony.

– Powinienem był to przewidzieć – powtarza.

Choć dawniej zdarzało nam się poróżnić, udaje mi się wznieść ponad obawę i gniew i współczuć jego udręce. Bo sam także powinienem był się lepiej spisać. Gdybym nie usnął albo chociażby spał lżej, gdybym poprosił Greer, żeby obudziła mnie, zanim dokądkolwiek wyjdzie, krótko mówiąc, gdybym zrobił cokolwiek innego po naszym trójstronnym pieprzeniu, niż usnął jak nastolatek, zapewne byłaby z nami cała i zdrowa.

Z obwiniania samego siebie nic nie wynika, a jednak poczucie winy jest jak stary znajomy płaszcz. Narzucam go na ramiona i czuję się pewniej, bardziej sprawczo. Mówię sobie, że to moja wina, i świat na powrót nabiera sensu.

Zawsze moja wina.

Ash rozgląda się wokół ze spokojem i namysłem. Gdybym nie znał go tak dobrze, gdybym nie był przy nim wówczas w górach, gdy eksplozje urywały żołnierzom głowy, w mroźne noce, gdyśmy nie mieli niczego do jedzenia i została nam ledwie odrobina wody, pomyślałbym, że nic go to wszystko nie obeszło. Pomyślałbym, że w chwili namysłu potrafi wyłączyć emocje lub może zupełnie nie martwi się losem Greer. Jednak ja go znam. Dostrzegam napięcie wokół oczu, widzę, jak pociera czoło kciukiem. We wszystkie linie jego ciała wpisany jest ukryty niepokój.

– Musimy założyć, że udadzą się w kierunku morza – mówi, opuszczając rękę i zwracając się do obecnych. – Ogłosiliśmy już alert na wszystkich lotniskach, od największych międzynarodowych portów lotniczych po lokalne lądowiska. Zdają sobie sprawę z tego, jak dokładnie kontrolujemy przestrzeń powietrzną. Jednak jeśli uda im się wyrwać na otwarte wody, wówczas szanse powodzenia ich planów natychmiast wzrosną. Zmobilizujcie Straż Przybrzeżną, polećcie wszelkim jednostkom policyjnym patrolowanie przystani i portów. Bors, jak myślisz, ile mają nad nami przewagi?

– Więcej niż godzinę i mniej niż trzy.

– W takim razie nie zostało nam wiele czasu. Kiedy wypłyną w morze, nie da się przewidzieć, jaki kurs obiorą. Ani jak długo pozostaną. Embry, Merlin, Kay, czy mogę porozmawiać z wami na osobności?

Kay kończy rozmowę i wszyscy troje udajemy się za Ashem do sąsiedniego pomieszczenia.

– Nie sądzę, żeby Melwas zażądał okupu – powiada Ash, gdy zostajemy sami. – Myślę, że zrobi wszystko, aby tylko nie sposób było udowodnić, że porwał Greer. Żądanie okupu dowodziłoby jednoznacznie jego udziału w uprowadzeniu. Natomiast milczenie? Cały świat będzie podejrzewał, że sfingowaliśmy porwanie, żeby mieć pretekst do podjęcia działań zbrojnych.

– Świat nam uwierzy – deklaruję zapalczywie. – Wszyscy wiedzą, co z niego za nikczemnik. Pewnie nawet nam pomogą!

– Nie chcę pomocy z zewnątrz ani nie chcę użycia siły – replikuje stanowczo Ash. – O ile tylko uda się tego uniknąć. To Melwas dąży do wojny, Embry. Chce, żeby znów rozgorzała, ale zawarty traktat wiąże mu ręce. Nie może podjąć działań zbrojnych, dopóki nie zostanie zaatakowany, więc usiłuje sprowokować nas do napaści. Nie ulegnę jego szantażowi.

– A zatem co zamierzasz zrobić? – dopytuję. – Poprosić go uprzejmie, żeby oddał Greer?

– Nie, ponieważ drugi powód, dla którego to zrobił, jest taki, że on… jej… *pragnie*.

Słowa więzną mu w gardle. Wiem, że to z niesmaku. Wiem, że podobnie jak ja pamięta przyjęcie dyplomatyczne w Genewie, podczas którego Melwas tańczył z Greer. Jego spojrzenie było jednoznaczne. Pożądliwe.

– No to co zrobimy? – pytam.

– Odnajdę ją.

Kay, Merlin i ja patrzymy na Asha osłupiali.

A on doprecyzowuje.

– Wszyscy się spodziewają, że w ciągu najbliższego tygodnia będę spędzał z żoną miesiąc miodowy, co znaczy, że znajdę się poza zasięgiem mediów. I nie ma powodu, dla którego nie miałbym wykorzystać tego czasu, żeby odnaleźć Greer.

– Czy sugerujesz – pyta Kay – że ty, *prezydent Stanów Zjednoczonych*, masz zamiar osobiście wybrać się na poszukiwanie żony?

Ash odpowiada na jej niedowierzający wzrok spojrzeniem pełnym niewzruszonej stanowczości.

– Tak, właśnie o tym mówię.

Kay wyrzuca ręce w powietrze teatralnym gestem i odwraca się, by zaraz na powrót stanąć przodem do Asha.

– Mowy nie ma.

Merlin chrząka i wygłasza swoje zdanie:

– Jest mnóstwo powodów, żeby tego nie robić – mówi pojednawczym tonem. – Twój autorytet i bezpieczeństwo nie mogą zostać narażone na szwank, bo to zagraża bezpieczeństwu kraju. Musisz zostać *tutaj*, musisz dbać o bezpieczeństwo państwa.

– Kto w takim razie zadba o bezpieczeństwo Greer? – Nie sposób nie dosłyszeć w jego głosie tłumionego gniewu. – To moje zadanie, Merlinie. Moja żona.

Moja żona. Z jakiegoś powodu odczuwam te słowa jak lekkie ukłucie. A może wcale nie lekkie. Boli mnie, że jesteśmy wśród ludzi, którzy nie wiedzą, co działo się tu między nami minionej nocy, którzy nie mają pojęcia o obietnicach przypieczętowanych naszymi westchnieniami i potem. Boli mnie to, że Ash będzie mógł zawsze, *zawsze* dawać publicznie wyraz swojej trosce o Greer, a ja nie. Boli mnie również to, że nie mogę okazywać przy ludziach tego, jak bardzo zależy mi na Ashu. To, że nie mogę paść przed nim na kolana i błagać go, by pozwolił sobie pomóc, by pozwolił mi wyruszyć na ratunek naszej Greer.

– Wyślij mnie – mówię impulsywnie. Wszyscy odwracają głowy i patrzą na mnie, ale ja nie odrywam wzroku od Asha. Pragnę, żeby przejrzał na wylot moje myśli, przeniknął mój umysł. – Ty sam nie możesz, bo jeśli zostaniesz schwytany, jeśli Melwas cię dorwie, konsekwencje będą zbyt poważne.

Podchodzi do mnie, kładzie mi dłoń na karku i przyciąga do siebie, aż nasze czoła stykają się ze sobą. Jakby nic go nie obchodziło, co myślą ludzie siedzący wraz z nami w tym pomieszczeniu.

– Wydaje ci się, że ty mniej dla mnie znaczysz? Myślisz, że gdyby schwytali ciebie, to nie pośpieszyłbym ci na pomoc?

– Ja… nie wiem – szepczę. – Ale to muszę być ja.

– Nie. Nie zamierzam cię narażać, bo jeśli o mnie chodzi, to oboje, ty i Greer, w równej mierze należycie do mnie. Jestem odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo tak samo jak za twoje przyjemności i ból. – Ostatnie słowa wypowiada tak cicho, że nikt poza mną ich nie słyszy. – Nie byłbym wart obietnic, które złożyłem w sypialni obok, nie byłbym wart tego, co od was wziąłem, gdybym nie potrafił was chronić.

– Właśnie dlatego, że jesteś taki, jaki jesteś, nie możemy cię puścić – odpowiadam. – Ale ja… Nikt nie będzie mnie żałował. Jeśli dostanę się do niewoli, to nie wywoła wojny… Nie przerywaj mi, wiesz, że tak jest. Wziąć do niewoli wiceprezydenta to nie to samo, co wziąć do niewoli prezydenta. Proste. A jeśli mnie to spotka, to po prostu mnie zostawisz, bo tak będzie lepiej.

– Nigdy nie opuszczam swoich żołnierzy – odpowiada Ash, a jego głos brzmi nisko jak pomruk lwa.

– Teraz jesteś odpowiedzialny za coś więcej niż tylko za swoich żołnierzy – przypominam mu. – To cena, jaką płacisz za swoje stanowisko. To muszę być ja, a zresztą komu możesz ufać bardziej niż mnie, że odnajdzie ją i sprowadzi z powrotem? Czy ktokolwiek w tym pokoju, w CIA, w Wydziale Ochrony Prezydenckiej albo w wojsku kocha tę kobietę bardziej niż ja? Czy ktokolwiek będzie gotów zaryzykować więcej niż ja, żeby ją uratować?

Nasze czoła wciąż się stykają, nasze głosy nadal są zbyt ściszone, by ktokolwiek poza nami mógł usłyszeć, co mówimy.

– Zawsze było w tobie pragnienie śmierci, Embry. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo się tego boję.

– Bardziej niż tego, że Greer pozostanie w łapach Melwasa? Bardziej niż tego, że zostanie zgwałcona, skrzywdzona, zamordowana?

Palce Asha wpijają się w moje ciało i przez chwilę odczuwam w pełni wściekłość i strach, które w sobie skrywa.

– Boże, wybacz mi – mamrocze.

– To powinien być on – odzywa się Merlin, podchodząc do nas. – Sprawa nadal pozostaje trudna, ale Embry także miał mieć ten tydzień wolny od spraw wagi państwowej. I choć z jego udziałem całe to przedsięwzięcie pozostaje równie ryzykowne i nie mniej kontrowersyjne, nie ma realnego powodu, żeby go nie podjąć. Porwanie pańskiej żony, panie prezydencie, stwarza nową sytuację, a nowe sytuacje wymagają nowych rozwiązań.

Ash z ociąganiem zdejmuje dłoń z mojej szyi.

– Zostając tu i pozwalając, żeby ktokolwiek inny ryzykował głowę, czuję się jak tchórz – narzeka gorzko.

– Ryzykanci czynią to z własnej woli – zauważa Merlin. – A nawet wielki Maxen Colchester nie może pozbawić ludzi prawa do kierowania się wolną wolą.

Kay również staje obok nas, kładzie bratu dłoń na ramieniu. I Ash odrobinę się odpręża.

– Uwolnimy ją, Ash – powiada Kay. – Utrzymamy porwanie w tajemnicy przed mediami dość długo, żeby Melwas doszedł do wniosku, że nie podjęliśmy żadnych kroków, co być może postawi go w tak trudnej sytuacji, że popełni jakiś błąd. Tymczasem w sekrecie wyślemy najlepszych agentów CIA i sił specjalnych oraz Embry’ego. W ten sposób pokrzyżujemy plany, jakie Melwas mógłby knuć w związku z Greer, i zapewnimy jej bezpieczeństwo.

Ash zamyka oczy i przełyka ślinę.

– Nie cierpię tego. Nie cierpię.

Serce mi krwawi i niewiele myśląc, obejmuję go. Opiera głowę na moim ramieniu – dokładnie na odwrót niż staliśmy w tym pokoju wczorajszej nocy, tuż przed tym, gdy ściskał mego fiuta i brandzlował mnie, aż spuściłem się na jego dłoń. Teraz to ja jestem tym silnym, to ja ofiaruję mu pociechę i ulgę.

Przytulam go mocniej.

– Sprowadzę ją z powrotem – obiecuję.

– Powinienem zrobić to sam – upiera się, mrucząc w moje ramię.

– Ale nie możesz.

– Musicie do mnie wrócić. Oboje. Gdybym stracił również ciebie… – naraz głos mu się załamuje. – Mój mały książę. Proszę, wróć.

Cofam się o krok, wzdragając się lekko, gdy szczecina Asha drapie mnie w policzek.

– Wrócę – obiecuję. – I twoja żona także.

Ostatecznie gdyby nie Greer wówczas przed laty, nigdy bym nie uwierzył, że jestem jeszcze zdolny do miłości. Gdyby nie ona, nie odzyskałbym Asha. Gdyby nie ostatnia noc, gdyby nie rzeczy, które ślubowaliśmy sobie nawzajem, i obietnice przypieczętowane własnym ciałem, nie byłbym panem własnej duszy.

Muszę ją uratować.

Bo ona już uratowała mnie.

3

Greer

po

Jestem w samochodzie. Tyle wiem, tyle wnioskuję z dudnienia kół na asfalcie, rozbrzmiewającego echem w mojej czaszce. Pojawia się myśl i oświeca mnie, po czym następuje powódź zmysłowych doznań. Ręce mam skrępowane taśmą za plecami, nogi w kostkach. Przepaska zasłania mi oczy, coś mam na ustach. Nic nie widzę, nie mogę się poruszyć, nie słyszę niczego poza dudnieniem opon. Na próbę poruszam nogami, sięgam nimi w dół, potem na boki, w górę. Wynik tych ruchów plus doznanie czegoś szorstkiego na policzku utwierdzają mnie w podejrzeniu, które żywiłam już wcześniej – jestem zamknięta w bagażniku.

Przez chwilę niemal mnie to bawi. Oto jestem jak jedna z tych średniowiecznych dam w tarapatach, o których mówię studentom w Georgetown, jak jedna z tych szlachetnych pań z legend i opowieści, oznaczająca seks lub cnotę albo fałsz, albo jeszcze coś zupełnie innego dla rycerza, którego błaga o pomoc. Krytykowanie bierności tamtych kobiet

bierze się z nieporozumienia, one w ogóle nie są kobietami. Są symbolami zdefiniowanymi przez znaczenie, jakie przypisują im rycerze, rozpoznawalnymi wyłącznie przez rolę, jaką odgrywają w rycerskiej przygodzie.

W tej chwili trudno mi nie poczuwać się do pokrewieństwa z tymi papierowymi postaciami. Siedzę w bagażniku ze względu na znaczenie nadane mi przez Melwasa, choć może nawet bardziej ze względu na znaczenie, jakie przypisują mi prezydent i wiceprezydent. Dla karpatiańskiego tyrana jestem rzeczą, którą pragnie posiąść, dla Asha i Embry'ego jestem żywą projekcją ich miłości i obietnic.

Inaczej mówiąc, odgrywam różne role i jestem pionkiem w cudzej grze. Zaciskam powieki pod przepaską i przysięgam sobie z tym skończyć. Choćbym musiała osobiście zabić Melwasa.

Poświęcam chwilę na uspokojenie nerwów, na powstrzymanie łez grożących mi zadławieniem. Jestem zamknięta w bagażniku. Bagażniki w nowoczesnych samochodach mają na wypadek awarii mechanizm umożliwiający otwieranie ich od wewnątrz. Jeśli uda mi się otworzyć ten, gdy znajdziemy się pośród intensywnego ruchu, ktoś zauważy, że tkwię w środku, związana i zakneblowana, i mnie uratuje. Ale jeśli otworzę pokrywę bagażnika w miejscu, gdzie nikogo nie będzie, to klops. On czy oni, ktokolwiek tam siedzi na przednim siedzeniu, zatrzaśnie ją z powrotem. I może na dodatek zrobi mi coś przykrego za przysparzanie mu problemów.

Co oznacza, że muszę wyswobodzić przynajmniej nogi, aby móc uciekać o własnych siłach, jakkolwiek miałyby się sprawy potoczyć.

Wykładzina bagażnika pachnie środkami czystości, a to nasuwa mi przypuszczenie, że samochód pochodzi z wypożyczalni. Co z kolei oznacza, że mam szansę, o ile tylko porywacze nie dopracowali swego

planu w najdrobniejszych szczegółach. Wiercę się i kręcę, starając się przy tym jak najmniej hałasować, aż moje palce napotykają krawędź wykładziny. Tak jak na to liczyłam, udaje mi się ją unieść. Pod spodem znajduje się wgłębienie na zapasowe koło i lewarek, jednak nie o lewarek mi chodzi. Potrzebne mi są narzędzia. A konkretnie jedno.

Zajmuje mi to sporo czasu, a przynajmniej takie odnoszę wrażenie. Tkwię skrępowana w ciemności, więc poruszam się z najwyższym trudem i okropnie powoli. W końcu jednak mi się udaje, natrafiam palcami na winylową torbę spoczywającą w osobnym zagłębieniu. Rozchylam ją i wydobywam z niej łyżkę do podważania opon, dziękując Bogu, że gdy byłam nastolatką, dziadek Leo uparł się nauczyć mnie zmieniać opony, chociaż nie było po temu realnej potrzeby. Teraz tamta wiedza mi się przydaje. Opieram łyżkę o ściankę bagażnika i usiłuję wbić ostry koniec w taśmę krępującą moje ręce.

Wystarczy chwila, by rozbolały mnie nadgarstki. Kilka razy końcówka łyżki nie trafia w cel i rani moją delikatną skórę na wewnętrznej stronie przedramion. Na szczęście przepaska na ustach tłumi wydawane przeze mnie wówczas mimowolne jęki bólu. W końcu, gdy już dłonie mam zdrętwiałe, a poranione ręce spływają krwią, osiągam cel. Udaje mi się rozerwać nadwątloną taśmę. Krzywiąc się z bólu, zdzieram tę z ust i przepaskę z oczu, po czym zabieram się do taśmy na nogach. Jej przecięcie idzie dużo szybciej.

Bez przepaski dostrzegam to, czego szukam, jedyny jasny punkt w moim ciemnym świecie. Klamkę z napisem „Pociągnąć”.

Korci mnie, żeby zrobić to już teraz, w tej chwili, ale udaje mi się zapanować nad emocjami. Czekam, aż samochód zwolni, niemal stanie. Stawiam na to, że stoimy na światłach, i modląc się, aby był dzień i pełno ludzi dookoła, pociągam za klamkę.

Światło jest oślepiające. Dosłownie oślepiające – nic nie widzę, nie rozróżniam nawet kształtów i powierzchni przed sobą. Mimo to zdobywam się na wysiłek – niezdarnie wygramoliwszy się z bagażnika, naglę nogi do wysiłku i biegnę, biegnę, biegnę, chociaż nie widzę, dokąd zmierzam, a moje bose stopy ślizgają się po mokrym asfalcie. Biegnę, choć czuję, że hotelowy szlafrok, który wciąż na sobie mam, rozchyla się, odsłaniając moją nagość. Słyszę wrzaski, ktoś krzyczy po ukraińsku, a ja próbuję zmusić moje oczy, żeby widziały więcej, widziały szybciej, jakbym mogła zwęzić źrenice siłą woli.

I wzrok powoli powraca. Znajduję się obok dużego budynku, kuśtykam po wąskim podjeździe. Jest wieczór. Musiałam być nieprzytomna przez bardzo długi czas. I zapach, znajomy zapach, odmienny od woni deszczu…

Przebieram nogami z całych sił, zbaczam z podjazdu i biegnę przez trawnik, ale to wszystko za mało, zesztywniałe nogi nie poruszają się dość szybko, a odzwyczajone od światła oczy nie znajdują drogi do bezpiecznego schronienia. Prześladowcy dopadają mnie zaledwie chwilę później. Padam obalona na wznak, a szlafrok się rozchyla. Zmagam się z leżącym na mnie porywaczem, usiłując zakryć swoje nagie ciało. Muszę mu oddać sprawiedliwość, że rzuciwszy okiem na moje piersi, pozwala mi na to. Rozpoznaję mężczyznę, który dopadł mnie w hotelu. Nadal ma na sobie uniform pracownika hotelowego z plakietką, na której widnieje jego rzekome imię *Daryl*.

– Za wiele kłopotów sprawiasz – syczy, a ja walczę o wolność i kopię go kolanem w jaja. Ból obezwładnia go na moment i sprawia, że rozluźnia chwyt, dzięki czemu omal nie udaje mi się wyswobodzić, lecz on szybko się ogarnia i na powrót przypiera mnie do ziemi i przygważdża moje ręce wyciągnięte nad głowę.

To zabawne, że do najlepszych chwil życia zaliczam te, gdy leżałam w takiej pozycji pod Ashem, ale teraz nie odczuwam niczego poza furią i strachem. Jeżeli kiedykolwiek miałam powody, żeby wątpić w poprawność mojego zaprogramowania seksualnego, teraz już znam prawdę – życzę sobie bólu i upokorzenia wyłącznie z rąk jednego mężczyzny.

Przypominam sobie minioną noc i mimo woli się uśmiecham. *Może nie jednego, lecz dwóch*, koryguję swoje myśli.

– Myślisz, że to dobra chwila na podśmiewanie się, ty suko? – Nie-Daryl wymierza mi siarczysty policzek, aż widzę gwiazdy. A potem kolejny, płaską dłonią, by nie pozostawić śladu, lecz dość mocny, żeby do oczu napłynęły mi łzy.

Pojawia się dwóch innych mężczyzn i wspólnie stawiają mnie na nogi, a ja walcząc z nimi i krzykiem wzywając pomocy, rozpoznaję ów znajomy zapach.

To zapach morza.

4

Embry

przed

Porucznik Colchester okazał się prawdziwym cierniem w moim boku.

Po pierwsze, ćwiczenia. Nim się pojawił, plutony ćwiczyły osobno, po prostu z braku miejsca w bazie. Jednak Colchester przekonał kapitana, że plutony powinny trenować współdziałanie. To znaczyło, że od tej pory ćwiczyliśmy razem, on i ja, a to z kolei, że dzień w dzień od poniedziałku do soboty musiałem patrzeć na to, jak Colchester biega szybciej ode mnie, maszeruje dłużej, skacze wyżej i robi głębsze przysiady.

Akurat te przysiady tak bardzo mi nie przeszkadzały.

Gorzej było z patrolami. Separatyści czynili szybkie postępy i przeciągali na swoją stronę coraz liczniejsze zastępy miejscowej ludności. Naszym głównym zadaniem stały się zatem przemarsze przez pięć czy sześć wiosek położonych najbliżej bazy, ściskanie rąk i rozdawanie tabliczek czekolady czy jakiegokolwiek innego badziewia, jakie rząd akurat przysłał nam danego miesiąca dla pozyskiwania życzliwości miejscowych.

I chociaż każdy z nas dowodził własnym plutonem, nasze jednostki były małe, więc kapitan wysyłał nas razem, co znaczyło, że popołudniami widywałem Colchestera gawędzącego biegle z wieśniakami po ukraińsku, pomagającego im dźwigać jakieś skrzynie lub włączającego się w improwizowane mecze koszykówki i ogólnie tak pomocnego i sympatycznego, że aż mi się rzygać od tego chciało.

Nawet wówczas, gdy nie byliśmy razem, odczuwałem jego obecność tak silnie, jakbym ja był namagnetyzowany, a on był żelazną sztabą. Nocami przechodziły mnie ciarki na myśl, że śpi tuż za ścianą. Mówiłem sobie, że to dlatego, iż walczyliśmy ze sobą – i przegrałem z nim – i nie miałem ochoty wysłuchiwać kolejnego wykładu na temat tego, jak powinienem pełnić swoją służbę. Powtarzałem sobie to wszystko, choć od naszego wieczornego starcia upłynęły trzy tygodnie, a Colchester przez cały ten czas nie próbował zamienić ze mną ani słowa. A jednak kilka razy dziennie przyłapywałem spojrzenie jego oczu zielonych jak woda w jeziorze i próbowałem rozszyfrować jego minę, ni to surową, ni to rozbawioną.

I to mnie wkurzało. Kimże jest, że się ze mnie śmieje? Zawsze byłem gotów pierwszy zrywać boki z samego siebie, stać się przedmiotem żartów, o ile żarty były zabawne, a wieczór płynął wraz ze strumieniem trunków. Jednak z jakiegoś powodu myśl, że Colchester nie traktuje mnie poważnie, okropnie działała mi na nerwy.

Bo przyzwyczaiłem się do tego, że wszystko, łącznie z żartami ze mnie, przebiega pod *moje* dyktando.

Irytacja wzbierała we mnie i wzbierała, aż doszło do tego, że odczuwałem niezrozumiałe napięcie w jego obecności, a wręcz w obecności kogokolwiek. Więcej piłem, więcej paliłem, później kładłem się spać, nie mogłem otrząsnąć się z poczucia, że w jakimś sensie wyrosłem

z własnej skóry, że w moich żyłach krąży coś nowego i wnerwiającego, od czego nie potrafię się oderwać. A czasem, kiedy byłem bardzo pijany, w bazie panowała cisza, a za oknem migotały zimne gwiazdy, zastanawiałem się, czy w ogóle chcę przed tym uciec. To było okropne uczucie, a jednak w jakimś sensie uzależniające, jak skaleczenie wargi, którego nie sposób przestać oblizywać, tylko dlatego, że się czuje żelazisto-słony smak własnej krwi.

Być może pozostałbym w tym stanie niepokoju i rozdrażnienia na zawsze, ale wszechświat miał wobec mnie inne plany. Merlin powiedziałby, że to przeznaczenie, Ash, że Bóg, a Greer zgodziłaby się z nimi oboma, lecz tak naprawdę nie miało to nic wspólnego z działaniem rozmiłowanej w porządku ręki bożej, ani też z góry przesądzonym biegiem rzeczy. Przez następne trzy miesiące panował pieprzony chaos.

Zaczął się tak samo, jak zwykle przedtem się zaczynał: od mojej siostry.

Morgan miała przyjechać dzień przed wspólnym wyjazdem do Pragi, by spędzić ze mną tydzień mojego urlopu na zwiedzaniu zabytków. W każdym razie *ona* zamierzała zwiedzać zabytki. Co do mnie, to planowałem znaleźć jakieś źródło absyntu i pierdolić ile wlezie, choćby przepierdolić całe praskie Nowe Miasto na wylot, udając przed samym sobą, że w bazie nie czeka na mój powrót ironiczny dupek patrzący na mnie z góry swymi zielonymi oczyma.

W każdym razie Morgan miała przyjechać i przenocować w wiosce nieopodal bazy, aby nazajutrz rano wsiąść wraz ze mną do pociągu jadącego do Pragi. Jednak ten mój ostatni dzień przed przepustką był zarazem dniem makabrycznie ciężkich ćwiczeń – osiem godzin czołgania się przez las usiany pozorowanymi przeciwnikami w celu utworzenia

pozorowanego przyczółku. Błocko było lodowate, a tkwiące w nim sosnowe igły nadal ostre, więc kiedy przebrnęliśmy prawie dziesięć kilometrów, większości moich ludzi krew ciekła z palców i lało się z nosów. Zarządziłem odpoczynek, żeby mogli opatrzyć skaleczenia i złapać oddech, i właśnie wtedy się to stało. Ludzie Colchestera, nasi „przeciwnicy" wyłonili się z krzaków na drugim brzegu strumienia i otworzyli ogień.

Błoto wokół nas eksplodowało pod gradem niby-pocisków wypełnionych farbą, choć wystrzelanych z prawdziwej broni. Natychmiast wydałem żołnierzom komendę, by szukali osłony przed ostrzałem. Nie byłem kompletnym idiotą – kryliśmy się, wykorzystując ukształtowanie terenu, wyznaczyłem ludzi do obserwacji perymetru, słowem zorganizowaliśmy przyzwoite gniazdo oporu. Jednak nie byliśmy w stanie przejść do kontrataku, a moi żołnierze, jeden po drugim znakowani farbą z pocisków nieprzyjaciela, odpadali z gry. Wkrótce pozostaliśmy tylko ja i Dag, sierżant mojego plutonu, mając przeciw sobie sześciu czy siedmiu żołnierzy Colchestera. Po chwili również Dag padł na ziemię z głuchym jękiem – uderzenie kulką z farbą jest bolesne nawet przez kamizelkę ochronną – rzuciwszy mi przepraszające spojrzenie.

Od tamtego momentu samotnie prowadziłem ostrzał wroga chowającego się w zaroślach, klnąc w duchu i zmagając się z magnetycznym odczuciem bliskości Colchestera, zapewne obserwującego mnie z ukrycia z tym swoim nieodmiennie protekcjonalnym uśmieszkiem, głupim i zarazem tak nieodparcie czarującym…

Naraz poczułem lodowate dotknięcie na karku, odwróciłem się błyskawicznie i ujrzałem wymierzoną we mnie lufę glocka. Za mną stał Colchester. Mierzył do mnie z pistoletu, karabinek M4 miał przerzucony przez ramię, drugą ręką przytrzymywał przy ustach radiotelefon, by oznajmić swoim ludziom, że mnie dopadł.

– Kurwa! – rzuciłem.

Ale wiecie co? Nie zamierzałem zginąć, pozostawiając tego fiuta przy życiu. Uchyliłem się, nim zdążył wystrzelić, wymierzyłem lufę mego M4 w jego pierś i wypaliłem. Błyskawicznym unikiem uchronił się przed pociskiem z farbą i ponownie wymierzył we mnie broń. Eksplozja bólu targnęła moim bicepsem. Kamizelka kuloodporna nie ma rękawów, co to, to nie.

Cofnąłem się o krok, lecz nie dość szybko. Colchester wysunął nogę, podciął mnie i runąłem na ziemię. Leżąc na wznak, mrugałem powiekami i patrzyłem na kołyszące się nade mną gałęzie sosen.

– Wygrałem – oznajmił Colchester.

Drugą nogą przydepnął lekko nadgarstek ręki, z której nie wypuściłem broni.

– Nie ruszaj się – rzucił.

– Pierdol się.

Ten kutas tylko się na to uśmiechnął, rozchylając lekko usta i ukazując ledwie widoczny dołeczek w lewym policzku. Jego bucior nadepnął mój nadgarstek mocniej – nie aż tak mocno, żeby mnie to naprawdę zabolało, jednak na tyle, żebym poczuł się nieprzyjemnie – a wylot lufy trącił plamę farby na ramieniu.

– Jak tam, poruczniku, w porządku? Wiem, że to potrafi zaboleć.

Faktycznie bolało. Bolało jak cholera i wolałem nawet nie myśleć o paskudnym siniaku, jaki będę nosić na ramieniu. Jednak patrząc mu wtedy w oczy, nie umiałem znaleźć właściwych słów, żeby to wyrazić. Nie byłem w stanie zdobyć się nawet na kolejne *pierdol się*. W tamtej chwili czułem wyłącznie lepki ciężar każdego momentu przeżytego na drodze prowadzącej do tej chwili, wszystkich przepełnionych niepokojem i udręką nocy, które spędziłem, pijąc i wpatrując się w gwiazdy. Czułem się

odcumowany od samego siebie, od wszystkiego, co nie było buciorem Colchestera i dwojgiem wpatrzonych we mnie zielonych oczu.

I nie wyobrażałem sobie, co nastąpi potem. A przynajmniej nie *sądzę*, żebym to sobie wyobrażał, choć trudno mi to powiedzieć z całą pewnością po tym wszystkim, co wydarzyło się między nami później – które Rubikony przekroczyliśmy, kiedy i jak. Jednak wówczas Colchester spoglądał z góry na bucior przydeptujący do ziemi moją rękę i na moją pierś poruszającą się spazmatycznie w dążeniu do złapania oddechu, który zaparło we mnie uderzenie plecami o ziemię, i niespodziewanie coś pojawiło się w jego twarzy. Przez krótką chwilę wydawało się, jakbyśmy oddychali we wspólnym rytmie, jakby jego oddech był odzwierciedleniem mojego nierównomiernego i zdyszanego oddechu, albo może jakbym to ja usiłował naśladować jego równomierny oddech. Potem zdjął but z mego nadgarstka i ukląkł obok mnie. Sosnowe igliwie szeleściło pod jego nogami. Spomiędzy koron drzew dobiegało żałośliwe gruchanie turkawki.

Zdjął hełm i w tym jego geście było coś osobliwie średniowiecznego, jakby rycerz ściągnął z głowy szyszak. Królewicz klęczący obok szklanej trumny pogrążonej w letargu księżniczki… o ile można nazywać księżniczką zepsutego playboya z Zachodniego Wybrzeża.

No i oczywiście żaden królewicz z bajki nigdy nie wypowiedział słów, które padły z ust Colchestera.

– Szkoda, że już cię zastrzeliłem – powiedział łagodnie. – Tak chciałbym usłyszeć twoje błaganie o litość.

Wokół nas kręcili się żołnierze, podśmiewając się z nowo nabytych siniaków lub na żarty przepychając się z kumplami, którzy „zabili” ich chwilę wcześniej, lecz my byliśmy oddaleni od nich o całe światy, trwaliśmy w kapsule czasu, która przechowała się w tym lesie przez stulecia.

Byłem zbyt oddalony od siebie samego, jakim jestem na co dzień, żeby zdobyć się na cokolwiek innego niż absolutna szczerość.

– Musiałbyś zadać mi dużo gorszy ból, żeby usłyszeć, jak błagam.

Spodziewałem się usłyszeć ciętą ripostę, agresywną pogróżkę, obietnicę dotkliwego złojenia mi skóry przy najbliższej okazji. Cholera, niemalże tego pragnąłem. On jednak zachował się inaczej. Jakby coś w moich słowach sprawiło, że skierował się do własnego wnętrza, pogrążył w sobie. Zamrugał i przygryzł wargę. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem go zbitego z tropu, niewiedzącego, co ma mi odpowiedzieć.

– Chciałbym zrobić coś więcej, niż tylko sprawić ci ból – wyznał w końcu z udręczoną miną.

Potem wstał i odszedł, a ja głowiłem się, co właściwie chciał przez to powiedzieć… i co ja sam chciałem, żeby jego słowa znaczyły.

Poszedłem prosto pod prysznic. Nie przechodź przez start. Nie pobieraj 200 dolarów. Poszedłem prosto do kabiny, ściągnąłem z siebie przepocone, zabłocone ubrania i stałem pod prysznicem, z którego puściłem wodę najgorętszą, jak to było możliwe, próbując zmyć z siebie zapach sosnowych igieł i prochu. Usiłując zmyć z siebie odczucie, że wojskowy but Colchestera wciąż stoi na moim nadgarstku.

Tak chciałbym usłyszeć twoje błaganie o litość.

Więc wyciśnij je ze mnie, powinienem był odpowiedzieć. Choć może i to byłaby zła odpowiedź. Sęk w tym, że nie znałem właściwej.

Problem nie polegał na tym, że moje upodobania wykluczały Colchestera – moje upodobania obejmowały wszystko. Uczęszczałem do męskiej szkoły z internatem i uprawiałem seks z kolegami. Wracając do domu, sypiałem z bogatymi dziewczętami spędzającymi wakacje na

wybrzeżu. Byłem szczęśliwy u rodziców i nie mniej szczęśliwy na Północnym Zachodzie – i wyglądało na to, że nikomu to nie przeszkadza. Raz czy dwa spotkałem się z insynuacją, że nie „potrafię się zdecydować”, kogo wolę pierdolić, ale to było groteskowe. Doskonale wiedziałem, kogo chciałem pierdolić – kogo popadnie.

A zatem nie tym się gryzłem, że pociągał mnie Colchester. Nie.

Gryzłem się tym, że był taki doskonały.

Gryzłem się tym, że budził we mnie nienawiść.

Gryzłem się tym, że nienawidziłem go, a mimo to potrafił wprawić mnie w zdenerwowanie, wywołać we mnie świerzbienie i sprawić, że traciłem nad sobą panowanie.

Gryzłem się tym, że przydepnął mi rękę buciorem, a mnie się to podobało.

W umywalni był szereg kabin z zasłonami. Usłyszałem wchodzących żołnierzy, żartujących i uskarżających się na błoto i zimno, i jakoś nie mogłem znieść tego, że myślę o Colchesterze, znajdując się pośród ludzi. Zakręciłem kran i poszedłem do swojego pokoju, żeby na powrót być samemu.

Jednak samotność nie była mi pisana. Kiedy otworzyłem drzwi, ujrzałem siedzącą na moim łóżku kobietę.

Rzuciłem na podłogę zabłocone drelichy, potem zrzuciłem ręcznik, którym byłem owinięty wokół bioder, i kompletnie nagi podszedłem do tandetnej komody z byle jakiego drewna.

– No doprawdy? – odezwała się Morgan z niesmakiem.

– To mój pokój – przypomniałem swojej przyrodniej siostrze. – Jak ci się nie podoba, to nie patrz.

Wywróciła oczami, ale jednak się odwróciła.

– Nawet nie usłyszę „cześć”? – spytała. – Ani „jak ci minęła podróż?”.

– Cześć, jak ci minęła podróż, *co tu robisz*? Mieliśmy spotkać się jutro na stacji.

– Chciałam cię zobaczyć.

– Raczej zobaczyć innych żołnierzy – odparłem, wciągając majtki i wkładając T-shirt piaskowej barwy.

– Nie można winić dziewczyny za ciekawość.

– Jedziemy do imprezowej stolicy Europy. I *mogę* winić dziewczynę za niecierpliwość.

– A co z tobą, Embry? – Odwróciła się, gdy już byłem ubrany. – Ile ty cierpliwości miałeś?

– Jeśli chodzi ci o to, czy pieprzyłem się z kimś w bazie, to odpowiedź brzmi „nie”. Rozumiem, że to może być dla ciebie niepojęte, lecz muszę przestrzegać regulaminu, żeby nie wpakować się w kłopoty.

Morgan uśmiechnęła się na to. Miała dwadzieścia trzy lata i odkąd ukończyła Uniwersytet Stanforda, pracowała w firmie lobbingowej mego ojczyma. A ponieważ była zatrudniona w przedsiębiorstwie należącym do rodziny, żadne regulaminy jej nie obowiązywały.

– Jak sobie życzysz, *braciszku* – zagruchała słodko jak do niemowlaka, używając formy, którą zwracała się do mnie w dzieciństwie.

Podszedłem do łóżka i stanowczym ruchem ująłem ją za łokieć. Nasze bratersko-siostrzane relacje były… Właściwie to wcale ich nie było. Odnosiliśmy się do siebie z szacunkiem, bośmy się rozumieli, ale nasze wzajemne zrozumienie było chłodne i wyrachowane, wynikało z rodowej dumy. Nigdy nie zaznałem innego rodzaju miłości rodzinnej.

A w tamtej chwili? Po prostu chciałem być sam.

– Myślę, że pora, abyś wracała do wsi. Spotkamy się jutro na stacji. *Siostruniu*.

Zrobiła niby to obrażoną minę, ale pozwoliła wyprowadzić się z pokoju i poprowadzić korytarzem, gdzie oczywiście natknęliśmy się na Colchestera, który wyszedł ze swego pokoju z ręcznikiem przerzuconym przez ramię.

Idź swoją drogą, ponaglałem go w duchu. *Po prostu idź swoją drogą*.

Nie posłuchał mnie. Ujrzawszy mnie, zwolnił, a na widok Morgan to już w ogóle stanął jak wryty. I niespodziewanie zobaczyłem moją przyrodnią siostrę jego oczami – jedwabiste, kruczoczarne włosy do pasa, szmaragdowe oczy, długa szyja i szczupła sylwetka. W mojej piersi coś zacisnęło się w węzeł, luźny i twardy naraz, jak pętelka na szypułce wiśni.

– Poruczniku Moore – powiedział pogodnym tonem. – Kim jest twoja przyjaciółka?

– To moja siostra…

– Przyrodnia – dodała Morgan.

– …i jutro wybieramy się we dwójkę do Pragi. Natomiast jeśli chodzi o chwilę obecną, to wraca do wioski.

– Wybieracie się jutro do Pragi?

– Tak, poruczniku Colchester, i wszystko zostało uzgodnione z kapitanem, więc nawet nie próbuj…

Urwałem, bo Colchester pchnął drzwi do swego pokoju i zabrał coś z małego biurka. Wyszedł na korytarz z prostokątną karteczką, na której były wydrukowane daty, godziny odjazdu i nazwy stacji. Kąciki ust wykrzywiły mu się w leciutkim uśmiechu.

– O, mój Boże – odezwała się Morgan, trzepocząc rzęsami.

– Nie – powiedziałem.

– Tak – odpowiedział.

Podszedłem bliżej, żeby się upewnić, że dobrze widzę. I owszem, stanowczo był to bilet na pociąg do Pragi. Na jutro, odjazd z tej samej stacji. A wręcz o tej samej porze.

– Powinniśmy pojechać razem – zaproponował, spoglądając to na Morgan, to na mnie. – Zgłaszając wniosek o urlop i przepustkę, nie miałem pojęcia, dokąd się wybrać. Wycieczka do domu byłaby za droga, a o Pradze słyszałem tak wiele dobrego. – Wzruszył jednym ramieniem i uśmiechnął się rozbrajająco. Wpatrywałem się w ten uśmiech, w jego usta. Jak on może uśmiechać się tak niewinnie, skoro przed godziną przydeptywał moją rękę do ziemi i deklarował, że chciałby usłyszeć moje błaganie?

Morgan natychmiast załapała, o co mu chodzi.

– Ja byłam w Pradze już dwa razy, Embry też ją kiedyś odwiedził. Z przyjemnością oprowadzimy cię po mieście.

Colchester wyglądał na zadowolonego. Morgan również.

Ja jeden wcale nie czułem się zadowolony.

Jakoś przeżyłem resztę wieczora. Z trudem, ale zdołałem oderwać Morgan od Colchestera i wyprawić ją na nocleg do wsi. Przełknąłem obiad, nie czując smaku potraw. Wróciłem do swego pokoju i położyłem się na łóżku w ubraniu, świadom, że nie zasnę, świadom wielu bezsennych godzin czekających mnie, nim znajdę się uwięziony w kolejowym wagonie z Colchesterem i moją siostrą…

I nagle się obudziłem. Jednak przespałem noc głębokim snem bez snów, a teraz już nadeszła pora, by wstawać. Mówiłem sobie, że boję się tej podróży w towarzystwie zadowolonego z siebie dupka, wiedziałem, że się jej boję, tyle że bicie mego serca i ściskanie w dołku wcale nie wyglądały na wywołane strachem. Pośpiesznie skorzystałem z łazienki i wyszykowałem się do drogi, jakbym mógł prześcignąć własny niepokój.

Nie mogłem.

Kiedy wyszedłem przed barak, on już czekał. Światło poranka uwydatniało swym odblaskiem jego wysokie kości policzkowe i mostek nosa. Lekko mrużył oczy w jaskrawym świetle słońca, ściągnąwszy gęste brwi i zwęziwszy zielone oczy. Zobaczyłem go pierwszy, jeszcze nim on spostrzegł mnie. I wystarczyła mi chwila, zaledwie chwila, bym uświadomił sobie okropną i głupią prawdę. Taką mianowicie, że gdyby ten przystojny sukinsyn naprawdę tego zapragnął, to mógłby schrupać moje skurczone z przerażenia serce w mgnieniu oka. Mógłby je przeżuć i wypluć, a ja byłbym bezradny jak wisienka wirująca na dnie szklanki whiskey.

Ale dlaczego?, zadałem sobie pytanie. *Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?*

Nie. To się musiało skończyć. To wszystko działo się wyłącznie dlatego, że był taki ładny, taki surowy, taki mocny, ale przecież w Pradze spotkam setki takich chłopców jak on, nie wspominając o wszystkich ciepłych, słodkich dziewczynach. Nie potrzebowałem tak się denerwować z powodu kogoś, kto zauważał moje istnienie tylko po to, żeby strzelić mi w ramię. Musiałem uwolnić się od tego uczucia raz na zawsze i dokładnie wiedziałem, jak to osiągnąć.

Podszedłem do niego, wieszając torbę na ramieniu.

– Pora ruszać – powiedziałem. – Pociąg nie będzie na nas czekać.

Wyszliśmy z bazy w milczeniu. Wziąłem głęboki oddech i z trudem zmusiłem się do tego, by zadać mu pytanie:

– W którym hotelu się zatrzymasz?

– Jeszcze nie zarezerwowałem pokoju – przyznał.

– Powinieneś zamieszkać tam, gdzie my – powiedziałem, nienawidząc samego siebie za to tak strasznie, że aż mnie skręcało. – Morgan bardzo się cieszy, że będzie miała okazję bliżej cię poznać.

5

Embry

przed

Podczas podróży wydarzyły się dwie rzeczy. No cóż, patrząc z perspektywy czasu, mogę powiedzieć, że więcej niż dwie, jednak wówczas tylko dwie zwróciły moją uwagę. Pierwsze wydarzenie nastąpiło wcześnie, gdy pociąg kołysał się i trząsł, jadąc przez pogórze na południu Polski. Siedzieliśmy przy stoliku, Morgan i ja po jednej stronie, a Colchester naprzeciwko nas. Grali w karty, a on zagadywał ją niskim, czarującym głosem. Był absolutnie szczery, kurtuazyjny i nieco zabawny, ją zaś, wychowaną w otoczeniu najbardziej wyrafinowanych mężczyzn w kraju, jego otwartość i naturalność zdawały się całkowicie rozbrajać. Wtedy właśnie, gdy tak sobie grali, po raz pierwszy w życiu zobaczyłem, jak Morgan się rumieni. Widywałem ją na kolanach niezliczonych mężczyzn i kobiet, pijącą, palącą i wciągającą kokę, byłem świadkiem tego, jak przyłapywano ją na kłamstwach, od których niejedna zakonnica by

oszalała, a jednak jej policzki zawsze zachowywały nieskazitelny odcień kości słoniowej.

Tymczasem teraz, całkowicie ubrana, trzeźwa i przyzwoicie się zachowująca, rumieniła się, gdy okazywał jej zainteresowanie.

Sam tego chciałeś, przypomniałem swemu kruchemu sercu. *Widzieć ich razem, obserwować ich we dwoje. Upewnić się, że zdajesz sobie sprawę, że to durne zadurzenie w Colchesterze musi się skończyć*.

Wciąż jednak, pomimo powyższego napomnienia, było tego za wiele, więc odchyliłem głowę i udawałem, że śpię, aby nie musieć dłużej na nich patrzeć. I jak to zwykle ze mną bywa, pozorowany sen obrócił się w sen prawdziwy, uśpiło mnie kołysanie pociągu, choć łokieć Morgan trącał mnie raz po raz, ilekroć rozdawała karty. Nie byłem pewny, jak długo spałem, a budziłem się długo i opornie, jak to bywa wyłącznie w trakcie podróży samochodem, samolotem lub pociągiem, gdy świadomość włącza się ociężale i po chwili na powrót wyłącza, i tak w kółko. W końcu ostry ból w ramieniu sprawił, że dotarł do mnie dotyk zimnej, twardej szyby na czole, hałas powodowany przez wózek minibaru przejeżdżającego z brzękiem naczyń między rzędami foteli i ciche pochrapywanie Morgan koło ucha. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że Colchester nie siedzi już naprzeciw niej, lecz przede mną. Poczułem też, że nasze buty stykają się pod stolikiem.

I nasze ręce.

Wyciągnął dłoń ponad blatem i dotykał szorstkimi i ciepłymi opuszkami palców siniaka na moim odsłoniętym bicepsie. Przez noc zmienił on barwę ze szkarłatnej na purpurową i wydawało się, że to go fascynuje.

– Boli? – spytał.

– Tylko wtedy, kiedy jakiś dupek dźga mnie palcem.

Nacisnął ponownie, a ja wstrzymałem oddech, ale nie odtrąciłem jego ręki. Sam nie wiedziałem, dlaczego tego nie zrobiłem, bo sprawiał mi ból, i nienawidziłem go za to równie mocno, jak nienawidziłem doznań, które wspinały się w górę wzdłuż mego kręgosłupa.

– Lubisz sprawiać ludziom ból? – spytałem, usiłując ukryć przed nim doznania wywołane dotknięciem przez niego mojej skóry.

Przesunął opuszkami palców po krawędziach siniaka, zataczając nimi to węższe, to szersze kręgi, czasem jednym palcem, niekiedy wszystkimi. Delikatne muskające dotknięcia. Pieszczoty. Westchnąłem mimo woli. Dobrze było poczuć w tak tkliwym miejscu taki czuły dotyk.

– Dobrze ci z tym? – zapytał Colchester, a w jego głosie zabrzmiało coś jak rewerencja.

Powinienem był skłamać. Ale nie zrobiłem tego.

– Tak.

– Nigdy nie myślałem o zadawaniu ludziom bólu w taki sposób, w jaki myślę o zadawaniu bólu tobie – powiedział powoli.

– Bo mnie nie cierpisz?

Sprawiał wrażenie zaskoczonego moimi słowami.

– Nie cierpię? Dlaczego miałbym cię nie cierpieć?

Nic nie odpowiedziałem. Przekrzywił głowę, nie odrywając palców od mego ramienia.

– A ty mnie nie cierpisz?

Może i wówczas powinienem był skłamać, ale znów tego nie zrobiłem.

– Tak.

Pokręcił głową, jakby spodziewał się właśnie takiej odpowiedzi. Potem odsunął się i zdjął palce z mego ramienia. Poczułem wyrzuty sumienia, a brak jego dotyku zapiekł mnie jak oparzenie. Odwróciłem wzrok, bo

poczułem, że muszę popatrzeć na coś innego, na cokolwiek innego, i wówczas ujrzałem trzepot rzęs Morgan i zdałem sobie sprawę, że nas obserwowała, że tylko udawała, że śpi. Wszystko widziała.

No cóż, dobrze, pomyślałem. Dobrze, że wie, że go nie cierpię – może to zachęci ją do dalszego flirtu i mój głupi masochistyczny plan się powiedzie. Ostatecznie nie sposób czuć czegoś do kogoś, kto pierdoli twoją siostrę, nie?

Drugie wydarzenie nastąpiło trzy dni później. Obudziłem się w swoim pokoju wcześnie rano – wojskowe nawyki nie odstępują człowieka łatwo, nawet na przepustce – mając członki splecione z członkami młodej Czeszki. Potem Katka dosiadła mnie po raz ostatni, a później wyszła, a ja wziąłem długi prysznic. Kiedy wycierałem ciało ręcznikiem, usłyszałem głuchy odgłos walnięcia za ścianą dzielącą mój pokój od pokoju Morgan, a potem kolejny, po którym rozległ się kobiecy krzyk i wybitnie męski jęk.

– Znowu? – powiedziałem do siebie z oburzeniem. Na głos. Choć i tak nikt mnie nie słyszał.

Od chwili, kiedy wprowadziliśmy się do hotelu, Morgan i Colchester brali się do rzeczy tak, jakby kręcili za ścianą pornosa w studiu Logana O’Toole. To nie znaczy, żebym ja spędził od przybycia do Pragi choć jedną noc samotnie, ale przynajmniej od czasu do czasu wychodziłem ze swego pokoju. Jadłem drożdżówki. Gapiłem się na zamek i paliłem papierosy. Jak to w Pradze. Od przybycia na miejsce rzadko ich widywałem, ale za to nasłuchałem się do syta.

Przeklinając ich i samego siebie za to, że w ogóle mnie to wszystko obchodzi, ubrałem się, aby się wybrać na plac Wacława na śniadanie i drożdżówki. Na cokolwiek, póki nie otworzą barów i nie będę mógł znów

się upić i wywinąć pieprzeniem od myślenia o Colchesterze. Jednak kiedy tak siedziałem, popijałem kawę i przyglądałem się ludziom kręcącym się wokół mnie z torbami na zakupy i aparatami fotograficznymi, dostałem wiadomość od Morgan: **Wybierzmy się dziś w jakieś przyjemne miejsce na kolację. Nie do jednego z tych badziewnych klubów, które tak lubisz.**

Zmarszczyłem brwi. Nie chadzam do żadnych badziewnych klubów. Odczekałem chwilę, nim odpisałem: **Czy twój kumpel od bzykania wybiera się z nami?**

Tak, MAXEN idzie, odpisała. **Myślę, że byłoby trochę niegrzecznie nie zaprosić go. Nie wydaje ci się?**

Sądząc po odgłosach dobiegających zza ściany, fazę grzeczności macie już za sobą.

Pauza z jej strony. Potem: **Po pierwsze, pierdol się. Po drugie, widzimy się o siódmej w kościele Świętego Ducha przy ulicy Široka, koło pomnika Kafki**. **Spróbuj ubrać się nie jak studenciak.**

Och, ja ją pierdolę.

Ty też, odpisałem.

Po czym z ciężkim westchnieniem odłożyłem telefon na stolik. Okropnością było słuchać Colchestera i Morgan przez ścianę, ale widzieć, jak gżą się ze sobą przy ludziach, będzie tysiąc razy gorsze.

Tego właśnie chciałeś, mówiłem sobie. *To konieczne*. Potem rzuciłem pieniądze na stolik, włożyłem lekki wełniany płaszcz i wyszedłem w mgłę, przez którą wlokłem się, paląc papierosy, aż doszedłem do Mostu Karola, gdzie przystanąłem i wychyliłem się ponad balustradą, by patrzeć na wodę przepływającą pod kamiennymi łukami.

Tego chciałeś, szeptała rzeka. *To musiało się stać*.

Rzeka miała rację.

Tamtego wieczora stałem przed figurą Franza Kafki usadowionego na ramionach pustego garnituru i patrzyłem na zbliżających się do mnie Colchestera i Morgan. Wokół ich nóg wirowały kłęby mgły, jakby ta mgła się do nich łasiła, a światło latarń tworzyło złote aureole wokół sobolowej czerni ich fryzur. Szli pod rękę, Colchester pomagał Morgan omijać nierówności bruku, nie zauważyli mnie najpierw, bo pogrążeni w rozmowie szli z głowami nachylonymi ku sobie. Stanowili świetnie dobraną parę, wysocy i piękni, czarnowłosi, z zielonymi oczami.

Przypuszczalnie powinienem był wówczas coś zauważyć. Powinienem był się zorientować. Ale któż by *coś takiego* odgadł? Akurat to?

W końcu doszli do mnie i z bliska zobaczyłem, jak znakomicie dopasowana do muskularnej figury Colchestera jest jego dwurzędowa kurtka o marynarskim kroju, jak jego policzki porosły w ciągu ostatnich trzech dni szczeciną, jak lgnie do niego mgła, jakby był rozbójnikiem z jakiejś angielskiej ballady, i nienawidziłem każdego głupiego uderzenia mojego głupiego, ściśniętego bólem serca. Nienawidziłem natrętnej skłonności do myślenia o tym, jak by też to było poczuć dotknięcie tego szorstkiego policzka na moim policzku, na moim brzuchu. Nienawidziłem tego, że nigdy nie będę wiedział, jak by to było wsunąć dłonie pod jego kurtkę i przesunąć dłońmi po jego torsie.

Jednak wciąż nie byłem przygotowany na to, co miało nastąpić. Na mój widok na twarzy Colchestera pojawił się szeroki uśmiech, taki, który niemalże zaparł mi dech w piersi. Przez chwilę myślałem o tym, że nigdy jeszcze nie widziałem, aby się tak uśmiechał – uśmiechem szerokim, promiennym, szczęśliwym, z dołeczkami w policzkach – aż nagle przypomniałem sobie, że owszem, widziałem, raz. Kiedy leżałem na wznak w lesie, a on stał nade mną, przydeptując mój nadgarstek.

Jednak nim zdążyłem pomyśleć o tym więcej, on przemówił:

– No, no, niech ci się przypatrzę – powiedział, a jego wymowę zniekształcał tłumiony śmiech. – A niech to diabli.

Jego słowa wywołały we mnie panikę. Opuściłem wzrok na swoje spodnie bez zaszewek i eleganckie półbuty, sweter z szalowym kołnierzem włożony na koszulę z wyłogami kołnierzyka przypinanymi na guziki i zegarek marki Burberry na nadgarstku.

– Co? – spytałem, usiłując wygładzić wszelkie zmarszczki, jakie mogły porobić się na moim ubraniu od chwili, gdy odprasowała je obsługa hotelu. – Mam coś na sobie? – Obróciłem się w kółko jak pies, przerażony myślą, że jakimś sposobem zniszczyłem moje ulubione spodnie marki Hugo Boss.

– Nie, nie – w głosie Colchestera wciąż dało się słyszeć pobłażliwe rozbawienie. – Tylko… wyglądasz jak laluś i maminsynek z prywatnej szkoły dla bogaczy.

– To ty nie wiedziałeś? – Morgan wsparła się na jego ramieniu i wskazała mnie gestem ręki. – Przecież Embry to właśnie laluś i maminsynek z prywatnej szkoły dla bogaczy. Jego matka to budząca powszechny postrach Vivienne Moore. Uczęszczał do szkoły dla chłopców z internatem, a potem studiował w Yale. – Nachyliła się bliżej do Colchestera, jakby miała mu wyjawić jakiś wstydliwy sekret. – Był tam nawet kapitanem załogi wioślarskiej – oznajmiła scenicznym szeptem. – Embry to ucieleśnienie reklam Ralpha Laurena.

Aż zmrużyłem oczy ze złości.

– Nie bardziej od ciebie, siostruniu.

– Co do mnie, to wolę myśleć o sobie jako o wcieleniu reklamy Chanel. Może Diora.

Słuchając naszej sprzeczki, Colchester ściągnął brwi w ledwie widoczny sposób.

– Moore, nic nie wiedziałem o twojej matce. Ani o twoim… pochodzeniu.

Szczerze mówiąc, trochę mnie to wkurzyło. Wręcz oburzyło.

– Wiesz, że takie sprawy gówno tutaj kogokolwiek obchodzą – odparłem, mając na myśli armię. Karpatię. – Nic a nic.

– Jasne – przyznał, ale z wyczuwalną rezerwą w głosie.

Ta rezerwa towarzyszyła mu w drodze do restauracji i kiedy zajmowaliśmy miejsca przy stole. Zachował ją także później, w trakcie posiłku. A kiedy Morgan sięgnęła po rachunek i zapłaciła za nas troje, jego rezerwa przeszła w coś innego. Może było to skrępowanie. Zakłopotanie, od którego nie potrafił się w pełni uwolnić drogą racjonalnej analizy. Wtedy po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać nad jego pochodzeniem. Nosił szykowne ubrania, ale to były ubrania z produkcji seryjnej, ewidentnie kupione za żołnierskie wynagrodzenie. Wiedziałem, że miał za sobą studia w college'u, ale czy jego rodzina opłaciła czesne, czy też studiował dzięki stypendium? Czy może zaciągnął kredyt, żeby opłacić studia? Czy wychowywał się na przedmieściach? W mieście? Na wsi? Zapłonąłem ciekawością. Gorąco zapragnąłem się tego wszystkiego dowiedzieć. Jakie dzieciństwo ukształtowało takiego człowieka, poważnego, sumiennego, pewnego siebie? O czym marzył nocami, do czego dążył? Czy już osiągnął swój cel? Czy wciąż o nim marzył?

Po kolacji Morgan uparła się, żebyśmy wybrali się na drinka do jakiegoś luksusowego nocnego baru z lożami dla klientów. I tak po paru godzinach siedzieliśmy we troje w niebieskiej loży z widokiem na salę taneczną. Ośmioosobowy zespół muzyczny grał popowe melodie przerobione na wiedeńskie walce, a parkiet w dole pełen był wirujących par. Zamówiłem czysty dżin, by łatwiej znieść oczekiwanie, aż Colchester i Morgan ruszą do tańca.

To jednak wcale nie nastąpiło. Mniej więcej po kwadransie Morgan zrobiła się zielona na twarzy, oblała się potem i złapała się za żołądek.

– Sznycel ci zaszkodził? – spytałem, uniósłszy brew.

Spiorunowała mnie wzrokiem.

– Nie czuję się dobrze – odpowiedziała wymijająco. Tak wymijająco w każdym razie, jak może odpowiedzieć ktoś, kto zatruł się sznyclem. – Przepraszam was na chwilę.

Pośpiesznie opuściła lożę, a ja i Colchester zostaliśmy we dwóch i siedzieliśmy w milczeniu, obserwując tancerzy na parkiecie.

Węzeł w mojej piersi zdawał się żyć i pulsować. Po raz pierwszy zostaliśmy naprawdę sami, tylko my dwaj, i naraz wszystko, co związane z Colchesterem, *urosło* czy może *wzmogło się*. Jakby szczecina na jego policzkach stała się gęstsza, oczy zieleńsze, a duże dłonie obejmujące szklankę szkockiej większe.

Opróżniłem kieliszek i zamówiłem kolejny.

Tak nam minęło kilka minut, ja piłem na potęgę, a Colchester trzymał w dłoni drinka. Naraz powiedział cicho:

– Chciałbym umieć tańczyć.

Osłupiałem. Zdumiał mnie nawet nie tyle fakt, że nie potrafił tańczyć, ile raczej to, że *chciałby* umieć.

– A na co ci to?

Wzruszył ramionami i potarł kciukiem czoło – sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Chyba po prostu mam wrażenie, że facet powinien to umieć. – Odwrócił głowę i spojrzał na mnie. – A ty umiesz tańczyć?

Żarty sobie stroił?

– Chyba wcześniej nauczyłem się tańczyć niż jeździć na rowerze. Morgan i ja byliśmy dla matki rekwizytami służącymi jej karierze politycznej. Im prędzej mogła pokazać ludziom, jak szykownie jesteśmy ubrani i jak znakomicie jesteśmy wychowani, tym lepiej. – Przypomniałem sobie wlokące się w nieskończoność eventy, tym nudniejsze, im starszy i przystojniejszy się robiłem. Kiedy skończyłem piętnaście lat, kobiety przestały prosić mnie do tańca, kierując się opiekuńczymi skłonnościami, i od tej pory wracałem do domu z pęcherzami na nogach i małymi sińcami na tyłku, w miejscach, gdzie wszystkie te panie Robinson mnie podszczypywały.

Odstawiłem kieliszek i wstałem. A niech tam.

– Chodź – powiedziałem, wyciągając ręce. – Nauczę cię.

Przygryzł wargę, zamrugał. A potem odstawił szklankę, wstał i podszedł do mnie.

– Zapewne łatwiej będzie, jeśli z początku to ja poprowadzę. Póki się nie połapiesz, o co chodzi.

– Okej – odparł trochę niepewnie. – Nie jestem pewny, co to znaczy.

– W tej chwili tyle, że ja jestem facetem, a ty kobietą. A ponieważ to walc, udawaj, że masz na sobie suknię balową i właśnie odkryłaś, że twój mąż sypia z nianią.

Roześmiał się i w przyćmionym błękitnym świetle jego zęby wydały mi się olśniewająco białe. Ująłem jedną z tych jego dużych, szorstkich dłoni i położyłem sobie na ramieniu, sam zaś wsunąłem mu rękę pod pachę i oparłem na plecach, poniżej łopatki. Potem ująłem jego drugą dłoń i wyprostowałem rękę.

– Wiedeńskie walce nie są najłatwiejsze na początek – usprawiedliwiłem się. – Najlepiej potraktuj to jak musztrę. Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. Powoli, szybko, *szybko*. Powoli, szybko, *szybko*.

Oktet na podium zagrał walcową wersję *Kiss from a Rose* Seala.

– Jezu Chryste – mruknąłem, kiedy dotarło do mnie, co takiego grają. – Jakby *Batman Forever* nie było dość złe, Seal musiał nagrać jeszcze coś takiego.

Nagrodą za ten kiepski żart był ponowny błysk białych zębów i mocniejsze zaciśnięcie się w moim sercu tego naraz luźnego i twardego węzła z szypułki wiśni.

– Dobrze – pochwaliłem go. – Teraz zrobimy coś, co nazywa się boksem, choć nic wspólnego z boksowaniem nie ma. Robimy razem dwa kroki, potem zatrzymujemy się, ja z nogami rozstawionymi, ty z nogami razem, i znów dwa kroki i przystajemy – tym razem z nogami rozstawionymi, ja z nogą przy nodze. Tak, właśnie tak.

Colchester był pojętnym uczniem. Szybko chwytał kroki i figury, reagował na nacisk mojej dłoni na grzbiecie i ruch ręki prowadzącej. Jedyny problem polegał na tym, że kompletnie nie miał wyczucia rytmu. *Ani za grosz*.

– Okej – powiedziałem, usiłując nie parsknąć śmiechem. – Wiesz, jak to idzie: wolno, szybko, szybko? Muzyka też tak płynie. A my poruszamy się w jej tempie.

Zmarszczył brwi.

– Przecież to właśnie robię.

Ja pierdolę, ależ ogromna była ta jego dłoń w mojej, jak ciężka była ta druga, na moim ramieniu.

– Nie robisz tego, słowo. Nie ma sprawy, wiem, że to dużo do spamiętania na raz. Ale w sumie to tylko trzy kroki.

Skrzywił usta.

– W sumie sześć.

– A zatem – zignorowałem jego uwagę – do tego dochodzi postawa i ruch w pionie. Wykonując kroki, będziemy się wznosić i opadać, a do tego… – Boże, dotąd nie wiem, dlaczego mi to strzeliło do głowy, chyba trzeba by to przypisać nadmiarowi wypitego ginu – …odchylając ramiona na zewnątrz, będziemy przysuwać do siebie biodra. – I przygarnąłem jego biodra do swoich.

Wstrzymał oddech, jego dłoń napięła się w mojej.

– Tak mamy tańczyć? – zapytał lekko drżącym głosem.

Jego widoczne podenerwowanie odczułem jako triumf, więc też postępowałem z nim dalej jak zwycięzca.

– Tak się trzymamy. A teraz ruszamy. Raz, dwa, trzy… wolno, szybko, szybko. Tak, dobrze.

– Twarda szkoła.

Omal sobie nie zażartowałem na temat tego, co jest twarde, ale powstrzymała mnie jego mina. Wyglądał na autentycznie zbitego z tropu, trochę niespokojnego, harmonię jego idealnego czoła mąciła zmarszczka stanowiąca wyraz zmieszania. Nie przywykł do tego, że sobie z czymś nie radzi.

Więc zamiast sobie żartować, rozczuliłem się nad nim.

– Dajmy na chwilę spokój krokom – powiedziałem. – Chodzi o przestrzeń. O pełnię i pustkę. Ja zajmuję przestrzeń, a ty się cofasz, wypełniam swoją obecnością miejsce, które ty opuściłeś. Chodzi w tym o pogoń, ale zarazem równowagę. Pomyśl o tym jak o szachownicy, czy nawet jak o boksie. Wchodzę w miejsce po tobie, ledwie je opuścisz. I pogoń zaczyna się na nowo. Zajmowanie, unik, zajmowanie, unik.

– Ale to wcale nie przypomina szachów – zaoponował Colchester. Jego stopy poruszały się nieco płynniej, górna połowa ciała nie była już taka sztywna. – Tu nikt nie wygrywa.

– Wygrywa taniec.

Popatrzył na mnie z powątpiewaniem.

– Wiem, że to brzmi banalnie, ale taka jest prawda – upierałem się. – Niezależnie od tego, jak bardzo byśmy się starali, ani jak elegancki byłby nasz taniec, bez partnera byłoby to tylko bezsensowne kręcenie się w kółko. Dopiero razem tworzymy coś godnego uwagi.

Muzyka ucichła, lecz Colchester nie wyswobodził dłoni z mojego uścisku. Nadal przebierał nogami, przygryzając wargę i wpatrując się w nasze stopy. Chciał dojść do perfekcji, wykonywać kroki dokładnie tak, jak należy, cały on.

Oktet zagrał *At Last* Etty James w rytmie walca, a ja starałem się nie okazać po sobie, jak bardzo mnie ekscytuje, że jeszcze przez najbliższe trzy minuty będę czuć jego ciało przy swoim.

Przetańczyliśmy jakieś pół minuty, gdy naraz się odezwał:

– Wiesz, kiedy zobaczyłem cię dziś wieczorem, przypomniał mi się Sebastian Flyte z *Powrotu do Brideshead*.

Teraz z kolei ja zmarszczyłem brwi.

– Bo pierdolisz moją siostrę?

Roześmiał się.

– No tak, to porównanie samo się nasuwa, ale nie o to mi chodziło. Raczej dlatego, bo wyglądasz w tych ciuchach tak zamożnie i szykownie jak jakiś książę. Bo tak szybko przeskakujesz od melancholii do radości, że nie nadążam za tobą i nie jestem pewny, z którą wersją twojej osoby mam obecnie do czynienia. Dokładnie jak Sebastian.

– Och. A ja już myślałem, że chodzi o pluszowego misia, którego wszędzie ze sobą noszę.

Uśmiechnął się i poczułem, jak ociera się o mnie biodrami. Zesztywniałem na myśl o jego fiucie tak blisko mojego, że wystarczyłby

krok, by nasze jaja się zetknęły…

Najwyraźniej nieświadom moich pożądliwych myśli, przemawiał ściszonym głosem, tańcząc wraz ze mną na parkiecie w loży.

– Myślałem o czymś innym. O *Małym księciu* Antoine’a de Saint-Exupéry. Czytałeś to?

– Tak.

– Mały książę był taki mądry i taki smutny. Tak wiele miał temu światu do zaoferowania, a tymczasem nie mógł nic poradzić na to, że usychał z tęsknoty za tymi, których kochał.

Popatrzył mi w oczy, a ja nie potrafiłem odwrócić wzroku.

Jego głos nie stał się cichszy, lecz nabrał głębi.

– I to zdawało się tak doskonałe. Ty jesteś takim właśnie małym księciem, Embry Moore, pod każdym względem, jaki tylko mogę sobie wyobrazić. Bogatym i zepsutym jak Sebastian… a przy tym skłonnym do smutku marzycielem jak Mały Książę z książki Saint-Exupéry.

Mały książę.

Powinno mi się to wydawać banalne, protekcjonalne, a tymczasem… sam nie wiem czemu, odczułem to jako zaszczyt. Komplement. Zabrzmiało to tak *trafnie*, jakby było moim prawdziwym imieniem, jakby było moim właściwym imieniem, od zawsze czekającym, aż ktoś je odkryje.

– Mały książę – powtórzyłem, sprawdzając, jak to zabrzmi w moich własnych ustach.

– I to nie lada jaki książę.

Spojrzałem na niego badawczo, podejrzewając, że sobie ze mnie kpi, lecz w jego twarzy nie było ani śladu rozbawienia. Widniała na niej wyłącznie powaga i szczerość, i…

– Znikam na pół godziny, a wy już urządzacie sobie przyśpieszony kurs tańca towarzyskiego?

Na dźwięk jej głosu znieruchomieliśmy obaj. Poczułem gniew jak coś żywego, co wspina się na moje ramiona, gotowe rzucić się na nią. Jednak zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć lub zrobić, Morgan już była przy nas i rozdzielała nas własnym ciałem.

– Mogę już wracać do hotelu – oznajmiła tonem wielce wyniosłym jak na kogoś, kto przed chwilą struł się sznyclem. Rzuciła na stół kilka euro i wsunęła Colchesterowi rękę pod ramię. A on, dżentelmen w każdym calu, podjął jej gest z uśmiechem i w ten sposób, cokolwiek rozwijało się między nami, przepadło.

Tyle tylko, że gdy w holu hotelu odłączałem się od szczęśliwej pary, by spędzić kilka samotnych godzin w barze, Colchester odwrócił się do mnie i rzekł:

– Dobranoc, mały książę.

Powiedział to z tym rzadkim uśmiechem, który pojawiał się na jego twarzy wyłącznie wtedy, kiedy ze mną tańczył lub zadawał mi ból.

A ja zadrżałem.

Drżałem wstrząsany dreszczami, niezależnie od tego, ile drinków wychyliłem, by się rozgrzać, niezależnie od tego, jak gorącą wodę puściłem z prysznica, aż kiedy w końcu uległem świerzbieniu, nienawiści i wspomnieniu jego ciała przyciśniętego do mojego, kiedy w końcu zamknąłem oczy i zacząłem się masturbować, wyobrażając sobie, że dłoń otulająca mego kutasa nie jest moją dłonią, lecz dużą i szorstką dłonią Colchestera, no cóż… wówczas także drżałem.

6

Embry

przed

Coś się zmieniło dla mnie. Ale tylko dla mnie.

Morgan i Colchester spędzili resztę tygodnia tak samo, jak spędzali czas przed tamtą kolacją, zanim Colchester wypowiedział do mnie owe pamiętne słowa – pieprzyli się za ścianą jak króliki. I dobrze, bo kiedy w końcu pozwoliłem sobie na myślenie o nim w *taki* sposób, otworzyło się we mnie jakieś nieznośne łaknienie i sam nie wiem, jak bym się zachował, gdybym musiał stanąć z nim twarzą w twarz. Jednak w tamtej sytuacji wybrałem się na poszukiwanie ludzi, którzy mogliby uwolnić mnie od świerzbienia przybierającego postać Colchestera. Ciemnowłosych chłopców, chłopców wysokich i barczystych, chłopców zachowujących poważny czy wręcz surowy wyraz twarzy nawet w jaskrawych światłach dyskoteki. I udawałem przed samym sobą, gdy ich pierdoliłem, gdy smarowałem fiuta lubrykantem i wtykałem im w tyłki, że pierdolę Colchestera, że mam pod sobą jego aroganckie, doskonałe ciało. A kiedy z kolei oni pieprzyli mnie,

wyobrażałem sobie to samo, wyobrażałem sobie, że zakradł się nocą do mego pokoju w koszarach i pierdolił mnie, zatykając mi usta swoją wielką dłonią. Albo że pokonawszy mnie podczas ćwiczeń, przygwoździł mnie do ziemi i brał sobie to, co mu się należało.

Jednak wtedy ci młodzi Czesi uśmiechali się nie tak, jak powinni, albo odzywali się niewłaściwym głosem i złudzenie pryskało jak bańka mydlana, a mnie świerzbiło bardziej niż przedtem i czułem się nieszczęśliwszy niż kiedykolwiek. Czego się spodziewałem? Że kiedy będę pieprzył tych chłopców, oni przemienią się w niego, że dochodząc, wyszepczą mi do ucha *mały książę*?

Głupi, głupi, głupi.

I jak ja miałem żyć z tym, tym… problemem dalej, po powrocie do bazy? Do końca mego pobytu na misji pozostało dziewięć miesięcy i za wiele bym oczekiwał, sądząc, że Colchester tak po prostu zniknie. Nie pozostawało mi nic innego, jak stłamsić to pragnienie w sobie i udawać, że nic się nie wydarzyło. To wydawało się jedynym wyjściem.

Wkrótce przyszła pora wracać na Ukrainę i pożegnaliśmy Morgan na dworcu kolejowym w Pradze. Objęliśmy się, a ja z nawyku cmoknąłem ją w policzek. Od Colchestera nie mogła się oderwać, całowała go w usta i obejmowała za szyję, byle jak najdłużej przytrzymać jego twarz przy swojej. Zrezygnowała nawet z porannych zabiegów kosmetycznych, żeby spędzić z nim więcej czasu w łóżku, i z rozpuszczonymi, nieuczesanymi włosami oraz nietypowo zarumienionymi policzkami wyglądała niemalże jak inna kobieta. Jak kobieta, która uśmiecha się autentycznym uśmiechem i patrzy na świat jasnym spojrzeniem. Odchodząc na bok, by wypalić papierosa i zapewnić im trochę prywatności, nie mogłem się nadziwić, jak to jest, że brat i siostra pokochali tak mocno tego samego mężczyznę.

Z pewnością zdawał sobie z tego sprawę. Z pewnością dostrzegał to, jak oboje zachowujemy się przy nim.

Naraz wiatr podkasał spódnicę Morgan i wówczas spostrzegłem czerwone pręgi znaczące jej uda, jedne świeże, inne starsze, i z wolna zacząłem coś rozumieć. Zaledwie coś – zrozumienie wszystkiego wymagało lat – ale zacząłem uświadamiać sobie, że względy Colchestera mają swój niebezpieczny i bolesny aspekt.

Co oczywiście sprawiło, że tym bardziej ich zapragnąłem.

Walki zaczęły się na serio. Nie nazywano tego wojną jeszcze przez cztery lata, lecz jak mawiają w Waszyngtonie, nie miało to znaczenia. To była wojna.

My wszyscy na miejscu wiedzieliśmy to, wiedzieli to nasi sprzymierzeńcy, a także nasi przeciwnicy. Nawet wzgórza zdawały się to wiedzieć, deszcz i mgła przemieniające okolice naszej bazy w spowite szarym całunem trzęsawisko. Tydzień po powrocie z Pragi patrolowałem wraz ze swoim plutonem ścieżki biegnące po drugiej stronie niskiego wzgórza w pobliżu bazy. Pojawiły się doniesienia o separatystach ukrywających się w okolicy przed ukraińskimi i rumuńskimi siłami lądowymi. Naszym zadaniem było wykurzyć ich z kryjówek. Jak dotąd nasze wysiłki okazywały się bezowocne. Im więcej czasu spędzaliśmy na przetrząsaniu terenu, tym dłużej udawało mi się unikać kontaktu z Colchesterem. W końcu poprowadziłem swój oddział, wraz z Dagiem i Wu, w góry. Szlaki były tak strome i kamieniste, dlatego dało się po nich poruszać wyłącznie piechotą. Przedzieraliśmy się przez plątaninę skał i zwalonych drzew, gdy to się wydarzyło.

Zabrzmiało coś jak klaśnięcie, jakby ktoś złamał gałązkę.

Tylko że to nie była gałązka.

– Padnij! – krzyknąłem. – Na ziemię! Na ziemię!

Las rozbłysnął ogniem wystrzałów, jak na ćwiczeniach, z tą różnicą, że tym razem nie były to kulki z farbą, lecz prawdziwe ołowiane pociski. Przypomniały mi się słowa wypowiedziane przez Colchestera przy okazji naszego pierwszego spotkania: *Oni nie strzelają ślepą amunicją, poruczniku Moore,* i ćwiczenia, podczas których trafił mnie w ramię.

Pomyślałem o jego palcach na moim ramieniu, okrutnych i delikatnych na przemian.

Ale ćwiczenia…

– Ukrywają się w łożysku strumienia – krzyknąłem w radiotelefon, myśląc wciąż o Colchesterze i jego ludziach, atakujących nas wtedy spoza potoku. – Skupcie tam ogień.

I tak zrobiliśmy, ja i Dag jako pierwsi. *Ta, ta, ta, ta* – rozbrzmiewały echem wśród drzew wystrzały. Słyszałem ludzi krzyczących, gadających, biegających i ładujących broń. Sam co chwila zmieniałem magazynek, waliłem w łożysko strumienia, a potem kryłem się za drzewem i liczyłem skulone, nieporanione ciała, które miałem pod opieką.

To był pierwszy raz, kiedy uczestniczyłem w prawdziwej wymianie ognia. Pierwszy raz, kiedy strzelałem po to, żeby kogoś zabić. Potężny adrenalinowy kop niósł ze sobą upojenie, którego nie sposób wyrazić słowami. I kiedy już zmusiliśmy separatystów do odwrotu i zajęliśmy bezpieczne pozycje, na których mogliśmy złapać oddech i upewnić się, że na pewno nikt nie został ranny, zamknąłem oczy i pozwoliłem, by cała ta adrenalina uderzyła mi do głowy. Strach i euforia. Nie było miejsca na odrazę wobec samego siebie ani na Colchestera. Tylko ja i koktajl hormonów wytworzonych przez ewolucję po to, bym widział życie jako pulsującą, wibrującą rzecz, którą ono jest. Śpiew ptaków brzmiał w mych

uszach głośniej, leśne kwiaty pachniały mocniej. Mgła zdawała się czymś żywym, skrzącym się i dobroczynnym. Nawet błoto wydawało się magiczne.

Nie ja jeden to odczuwałem. Dag i Wu, zwykle cisi i małomówni, przerzucali się żartami i zaśmiewali na cały głos. Inni siedzieli i wpatrzeni w drzewa otulone mgłą albo we własne buty wyglądali na oszołomionych i nieco zdezorientowanych, jakby się dopiero co przebudzili ze snu.

Zastanawiałem się, jaki byłby Colchester po stoczonym boju. Nabuzowany i podenerwowany? Cichy i oszołomiony? Ani taki, ani taki?

Jednak potem już nawet nie miałem czasu, żeby nad tym rozmyślać. Dotąd widywałem Colchestera codziennie, teraz wcale, odkąd nasz kapitan zmagał się ze wzmożoną aktywnością separatystów. Nieprzyjacielski ostrzał stał się naszą codziennością, przemarsz przez wioski był jak walka z upiorami nieufności i nerwowego napięcia, a cała nasza kompania była nieustannie w ruchu – patrolowała, organizowała wysunięte posterunki, wypłaszała rebeliantów z leśnych kryjówek. Wówczas wciąż się nam jeszcze zdawało, że możemy ich odstraszyć. Że kilka salw, potęga amerykańskiej armii wspierająca siły wojsk sprzymierzonych państw regionu, przelot eskadry odrzutowców myśliwskich wystarczą, by porzucili swoje przestarzałe rosyjskie karabiny i uciekli przed nami w popłochu.

Nic z tego.

Trzy miesiące tego kwitnącego piekła przeorało wzgórza i pokiereszowało spokojne zagajniki granatami i pociskami artyleryjskimi, a mimo to zasadniczo nic się nie zmieniło. Separatyści nie poczynili postępów, ale też nie wycofali się. Raz po raz dochodziło do wymiany ognia i wprawdzie kilku żołnierzy doznało obrażeń wymagających hospitalizacji, lecz żaden nie stracił życia. Lokalna ludność uparcie trzymała się tradycyjnego trybu życia – uprawy buraków cukrowych

i owsa, wycinki drzew i wydobywania węgla. My równie uparcie strzelaliśmy i bywaliśmy poddawani ostrzałowi i nic się nie zmieniało.

Żyliśmy na Möbiusowej wstędze życia – wypad, odwrót, walka w dolinie, walka na wzgórzu i znów walka w dolinie. Częściej sypiałem na ziemi niż we własnym łóżku. Nabrałem umiejętności wyczuwania niebezpieczeństwa, nabrałem wprawy w chronieniu moich ludzi. A jeśli zdarzały się momenty, kiedy zamknąwszy oczy, skupiałem się wyłącznie na rozpamiętywaniu chwili, gdy Colchester wyciągnął rękę ponad stolikiem w pociągu, by dotknąć siniaka na moim ramieniu, nikt nie musiał o tym wiedzieć.

Pewnego dnia wstęga Möbiusa uległa zerwaniu, kiedy kapitan wezwał mnie do swej kwatery, gdzie ujrzałem Morgan, wyglądającą równie wytwornie i luksusowo jak zazwyczaj. Omal się nie roześmiałem, widząc ją w sandałkach bez pięt i spodniach rurkach, jakby w każdej chwili gotowa była zagrać w reklamie Chanel (czy Diora, czy jakiekolwiek pierdolone nazwisko przywołała w tamtej rozmowie). Ale zarazem była najładniejszą i najczystszą istotą, jaką widziałem od trzech miesięcy, stanowiła pierwszy widok niemający związku z wojną. Ale nawet pomijając to wszystko: była moją krewną, niezależnie od tego, jak na swój chłodny, lojalnościowy sposób rozumieliśmy pokrewieństwo w naszej rodzinie. No więc się nie roześmiałem.

Zamiast tego usiadłem obok niej i założyłem nogę na nogę.

– Tylko ty jedna jesteś zdolna do tego, żeby pojawić się pośród wojny w tak szykownym stroju.

Uniosła wypielęgnowaną brew i skrzyżowała nogi dokładnie jak ja.

– Przyjechałam w interesach. I chciałam się z tobą zobaczyć.

Jednak nerwowe kółka, jakie kręciła jej stopa w powietrzu, zdradzały niepokój. Nie zachowywałaby się tak nerwowo, gdyby przyjechała

w interesach… Do diabła, nie zachowywałaby się tak nawet wtedy, gdybym zabrał ją ze sobą na patrol, ubraną wyłącznie w ten elegancki trencz marki Burberry i uzbrojoną jedynie w procę.

Nie. Przyjechała z powodu Colchestera. Byłem tego pewny.

Do rozmowy włączył się kapitan. Wyjaśnił mi, że wizyta Morgan wynikła stąd, iż firma lobbingowa jej ojca, a mego ojczyma, reprezentuje jednego z największych dostawców uzbrojenia, a on chciał się upewnić, czy obecnie, po eskalacji działań wojennych, jego produkty sprawdzają się w warunkach bojowych. To była bzdura. Kapitan nie powiedział tego, że wszyscy na wyższych i niższych szczeblach wojskowej hierarchii szli Morgan na rękę, bo była przybraną córką Vivienne Moore, a jeśli tylko któreś z dzieci Vivienne Moore czegoś zapragnęło, to stawało się na głowie, byle mu to dać, żeby przypadkiem nie ściągnąć na swoją głowę gromów.

Vivienne Moore bali się wszyscy. Nawet ja, choć byłem jej synem.

Kapitan wstał.

– Na chwilę zostawię was samych. Pani Leffey ma przepustkę na porę dzienną, ale nocuje we wsi, więc muszę zorganizować eskortę, która zapewni jej bezpieczny powrót.

– Ja ją odprowadzę – zaoferowałem się, obdarzając Morgan najsłodszym, najszerszym i najfałszywszym uśmiechem, na jaki potrafiłem się zdobyć. – Zrobię wszystko, żeby tylko spędzić więcej czasu z kochaną siostrzyczką.

Kapitan uśmiechnął się, nie dostrzegając skrzywionego nosa, stanowiącego część paskudnej miny, jaką „kochana siostrzyczka” nagrodziła moje słowa, po czym wyszedł.

Ledwie zamknęły się za nim drzwi, odchyliłem się na oparcie krzesła i zająłem studiowaniem swoich paznokci, połamanych i wysuszonych od całego tego wojowania i patrolowania.

– Nie będziesz mogła sobie urządzić kolejnego festiwalu pierdolenia z Colchesterem, wiesz? Słyszałaś te grzmoty przed dwudziestoma minutami? To moździerze. Nie nasze. Krążą słuchy, że w tym tygodniu separatyści uderzą na dolinę wszystkimi siłami.

Nos mojej siostruni wciąż pozostawał zmarszczony.

– To ich zbombardujcie.

Wytrzeszczyłem oczy.

– Czy ty w ogóle nie zauważyłaś tych wszystkich pieprzonych gospodarstw i domów, tych maleńkich zaścianków z maleńkimi kościółkami? *To tam* najczęściej ukrywają się separatyści. Do diabła, połowa z nich po prostu tam mieszka. Nie sposób ich zbombardować, nie bombardując przy tym niewinnych cywilów.

– Nie są niewinni, jeśli udzielają schronienia rebeliantom – odparła obojętnym tonem. – Zgodziliśmy się pomóc krajom cierpiącym wskutek problemów z Karpatiańczykami, to im pomóżmy i wynośmy się stąd.

– Nie wiedziałem, że jesteś zwolenniczką rozwiązań siłowych.

Odwróciła swoją śliczną głowę, jakbym ją zanudzał, a ja wpatrywałem się w delikatną linię jej podbródka, w napięte mięśnie pod gładką skórą na policzkach.

– A może i nie jesteś – powiedziałem powoli. – Może po prostu martwisz się, że póki wojna trwa, nie możesz dać dyla z Colchesterem i urodzić gromady małych Colchesterzątek?

Oczy Morgan zabłysły gniewem.

– Pierdol się. Nie przyjechałam tu na żaden *festiwal pierdolenia*. Przyjechałam, żeby porozmawiać z Maxenem, to wszystko. Nie odpowiada na moje maile.

Roześmiałem się na to.

– Czy po wysłuchaniu tego, co mówiłem o moździerzach i rebeliantach, na serio myślisz, że mamy czas, żeby odpowiadać na maile?

– Każdy ma czas, żeby odpowiadać na maile, Embry. Skoro papież znajduje czas na prowadzenie bloga, to żołnierze mają czas, żeby odpowiadać na maile.

– Jak zwykle, Morgan, potrafisz na każdą sytuację spojrzeć z najbardziej egoistycznej perspektywy. Nie przyszło ci do głowy, że on po prostu może nie chcieć z tobą rozmawiać?

Nie wiedziałem, dlaczego to mówię. Nie miałem żadnego dowodu, że Colchester żałował czegokolwiek, co wydarzyło się w Pradze między nim i Morgan. Przy tych rzadkich okazjach, gdy spędziliśmy ze sobą więcej niż kilka minut, odnosiłem wrażenie, że wspomina praski romans z melancholijnym rozczuleniem.

– Pamiętasz Pragę? – mawiał, gdy czekaliśmy w kolejce w kantynie. – Pamiętasz mgłę unoszącą się nad rzeką?

Pamiętam, jak mgła łasiła się do ciebie, miałem ochotę odpowiedzieć. Więc tylko kiwałem głową.

– To była udana wycieczka – mówiłem.

– Tak – przyznawał ze wzrokiem wbitym w tacę. – To były takie piękne noce.

Albo kiedy rozpakowywaliśmy w pralni brudne ciuchy z całego tygodnia, mawiał:

– Przydałaby mi się kolejna lekcja tańca walców wiedeńskich, poruczniku Moore. Myślisz, że ktoś tu w bazie ma CD z wiedeńskimi walcami?

– Mamy rok dwa tysiące czwarty, poruczniku Colchester. Kto dziś jeszcze słucha płyt CD? Nie słyszałeś o iPodach?

– Mógłbym zanucić melodię – sugerował, na co prychałem wzgardliwie.

– Gówno mógłbyś zanucić.

On jednak uparcie usiłował coś nucić, na przykład temat z serialu *Przyjaciele* albo refren z *Yeah!* Ushera, od kilku tygodni lecącego na okrągło w świetlicy, na co ciskałem w niego zwiniętymi w kłębek skarpetami, żeby przestał. W końcu odzywał się ciszej:

– Wciąż chciałbym nauczyć się tańczyć.

– To by się idealnie nadawało na tytuł rozdziału w twoim pamiętniku.

Wtedy marszczył to swoje słodkie czoło.

– Po co miałbym pisać pamiętnik?

– Na potrzeby kampanii prezydenckiej. Każdy, kto chce zostać prezydentem, musi najpierw napisać książkę.

Zmarszczki się pogłębiały, a zaintrygowany i zdezorientowany mym żartem Colchester wyglądał tak przystojnie i tak pociągająco, że wprost żebra mi trzaskały pod ciśnieniem uczuć wzbierających w sercu. Więc żeby uchronić się przed obrażeniami, zmieniałem temat i mówiłem:

– Założę się, że brakuje ci tamtych praskich nocy.

Na to zamyślał się i łagodniał.

– Tak – przyznawał. – Działy się w Pradze pewne rzeczy, za którymi tęsknię.

Chodzi mi o to: byłem pewny, że Colchester cieszył się każdą chwilą spędzoną z Morgan, ale nie chciałem jej tego zdradzić. To było małostkowe, zwłaszcza że wyglądała na przybitą tym, co ode mnie usłyszała. Wtedy na nowo ogarnęło mnie poczucie winy i wróciły myśli, którymi gryzłem się co noc: *jesteś samolubny, jesteś zły, strzelasz do ludzi i nie obchodzi cię, czy żyją, czy zginęli*. Teraz z kolei wyrzuty sumienia przybrały postać myśli: *nie możesz mieć Colchestera, on cię nie chce. Czy*

naprawdę chcesz przekreślić ich, jego i Morgan, szanse na szczęśliwy związek?

– Nie wiem, dlaczego to powiedziałem – poprawiłem się szybko. – Jestem pewny, że chętnie się z tobą zobaczy. Jeśli spotkam się z nim wcześniej od ciebie, powiem mu, że przyjechałaś.

– Dobrze. – Powoli wypuściła powietrze i popatrzyła na mnie, a ja zauważyłem, że na jej twarzy maluje się nietypowy dla niej wyraz zgoła bezbronnej bezradności. – Muszę z nim pogadać, to wszystko. Choćby krótko, jeśli na dłuższą rozmowę nie znajdzie czasu. Ale ja po prostu… – Opuściła wzrok i oplotła pasek trencza wokół palców. – Proszę cię, Embry. Wiem, że to był tylko tydzień, ale nie mogę przestać o nim myśleć. O nas… och, jak bym chciała móc powiedzieć o nim i sobie *my*. I chcę, żeby się dowiedział…

Jakim cudem w środku wojny życie mogłoby stać się jeszcze gorsze?

Ano takim, że *po raz kolejny* miałem wyswatać Morgan z Colchesterem.

– Okej – powiedziałem, pocierając dłonią policzek. – Zajmę się tym.

Sprawa okazała się trudniejsza, niż się spodziewałem. Colchester patrolował oddaloną dolinę, a ja nie mogłem tak po prostu powiedzieć mu przez radio, że przyjechała moja siostra, żeby się z nim pieprzyć. W końcu wybrnąłem z kłopotu w ten sposób, że nawiązałem z nim łączność radiową i powiedziałem, że ma gościa z Pragi.

– Gościa z Pragi? – Nawet pomimo szumów i trzasków radiostacji w jego głosie dała się wyczuć niepewność.

Westchnienie.

– No wiesz, stara znajoma z Pragi. Przyjechała tu do bazy, żeby się z tobą spotkać. Stęskniła się za tobą.

– Och… – Choć odpowiedź była krótka, usłyszałem w tle śmiechy jego ludzi. – Powiedz, że wkrótce się zobaczymy.

Jednak to wkrótce trochę się przedłużało, aż po upływie dwóch dni Morgan stała się marudna. Chodziła w tę i z powrotem po pokoju, podczas gdy ja pakowałem plecak, szykując się do wyruszenia na patrol.

– Dlaczego on nie wraca? Co oni tam robią?

Składałem koc już piąty czy szósty raz, wyłącznie po to, żeby nie patrzeć w jej udręczone oczy, nie widzieć napięcia malującego się na jej twarzy, nie myśleć o sile jej namiętności i nie zmagać się z *własnymi* sprzecznymi emocjami.

– Morgan, proszę. Colchester ma zadanie do wykonania. Ja też. Ty natomiast tylko udajesz, że coś robisz. Czemu nie wybierzesz się na parę dni do Kijowa? Idź do muzeum, obejrzyj trochę starego sowieckiego gówna.

Usiadła na łóżku i zagryzła wargę, sprawiała wrażenie, jakby rozważała moją sugestię. Przez pewien czas studiowała architekturę, dopóki Vivienne nie zmusiła jej do przeniesienia się na politologię. W tej początkującej lobbystce wciąż tkwiło rozkochane w sztuce dziecko, które gdziekolwiek trafiliśmy, wlokło mnie do muzeów.

– W przewodniku wyczytałam, że w Glein jest średniowieczny kościół. Wybiorę się tam jutro. – Westchnęła i zamknęła oczy. – Po prostu muszę z nim porozmawiać. Czy to za wiele dla wszechświata spełnić moje drobne pragnienie?

Wychowałem się w Seattle. Ilekroć dwudziestokilkuletnie dziewczyny wspominały o wszechświecie, wiedziałem, że sensowna rozmowa dobiegła końca.

– Idź do kościoła, Morgan. Zrób trochę zdjęć dla mamy i dla twego taty. Założę się, że nim wrócisz, Colchester wykona swoje zadanie i będziesz

mogła z nim pogadać i zaprosić go do hotelu, żeby spuścił ci powitalne lanie.

Zgromiła mnie wzrokiem, lecz nic nie powiedziała.

Całując ją na do widzenia, nie miałem pojęcia, że kiedy ujrzę ją ponownie, będzie krwawić od kuli karpatiańskiego rebelianta pośród morza płomieni.

7

Embry

po

Chciałem jechać sam, ale kiedy docieram na małe lotnisko, wita mnie tam młoda Latynoska z fryzurą wskazującą na predyspozycje do skutecznego działania i ktoś tak drogi mi i bliski, że puszczam się do niego biegiem i chwytam w objęcia.

– Percival Wu – mówię, wyciągając papierosy i ściskając jego ramię.

– Panie wiceprezydencie – odpowiada z autentycznie szczerym uśmiechem i tylko trochę kpiąco.

– Kiedy ostatnio o tobie słyszałem, wypełniałeś jakąś tajemniczą misję w Jordanii. – Po wojnie Wu wstąpił do CIA i został jednym z agentów identyfikowanych w poufnych biuletynach trafiających co ranka na moje biurko wyłącznie przez numer i kryptonim.

– Dwa dni temu wróciłem do Chicago. Kiedy dowiedziałem się o porwaniu pani Colchester, natychmiast się zgłosiłem.

Przełykam ślinę. Nie mam pojęcia, dlaczego akurat Wu wywołuje we mnie tak silne emocje po nocy, którą mam za sobą, ale tak już jest. Mając go u boku, czuję się bezpieczny, pokrzepiony jego niezachwianą lojalnością.

– Jak za dawnych czasów, co?

Uśmiecha się.

– Miejmy nadzieję, że teraz pójdzie nam łatwiej. Czy mogę przedstawić ci agentkę Gareth? Pracuje w agencji od niedawna, ale już zdążyła się wyróżnić i jest specjalistką od tego rodzaju sytuacji, z jaką mamy do czynienia obecnie, gdy trzeba ratować zakładników.

– A jak określilibyście ją dokładniej? – pytam, wymieniwszy z Gareth krótki uścisk dłoni. Przez głowę przelatuje mi obraz Greer zdanej na łaskę Melwasa i chowam drżącą dłoń do kieszeni. Chcę go zabić. Tak strasznie chcę go zabić, że aż niemal czuję smak tego zabijania.

– To sytuacja tego rodzaju, że mało kto się na niej zna – odpowiada Gareth. Ruszamy w kierunku oczekującego nas małego samolotu. – Zaliczana do najwyższej kategorii, co oznacza, że mamy ograniczone narzędzia, lecz szerokie możliwości działania. Wyjaśnię to obszerniej podczas lotu.

– A dokąd lecimy?

– Do Newport. A konkretnie do tamtejszej przystani.

Spoglądam na nią pytająco, na co dodaje:

– Proszę mi zaufać. Przekona się pan, że wiem, co mówię, gdy znajdziemy się w samolocie i porozmawiamy spokojnie.

Na przystań dotarliśmy za późno. Stało się to dla mnie jasne w chwili, gdy wyszliśmy z lasu na ścieżkę prowadzącą na tyły domu. Przeszukaliśmy hangar dla łodzi, przystań i samą rezydencję, olśniewającą przepychem nawet o zmierzchu. Nie było ani Greer, ani złowrogich Karpatiańczyków zaczajonych w półmroku wieczora. Jachtu również nie było, odkryliśmy natomiast widoczne ślady zmagań, które toczyły się na pomoście. Porzucone wiosła, świeże zadrapania na mokrych od deszczu deskach, świadczące, że ktoś rozpaczliwie walczył o wolność, gdy wleczono go na pokład.

Ja pierdolę, jaki jestem wściekły. Do szału doprowadza mnie myśl, że ktoś mógłby położyć łapska na mojej Greer, małej księżniczce Asha, mojej królowej. Trzęsę się z wściekłości na myśl o sznurach na jej skórze, taśmie zaklejającej jej usta, a nawet, co gorsza…

Spoglądam na rysy znaczące deski pomostu i staram się uspokoić serce tłukące się w piersi. Pierwszy raz od lat tęsknię do mego M4. Do mego glocka. Od lat mam poczucie, że jestem cywilem, lecz teraz mój mózg ogarnięty słusznym gniewem i najgłębszym strachem wprowadza do krwiobiegu całe litry adrenaliny i czuję się prawie jak wtedy, gdy atakowałem nieprzyjaciół ukrytych pośród drzew w lasach Karpatii.

– Jesteśmy na to przygotowani. – Gareth przerywa moje rozmyślania, chowa pistolet do kabury i zapina żakiet. – Liczyliśmy się z możliwością, że ich nie zastaniemy.

Oglądam się na rezydencję Corbeniców, należącą do rodziców Abilene Corbenic, ciotki i wuja Greer. Myślę o wykazie połączeń telefonicznych, który Gareth i Wu pokazali mi w samolocie. To Abilene w środku nocy wywabiła swoim SMS-em Greer do holu hotelowego. Myślę o błyskawicznych działaniach Merlina. Podczas naszej podróży samolotem

wyszukał nieruchomości, do których posiadała dostęp Abilene, a następnie wyeliminował wszystkie poza tą jedną.

Na koniec myślę o ręce Abilene w zgięciu mojej ręki wczoraj po południu, gdy prowadziłem ją przejściem między kościelnymi nawami do oczekującego przed ołtarzem Asha. Nie znam jej za dobrze, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mogłaby być zdolna do *tego*.

Greer musiała rozpoznać dom, myślę smętnie. *Została uprowadzona przy wykorzystaniu przystani domu należącego do jej własnej rodziny...*

– Abilene zapewniała Merlina i ludzi ze służb specjalnych, że skradziono jej telefon dwa dni temu – odzywa się Wu. – Nie możemy wykluczyć, że powiedziała prawdę, a Melwas i jego ludzie wykorzystali jej powiązanie z Greer.

– Nie możemy wykluczyć również tego, że Abilene kłamie – dodaje Gareth rzeczowym tonem, który sprawia, że jej słowa nie brzmią jak cyniczna insynuacja, lecz jak trzeźwe spostrzeżenie. – Kilkoro świadków powiedziało nam, że tej zimy nawiązała w Genewie romans z jednym z ludzi Melwasa. Jej zdrada mieści się w zakresie możliwości, które należy uwzględnić.

Odrywam wzrok od mokrych podrapanych desek. Potrzebuję poczuć w dłoni pistolet. Albo nóż. I potrzebuję działać.

– Dokąd teraz? – pytam, chociaż znam odpowiedź. Towarzysze podróży pokazali mi w samolocie fotografię schroniska w Karpatach, które Melwas nabył pod fałszywym nazwiskiem. Ze zdjęć satelitarnych wynika, że jest ono ufortyfikowane jak twierdza. Idealne miejsce na przetrzymywanie uwięzionej osoby w sekrecie przed światem. Na papierze schronisko należy do kogoś innego, jest usytuowane tak daleko od ludzkich osiedli, że mowy nie ma, by ktoś trafił tam przypadkowo. Na dodatek strzeże go istna armia.

– Do Karpatii – odpowiada Gareth z błyskiem w oku. Cieszy mnie ów błysk. Oznacza bowiem, że jest równie spragniona krwi jak ja.

8

Greer

po

Nie wiem, jak długo jestem na jachcie. Szamoczę się i walczę, kiedy mnie na niego wloką, krzyczę i gryzę, i znów krzyczę, chociaż wiem, że najbliższy dom jest oddalony o osiemset metrów i mowy nie ma, żebym zdołała przekrzyczeć łoskot fal. Nagle czuję ukłucie w ramię i pieczenie, po czym zaraz i to pieczenie, i cała reszta świata znika.

Odzyskuję przytomność niesiona przez rzekomego Daryla po kolejnym pomoście. Słońce jest jaskrawe i gorące, gdzieś blisko krzyczą ptaki. Chce mi się pić, tak strasznie chce mi się pić i jestem taka słaba, jakby moje mięśnie były z wodorostów. Usiłuję się poruszyć, próbuję walczyć, albo chociaż przemówić, ale nic z tego. Na powrót pochłania mnie ciemność.

Kiedy w końcu na dobre odzyskuję przytomność, jestem, dzięki Bogu, nieskrępowana i niezakneblowana. Lecę samolotem. Maszyna jest mała, a w jej wnętrzu, ciasnym i nieźle podniszczonym, siedzi prócz mnie Nie-Daryl i trzech innych mężczyzn. *W samolotach linii Powietrzne*

Uprowadzenia nie ma stewardes, ale jest całkiem czysto, myślę z trudem. *Dwie gwiazdki*.

Obracam głowę wspartą o podgłówek i wyglądam przez okno. Pod nami przetaczają się wzgórza, niskie i zielone, ze sterczącymi gdzieniegdzie spośród nich skałami. W oddali góry są wyższe, ciemniejsze. Pamiętam te góry z czasów wojny, ze zdjęć i filmów nagranych przez dygoczące kamery zamontowane na hełmach żołnierzy.

Karpatia.

Na krótką chwilę odpuszczam sobie wolę walki. Odpuszczam sobie strach. Myślę wyłącznie o swoim ślubie. To był mój ostatni dzień wolności, a ja o tym nie wiedziałam. Nie wiedziałam też tego, jak stosownie się stało, że w ostatnim dniu wolności wyrzekłam się jej na rzecz Asha.

Na samą myśl o nim pali mnie pod powiekami i czym prędzej je zaciskam, bo boję się płakać w obecności tych mężczyzn. Ash w smokingu wsuwający mi obrączkę na palec. Ash trzymający mnie w ramionach, gdy tańczymy przy *At Last* Etty James, piosence, przy której, jak mi wyznał, tańczyli kiedyś z Embrym. Ash szepczący do Embry'ego pośród pieszczot, szepczący do mnie, gdy obaj z Embrym pieprzyli mnie we dwóch. My dwoje, trzymający się za ręce i obiecujący sobie… obiecujący sobie coś. Miłość. Próbę. Poddanie się uczuciom nie do odparcia, które wszyscy troje żywiliśmy wobec siebie nawzajem.

Przez krótką chwilę owładnięta egoizmem pozwalam sobie na bycie damą. Damą znajdującą się w bezprzedmiotowych, niemalże wyciskających łzy z oczu tarapatach. Rozpaczliwie tęsknię do mojego dawnego życia – do wczoraj, przedwczoraj, do kiedykolwiek to było. Boleśnie tęsknię do mojej sukni ślubnej i welonu, do kościoła udekorowanego kwiatami, do mojego pana młodego i jego drużby. Tęsknię do naszej nocy poślubnej, po której dotąd jestem obolała. Tęsknię do uczucia, jakie daje znalezienie się

w ciasnym uścisku pomiędzy ciałami dwóch mężczyzn, których kocham najbardziej na świecie, za dotykiem ich śliskiej od potu skóry, za twardymi mięśniami i zębami skorymi do kąsania, gdy zabrakło im słów, którymi mogliby wyznawać mi szeptem miłość.

Na chwilę, na jedną krótką chwilę pozwalam sobie na absurdalną nadzieję, że przybędą, aby mnie wybawić. Że ledwie samolot wyląduje, mój król i mój książę będą na miejscu, gotowi wyswobodzić mnie z tego dziwnego miejsca i uwolnić od ludzi, którzy chcą mnie skrzywdzić. Przez moment pozwalam sobie wierzyć, tak mocno, jakby to było wszystko, w co potrafię wierzyć, że Embry i mój mąż są w drodze do mnie. Pozwalam sobie na chwilę wiary w to, że za wszelką cenę odszukają mnie i że wszystko skończy się dobrze.

Pocieram kciukiem wąski pasek metalu na serdecznym palcu, obrączkę znajdującą się poniżej olśniewającego pierścionka zaręczynowego, który dał mi Ash. Przez moment czuję wdzięczność, że nie skradziono mi go, że pozwolono mi zachować dla siebie przynajmniej tyle, skoro nie było mi dane zachować prywatności ciała, wolności ani godności. Jednak moja wdzięczność słabnie w miarę, jak pocieram pierścionek i rozpamiętuję wszystko, co on reprezentuje.

Poślubiłam Asha. Przysięgłam mu wierność – jakkolwiek skomplikowana mogłaby być kwestia wierności w naszym przypadku – cześć, szacunek i miłość. Ale to nie wszystko, gdyż Ash to nie po prostu Ash, lecz także prezydent Stanów Zjednoczonych. Głównodowodzący najpotężniejszych sił zbrojnych na świecie, głowa największej gospodarki na planecie. Kapitan statku wiozącego na swym pokładzie trzysta dwadzieścia milionów dusz. Co oznacza, że poślubiłam także tę odpowiedzialność, że ślubowałam cześć i szacunek jego urzędowi i obowiązkom.

Wychowywana przez dziadka Leo, zawsze byłam patriotką. Jednak dopiero teraz czuję pełną siłę zawołania *najpierw kraj*. Jestem pierwszą damą. Przysięgłam uczynić wszystko, co w mojej mocy, żeby umocnić nasz naród, pomóc Ashowi w jego wysiłkach zmierzających do tego celu.

Sprzeczność pomiędzy hasłem *najpierw kraj* i pragnieniem bycia uratowaną jest oczywista i nie do pokonania. Oczywiście, że Ash nie może przyjść mi z pomocą. Z punktu widzenia logistyki byłoby to niedorzecznie trudne, a z punktu widzenia moralności naganne. Ash nie może narażać na szwank całego kraju ani wykorzystywać możliwości, jakie stwarza jego urząd, aby mnie ratować. To samo dotyczy Embry'ego. Dziś rycerze już nie ratują dam w tarapatach, nie dlatego, że są mniej szarmanccy czy mniej im oddani, niż byli w dawnych czasach, ale dlatego, że rolę tych cech charakteru przejęły systemy.

Systemy dyplomatyczne.

Systemy militarne.

Systemy wywiadowcze.

Szkopuł w tym, że nie mam pojęcia, jak którykolwiek z owych systemów mógłby wybawić mnie z opresji. Dyplomacja wymaga energii opartej na zasadzie wzajemności, a wątpię, żeby Melwas był zainteresowany odwzajemnianiem czegokolwiek poza wojną. Ash nie chciałby wojny, ja także.

To oznacza, że pozostają systemy wywiadowcze. CIA. Operacje specjalne. Działania zakulisowe, których większość Amerykanów nie widzi i o których nic nie wie. Rzeczy zbyt nieprzejrzyste nawet dla mnie, żebym mogła na nie liczyć.

A zatem odpowiedź jest jasna. Nikt nie przybędzie mi z pomocą. Muszę ratować się sama.

Prostuję się w fotelu i ponownie rozglądam po kabinie, rozpatrując możliwości działania. Uszy mi się zatykają, co oznacza, że schodzimy do lądowania, lecz mimo to podejmuję ryzyko i wstaję z fotela.

– Muszę siku – powiadam do rzekomego Daryla.

– Siadaj – zbywa mnie. – Wkrótce wylądujemy.

– Muszę siku w tej chwili – odpowiadam, podnosząc głos dla wzmocnienia efektu. Naprawdę chce mi się sikać, więc to nie kłamstwo, co nie znaczy, że nie byłabym gotowa w tych okolicznościach zniżyć się do kłamstwa. – Zasikam siebie i samolot, jeśli nie puścisz mnie do toalety.

Nie-Daryl klnie, wstaje z siedzenia, chwyta mnie za ramię i wlecze do ogona samolotu. Wpycha mnie do maleńkiego ustępu, lecz kiedy usiłuję się w nim zamknąć, blokuje nogą liche składane drzwi.

Z góry znam odpowiedź, lecz mimo to pytam:

– Czy mogę mieć trochę prywatności?

Paskudny typ nie zadaje sobie trudu odezwania się do mnie, po prostu patrzy spode łba. Wzdycham ostentacyjnie i odgrywam całą scenę osłaniania dolnej części ciała podczas zasiadania na sedesie. Łakome spojrzenie błyszczących oczu pochłania moje wystające spod szlafroka uda. Wyczuwam, że w odmiennej sytuacji byłabym narażona na gwałt, lecz teraz jestem bezpieczna.

– Melwas chce mnie całą dla siebie, co? – pytam, kiedy oczy Nie-Daryla przenoszą się wreszcie z moich nóg na twarz. – Nie możesz mnie tknąć.

– Mogę cię dotykać, ile mi się spodoba – odpowiada. – Prezydent Kocur zarządził tylko tyle, żebyś trafiła w jego ręce bez widocznych obrażeń na ciele. Ale… – Na jego obliczu pojawia się obleśny uśmieszek, bez seksualnego zabarwienia, choć niegodziwy, od którego żołądek się

wywraca. – Widzę, że twój własny prezydent zostawił na twoim ciele całkiem sporo widocznych obrażeń.

Niemalże czuję wagę jego założeń co do mnie, co do mojego ciała, co do tego, na co przyzwalam albo ile zniosę, albo co sprawia mi przyjemność.

Mierzę go wzrokiem. Mierzę go wzrokiem tak lodowatym, jak to w tej sytuacji możliwe, sumując wszystkie doświadczenia zebrane podczas obserwacji tego, jak dziadek Leo rozkładał na łopatki swoich oponentów politycznych samą siłą woli. Inwestuję w swoje spojrzenie całe niebanalne wychowanie, jakie odebrałam jako księżniczka Partii Demokratycznej, każdy element mojej tożsamości jako małej księżniczki Asha i jego królowej. I chociaż ja siedzę z gołym tyłkiem na sedesie, otulona w szlafrok, podczas gdy Nie-Daryl bezdyskusyjnie sprawuje tu władzę, uśmiech znika z jego twarzy i odwraca wzrok. Cofa stopę i zasuwa drzwi z hałasem.

Wygrywam.

Na razie. Ponieważ nie jestem w stanie obezwładnić tych mężczyzn siłą. Nie prześcignę ich w ucieczce. Więc wysikawszy się i umywszy ręce, wracam na swoje miejsce i wyglądam przez okno. Widzę, dokąd mnie wiozą, i wiem, że mowy nie ma, abym zdołała stąd uciec.

Dobrze.

Znajdę inny sposób.

Samolot przelatuje nad masywną budowlą i kieruje się do sąsiedniej doliny, gdzie siada na maleńkim lądowisku. Tam na powrót zostaję skrępowana i wsadzona do obryzganego błotem range rovera, który pnie się przez porośnięte lasem skaliste góry. Schronisko, zwaliste i czarne, prześwituje raz po raz pośród drzew, na zakrętach drogi. Nasuwa na myśl zamek

Draculi, górujący złowieszczo nad kamiennymi zębiskami Karpat, i uświadamia mi, że prawdopodobnie znajdujemy się niedaleko historycznego regionu Transylwanii.

Wolałabym stawić czoło wampirowi.

To jednak więcej niż zamek. W miarę jak zbliżamy się do niego, mijamy kolejne linie najnowocześniejszych zabezpieczeń i umocnień. Ogrodzenia i bramy, patrole i kamery zamontowane dosłownie na każdym kroku. Nad naszymi głowami przelatują drony. To miejsce jest zabezpieczone starannie jak Camp David. Jednak choć widzę swoją przyszłość w coraz ciemniejszych barwach, staram się nie upadać na duchu. Będę udawać, że jestem królową Ginewrą z tych średniowiecznych opowieści, o których uczę studentów, nietykalną, wyniosłą i dostojną, wyższą ponad wszystko, co ją spotyka, zachowującą niezmącony spokój, mimo że ciągle jest porywana i uprowadzana.

Z bliska widać, że schronisko ma mniej utylitarny charakter, niż na to wyglądało z oddali – elewacja wychodząca na dolinę jest przepruta wysokimi oknami, a wnętrze, do którego zostaję wprowadzona, urządzono w stylu tradycyjnej loży myśliwskiej – z otwartym belkowaniem, ogromnym kamiennym kominkiem oraz masywnymi, obitymi skórą fotelami i kanapami. Wygląda bardziej na miejsce wypoczynku niż na więzienie. Podobnie jak przestronny pokój, w którym zostaję umieszczona, z pięknym, rozległym widokiem na dolinę i łożem nakrytym baldachimem, jak w Wersalu. Łazienka jest niemal równie wielka jak pokój, z wanną wpuszczoną w posadzkę i prysznicem z brodzikiem. Nie-Daryl wskazuje drzwi w głębi pokoju.

– To garderoba. Masz tam nowe ubrania.

– Nowe ubrania?

Nim zdążę go powstrzymać, zdziera ze mnie szlafrok. Nie zadaję sobie trudu ukrywania tak brutalnie obnażonego ciała, po trochu dlatego, że już widział mnie nagą, po trochu, żeby nie dać mu tej satysfakcji, że zdołał wprawić mnie w zakłopotanie.

Uśmiecha się ponownie. Teraz, już nie odczuwając tamtego napięcia, które nie opuszczało mnie w krępującej sytuacji w samolocie, dostrzegam coś, co wówczas mi umknęło. Już wtedy miałam poczucie, że go znam, a nawet zdałam sobie sprawę, że ten osobnik był obecny na karpatiańskim przyjęciu dyplomatycznym, ale dopiero w tej chwili poznaję jego uśmiech… To z nim Abilene spędziła resztę weekendu.

Abilene. Zacznijmy od tego, że to jej SMS ściągnął mnie do holu. Czy została w jakiś sposób wykorzystana przez tego mężczyznę? Ze względu na pokrewieństwo ze mną? Czy może z nim współdziałała?

Czy to możliwe, że zdradziła mnie moja najlepsza przyjaciółka?

W tej chwili nie mogę o tym myśleć. Nie myślę o tym. Ruszam do łazienki, nie dlatego, że kazał mi to zrobić Nie--Daryl, lecz dlatego, że prysznic krzepi ciało i ducha i bardzo mi go teraz potrzeba. Pod prysznicem analizuję całą sytuację, jakbym analizowała średniowieczny tekst, szukając wskazówek, znaczeń i podtekstów. Jakbym znów znalazła się na przyjęciu dobroczynnym, na które zabrał mnie dziadek Leo, bym szpiegowała dla niego, bym odkrywała tajemnice ukryte za maskami na twarzach aktorów politycznego teatru.

Po pierwsze, pozostawiając mnie nieskrępowaną bez nadzoru, dają wyraz przekonaniu, że nie zrobię sobie krzywdy. Nie jestem pewna, czy to nadmiar pewności ze strony Melwasa, czy założenie, że nawet gdybym zrobiła sobie coś złego lub wręcz się zabiła, i tak bym się tym przysłużyła jego planom. Samobójstwo stanowczo nie służy *moim* celom, jednak groźba samobójstwa może stanowić jakiś środek nacisku.

Po drugie, przydzielili mi pokój z oknem, z którego widzę drogę i drony, a także jestem w stanie śledzić upływ dni i nocy. To oznacza dostęp do wielu informacji – i znów prowadzi do pytania, czy Melwas jest tak zadufany w sobie, że nie sądzi, abym mogła mu uciec? Albo zostać wypatrzona przez tych, którzy przybędą mi na ratunek? Czy też moja ucieczka albo wyratowanie mnie posłużą jego ukrytym celom?

Po trzecie, myślę, owinąwszy się ręcznikiem i zabierając do przeglądu garderoby, istnieje jeden oczywisty powód, dla którego Melwas może chcieć mieć mnie czystą i wystrojoną. Pragnie, bym czuła się komfortowo i odniosła złudne wrażenie, że jestem swego rodzaju gościem…

A jakie mogą być powody mniej oczywiste? Melwas nie wywarł na mnie wrażenia człowieka o subtelnej inteligencji, a jednak wykorzystując Abilene i organizując szeroko zakrojone przygotowania do porwania mnie, wykazał się niewątpliwym sprytem. Mam do czynienia z siecią planów i ewentualności tak trudnych do przeniknięcia, że dopóki się w nich nie połapię, najlepiej będzie zachować roztropność.

Wyszykowałam się najlepiej, jak to było możliwe przy użyciu ograniczonych narzędzi, oddanych mi do dyspozycji – szczotki, suszarki i sprayu do włosów, szminki i tuszu do rzęs. Ani cążek, ani wsuwek do włosów – niczego, co mogłoby posłużyć mi jako broń.

W garderobie znajduję niezliczoną ilość przesadnie, wręcz groteskowo koronkowej bielizny, zauważam jednak, że wszystkie te fatałaszki są w moim rozmiarze, i przez chwilę omal nie zwala mnie to z nóg. Osuwam się po ścianie garderoby i walczę ze wzbierającym we mnie szlochem.

Powinnam teraz świętować swój miesiąc miodowy. Powinnam być z Ashem. Powinnam być z Embrym. Powinniśmy się cieszyć i rozkoszować sobą, czerpać duże łyki z pucharu rozkoszy, której tak długo sobie odmawialiśmy. Jednak ten puchar został mi wytrącony z rąk. Wszystko, co

mam, to te zimne, złe góry i potencjalny gwałciciel, który chce wystroić mnie jak lalkę.

Mimo to nie poddaję się. Przywykłam do trzymania emocji na wodzy, do skrywania ich we wnętrzu i eksponowania na zewnątrz wyłącznie wdzięku. Kiedyś robiłam to dla Abilene, potem dla kamer i dziennikarzy, odkąd Ash ogłosił światu, że będę należeć do niego. A teraz będę to robić, aby przetrwać.

Wkładam najskromniejszą sukienkę w garderobie – długą, z czerwonego jedwabiu z głębokim dekoltem na plecach – potem naciskam klamkę w drzwiach prowadzących do pokoju. Okazuje się, że są zamknięte na klucz. Siadam więc i czekam, zastanawiając się, czy w garderobie są kamery, czy nawet tutaj jestem obserwowana, podglądana. Najwyraźniej tak jest, ponieważ wkrótce po tym, jak usiadłam, Nie-Daryl otwiera drzwi.

– Prezydent Kocur oczekuje.

Wstaję więc i ruszam za nim, by stanąć twarzą w twarz z mężczyzną, który mnie uwięził.

9

Embry

przed

To była robota Melwasa Kocura. Oczywiście jego imię usłyszałem później, a dużo później uzyskałem pewność, że był wtedy w tamtej wiosce. Prędzej poznałem jego pazur niż nazwisko, jego styl działania niż cokolwiek więcej.

Wszyscy wiedzą, co się tam wówczas wydarzyło. Że Melwas wsadził dzieci mieszkańców wioski na dużą łódź, po czym puścił ją na wodę i podpalił. Że zapędził dorosłych do kościoła, zamknął go, ostrzelał i podpalił. Że Colchester odniósł tam pierwsze ze swoich głośnych zwycięstw.

Wtedy jednak wiedziałem tylko jedno.

Była tam Morgan.

Tylko o niej myślałem, gdy nasze Humvee gnały przez dolinę, o Morgan, o głupim kościele i o tym, jak mogłem być takim idiotą, żeby zasugerować jej zwiedzanie zabytków. Czemu to zrobiłem? Dlaczego nie

poradziłem jej raczej, żeby trzymała się bezpiecznej wsi w pobliżu bazy? Albo jeszcze lepiej, żeby wracała do domu?

– Dobrze się czujesz? – zapytał cicho Dag, gdy dojeżdżaliśmy do Glein. Czarny dym walił w niebo jak z komina, z oddali dobiegały odgłosy eksplozji i wystrzałów. To lokalna samoobrona usiłowała dać odpór separatystom, z mizernym skutkiem.

– Tam jest moja siostra – odparłem i opuściłem wzrok na swoje dłonie. Drżały. – W tej wsi.

Dag skinął głową. Nie próbował mnie pocieszać. Nie próbował wymyślać argumentów, które mogłyby mnie przekonać, że to piekło się dobrze skończy. Doceniałem to.

Konwój zatrzymał się jakieś osiemset metrów od wsi. Wysiedliśmy. Gdzieś tam był kapitan, wydawał rozkazy, lecz mało co słyszałem. Odnalazłem Colchestera w gromadzie mężczyzn i odciągnąłem go na bok.

– Tu jest Morgan.

Cofnął się o krok, żeby popatrzeć mi w oczy.

– Co?

– Tu jest moja siostra. We wsi.

– Dlaczego? – rzucił ostro.

Z jakiegoś powodu ten jego ostry ton mnie wkurzył.

– Znudziło jej się bezczynne czekanie na twój powrót, więc wybrała się na wycieczkę, chciała obejrzeć kościół. – Ściszyłem głos, po trochu w nadziei, że nie dosłyszy, co mówię, a po trochu, że właśnie usłyszy. – Może gdybyś pogadał z nią, zamiast ją olewać, już dawno wyjechałaby do domu. Byłaby bezpieczna.

To nie było fair, wiedziałem, że nie jest, ale chciałem kogoś obwinić. Zranić.

I w tej samej chwili, kiedy to zrobiłem, poczułem się jak gówno, bo to nie była wina Colchestera, w najmniejszej mierze.

– Zrobimy, co się da – obiecał, spokojnie i uprzejmie, nieporuszony moim kretyńskim wyskokiem. Popatrzył mi w oczy. – Serio, Embry. Zrobię, co się da, żeby ją uratować.

Fakt, że użył mego imienia, a nie nazwiska, uśmierzył mój niepokój tak dalece, że odstąpiłem o krok i udawałem, że słucham kapitana kreślącego plan działania. *Embry*. Tak dziwnie zabrzmiało to w jego ustach, dwie sylaby przerywane trzaskiem wystrzałów i hukami eksplozji dobiegającymi z płonącej wsi.

Czy byłem złym bratem, zwlekając z przybyciem Morgan na ratunek w imię nadziei, że raz jeszcze usłyszę, jak wypowiada moje imię?

A zresztą… odpowiedź nie ma znaczenia.

Kapitan zakończył wydawanie rozkazów. Nasze trzy plutony rozdzieliły się, by podejść do wsi z rozmaitych stron. Używam słowa „wieś”, chociaż niewiele ma ono wspólnego z tym, co tam zastaliśmy. Uliczki były tak zasłane gruzem, że trudno byłoby orzec, którędy biegła droga, a gdzie stały domy. Ogień płonął na każdym kroku, hektyczny, niemalże radosny, jakbyśmy się natknęli na obszar jakiegoś rozpasanego pogańskiego święta, a nie weszli w strefę działań wojennych. Ze wszystkich stron padały strzały. Szybkie, trzaskające, chaotyczne.

Trwało to niecałe pięć minut, gdy w radiu rozległ się krzyk kapitana:

– Dostałem nową informację! Po jeziorze dryfuje łódź pełna dzieci. Kto jest najbliżej?

– Ja – padła odpowiedź Colchestera. – Idziemy tam.

– Pamiętaj o kościele – przypomniał kapitan. – Dorośli mieszkańcy wsi są zamknięci w kościele. Jak najszybciej przyholuj łódź do brzegu i idź do

kościoła, Colchester. Podejrzewam, że ta łódź może służyć odwróceniu naszej uwagi.

Kościół. Morgan. Poprowadziłem swoich ludzi na róg ulicy, gdzie doszło do wymiany ognia z separatystami. Rozglądałem się wokół, wypatrując świątyni, gdy naraz rozległo się *bum!* To był huk eksplozji tak potężnej, że podmuch omal nie zwalił mnie z nóg. Dobiegł on od strony, gdzie zatrzymał się konwój i gdzie był kapitan. Struchlały wpatrywałem się w chmurę kurzu i dymu tuż za granicą wsi.

W tej samej chwili usłyszałem przez radio głos Colchestera:

– Czterech moich ludzi padło. Łódź płonie. Widzę dzieci. Machają… wzywają pomocy. Kapitanie, idziemy im na pomoc, ale potrzebne nam będzie wsparcie. Kapitanie? Kapitanie?

Żadnej odpowiedzi.

– Ktokolwiek? – usłyszałem w słuchawce głos Colchestera. – Potrzebujemy pomocy! Natychmiast!

Wyglądało na to, że nikt nie pozostał przy życiu. Nikt prócz mnie i moich ludzi. Ale Morgan…

Kurczowo schwyciłem radiotelefon.

– Jesteśmy, poruczniku Colchester. Możemy przybyć wam z pomocą… ale… kościół też jest ważny.

Pauza.

– Wiem, poruczniku.

Zamknąłem oczy, zaczerpnąłem oddech.

– Co mamy zrobić?

– Nie ma dobrego wyjścia. Z tej sytuacji są tylko złe wyjścia, jasne?

Miałem poczucie, że pyta o coś innego, chce mi powiedzieć coś innego… I zrozumiałem co. To było straszne, ale to pojąłem. Mieliśmy

swoje zadania i wszystkie sprowadzały się do jednego – ratować cywilów, a na skomplikowanej skali wartości ludzkiego życia dzieci są najcenniejsze. Nawet ja potrafiłem to dostrzec.

– Rozumiem, Colchester.

– Dobrze. Masz najbliżej do kościoła. Wyślij tam czterech ludzi, a resztę przyślij tutaj. Co do siebie, to sam zadecyduj, dokąd pójdziesz.

Po raz ostatni popatrzyłem na ulicę i powiedziałem:

– Idę do ciebie.

Nigdy nie żałowałem dokonanego wówczas wyboru. Tamte dzieci zginęłyby, gdyby zabrakło choć jednego z nas. W sumie było nas dziewięciu i tylu właśnie trzeba było, żeby w porę uruchomić dwie łodzie i dopłynąć do dzieci na czas, by uratować je przed śmiercią w płomieniach. Jakiekolwiek mogłyby być konsekwencje, wiedziałem, że z karmicznego, logicznego i moralnego punktu widzenia postąpiłem właściwie.

Ale co z emocjami? Co z tym pustym miejscem w mojej piersi, zamieszkiwanym przez demony podsuwające mi złe i nienawistne myśli o mnie samym? Demony mówiły mi, że przedłożyłem Colchestera nad Morgan, dołączyłem do niego, zamiast ją ratować. I chociaż nigdy nie żałowałem tego, co wtedy zrobiłem, to byłem tego bliski, gdy wróciliśmy biegiem do kościoła i ujrzałem moich czterech ludzi martwych przed płonącą budowlą. Kopniakiem wyważyłem palące się drzwi i odnalazłem siostrę zakrwawioną i niemal uduszoną pod zwłokami dwóch innych ofiar. Kiedy zwlokłem z niej te trupy, Colchester z łatwością uniósł jej szczupłe ciało i wyniósł ją na powietrze pełne dymu. Potem siedziałem przy jej łóżku w szpitalu we Lwowie i usłyszałem diagnozę lekarzy, którzy obwieścili jej, że nigdy nie odzyska pełnego zakresu ruchu w barku.

W tamtych chwilach czułem wyrzuty sumienia tak straszne, jakby poczucie winy mogło się zmaterializować i szarpać moje ciało szponami.

Ostatniej nocy we Lwowie, tuż przed wypisaniem ze szpitala, Morgan spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała:

– Nigdy ci nie wybaczę. Ani Maxenowi.

– Możesz nienawidzić mnie, ile chcesz – odparłem. – Ale nie Colchestera. On sobie na to nie zasługuje.

– Nie nienawidzę go – odpowiedziała, spoglądając na ścianę obłażącą z szaroburej farby. Spoza zasłony oddzielającej jej część pokoju od części przynależnej drugiej pacjentce dobiegł nas kaszel i kilka słów wymamrotanych w języku ukraińskim. – Mogę nie wybaczyć mu, a mimo to nie czuć do niego nienawiści.

– Morgan, wiesz, że lekarze nie powiedzieli ci całej prawdy. Tamte dzieci…

– Tak, wiem – warknęła. – Dzieci. Nie musisz mi tego powtarzać.

– Zrobiłabyś to samo.

Zamknęła oczy.

– Nie możesz wiedzieć, co bym zrobiła. Nie masz o tym zielonego pojęcia.

– Może i nie jesteśmy ze sobą spokrewnieni, ale oboje zostaliśmy wychowani przez Vivienne Moore. Zrobiłabyś to, co najlepiej wyglądałoby na papierze. To, co najkorzystniej prezentowałoby się w twoich wspomnieniach.

– Więc dlatego to zrobiłeś? Żeby dobrze wypaść w podręcznikach historii?

Pomyślałem o tamtych dzieciach, które wyciągaliśmy z łodzi, o ich usmolonych buziach i panicznych krzykach. I o Colchesterze powtarzającym im po ukraińsku *wy w bezpieczi, wy w bezpieczi*.

Jesteście bezpieczne, jesteście bezpieczne.

Pomyślałem o moim własnym imieniu w jego ustach, o jego wargach, języku i gardle wspólnym wysiłkiem wytwarzających dźwięki składające się na moje imię.

– Były też inne powody – przyznałem.

– A ty co? Nagły atak wyrzutów sumienia?

– Zawsze miałem wyrzuty sumienia. – Wyszczerzyłem zęby w uśmiechu, choć zamknęła oczy i nie mogła tego zobaczyć. – Po prostu nauczyłem się je ignorować.

Morgan wyczuła, że się uśmiecham, i dostrzegłem, że sama z trudem powstrzymała się od uśmiechu.

– Jesteś niepoprawny.

– I cokolwiek bym zrobił, nigdy mi tego nie wybaczysz.

– Embry – powiedziała i otworzyła oczy. – Zanim pojadę do domu, chciałabym powiedzieć ci… – Umilkła, wbiła wzrok w sufit i przygryzła dolną wargę. Przesunęła palcami po czole i przez chwilę tak bardzo przypominała Colchestera, że aż osłupiałem. Jednak potem opuściła rękę i westchnęła, jakby zmieniła zdanie w jakiejś kwestii. – Uważaj z Maxenem – powiedziała w końcu. – On nie jest taki, jak ci się zdaje.

– Nie masz się czego wstydzić, Morgan. Widziałem, jak twoje uda wyglądały po tygodniu waszych figli w Pradze.

Znów przygryzła wargę.

– Widziałam, jaki był. To znaczy, jaki *jest*. Widzę, jaki jest, bo sama jestem jak on w tym, czego chcę, jak kocham. Ale ty taki nie jesteś, Embry.

– Nie jestem jaki? Nie lubię być chłostany?

Wywróciła oczami i znów wyglądała jak nastolatka, jak rządząca się starsza siostra, która nie pozwalała mi w spokoju oglądać telewizji.

– Chodzi o coś… o dużo więcej niż klapsy na goły tyłek, wiesz. – Spoważniała. – On nie chciałby wyłącznie twego ciała. On pożądałby twego umysłu, myśli, serca. Twego całkowitego oddania. Chodzi o coś więcej niż kilka klapsów w trakcie łóżkowych figli-migli. Chodzi o władzę, ból i kontrolę. Mógłby żyć bez tego, lecz wówczas by cierpiał.

– I myślisz, że nie potrafiłbym tego znieść?

W jej wzroku odmalowało się niedowierzanie.

– Ależ Embry, jesteś największym egoistą, jakiego znam. Niczego nie traktujesz serio, chcesz tylko pić i pieprzyć, a do tego wiecznie rozczulasz się nad sobą i cierpisz. A w każdym razie cierpisz, kiedy nie możesz do woli pić i pieprzyć. Czy ty naprawdę myślisz, że jesteś stworzony do tego, by brać na siebie brzemię potrzeb Maxena? Ty nie potrafisz poradzić sobie nawet z własnymi potrzebami!

Trafiła w punkt. A nawet w kilka. Nie umiałem sobie wyobrazić, że mógłbym pozwolić, by ktokolwiek zadał mi ból, lub choćby przejął prowadzenie w łóżku. Byłem zbyt zgnojony emocjonalnie, żeby choć w zabawie pozwolić komuś gnoić się w łóżku.

– A tak przy okazji, to skąd się tak dobrze znasz na wszystkich tych pieprzonych perwersjach? Stanowczo za dobrze się w tym gównie rozeznajesz.

Uniosła brew.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Namyślałem się przez chwilę, po czym odpowiedziałem:

– Wiesz co? Nie chcę.

Roześmiała się.

Wstałem z krzesła.

– Na mnie już pora. Jesteś pewna, że to dobry pomysł wypisać się ze szpitala?

– Tak. Nimue mnie odbierze i poleci ze mną.

Nimue była najmłodszą siostrą mojej matki, wiekiem bardziej zbliżona do nas niż do niej. Jako autentycznie jedząca komosę ryżową i obwieszona kryształami hipiska z Seattle stanowiła dla gubernator Vivienne Moore nieustające źródło wstydu. Jednak zarazem była opiekuńcza i miła i na dodatek była profesorką socjologii, więc nie dało się zaprzeczyć jej inteligencji. Wiedziałem, że Morgan znajdzie się w dobrych rękach.

Pochyliłem się i uściskałem siostrę, na ile to było możliwe, uważając, by nie urazić ją w ranny bark.

– Kocham cię, siostrzyczko.

– Ja też cię kocham, braciszku. Ale i tak ci tego nie wybaczę. – Odchyliła się, by móc spojrzeć mi w oczy i dodała: – I nie zapomnij tego, co mówiłam o Colchesterze. Jeśli chcesz być szczęśliwy, trzymaj się od niego z dala. Znajdź sobie jakąś miłą dziewczynę. Najlepiej spokojną blondynkę, która lubi książki. Taki wybór oszczędzi ci mnóstwa kłopotów.

10

Greer

po

Prezydent Melwas Kocur siedzi po drugiej stronie stołu, dość dużego, żeby pomieścić zastawę, kwiaty, świece, kieliszki na wino. Melwas polecił, by służba nam nie przeszkadzała, więc obsługujemy się sami, a ja sięgam wyłącznie po te dania, które on jadł przede mną. Nie czuję smaku żadnych potraw, z wyjątkiem – rzecz dziwna – cienkich jak papier plasterków jabłka w sałatce. Są tak cierpkie, że aż wykręcają mi usta i zmuszają mnie do nadmiernego przełykania śliny. Niezależnie od tego, ile wody wypijam i co jeszcze zjadam, wciąż czuję w ustach paskudny cierpki smak.

Melwas jest tak przystojny, jak to zapamiętałam, blondyn o mocnej twarzy, barczysty i muskularny, co podkreśla strojem. Jednak z bliska widoczne stają się skazy jego urody. Matowe oczy barwy żołędzi wciśniętych w zimowe błoto patrzą zbyt twardym wzrokiem. Usta zdają się zbyt wąskie jak na szeroką szczękę, a dłonie bawiące się kieliszkiem

i skubiące nie wiedzieć po co lniane serwetki zbyt miękkie i przesadnie wypielęgnowane.

– Nie zapytasz? – odzywa się wreszcie.

Odkąd usiadłam przy stole, nie przemówiłam ani słowem, poza cicho wypowiedzianym *dziękuję*, gdy wyraził zachwyt dla mojej urody. Wolałabym nie mówić nawet tego, lecz postanowiłam zachowywać się jak królowa Ginewra, a ona tak właśnie by postąpiła. Zarówno po to, by podkreślić zachowaną nienaruszoną suwerenność, jak i w tym celu, by nadać ton dalszym interakcjom. Wprawdzie wszystko się we mnie burzy na myśl, że mam traktować mego porywacza uprzejmie, lecz wydaje się rzeczą roztropną jak najdłużej utrzymywać nasze relacje w granicach konwenansu.

– O co?

Ruchem ręki ogarnia otoczenie.

– Dlaczego tu jesteś. Co ja tu robię. Dlaczego cię tu sprowadziłem.

– Zakładam, że to posunięcie mające na celu sprowokowanie mego męża. – Mój głos brzmi spokojnie, choć wcale spokojna nie jestem.

Melwas kiwa głową.

– Tak, po części. Ale Greer, z pewnością nie zapomniałaś tego, co mówiłem w Genewie.

„Kiedyś przekonam się, co wielki amerykański bohater ma w łóżku co noc”.

„Od długiego czasu nie miałem żadnych wyzwań”.

Doskonale pamiętam tamte słowa. Takich gróźb się nie zapomina, zwłaszcza gdy się wie, jakim człowiekiem jest Melwas. Więc zdaję sobie sprawę, że wtedy nie rzucał słów na wiatr.

Opuszczam dłonie na kolana, żeby nie spostrzegł, że drżą. Na szczęście nad wyrazem twarzy panuję całkiem dobrze. Głos także mnie nie zdradza.

– Pamiętam, prezydencie Kocur.

Podnosi się z krzesła, okrąża stół i staje za moimi plecami. Opuszcza dłoń i kładzie mi na ramieniu. Jego dotyk jest żrący jak kwas. Czuję, jak zdziera ze mnie ciało, zatruwa spokój ducha, przepala postanowienie zachowania uprzejmej rezerwy. Rozglądam się spod przymrużonych rzęs – wartownicy są rozmieszczeni dyskretnie wokoło obszernej centralnie ulokowanej sali. Mogłabym spróbować wykorzystać fakt, że jest tak blisko, by mu coś zrobić, ale szybko zostałabym obezwładniona, a poza tym nie mam żadnej broni poza sztućcami i pięściami.

– Chciałbym, żeby to spotkanie zapisało się dobrze w pamięci nas obojga – powiada Melwas. Jego głos łagodnieje. – Czy podobają ci się ubrania, które ode mnie dostałaś? Uroczy pokój? Nawet moja żona nie ma takich ładnych rzeczy.

Zamierza mnie zgwałcić, a do tego oczekuje, że będę zachwycona?

– Doceniam ubrania jako wyraz troski – odpowiadam, bo życie spędzone wśród polityków nauczyło mnie dyplomacji. – Natomiast nie jestem pewna, jak mam rozumieć swoje położenie.

– Przekonam cię do siebie – stwierdza.

– Wydawało mi się, że traktujesz mnie jako wyzwanie. Że chciałbyś złamać mego ducha.

Dłoń na moim ramieniu zaciska się. Mocno.

– Tak. Tego chcę. Wiedz o tym, Greer, że jeśli będziesz się bronić, sprawisz mi tym większą radość.

– Więc czego ode mnie oczekujesz, prezydencie Kocur? Żeby mi było przyjemnie, czy żebym się broniła?

Jego dłoń wędruje z mego ramienia na kark, gdzie wpija palce w moje włosy. Z bólu aż mi łzy stają w oczach.

– Potraktuję cię, jak trzeba – zapowiada. – Takie kobiety jak ty lubią ostre traktowanie… – przebiera palcami w moich włosach – …a mężczyźni tacy jak ja są stworzeni do tego, żeby im dogadzać. Moi ludzie zameldowali mi, że miałaś na nogach ślady, które tego dowodzą. Więc nie udawaj, że boisz się mojej namiętności.

Szarpie jeszcze raz, tak mocno, że krzyczę, po czym puszcza. Wraca na swoje miejsce, a ja widzę, że humor mu się zmienił. Znajduje się w jednym z tych nieprzewidywalnych stanów wahań nastroju, z których jest znany.

– Wyjdzie ci to na dobre, zobaczysz – powiada żarliwie, niemal ze skruchą. – Przekonasz się, jak wiele jestem gotów dla ciebie zrobić, i z czasem mnie pokochasz.

Zabiera się do jedzenia, a ja wybałuszam na niego oczy, usiłując siłą woli doprowadzić swoje tętno do normy. To trudne, bo dociera do mnie, że jest niebezpieczniejszy, niż podejrzewałam.

To sadysta, któremu wydaje się, że jest dobry, narcyz, który wyobraża sobie, że jest pokorny i skromny.

I jeśli czegoś nie wymyślę, to będę całkowicie zdana na jego łaskę.

– Dość tego – oznajmia naraz. Uderza grzbietem dłoni w stół i jak spod ziemi wyrastają służący i sprzątają ze stołu. Wstaje, podchodzi do mnie, chwyta za ramię i podrywa tak gwałtownie, że krzesło z hukiem wywraca się na posadzkę. – Idziemy do twojego pokoju.

Serce tłucze mi się w piersi, a on wlecze mnie po schodach w dół, na pierwsze piętro. Dociera do mnie, że postawa królowej Ginewry zawiodła, nie skłoniła mego porywacza do zachowania ogłady. Teraz stoję przed wyborem – poddać się mężczyźnie, który niemal na pewno zamierza mnie zgwałcić, albo walczyć. I przez ułamek sekundy marzę o tym, żeby być inną kobietą niż Morgan Galloway-Colchester. Żałuję, że nie jestem wojowniczką, bokserką, policjantką, żołnierką. Chciałabym być jedną

z tych kobiet, które miotają strzały z łuku i obalają imperia, które potrafią rozprawić się z draniami takimi jak Melwas. Niestety, nie jestem.

Potrafię wyliczyć miejsca dwunastu bitew stoczonych przez króla Artura, recytować Chaucera z pamięci, posługiwać się staroangielskim równie płynnie, jak mercyjscy wojowie. Umiem przejrzeć na wylot kombinacje polityków i nakłaniać ich do wprowadzania w życie projektów ustaw, których sobie życzę, umiem formułować oficjalne oświadczenia w taki sposób, żeby znaczyły naraz wszystko i nic. Potrafię zapanować nad trzydziestoosobową klasą, nad salą konferencyjną, nad dziennikarzami, nad gronem prawodawców o kamiennych twarzach – uczyłam się tego od dzieciństwa. Lecz tu? Oprzeć się brutalowi, który ma na podorędziu sługusów z pistoletami i pałkami?

Nie mam pojęcia, co można zrobić w tej sytuacji.

Stajemy przed drzwiami mego pokoju, gdzie – świadoma obecności jego ludzi za naszymi plecami – podejmuję ryzykowną grę.

– Proszę – mówię cicho – zostańmy tylko we dwoje.

Udaje mi się włożyć w te słowa dość autentycznej desperacji, żeby mój głos lekko drżał. A niechże weźmie to drżenie za wyraz podniecenia.

I tak się dzieje. Melwas oblizuje wargi, patrzy mi w oczy, a potem opuszcza łakome spojrzenie na moje piersi widoczne w nisko wyciętym dekolcie sukni z czerwonego jedwabiu.

– Zaczekajcie tu – rzuca, po czym wpycha mnie do pokoju. Przekręca klucz w zamku, ściąga marynarkę i rzuca na podłogę, a następnie zabiera się do rozpinania spinek u mankietów koszuli.

Przez chwilę patrzę na niego zbita z tropu. Ileż razy widziałam, jak Ash wykonywał dokładnie tę samą czynność? Odpinał spinki, rozluźniał węzeł krawata, podwijał rękawy, odsłaniając sprężyste mięśnie przedramion? Jak

to możliwe, żeby dwóch mężczyzn wykonywało te same gesty i wypadało przy tym tak odmiennie?

Podchodzę do drzwi balkonowych i przycisnąwszy czoło do szyby, wyglądam w zapadający zmierzch. Jestem wyczerpana i czuję, jak macki wściekłego bólu wciskają się w mój mózg. Wciąż mam w ustach cierpki smak tamtych jabłek.

Jednak to właśnie jest moja szansa. Jestem w pokoju sama z Melwasem, bez jego obstawy. Nie wiem, co zrobię, kiedy już go obezwładnię – o ile w ogóle zdołam tego dokonać – ale lepszej okazji mieć nie będę.

Być może zechce cię związać, myślę. *Uprzedź go*.

Melwas skrada się do mnie z podwiniętymi rękawami i przypiera swoim rozgrzanym ciałem do zimnej szyby. Każdy centymetr mego ciała, każdy zakamarek i każda wypukłość wzdryga się z obrzydzenia, krzyczy *nie!*, jakby to *nie* było emocją, jakby *nie* było reakcją fizjologiczną. Ukrywam to, opieram się odruchowi każącemu mi się odsunąć lub go odepchnąć, bo z kursu samoobrony, na który chodziłam w college'u, wiem, że muszę być opanowana i skoordynowana. Uderzenie w oczy, kopniak kolanem w jaja, a kiedy się złoży, kolejny kopniak kolanem, tym razem w głowę. Dam radę. Oczy, jaja, głowa.

Oczy, jaja, głowa.

Raz, dwa, trzy – prosta sprawa.

Melwas chwyta mnie jedną dłonią za gardło, a drugą przesuwa po jedwabiu, sięgając do wzgórka łonowego. Jego uścisk jest mocny, bolesny i nie potrafię odeprzeć przeszywającej mnie gorącej fali wstydu i strachu, łez napływających mi do oczu. Nie chcę tego, nie chcę tego, nie chcę tego.

Oczy, jaja, głowa, przypomina królowa obecna w moim umyśle. Czekaj na odpowiednią chwilę.

Jednak czekanie jest najgorszym, co mogę sobie wyobrazić, gdy tak stoję, a Melwas szepcze mi w ucho rzeczy, których nigdy nie będę w stanie zapomnieć, kłamstwa, których ohyda nie umniejsza ich nikczemnej podstępności. Usiłuje wmówić mi, że sama tego chcę, że wyświadcza mi łaskę, ofiarując mi to, bo kobiety takie jak ja – kobiety lubiące poddawać się dominacji – lubią także i to, by brano je przemocą.

Nienawidzę tego, tak bardzo nienawidzę jego kłamstw, nienawidzę twardej, bezwzględnej dłoni, którą tłamsi moje niechętne ciało, sącząc mi je do ucha. Nienawidzę tego, jak jego kłamstwa wiążą się z moimi najskrytszymi lękami, jakby na potwierdzenie, że jest coś nie w porządku ze mną i tym, jak lubię uprawiać seks.

Jednak mimo obaw jestem pewna, że to tylko kłamstwa. Dowodzi tego reakcja mego ciała – przerażenie i wstręt. I z tej pewności czerpię cierpliwość, żeby wyczekać jeszcze chwilę, aż jego uścisk się rozluźni, a dłoń miętosząca moje genitalia wypuści je, by sięgnąć do sprzączki paska.

Teraz.

Zbieram siły do półobrotu, zwieram czubki palców, by wymierzyć nimi cios, każdym pięciorgiem pazurów w jedno z tych matowych jak żołędzie oczu, gdy nagle rozlega się pukanie do drzwi.

Melwas prycha zniecierpliwiony i rzuca coś po ukraińsku.

Nie-Daryl odpowiada w tym samym języku przez drzwi i choć go nie rozumiem, wyczuwam ton przepraszający, ale zarazem naglący.

Kurwa.

– Kurwa – powtarza Melwas, a jego dłoń puszcza moje gardło.

Rusza w pośpiechu do drzwi, a ja oglądam się za nim, wciąż spięta, z palcami skupionymi w gotowe do ataku szpony.

Melwas naradza się z Nie-Darylem przez chwilę, kręcąc głową, po czym wraca do mnie ze zwężonymi ze złości oczami.

– Przykro mi – powiada – ale dziś się nie zabawimy. Czekają na mnie sprawy niecierpiące zwłoki.

Wyciąga rękę, by pogłaskać mnie po głowie, a ja odruchowo uchylam się przed jego dotknięciem. Słyszę, jak Nie-Daryl tłumi parsknięcie.

Melwas robi wściekłą minę.

– Może wyjdzie ci na dobre, jak przemyślisz sobie sprawy, o których dziś rozmawialiśmy. – Skinieniem daje znak Nie-Darylowi i dwóm innym mężczyznom stojącym w progu i nim zdążę cokolwiek zrobić, zakneblowana i związana zostaję rzucona jak tłumok na łóżko.

– Nie każę zawiązać ci oczu – oznajmia Melwas łaskawym tonem, w nagłym przypływie dobroci. – Zgaszę światło, żebyś mogła sobie patrzeć na gwiazdy za oknem. Tu w górach gwiazdy stanowią naprawdę piękny widok. – Przesuwa dłonią po moim brzuchu i chwyta mnie za pierś. – Mam nadzieję, że uda mi się wrócić jeszcze dziś. A jeśli nie, to dokończymy jutro.

Z tymi słowami wychodzi, za nim jego goryle, a ja samotna i zamknięta od zewnątrz, wreszcie pozwalam sobie na płacz.

11

Embry

po

Kiedy widzę, jak Melwas zanurza palce we włosach Greer i szarpie jej głowę w tył, odsłaniając bladą kolumnę szyi, zrywam się na równe nogi, a z piersi wyrywa mi się głuchy warkot.

Wu ściąga mnie w dół.

– Nie wychylaj się, bo nas zobaczą – syczy.

Kucam obok Wu i Gareth, ale krew we mnie wrze. Unoszę lornetkę do oczu i kieruję w okno schroniska. Widzę słodkie usta Greer rozwarte w krzyku bólu, gdy Melwas ponownie szarpie ją za włosy, a potem czuję palce Wu zaciskające się na moim ramieniu.

– *Czekaj* – nakazuje szeptem.

Ale ja nie chcę dłużej czekać. Dość wysiłku kosztowało mnie usiedzieć w miejscu podczas lotu do Polski, z najwyższym trudem panowałem nad nerwami w trakcie podróży w głąb Karpatii wynajętym jeepem – polnymi drogami przez wzgórza, by uniknąć spotkania z patrolami świeżo

powołanej i wciąż mało skutecznej karpatiańskiej straży granicznej. Ciężko było mi zapanować nad zniecierpliwieniem podczas przedłużającej się obserwacji schroniska. W trakcie mozolnej wspinaczki pośród stromych skał i grubych pni starego lasu, niezbędnej dla pokonania zewnętrznego ogrodzenia, z trudem znosiłem konieczność zamierania w bezruchu, ilekroć nad naszymi głowami przelatywały drony. I ledwie okna schroniska znalazły się w zasięgu naszych oczu, ujrzałem tego potwora maltretującego Greer.

Brak mi już cierpliwości do *czekania*.

Na szczęście Melwas zabiera łapska od Greer, a ja na powrót mogę oddychać. I myśleć.

– Tu, od naszej strony jest boczne wejście dla służby – mówi Gareth. – Tylko zamek, zero strażników.

– Mogą być kamery lub czujniki ruchu – ostrzega Wu.

– Dlatego podejdziemy, gdy będzie się tam coś poruszać – mówię i opuszczam lornetkę.

Włamanie do stołecznej rezydencji powinno nastąpić lada chwila. W trakcie naszej podróży Gareth zaaranżowała fortel mający zmylić przeciwnika – pozorowane włamanie do prezydenckiego pałacu w stolicy, o parę godzin jazdy od schroniska. Liczymy na to, że tym sposobem odciągniemy stąd Melwasa, albo przynajmniej część jego ludzi.

Mruknięcie Gareth sprawia, że na powrót unoszę lornetkę do oczu. Widzę, że zapala się światło w pokoju na piętrze. Greer jest sama z Melwasem, który ściąga marynarkę.

– Sukinsyn – klnę.

Zabiję go, przysięgam, że go zabiję, jeśli poważy się na próbę gwałtu.

Gwałt.

Boże, to słowo. Podczas wojny ciążyło jak mgła nad wzniesieniami Karpat, te powtarzające się bez końca akty gwałtu we wsiach i miasteczkach zajmowanych przez oddziały Melwasa. Twarze tamtych kobiet, niekiedy jeszcze prawie dzieci – ze śladami łez na umorusanych policzkach, zmartwiałe z bólu. Staraliśmy się im pomagać, udzielaliśmy pomocy medycznej, zapewnialiśmy je, że nic im nie grozi, lecz one trzymały się od nas z dala, kuliły się, słysząc męskie głosy. Właśnie dlatego Ash i ja uczyniliśmy z przemocy seksualnej główny temat kampanii. W imię wszystkich kobiet, dla których przybyliśmy za późno.

Tym razem nie przybędę za późno, by ocalić Greer.

Widzę jej twarz, niemal równie pozbawioną wyrazu jak tamte twarze, które zapamiętałem z czasów wojny. Przyciska czoło do szyby i dostrzegam, że wdycha powietrze powoli, ostrożnie, jakby musiała sobie przypominać, jak się oddycha, jak utrzymuje się ciało przy życiu.

I widzę, że on znów się do niej dobiera, jedną ręką trzyma ją za gardło, drugą kładzie na cipce. Zaciska palce i dostrzegam łzę wypływającą spod jej długich, ciemnych rzęs.

Podrywam się na nogi i nim Wu zdąży mnie powstrzymać, puszczam się biegiem do schroniska. Docieram do bocznego wejścia, gdy Wu zrównuje się ze mną w biegu.

– Ja pierdolę, co ty wyprawiasz? – pyta ściszonym głosem. – Co z naszym planem?

– Pierdolę plan – warczę. – Zabiję go, nim ją skrzywdzi.

– To, że się dasz zabić, nic jej nie pomoże…

– Chłopcy – słyszę w słuchawce głos Gareth. – Melwas wychodzi.

– Co?

– Wychodzi z pokoju. Związali i zakneblowali Greer, a wychodząc, zgasili światło. Schodzą do holu… wychodzą frontowymi drzwiami.

Musiała do nich dotrzeć wiadomość o naszej dywersji w stolicy.

Słyszymy warkot zapalanego silnika, potem drugiego i trzeciego, chrzęst opon na żwirze.

– Ilu pozostawionych ludzi widzisz ze swojego stanowiska?

– Jeden przy drzwiach frontowych. Myślę, że drugi waruje pod drzwiami pani Colchester.

Wu spogląda na mnie.

– Dwóch? Czy to możliwe, żebyśmy mieli taki fart?

– Jeśli Melwas ufa, że ogrodzenie jest pewne… jeśli łudzi się, że nie znamy tej jego kryjówki… – Zamykam oczy, skupiam myśli. – Z dwoma się uporam. Wy zostańcie na zewnątrz, w ukryciu. Jeśli się nie odezwę lub jeśli nie wyjdziemy z pierwszą damą w ciągu godziny, będziecie musieli zrewidować plan.

– Jak za dawnych czasów, co? – Wu wręcza mi pistolet.

Chłodny ciężar w dłoni jest naraz czymś swojskim i dziwnym, a jego swojskość wiąże się z innym człowiekiem, innym życiem. Przez chwilę zastanawiam się, czy uprowadzenie Greer nie jest częścią mojego przeznaczenia, moją karmą. Czy szczęście nie będzie mi na zawsze odmówione z powodu wszystkich okropności, jakie popełniłem, wszystkich egzystencji, jakie przerwałem w imię wojny, wolności lub lojalności.

– Jak za dawnych czasów – odpowiadam, wsuwam pistolet za pasek, biorę z rąk Wu strzelbę i przestrzeliwuję zamek w drzwiach.

Zdjąłem faceta przy frontowych drzwiach tak cicho, jak to możliwe, po przebiegających w milczeniu zmaganiach, dławiąc go do chwili, gdy stracił przytomność. Nie zabiłem go, choć miałem chęć mordować każdego, kto

przyłożył rękę do porwania Greer. Od zabójstwa powstrzymała mnie nie świadomość, że byłoby ono złem, lecz pewność, że Ash by tego nie chciał. Nie tylko dlatego go nie zabiłem, że zaszkodziłoby to nam, w razie gdybyśmy zostali złapani, lecz przede wszystkim dlatego, że Ash nienawidził odbierania życia. Nienawidził tego.

Co do mnie, to nienawidziłem uczucia następującego *po*, poczucia winy, pobitewnej udręki, i nie miałem najmniejszej ochoty doznać go znowu po tych wszystkich latach. Więc po prostu dławiłem faceta, póki nie stracił przytomności, a potem skrępowałem go i zakneblowałem przy pomocy trytytek i taśmy, które zabrałem ze sobą właśnie w tym celu.

Teraz czekam przed drzwiami Greer, aż podejdzie drugi ochroniarz… czekam… aż słyszę jego oddech za zakrętem korytarza, za którym się kryję, po czym załatwiam go tak samo jak pierwszego. Mam ochotę wpaść do pokoju, w którym ją uwięziono, lecz opanowuję ten impuls i postępuję ostrożniej. Sprawdzam inne piętra, inne pokoje, upewniam się, że w schronisku nie czai się jeszcze jakiś strażnik.

– Dom jest czysty – melduję przez mikrofon podłączony do słuchawki. – Obaj strażnicy załatwieni. Idę po panią Colchester.

– Zrozumiano – odpowiada Wu. – Ruszamy z Gareth do bramy, zobaczymy, co da się zrobić ze strażnikami i systemami zabezpieczeń. W razie zmian lub gdyby wrócił Melwas, damy znać, w przeciwnym razie czekamy w umówionym miejscu za ogrodzeniem.

Rozłączam się i wracam na piętro. Odsuwając zasuwkę w drzwiach, zauważam, że ręce mi trochę drżą. Drżą, choć dotąd były absolutnie spokojne, zarówno wówczas, gdy trzymałem w nich broń, jak i później, gdy obezwładniałem strażników.

Zapewne to sprawa adrenaliny albo ulgi. Albo może miłości.

Otwieram drzwi i w poprzek ciemnej sypialni pada podłużny prostokąt światła. Moim oczom trzeba chwili, by przywyknąć do ciemności i ogarnąć obszerny pokój, łoże z baldachimem i leżącą na nim szczupłą postać. W tym samym momencie, gdy mój wzrok rejestruje jedwabiste jasne włosy, Greer pojawia się moim oczom – przetacza się z morza ciemności w plamę światła.

Oślepiona mruży oczy, ale nic nie mówi, a ja przypominam sobie, że przecież jest zakneblowana. Zakneblowana i skrępowana srebrną taśmą stanowiącą dysonans wobec czerwieni jedwabiu.

Dysonans… ale niepozbawiony uroku.

To, co następuje potem, dzieje się w sekundę lub dwie, w czasie jednego uderzenia serca, mrugnięcia okiem: robię krok naprzód, chcę przemówić, chcę przeciąć jej więzy, porwać ją na ręce – chcę zrobić wszystko, by odsunąć od niej tak wiele z minionego koszmaru, jak to możliwe – lecz, kiedy się zbliżam, pada na nią mój cień.

I oto Greer rozchyla powieki i widzi mnie, lecz jej twarz nie wyraża ulgi ani radości, lecz panikę, i porusza się w taki sposób, jakby chciała powiększyć dystans między nami, miota się w obłędnej desperacji. Wydaje z siebie jakiś dziwny dźwięk – krzyczy, a jej krzyk jest stłumiony przez taśmę zaklejającą jej usta. Dociera do mnie, że nie widzi mojej twarzy, że jestem dla niej jedynie męską sylwetką wyłaniającą się z mroku.

I oto mam przed sobą Greer, z oczami srebrnymi jak taśma krępująca jej nadgarstki, wielkimi i przerażonymi, w szacie z czerwonego jedwabiu, opinającej i uwydatniającej każdą krągłość jej idealnych kształtów. Greer z piersią wstrząsaną szlochem przerażenia, z odsłoniętym gardłem, z ciałem skrępowanym i wydanym na łaskę pierwszego lepszego mężczyzny, który się nawinie.

Oto Greer naznaczona moim cieniem padającym na jej ciało jak pieczęcią czy piętnem stanowiącym potwierdzenie własności.

I to, co czuję, to szok, wstrząs, jak po dotknięciu językiem baterii. Metaliczny posmak wypełnia moje usta, a w moim umyśle krążą tysiące ohydnych, niewypowiedzianie okrutnych wyobrażeń. Moje serce zaczyna walić, palce mnie świerzbią, w podstawie kręgosłupa pulsuje gorąco… i ja pieprzę, czuję to.

To… *popęd*. Żeby brać. Zadawać ból. Krzywdzić. Mieć ją w więzach, bezbronną i bezradną wobec moich żądz.

Poczuć, jak jej ciało otwiera się przede mną, jak poddaje się mojej władzy, ulega moim uściskom, penetracji, przemocy. I sama ta myśl, tysięczne możliwości zawierające się w tym jednym obrazie mego cienia znaczącego jej ciało…

Stanął mi. Stoi i nie daje mi spokoju. To niemożliwe, wprost do bólu *tego* chce.

Co się ze mną dzieje? To nie jestem prawdziwy ja. Dawno już pogodziłem się z myślą, że nie jestem ani osobnikiem jednoznacznie dominującym, ani uległym… chociaż jestem zakochany i w dominacji, i w uległości. Pozwalam na to, by Ash kochał mnie i czerpał ze mnie do woli, a chwile z nim przeżyte uważam za najpełniejsze, najlepsze chwile w moim życiu. Zdarzyło mi się jednak też leżeć na Greer i słuchać, jak szepcze mi do ucha, że jest dziewicą, i rozkoszowałem się wtedy każdą obłędną sekundą, kiedy ją pieprzyłem, rozkoszowałem się jej krwią i kwileniem i jękami bólu i serią orgazmów, które wymusiłem na jej ciele i od których aż się skręcałem z rozkoszy.

Może chodzi o mnie. Może w ten sam sposób, jak poddaję się Ashowi, dopiero po walce i poniesionej klęsce, potrafię zdobyć się na dominację tylko w analogicznych sytuacjach.

Wszystkie te myśli przebiegają przez moją głowę w ułamku sekundy potrzebnym Greer na to, żeby mnie rozpoznać. Jej wielkie oczy robią się jeszcze większe, a łzy przerażenia zmieniają się w łzy ulgi. Ten widok przerywa lub choć osłabia zły czar, dodaje mi sił, by podejść do niej i poprzestać na tym, że przykładam jedną rękę do jej policzka, a drugą rozsznurowuję knebel i wyciągam jej z ust. Przypominam sobie Asha powtarzającego *wy w bezpieczi – jesteście bezpieczne* – do ludzi, których uratował podczas wojny, lecz nie potrafię zdobyć się na powtórzenie ich Greer. Jak mógłbym to zrobić, skoro wciąż dyszę żądzą zrodzoną ze świadomości, że bynajmniej bezpieczna *nie* jest?

– Jesteś okej? – pytam cicho.

– Nie… – szlocha, chwytając suchymi ustami powietrze mokre od łez. – Myślałam, że ty… że to on… wraca i myślałam…

Jej łzy sięgają do głębi mego serca, wzbudzają opiekuńcze uczucia, ożywiają na powrót pragnienie ukojenia jej, chronienia i zniszczenie wszystkiego, co mogłoby jej zagrażać.

Lecz zarazem podsycają płonące we mnie mroczne żądze.

– Greer, już dobrze, nie musisz płakać – perswaduję. – Proszę cię, kochanie.

– Ależ muszę płakać – odpowiada na to, a jej głos jest naraz zapalczywy i rozpaczliwie piskliwy. – Muszę, muszę, *muszę!* On mnie dotykał, Embry, i chciał… on chciał… – Dalsze słowa rozpływają się w szlochu. Usiłuję ją uspokoić, dodać jej otuchy.

– Melwas odjechał – mówię i zajmuję się jej nadgarstkami. Taśma została zaciśnięta zbyt mocno i koniuszki palców zsiniały. Dotykam ich i czuję, że są zimne. – Zająłem się strażnikami. Za ogrodzeniem czekają na nas nasi ludzie, więc wszystko, co nam pozostało, to wiać stąd. Teraz już nic ci nie grozi. Już prawie jesteśmy w domu.

Wyrywa dłonie z mojego uścisku, gwałtownie, tak gwałtownie, że jestem zszokowany i wystraszony. To nie moja Greer, cicha profesorka, powściągliwa, rozważna księżniczka. Nigdy jeszcze jej takiej nie widziałem – porywczej, nieskładnej i nierozumnej. Aż budzi we mnie lęk. Aż mam chęć wykastrować Melwasa gołymi rękami. Aż nabieram ochoty, żeby ją wypierdolić.

– Greer – odzywam się, ujmując jej drobne dłonie swoją dłonią i usiłując stłumić własne nikczemne i niskie popędy. – Już po wszystkim. Jestem tu z tobą, wyciągniemy cię stąd…

– Co on by mi zrobił, gdybyś się nie zjawił? – Dopytuje wciąż tym samym piskliwym, wystraszonym głosem. Patrzy mi w oczy. – Co by mi zrobił, gdyby miał okazję?

Pytanie jest zbyt niebezpieczne, zbytnio intymne. Czuję ulgę, że ciemność pokoju skrywa moją twarz, moje ciało.

– To już nieważne, aniele. Teraz już nic ci nie zrobi.

– Nie, to ważne – upiera się. – Ważne. Obmacywał mnie i mówił mi takie rzeczy... Wciąż czuję jego łapy i czuję jego sterczącego fiuta, i wciąż mam w uszach jego głos. – Przełyka ślinę, a kiedy ponownie się odzywa, jej głos jest drżący i słaby. – Czuję się tak, jakby zaczął rzucać na mnie klątwę i jakby fakt, że jej nie dokończył, w niczym nie umniejszał jej siły.

– Nie – protestuję. – To wszystko *już* się skończyło. Jesteśmy niemal bezpieczni.

– Czułam się taka bezradna – ciągnie, a z tych jej słodkich, srebrnych oczu wciąż płyną łzy. – Cokolwiek bym zrobiła, cokolwiek bym powiedziała, nic by go nie powstrzymało. Zanim wyszedł, zamierzałam walczyć, bronić się, ale nawet gdyby udało mi się go obezwładnić, za drzwiami wciąż tkwiły te jego zbiry…

Drży. Dygocze. A ja czuję nienawiść do siebie samego, bo ten dygot wprawdzie rozdziera mi serce, ale zarazem wzmaga dzikie pulsowanie w fiucie.

– Jak mam opuścić to miejsce? Opuścić je, mając w pamięci wyłącznie te rzeczy, które mi powiedział, i te myśli, które we mnie zaszczepił?

– Pogadamy z Ashem – odpowiadam, nie do końca przytomnie. *Nie zmuszaj mnie do tego, nie każ mi odpowiadać na te pytania*.

– Asha tu nie ma. – Jej ciało pręży się leciutko ze wzburzenia czy z frustracji i jedwab tym bardziej opina jej jędrne krągłości.

Na ten widok wzdycham, odwracam się od łóżka, ona jednak podrywa się na posłaniu i chwyta mnie za rękę swoimi wciąż skrępowanymi dłońmi.

– Stań się dla mnie Ashem – błaga, a jej wielkie oczy świecą w ciemności jak dwa księżyce. Światło odbija się od wysychających na jej twarzy strużek łez, a ja na chwilę zapadam się w przeszłość, w skąpane w księżycowym blasku lasy Karpat, gdy leżałem z ranami od kul w ramieniu i łydce, a Ash krążył wokół mnie jak głodny wilk.

Myślisz, że chcesz mi to dać?, zapytał wówczas.

Nie. Chcę, żebyś sam to sobie wziął.

Czuję po wewnętrznej stronie nadgarstka dotknięcie chłodnych opuszek.

– Jeśli nie chcesz się mną zająć, udawaj, że jesteś Ashem. On by to zrobił.

– Co zrobił? – Mój głos wciąż brzmi ostro, ale jest ściszony, i widzę, jak ciało Greer reaguje na tę zmianę.

– Pokazałby mi, co zrobiłby mi Melwas.

Słyszę w jej głosie echa Embry’ego sprzed lat, przypominam sobie tamtą noc, gdy błagałem Asha, żeby wyładował swoją furię na mnie, bo on

potrzebował ujścia dla emocji, a ja potrzebowałem doznania porażki, potrzebowałem tego, żeby poczuć się naraz żywym i zwyciężonym.

– Boże, Greer, to jest… to jest takie popierdolone.

– Wiem.

Ujmuje mnie sposób, w jaki to mówi. Nie wstydzi się, ale też nie jest cyniczna ani wyzuta z emocji. Mówi to takim tonem, jakim można prosić o pocałunek po ciężkim dniu albo czyjś uścisk w poszukiwaniu pociechy. To kobieta, którą kocham, smutna i wystraszona, niemalże nieutulona w rozpaczy, podczas gdy na co dzień emocje zdają się nie mieć do niej przystępu.

– Popatrz na to z mojej perspektywy. Melwas chciał mnie skrzywdzić, a ja w żaden sposób nie mogłabym go przed tym powstrzymać, lecz jeśli ty, jeśli ty mi to zrobisz, będę wiedziała, że mogę cię powstrzymać. Będę tego chciała i to będzie moje, to będzie coś, nad czym będę mogła zapanować. Muszę… – usiłuje znaleźć właściwe słowa, a ja próbuję złapać oddech, zapanować nad sobą. – Muszę napisać to na nowo. Wtedy stanie się moje.

– Chcesz, żebym udawał… – Nie mogę wypowiedzieć tych słów, zmieniają mi się w ustach w ocet. Formułuję to inaczej. – Chcesz, żebym udawał Melwasa?

– Żebyś udawał Asha, który udaje Melwasa… jeśli to będzie dla ciebie łatwiejsze. – Zamyka oczy. – Niełatwo mi o to prosić, Embry, ale jeśli opuszczę to miejsce bez…

Uwalniam rękę z uścisku jej dłoni i idę do drzwi.

– Embry?

Zamykam drzwi i na chwilę opieram czoło o zimne drewno.

– Musimy zrobić to szybko – mówię, z nienawiścią wsłuchując się w łomot mego tętniącego podnieceniem serca. Z nienawiścią wczuwając się w swoje skore do czynu ciało.

– Tak – szepcze Greer i wyczuwam, że jest równie napalona jak ono. – Tak szybko, jak tylko zechcesz.

Pójdziesz do piekła, Embry Moore. Nie tylko za to, że to zrobisz. Także za ochotę, z jaką to zrobisz.

Ale przecież już wcześniej wiedziałem, że jestem złym człowiekiem, zgadza się? Piekło i tak było mi sądzone.

Klikam włącznik mikrofonu na ramieniu, nie odrywając czoła od drzwi.

– Mam panią Colchester. Spotykamy się w umówionym miejscu za pół godziny.

Wu melduje, że usłyszał. Wyłączam mikrofon, wyjmuję słuchawkę z ucha i odwracam się do Greer. Za zamkniętymi drzwiami pokoju panują ciemności, rozpraszane wyłącznie przez wpadający oknem blask księżyca. *Światło czarownic* mawiała na to moja ciotka Nimue. Chodziło jej o światło konieczne dla dokonania uczynków, których nie sposób popełnić w świetle dnia.

Czerwień sukni Greer wydaje się w świetle czarownic niemal czernią, błyszczącą czernią wody opływającej maleńkimi falami jej ciało. Tak mi stwardniał, że aż boli, robię krok w jej stronę, jeden, drugi… Boże, dopomóż… i naraz przypominam sobie – teraz jestem Ashem, nie Embrym.

To wielka odpowiedzialność sprawować tego rodzaju władzę, dysponować taką potęgą. Brzemię odpowiedzialności za przywrócenie poczucia bezpieczeństwa i katharsis. Jak on to robi? Jakim sposobem zachowuje w zakątkach umysłu zdolność do współczucia i kontroli, kiedy oddaje się we władanie potwora tkwiącego w jego wnętrzu? Mój umysł nie ma takich zakątków, mój potwór nie wie, co to litość. Zna wyłącznie własne pragnienia i potrzeby.

Wyciągam z kieszeni scyzoryk.

– Zanim zaczniemy… – z trudem udaje mi się nadać głosowi normalne brzmienie, gdy podchodzę z otwartym nożem do łóżka – …ustalmy jedno.

Sięgam do nadgarstków, a ona rozumie mnie niemal natychmiast i wyciąga do mnie ręce. Przecinam taśmę, odwijam, a ona porusza dłońmi, aż odzyskuje krążenie, a wtedy na powrót krępuję jej nadgarstki, ale luźniej. Taśma wciąż ma na sobie dość kleju, a zarazem trzyma na tyle słabo, że jeśli ona zechce wyswobodzić ręce, będzie mogła to zrobić.

– Czy jesteś w stanie pstryknąć palcami, mając skrępowane nadgarstki?

Staram się pamiętać o wszystkim, o czym pamięta Ash, zanim za któreś z nas się weźmie. Granice, hasła. Chociaż ze mną nigdy nie działo się to tak wprost. Nigdy nie czułem się do końca bezpieczny. Zdarzały się wieczory, gdy wszedłszy do Gabinetu Owalnego, bywałem bez jednego słowa wleczony do ciemnego pokoju i kneblowany jedwabnym krawatem… W Karpatach zdarzały się noce, gdy zaciskałem zęby na pasku, żeby żołnierze znajdujący się w promieniu trzydziestu metrów nie słyszeli, jak chrząkam i jęczę, gdy Ash zrównuje moje dupsko z ziemią…

– Mogę pstryknąć palcami – odpowiada Greer, wyrywając mnie ze świata wspomnień.

– Pokaż.

Posłusznie demonstruje.

– Teraz na powrót cię zaknebluję. Pstryknij palcami, jeśli będziesz chciała, żebym przestał.

Jej ciało drży, gdy wtykam jej knebel w usta. Wyczuwam łzy zasychające na jej policzkach i w satynowej siatce włosów, ale teraz już nie płacze. Jej wielkie oczy spoglądają na mnie z fascynacją, błaganiem i ciekawością. Ma gęsią skórkę. Przesuwam opuszkami palców po wypukłości jej piersi.

I wtedy miły playboy, za jakiego się miałem, znika. Wraca potwór, który kiedyś miał na swych udach jej dziewiczą krew.

Sięgam dłońmi do jej szyi, wyczuwam pod palcami delikatną skórę, czuję, jak przełyka ślinę. Ściskam ją, rozkoszując się ustępliwą miękkością jej mięśni i żył. Przez jej twarz przebiegają mozaikowe odruchy paniki i pożądania, jak plamy słonecznego blasku i cienie na dnie basenu w pogodny dzień.

Nachylam się, nie wypuszczając z uścisku jej gardła, i całuję skrytą w cieniu twarz. Całuję czoło i kąciki ust dostępne wokół knebla, ale zaraz poddaję się swemu choremu pragnieniu i gryzę. Kąsam policzki i szyję, płatki uszu i krawędzie żuchwy. Gryzę ją tak, jakbym chciał ją zjeść, jakby była rzeczą przeznaczoną do konsumpcji lub zużycia, a nie do kochania.

A jednak kocham ją. Czuję tę miłość, równie mocno jak swoje chore zachcianki, jak obecnego w mym wnętrzu potwora, wszystko naraz, jedno i to samo.

Ja pierdolę, ale mi sterczy.

Zwalniam uścisk i słyszę, jak Greer z wysiłkiem chwyta powietrze przez nos. Przykładam ucho do jej piersi i słyszę serce tłukące o żebra, jakby ptaszek bił skrzydełkami w pręty klatki. I wtedy gryzę jej piersi, kąsam je od dołu, przez jedwab sukni, kąsam od góry, tam, gdzie wystają ponad krawędź dekoltu. Potem ujmuję suknię oboma rękami i zdzieram aż do bioder. Sutki Greer są zwarte i naprężone, a ich zwykły róż przybiera w blasku księżyca barwę ciemnopurpurową. Widzę kwitnące półksiężyce moich ukąszeń na delikatnej skórze i widok ten działa na mnie jak zapach krwi na wilka. Coś pierwotnego we mnie warczy z głodu.

Ściągam koszulę i jedną dłonią łapię fiuta, a drugą chwytam ją za pierś. Potem rozpinam spodnie i wtedy ona to robi. Uderza mnie stopami w podbrzusze tak mocno, że aż zapiera mi dech. Zataczam się w tył ze

stłumionym *o, kurwa!*, autentycznie wkurwiony, a ona wierci się i odsuwa ode mnie, uciekając na drugą stronę łóżka.

W tym, co robię później, nie ma ani myśli, ani względów. Wyłącznie nieliczący się z niczym samczy instynkt. Który zaprowadzi mnie do piekła.

Przeskakuję przez łóżko, chwytam ją za ramię i jednym szarpnięciem przewracam na plecy. W mgnieniu oka dosiadam ją okrakiem, moje kolana zapadają się w materac po obu stronach wijącego się pode mną ciała, a ja chwytam ją jedną dłonią za twarz, nachylam się nad nią i szepczę jej w ucho.

– Więc tak chcesz to zrobić? – Przez chwilę sam nie wiem, czy jestem Embrym, Melwasem czy Ashem, czy może Ashem udającym Melwasa lub sobą udającym Asha. Wiem tyle, że jestem rozzłoszczony i podniecony, a kobieta, do której usiłuję się dobrać, stara się wymknąć.

Greer przestaje walczyć i patrzy na mnie, mrugając oczami.

Pytam ponownie:

– Tak chcesz w to grać, mała księżniczko? Bo ja nie boję się odebrać ci tego w ten sposób.

To kłamstwo. Boję się teraz siebie samego. Boję się potwora we własnym wnętrzu.

Kiwa głową powoli, z namysłem.

Gryzę ją w szyję, dość mocno, by zmusić ją do krzyku – brzmienie tego krzyku stłumionego przez knebel okazuje się frapujące. Tak fascynujące, że kąsam ją raz po raz, wciąż siedząc na niej okrakiem, a ona miota się pode mną, stara się spode mnie uwolnić i – Boże! – to jeszcze bardziej mnie podnieca, więc przygważdżam jej ręce do materaca, zaciskam uda na szamoczącym się pode mną ciele i gryzę, gryzę, gryzę. Mój fiut tak stwardniał, że wysuwa się z rozpiętych spodni, i podczas gdy się z nią zmagam, on ociera się o jedwab jej sukni. Materiał jest miękki i ma w sobie

ciepło jej ciała. Nie jestem w stanie dłużej tego odwlekać. Wiem, że Melwas, Ash i potwór we mnie także nie znieśliby tego dłużej.

Daję jej klapsa w pierś, tak mocnego, że na chwilę ją zamurowuje, i o to mi właśnie chodziło. Przestaje się miotać, a ja unoszę się, chwytam ją za biodra i przewracam na brzuch.

Wie, do czego zmierzam, więc wierci się tym mocniej, usiłując mnie zrzucić, ale ja tylko śmieję się z jej wysiłków niskim, drapieżnym śmiechem i rozdzieram jej suknię aż do rąbka, pozostawiając kłęby podartego jedwabiu oplatające jej skrępowane w kostkach nogi.

Zsuwam spodnie z bioder, wyswobadzając kutasa, a potem wsuwam palce w jej biało-złote włosy i szarpnięciem odciągam jej głowę w tył. Drugą dłonią daję jej w tyłek klapsa, który rozbrzmiewa echem, po czym zapuszczam się między uda w poszukiwaniu cipy. I znajduję coś, czego Melwas nigdy by nie znalazł – cipę nabrzmiałą i napaloną na mnie, gorącą, śliską i mokrą, tak mokrą, że nawet miękkie wargi zewnętrzne ociekają sokami.

– Wiedziałem, że tego chcesz – droczę się z nią, brutalnie wsuwając w jej wnętrze dwa palce. Ona na chwilę zapomina o naszej grze i pręży się, nadziewając się na moje palce głębiej i drżąc, gdy je zwijam w jej wnętrzu.

Jednak ja nie zapominam, w co się bawimy. Puszczam włosy, nachylam się nad nią, wyciągam knebel i wpycham jej w usta palce, nie za głęboko, lecz dość, by poczuła dyskomfort. Ponownie usiłuje się uwolnić, a ja znów unieruchamiam ją, zaciskając uda na jej biodrach.

– Smakuje ci? – pytam, dociskając opuszki palców do języka. – Tak smakuje cipa, którą zaraz wypierdolę.

Gryzie moje palce i rzuca mi złowrogie spojrzenie, na ile to możliwe, wziąwszy pod uwagę, że leży pode mną na brzuchu, a ja siedzę na niej okrakiem. Śmieję się i wyciągam palce z jej ust.

– Pierdol się sam!

Ponownie daję jej klapsa w tyłek, tak mocno, że aż krzyczy.

– Cieszę się, że zaczynasz łapać, o co chodzi, skarbie.

Przesuwam dłońmi po apetycznych krągłościach jej dupy, gniotę i ściskam jej pośladki, a wreszcie rozchylam je, by lepiej zobaczyć skryty między nimi raj na ziemi. Jest teraz tak mokra, że czuję jej zapach, woń soków, który wyciska z mej piersi niski pomruk.

Jednym szarpnięciem ustawiam jej biodra pod dogodnym kątem, dociskam głowę dłonią, ujmuję fiuta w garść i napieram żołędzią na soczystą dziurę między nogami.

– Proszę, nie – błaga. Spoglądam na jej dłonie zaciśnięte w pięści pod brodą. Nic nie wskazuje na to, żeby usiłowała pstryknąć palcami. – Proszę, mój mąż zapłaci, ile tylko zażądasz.

Jej *mąż*.

Moją pierś przeszywa oścień nikczemnej zazdrości, więc sam przeszywam penisem wejście do jej cipy, podczas gdy ów oścień autentycznej zazdrości wbija się między nas, drąży skrycie nasze wspólne udawanie. Gruby czubek żołędzi drąży jej głębię i tak samo jak za pierwszym razem, gdy uprawialiśmy seks, ulegam dzikiej żądzy wbijania i penetracji, pchania i dopychania. Zawłaszczania.

Greer nie krzyczy, wydaje się, że zaparło jej dech w piersi, usta ma rozchylone, oczy zamknięte, na powrót obsypała ją gęsia skórka, a do tego trzęsie się cała.

– Twojego męża tu nie ma – szepczę jej do ucha, wciskając się w nią tak głęboko, jak się da. Pasuje mi jak ulał. Nogi wciąż ma skrępowane w kostkach, co sprawia, że uda są ściśnięte, i – ja pierdolę! – jest przez to taka ciasna, że mam poczucie, iż z każdym centymetrem wnikam głębiej do

siódmego nieba. To jednak nie zaspokaja potwora, nie łagodzi mojej zazdrości. Do tego wciąż jeszcze daleko.

Rzecz w tym, że nigdy nie będę jej mężem. Nigdy nie będę miał tego, co on ma. Greer nigdy tak mnie nie nazwie.

– Nie ma go tu – powtarzam, wpychając biodra w jej tyłek, karząc ją, karząc siebie samego. – Ale i bez tego będziesz mnie miała w sobie. Poczujesz w swoim wnętrzu każdy centymetr mego fiuta. Zrozumiesz, że jesteś moja.

12

Greer

po

Chyba zapomniałam, jak się oddycha, jak się mówi. Embry porusza się ponad mną w ciemności jak zwierzę, a przez moją głowę przemykają urywki wspomnień z naszej pierwszej i jak dotąd ostatniej wspólnej nocy – jego uparte rżnięcie, ślepe pragnienie, lecz odkrywam, że mój umysł nie potrafi oderwać się od teraźniejszości. Jest tylko tu i teraz, są tylko bezlitosne pchnięcia Embry'ego, dudnienie mego serca, rozkoszne zaciśnięcie w głębi mego jestestwa. Wyobrażam sobie, że czuję czubek jego fiuta wnikającego tak głęboko, aż sięga do środka mego brzucha. I każdy posuwisty, wstrząsający mną ruch potwora ciążącego nade mną wysyła dreszcze rozkosznej zgrozy do najdalszych zakątków mego ciała.

Zlewam się potem od tego, jak sobie na mnie używa, i każdy nerw jest żywy, żywy, żywy i śpiewa.

Jego szczupłe ciało opada jeszcze niżej i Embry kąsa mnie w ramię, jak lew posuwający lwicę. Cudowna czysta dzikość tego aktu wyprawia mnie

w drogę do… no cóż, sama nie wiem dokąd. Jak w miejsce, do którego Ash odsyła mnie za pomocą sznurów i pasów. Ale Embry nie pieprzy mnie, jak robiłby to Ash, nawet gdybyśmy oboje udawali, że tak się właśnie dzieje. Ash jest w swoim okrucieństwie wyrachowany, Embry nie. Embry jest niewolnikiem własnych najdzikszych pragnień, zatraca się w nich w sposób, w jaki Ash nigdy by tego nie uczynił.

I dlatego ogarnia mnie prawdziwy strach.

I tego właśnie chcę. Tego mi teraz trzeba.

To może się wydawać sprzeczne z intuicją – wręcz masochistyczne, podczas gdy ja ledwie powierzchownie interesowałam się masochizmem, preferując zamiast tego dynamikę podporządkowania zorientowaną na władzę. Jednak każde znaczące mnie siniakami pchnięcie, każda okrutna drwina wychodząca z ust ukochanego mężczyzny, który znalazł się na miejscu tamtego potencjalnego odrażającego gwałciciela, neutralizuje okropną rzeczywistość tego, co się wydarzyło. Afirmuje moje przyzwolenie, moją zgodę i moją władzę dysponowania własnym ciałem, oddawania go, komu zechcę. Każde ukłucie bólu i towarzyszący mu dreszcz rozkoszy – wszystko to jest moje, wszystko dzieje się z mojego wyboru, zgodnie z moją wolą. I tym sposobem łóżko, na którym miałam zostać zgwałcona, staje się miejscem, w którym odzyskuję swobodę wyboru. Miejscem utwierdzenia mnie w poczuciu, że wciąż posiadam prawo decyzji w tego rodzaju seksie, który pragnę uprawiać, że wciąż mogę czerpać z niego przyjemność.

Ukąszenia przenoszą się z mego ramienia na kark, czuję przy uchu gorący oddech.

– Czy twój *mąż* ma okazję tak cię posuwać? – pyta drwiący głos, a ja aż się wzdragam, tyle złości i zazdrości wyczuwam w jego głosie. Powiedziałam mu, żeby był Melwasem, żeby udawał zaciętą zazdrość

o Asha, lecz to wcale nie brzmi, jakby udawał. Wyczuwam w jego głosie autentyczną złość. A moje ciało reaguje na tę jego złość drżeniem rozkosznego lęku.

– Ma. – Wiem, że podsycam jego emocje, ale jego opętańcza zazdrość tak mnie podnieca, że pragnę ją wzmóc, chcę, żeby mnie nią zmiażdżył. – Pozwalam mu brać się tak, jak tylko zapragnie.

Mocne ręce obracają mnie na bok. On klęczy i wbija się we mnie na powrót, zawziętymi, brutalnymi pchnięciami. Jedną dłonią trzyma mnie za udo, drugą za biodro.

– Popatrz na mnie – mówi szorstko. – Patrz na mnie, kiedy pierdolę twoją cipę.

Nie pierdoli *mnie*. Pierdoli moją cipę. To takie sadystyczne sformułowanie, jakbym ja w ogóle się nie liczyła, jakbym ja była dla niego nikim. Na samą myśl palce stóp kulą mi się z pożądania.

– Jesteś chory – mówię, ale w moim głosie nie ma żaru. Albo raczej jest zły żar.

Opuszcza rękę i szczypie moją wzwiedzioną łechtaczkę, na co każda żyła i komórka we mnie rozjaśnia się jak Czwarty Lipca.

Jęczę.

Uśmiecha się do mnie lodowato.

– Nie, kochanie. To *ty jesteś* chora.

– Jestem – przyznaję niemal ze zdziwieniem. – Wiem o tym.

Jego palce wciąż miętoszą moją łechtaczkę.

– Oboje jesteśmy.

Nie wiem, dlaczego to mówię:

– Dlatego nas lubi.

Oboje wiemy, kogo mam na myśli. Biodra Embry’ego nieruchomieją, podobnie jak jego zręczne palce, i przez chwilę tylko patrzymy na siebie w blasku księżyca, spoceni i splątani ze sobą w akcie pozorowanego gwałtu, i wyobrażamy sobie, że Ash jest z nami w pokoju jak duch. I w tej chwili wiem, że ja i Embry mamy coś, czego Ash nigdy mieć nie będzie – a jest tym, oczywiście, doświadczenie bycia kochanym przez niego. Embry i ja mamy wspólną tajemniczą ścieżkę, sekretną wiedzę, której Ash jest przyczyną, ale która istnieje także poza nim. To żywa rzecz, która wiąże mnie z Embrym, ożywiana przez perwersje i ślepe zaułki naszych umysłów, czyniące z nas pokręconych i dziwacznych kochanków.

Embry opuszcza głowę, zagryza dolną wargę, a ja zastanawiam się, w jakież to labirynty pamięci go wprowadziłam, jakie obrazy i wymruczane słowa wyczarowuje sobie w tej chwili. Sama przypominam sobie przystojne książątko, które oczarowało mnie w Chicago swoimi mokasynami i luksusową marynarką i pieprzyło mnie, jakby od tego zależało jego życie.

Ale w tej chwili nie chcę księcia, chcę potwora.

– Wracaj, Embry – błagam. – Potrzebuję tego.

Nie musi pytać, co mam na myśli. Dociska moje udo, zaciskając moje nogi i cipę na fiucie, a jego palce na powrót odnajdują moją łechtaczkę i już się z nią nie certolą, lecz gniotą ją i tłamszą dokładnie tak, jak tego potrzebuję, żeby dojść. Światło księżyca rozlewa się na jego rzeźbionym torsie, napiętych mięśniach brzucha i piersi, i ramion, naprężonych muskułach ud. W srebrzystej poświacie jest jak rzeźba z białego marmuru – pełne usta, wysokie kości policzkowe, prosty nos, elegancki skos obojczyka. Ciemność gęstnieje w zagłębieniach jego szyi jak wino.

Wciąż myślę, że pięknie wygląda w blasku księżyca, powiedział kiedyś Ash. Teraz to dostrzegam. Być może każdy wygląda korzystniej w blasku

księżyca, lecz wyłącznie Embry może wyglądać tak jak dekadencki książę po zdmuchnięciu świec, gdy zostaje sam na sam ze swoim żalem i zgryzotą. Jak starożytny posąg, poszczerbiony i popękamy, a jednak pozostający idealnym wcieleniem męskiego piękna. Tyle że w przypadku Embry'ego wszelkie szczerby i rysy znajdują się wewnątrz i widoczne są jedynie w lodowatym płomieniu jego błękitnych oczu, w gorzkim wykrzywieniu ust, kiedy sądzi, że nikt mu się nie przygląda.

Gwałtowny orgazm oplata się wokół podstawy mego kręgosłupa. Widzę, że Embry także jest blisko szczytu, jego ruchy stają się spazmatyczne, oddech rwany.

– Bardziej! – rzucam i sama nie wiem, co mam na myśli, bo mam na myśli *wszystko*: mocniej i głębiej, szybciej i ostrzej.

Embry też to wie. Jakoś tak jest, że po prostu to wie, zna ból i perwersję, którą podzielamy jak swego rodzaju wspólny język. Obraca mnie z powrotem na brzuch, i wszystko to jest szorstkie i brutalne – twarde kolana, dłubiące palce, uda zaciśnięte na moich biodrach. Na powrót wpycha się we mnie, a moje skrępowane nogi czynią wejście tak ciasnym, że musi użyć siły, żeby wcisnąć się do środka, chociaż jestem tam tak mokra, że czuję własne soki spływające po wewnętrznych stronach ud. Czuję, jak napina mięśnie brzucha i ud, wbijając się we mnie raz po raz, po czym rozciąga się na mnie, a jego ciężar jest jak ręka Boga wpychająca mnie przez podłogę do piekła. Jednak jest to piekło, którego nigdy nie chcę opuścić.

Dłoń Embry'ego odnajduje moje usta, szyję, włosy i raz ciągnie, raz dusi, raz dławi mnie palcami, jakby wszystko to sprawiało mu taką frajdę, że nie może się zdecydować, co robić. Jego druga dłoń powraca do mojej łechtaczki i miętosi ją bez miłosierdzia, niemalże agresywnie, gdy wbija mnie swoimi pchnięciami w łóżko.

– Teraz jestem tu tylko ja – warczy, a ja czuję jego wilgotne wargi poruszające się koło mego ucha. – Nie on. *Ja*.

Już mi to mówił. Ash także już mi to mówił. To tętniące, wściekłe, osobliwe opętanie w najszczerszej postaci, ta zazdrość, z którą wszyscy musimy żyć, wślizguje się prosto do mojego brzucha i daje upust swej furii falami intensywnych skurczów. Moje krzyki są stłumione przez dłoń na moich ustach i ten dźwięk jakby go podniecał, bo kolejne pchnięcia stają się boleśnie brutalne i głębokie, cała jego siła skupia się na jednym – na tym, żeby wydrzeć ze mnie tyle rozkoszy, ile tylko zdoła.

A ja wciąż ściskam go i pulsuję wokół niego w spazmach orgazmu tak gwałtownego, że skurcze obejmują mięśnie mego podbrzusza i ud.

– Moja – warczy Embry. – *Moja*.

I zdyszany, z dłonią na moich ustach, wytryska wstrząsany dreszczem, tak sztywny, napięty, że czuję pulsowanie jego fiuta, gdy opróżnia się w moim wnętrzu. Czuję ciepło i mokro, czuję bicie jego serca w piersi przyciśniętej do moich pleców, wzdragam się, gdy moją twarz drapie szczecina porastająca jego podbródek. I każde z tych doznań przyjmuję z otwartym sercem, bo każde z nich zostało wybrane przeze mnie i pochodzi od człowieka, którego wybrałam, żeby mi tych doznań dostarczył.

Na powrót należę do siebie.

Embry jeszcze raz czy dwa pręży biodra, po czym leżymy w totalnym bezruchu, w kompletnym milczeniu, a nasze przyśpieszone oddechy synchronizują się i zwalniają. Ogarnia mnie błogi spokój, poczucie bezpieczeństwa, głęboka miłość. I poczucie, że tajemnica została odkryta, że dokonało się lądowanie na dotychczas nieznanym lądzie. Coś, co należy wyłącznie do mnie i Embry’ego.

– To pierwszy raz od pięciu lat, kiedy robiliśmy to tylko we dwoje – mówię po chwili.

Embry stacza się ze mnie bez słowa.

Próbuję ponownie, usiłując wyartykułować coś, czego sama nie rozumiem.

– Potrzebowałam tego. Dzięki, Embry.

Z jego gardła wyrywa się ironiczne parsknięcie. Wciąga spodnie i zapina rozporek.

– Dziękujesz mi za napaść i gwałt?

Jego głos brzmi jakoś dziwnie.

– Za *udawaną* napaść i gwałt – mówię powoli, unosząc się i wspierając na łokciu, by móc go obserwować. – Poprosiłam cię, żebyś to zrobił. I ustaliliśmy sygnał zapewniający mi bezpieczeństwo.

Obciąga koszulę, wciąż na mnie nie patrząc.

– Pora iść.

– Embry.

Spogląda na zegarek, szklana tarcza połyskuje w ciemności.

– To było tylko dwadzieścia minut. Wu i Gareth zapewne dopiero docierają do umówionego miejsca spotkania.

– *Embry*.

W końcu spogląda na mnie. W świetle księżyca nie sposób rozpoznać, jaką barwę ma jego twarz, wszystko, co widzę, to blaski i cienie. Błękitne oczy to nic więcej jak zamki z lodu w ciemnym oceanie.

– Zrobiłam coś złego? – pytam cicho. – Za wiele od ciebie zażądałam?

– Nie żądałaś nic takiego, czego nie chciałbym dać. – Jego usta układają się w gorzki uśmiech. – I w tym problem.

Przewracam się na wznak i siadam, żeby lepiej go widzieć.

– Wiem, że nie jesteś taki jak Ash – mówię ostrożnie. – Wygląda mi na to, że szukasz w seksie raczej przyjemności niż kontroli…

– Nie przyjemności – przerywa mi. – Ucieczki. To co innego.

– Ale to nie znaczy, że źle jest…

– Nie mów mi, co jest *źle*. Nie masz pojęcia, o czym myślałem w tym łóżku, niech to szlag. Nie wiesz, czego chciałem. Co miałem ochotę ci zrobić!

To boli. Przełykam ślinę.

– Cokolwiek ty czułeś, ja czułam wyłącznie więź między nami.

– Nie ma „nas” bez Asha, nie rozumiesz tego? Mówisz, że to pierwszy raz od pięciu lat, kiedy robiliśmy to tylko we dwoje, ale czy ty na serio miałaś poczucie, że byliśmy tu sami? – Ruchem głowy wskazuje łóżko. – Czułaś się tak, jakby nie było przy nas Asha? Bo ja czułem jego obecność. Widziałem, jak twoja obrączka błyszczy w blasku księżyca, słyszałem, jak o nim mówisz. Czułem się, jakbym musiał z nim walczyć w ciągu wszystkich tych chwil, kiedy byłem w tobie, tylko po to, żeby mieć cię całą dla siebie na kilka bezcennych chwil.

Pada na łóżko, kierując oczy na usiane gwiazdami niebo za oknem.

– Jestem złym człowiekiem, Greer. Zawsze to wiedziałem, w taki sposób, jak mówią, że możesz wiedzieć, że w łonie matki miałeś bliźniaka. To część mnie, ta samolubna, niefrasobliwa część, i chciałbym móc ją sobie wyciąć, chciałbym móc być idealny, a kiedy byłem młodszy, żałowałem, że nie starcza mi odwagi, żeby…

Urywa i wzdycha.

– Dziś już tego nie żałuję. Chyba że teraz, bo co to za popierdolona historia, żebym zmuszał cię do seksu? Nie mogę wymawiać się jak Ash. A jakie dodatkowo popierdolone jest to, że zmuszając jego żonę do seksu, na dodatek czułem do niego złość? I zazdrość? I że chciałem cię mieć dla

siebie? Zaledwie od kilku dni robimy to we trójkę, a ja już wszystko spieprzyłem.

– Nie – szepczę. – Kocham to, Embry. Kocham *ciebie*. Całego, takiego, jakim jesteś.

Odwraca się, żeby spojrzeć na mnie, a potem mnie całuje, przewraca na plecy i zbiera spragnionymi ustami moje pocałunki, powtarzając:

– Nie powinnaś mnie kochać. Nie powinnaś. Nie powinnaś.

Ale ja go kocham. Nic na to nie poradzę. Nigdy nie byłam w stanie. Pokochałam go podczas jednej wspólnej nocy przed pięciu laty – i on myśli, że mogę to teraz zmienić?

Embry wzdycha i z ociąganiem podnosi się z łóżka. Staje na nogi i wyciąga z kieszeni nóż. Mrugam, zdziwiona i zaintrygowana, a on z widocznym ubolewaniem kręci głową, jakby nie mógł się nadziwić, że po tym, co zaszło, wciąż mu ufam. Ja jednak go znam i wiem, czego chce, więc leżę spokojnie, podczas gdy on uwalnia moje nadgarstki, a później sięga do moich kostek i przecina krępującą je grubą taśmę.

– Ja pierdolę! – klnie.

Ułamek sekundy później na moje nagie stopy kapie ciepła krew. Siadam i widzę, że ściska dłoń, a po jego nadgarstku cieknie cienka strużka krwi, której czerwień w blasku księżyca zmienia się w czerń.

– Embry! – wołam przerażona, zdzieram taśmę z nóg i klękam, by móc ująć go za rękę i zbadać ranę.

– To nic – bagatelizuje, krzywiąc się lekko, gdy rozchyla dłoń. – Ręka mi się omsknęła i tyle.

Rana jest płytka, lecz długa, ciągnie się przez całe wnętrze dłoni. Zdzieram z łóżka białe prześcieradło i owijam jego rogiem dłoń Embry’ego.

– Zaraz wracam – mówię. – Nie ruszaj się stąd.

Siedzi posłusznie i przypatruje mi się zaskakująco cichy, gdy wstaję z łóżka i idę do garderoby. Zapaliwszy światło, widzę siebie w lustrze i wiem już, co wprawiło Embry’ego w takie osłupienie – widok kobiety kompletnie nagiej, ze skłębionymi włosami sięgającymi do pasa, z ciałem pokrytym śladami ukąszeń, śladami tak ciemnymi, że z pewnością widać je nawet w bladym świetle księżyca. Co do mnie, to znaki pozostawione na moim ciele, ślady ukąszeń, o które sama prosiłam kochanego mężczyznę, napawają mnie dumą. Jednak nie wiem, co poczuł na ten widok ich sprawca.

Chwytam to, po co przyszłam, i wracam do Embry’ego, który stoi przed oknem, z dłonią nadal owiniętą prześcieradłem. Spogląda na krew lśniącą na opuszkach palców z dziwną miną, jakby zatracił się we wspomnieniach.

Delikatnie odwijam dłoń i czystym końcem prześcieradła ocieram krew. Wciąż się sączy z rany, ale słabiej.

– Co to jest? – Embry przerywa milczenie.

Unoszę przyniesioną z garderoby jedwabną tkaninę z koronkami.

– Taki dekoracyjny szal – wyjaśniam, owijając jego dłoń. – Dodatek do kompletu bielizny.

– Kupił ci bieliznę? – W głosie Embry’ego słyszę złość ostrą jak brzytwa.

– Tak. Nie ruszaj się. – Naciągam prowizoryczny bandaż z całej siły i zawiązuję na grzbiecie dłoni.

Kiedy to robię, Embry robi krótki wydech, jednak poza tym zachowuje stoicki spokój. Wpatruje się w ślady pozostawione przez jego zęby na mojej szyi i obojczyku, a potem spogląda na otwarte drzwi garderoby.

– Nie jesteś jak on, wiesz – mówię, tuląc jego obandażowaną dłoń do piersi.

Spuszcza wzrok na swoją dłoń, owiniętą szalem i zakrwawioną, kontrastującą z miękkimi krągłościami moich piersi.

– Nie wiem, jaki jestem.

Całuję opuszki jego palców, czuję smak jego krwi.

– Jesteś jak Embry Moore. Czy to nie wystarczy?

Wzdycha i wysuwa dłoń z moich rąk.

– Od dawna zadaję sobie to pytanie. Ubieraj się. Musimy iść.

No i wkładam kolejną z tych fikuśnych sukni, które sprawił mi Melwas, wyszukuję jedwabne bambosze – wszystkie inne buty są na wysokim obcasie – i opuszczamy rezydencję, czy raczej górską kryjówkę Melwasa. Embry z bronią gotową do strzału.

Gramolimy się przez starczące z ziemi skały i przez dziury wycięte w ogrodzeniach. Ukrywamy się przed dronami i zsuwamy po stromych stokach, na których kamienie ranią mój tyłek przez majtki i stopy przez cienkie podeszwy bamboszy. Kilka niespokojnych minut spędzamy ukryci pod stertą gałęzi, gdy zdaje się nam, że nieopodal słychać odgłosy patrolu. Dotarcie do ludzi, którzy przybyli mi na pomoc wraz z Embrym, zajmuje nam dobrych trzydzieści albo i czterdzieści minut. Kiedy wreszcie spotykamy się z nimi, stopy mam poranione do krwi, a resztę ciała pokaleczoną i podrapaną przez skały i jeżyny.

Wsiadając do samochodu ukrytego w dolinie, spoglądam na Embry’ego i mówię:

– Mam poczucie, że poszło nam to zbyt łatwo. Czy to możliwe, żebyśmy mieli to już za sobą?

Embry wzrusza ramionami i wsiada za mną do samochodu.

– Co jeszcze Melwas mógłby ci zrobić?

13

Embry

przed

No więc Colchester nie mógł kochać mnie, a ja nie powinienem był pokochać jego. Morgan miała rację. Zasługiwał na kogoś, kto mógłby dać mu to, czego potrzebował, kto byłby w stanie uwielbiać go, nie żywiąc do niego zarazem nienawiści. Ja byłem na to zbyt samolubny, zbyt rozbity, zbyt nierozważny. Nawet jeśli był biseksualny – a w żaden sposób nie okazywał, że tak jest – nic za cholerę nie wskazywało na to, żeby miał ochotę uczynić mnie swoim wybrankiem.

Więc mówiłem sobie, że słucham rady Morgan. Mówiłem sobie, że oszczędzam nam obu bólu niekompatybilności. Choć tak naprawdę oszczędzałem sobie ryzyka odrzucenia.

Zresztą myślałem, że zapewne jest po prostu heterykiem.

Dzień po wyjeździe Morgan udałem się do kwatery kapitana i poprosiłem o wyznaczenie mi jakiegokolwiek, *jakiegokolwiek* zadania, które pozwoliłoby mi opuścić bazę. Przedłużony patrol, wyprawa do

sąsiedniej doliny, cokolwiek, byleby znaleźć się z dala od Colchestera. W ciągu ośmiu godzin moje życzenie się spełniło i przedzierałem się przez zarośla, słuchając Daga i Wu omawiających subtelności fabuły filmu *Blade: Wieczny łowca*.

Zgłaszanie się na ochotnika do wszelkich misji wymagających oddalenia się od bazy weszło mi w nawyk – bynajmniej nie zachwycał on moich ludzi – czy wręcz w nałóg. Zerwanie z nim oznaczałoby widywanie Colchestera, konieczność rozmowy, a podczas tych nieuniknionych wspólnych chwil każde jego słowo, każde poruszenie dłoni w rękawicy, każde zmrużenie zielonych oczu w blasku górskiego słońca rozdzierało mnie na wskroś. Zdarzało mu się poklepać mnie po ramieniu lub żartobliwym gestem potargać mi włosy, a wtedy wpatrywałem się w niego i docierało do mnie, że on nic nie rozumie. Nic a nic.

Osiem miesięcy minęło mi w udręce i bólu i jeśli sądziłem, że wypocę Colchestera z organizmu, ganiając po górach i walcząc z rebeliantami, to się łudziłem. Pragnąłem go bardziej niż kiedykolwiek, mało sobie fiuta nie urwałem, tarmosząc go i marząc o nim. A kiedy koniec mojego okresu służby zbliżał się jak front burzowy, czułem coraz silniejszy opór przed myślą o rozstaniu. Unikać Colchestera to było jedno, ale rozstać się z nim na zawsze, opuścić bazę i być może nie ujrzeć go już nigdy więcej…

Dzień przed wyjazdem wybrałem się do źródła mojej udręki. W dolinie panował spokój, więc pluton Colchestera znajdował się w bazie. Miałem pewność, że spotkam go wieczorem na imprezie pożegnalnej, którą jego ludzie wyprawiali dla mnie i mojej ekipy, ale chciałem zobaczyć się z nim teraz, sam na sam.

Nie wiedziałem, co zamierzam mu powiedzieć. Dla niego byłem po prostu facetem, którego siostrę pieprzył przed rokiem. Irytującym i nieodpowiedzialnym dowódcą, którego musiał kiedyś przyprzeć do muru,

by go zdyscyplinować. Czy w ogóle chciałem, by wiedział, że z mojej strony chodzi o coś więcej?

Znów była wiosna, lecz w cienistych zakątkach czaił się jeszcze zimowy chłód, ustępujący przed blaskiem słońca i powracający, ledwie ów blask zaczął słabnąć. Znalazłem Colchestera na tym samym dziedzińcu, na którym spotkaliśmy się po raz pierwszy. Ubrany w brązowy T-shirt i bojówki rozmawiał z jakimś mężczyzną w garniturze, którego nigdy wcześniej nie widziałem – białym, ciemnowłosym i atrakcyjnym mimo swej szczególnej kanciastości. Wyglądał na starszego od nas o jakieś dziesięć lat.

Widząc, że Colchester jest zajęty, zamierzałem odwrócić się i odejść, gdy naraz on odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem – roześmiał się! Rzadko się to zdarzało! Roześmiał się z czegoś, co powiedział nieznajomy, a jego śmiech był tak ciepły i głęboki, że natychmiast się rozkleiłem. T-shirt przywierał do jego ramion i pleców, starannie wsunięty w spodnie uwydatniał wąskie linie bioder, a skoro już, to pozwoliłem sobie pogapić się przez chwilę na jego tyłek i nogi – twarde, kuszące wiązki mięśni. Odczuwałem pragnienie na poziomie komórkowym. Jakby wtopiło się w moje DNA.

– Embry! – Colchester zauważył mnie i przywołał gestem.

Nigdy nie potrafiłem mu się oprzeć, kiedy używał mego imienia. Podszedłem do niego.

– To Merlin Rhys. – Colchester przedstawił nas sobie i wymieniliśmy uścisk dłoni. – Przybył tu z misją zleconą mu przez Królową. Wygląda na to, że Brytyjczycy do nas dołączą.

– I to niedługo – powiedział Merlin, gdy nasze dłonie się rozłączyły. – Spodziewam się, że nastąpi to za jakieś trzy miesiące.

W jego eleganckiej angielszczyźnie uderzające było lekko stłumione *rs* – zapewne był Walijczykiem.

– Jestem porucznik Embry Moore. Miło mi cię poznać.

– Syn Vivienne Moore, zgadza się?

Nawet nie usiłowałem ukryć zaskoczenia.

– Zgadza.

– Śledzę amerykańską politykę. W ubiegłym miesiącu twoja matka wygłosiła wzruszającą mowę o synu odbywającym służbę wojskową w Karpatii, nieprawdaż?

Z trudem oparłem się chęci wywrócenia oczami. Istotnie, moja matka wygłosiła taką mowę i nadano jej spory rozgłos. Wprawdzie nie wątpiłem, że macierzyńskie uczucia Vivienne przynajmniej częściowo były szczere, lecz bez wątpienia zademonstrowała je w sposób możliwie najbardziej korzystny dla swojej politycznej kariery. Jednak nie mogłem powiedzieć tego właśnie poznanemu facetowi, więc tylko przytaknąłem.

– Tak, owszem.

Merlin opuścił wzrok na swoje eleganckie półbuty do garnituru, teraz utytłane w błocie, i nie podnosząc oczu, spytał.

– A jak się miewa ciotka Nimue?

– Znasz Nimue?

Uśmiechnął się i dopiero teraz na mnie spojrzał, a ja rozpoznałem jego minę. Wyobraziłem sobie, że często miałem podobną w obecności Colchestera.

– Tak – powiedział cicho. – Znam ją.

– No cóż – odparłem, starając się ukryć rosnącą ciekawość – kilka miesięcy temu urodziła dziecko. Chłopczyka. Nazwała go Lyr.

– Lyr – odparł pieszczotliwie. – Walijskie imię. Znaczy „z morza”.

– Mieszka w Seattle. Jest dość prozaiczną osobą.

Roześmiał się na to.

– Ano jest, nieprawdaż?

– Skąd wy dwoje…

Machnął ręką.

– To długa historia. I nie bez powodu twoja matka była na mnie dość zła za rolę, jaką w niej odegrałem. Kiedyś ci ją opowiem. Teraz muszę ruszać dalej. Poruczniku Colchester, żywię szczerą nadzieję, że rychło znów się spotkamy. Poruczniku Moore, miło było mi cię poznać. Proszę, pozdrów ode mnie rodzinę. Albo może tylko swoją ciotkę. Nie wydaje mi się, żeby Vivienne miała ochotę usłyszeć ode mnie cokolwiek poza słowami pożegnania.

Uścisnął nam ręce i odszedł, a jego garnitur od jakiegoś znakomitego krawca i równy krok sprawiały tak niezwykłe wrażenie na tle ponurych prefabrykowanych baraków bazy, że wprost musiałem pokręcić głową.

– Czego od ciebie chciał? – zagadnąłem Colchestera.

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, ale wypytywał kapitana konkretnie o mnie. – Zmarszczył brwi. – Mam nadzieję, że nie wpakowałem się w kłopoty.

– Czemuż *ty* miałbyś wpakować się w kłopoty. Jesteś bohaterem, wszyscy cię podziwiają.

– Och, daj spokój.

– Mówię szczerze. Mam nadzieję, że i my trafimy do twojego pamiętnika, kiedy już go opublikujesz.

– Nie piszę żadnego pamiętnika.

– Napiszesz, zanim zaczniesz ubiegać się o stanowisko.

– Ten twój dowcip w końcu się zestarzeje – ostrzegł mnie.

– Mowy nie ma.

Przypatrywał mi się przez chwilę, a potem spytał:

– Masz ochotę się przejść?

W ustach mi zaschło.

– Tak. Byłoby miło.

Ruszyliśmy wąską ścieżką, oddalając się od bazy. Pod drzewami panował chłód wczesnej wiosny, lecz ptaki śpiewały i przelatywały obok nas, a gdziekolwiek docierały promienie słońca, z ziemi wyrastały maleńkie kwiatki.

Nie poszliśmy daleko. Wprawdzie obaj mieliśmy tego dnia wolne od służby, lecz aktywność separatystów w dolinie oznaczała, że oddalanie się od bazy poza zasięg wzroku było ryzykowanym krokiem. Znaleźliśmy więc półkę skalną z widokiem na bazę i usiedliśmy na niej, dyndając nogami nad doliną.

– A zatem jutro wyjeżdżasz – zaczął Colchester, spoglądając w dół, na bazę. – Wracasz do domu.

– Na tak długo, na jak długo mnie puszczą.

– Żałuję, że nie mogłem częściej cię widywać – powiedział, a mnie wzruszenie ścisnęło pierś.

Nie mogłem znieść tego, że mówi takie rzeczy, *nie mogłem tego znieść*, więc próbowałem zmienić temat, osłabić intensywność rozmowy.

– Mnie i z pewnością Morgan.

Pokręcił głową.

– Nie to miałem na myśli. Owszem, dobrze się z nią bawiłem, śmiało można powiedzieć, że cieszyłem się każdą chwilą spędzoną w jej towarzystwie, ale nie odczuwam potrzeby ponownego spotkania z nią. Za to kiedy ty wyjedziesz… Będzie mi ciebie brakowało.

Dławienie w piersi wzmogło się od tych słów.

Serce ścisnęło mi się jeszcze mocniej.

– Colchester…

Zerknął na mnie, jego spojrzenie było jak błysk zieleni obramowanej czernią długich rzęs.

– Najbliżsi z przyjaciół mówią mi Ash.

– Myślałem, że masz na imię Maxen.

– I tak jest, ale… – Zagryzł wargę, jakby zastanawiał się, jak wiele ma mi zdradzić. – Nigdy nie poznałem swoich biologicznych rodziców. W akcie urodzenia brak danych ojca, a matka nadała mi wprawdzie imię, ale niczego poza tym nie chciała mi dać. I dlatego Maxen, Max mówiono na mnie, dopóki nie przygarnęła mnie mama w czwartym roku mego życia. W dniu, kiedy z nią zamieszkałem, pozwoliła mi samemu wybrać sobie imię, którego mógłbym używać w nowym domu i w nowej rodzinie. – Uśmiechnął się. – Mama była najlepszą, najmilszą osobą, jaką spotkałem w całym swoim życiu. Nie zdarzyło się, żeby nie wzięła mnie na ręce i nie przytuliła, kiedy do niej podszedłem. Więc tamtego pierwszego dnia powiedziałem, że chcę mieć na imię tak jak ona, a ona się na to roześmiała. Odparła, że nie mogę nazywać się Althea, lecz mogę przybrać jej drugie imię. I kilka lat później, gdy oficjalnie mnie adoptowała, dopełniliśmy formalności. Od tamtej pory nazywam się już nie Maxen Smith, lecz Maxen Ashley Colchester. A ja sam traktuję imię Ash jako prawdziwe. Imię nadane z miłości, a nie – machnął ręką w geście niewskazującym nic konkretnego – z obojętności odrzucenia.

Zafascynowało mnie to niespodziewane wejrzenie w jego historię, w dziedzictwo bólu.

– I nigdy nie próbowałeś odnaleźć swoich biologicznych rodziców?

Wykrzywił usta w wyrazie goryczy.

– Po co miałbym to robić? Nie chcieli mnie.

Ja ciebie chcę.

– Więc chcesz, żebym ci mówił Ash?

Uśmiechnął się do mnie tym swoim uśmiechem, tańczącym, bolesnym, szerokim, z dołeczkami, białymi zębami i wargami, które zdawały się naraz jędrne i miękkie.

– Byłoby miło.

Zafascynowany tym jego uśmiechem, zawtórowałem mu:

– Mnie też byłoby miło.

– Embry, czy ty mnie unikałeś?

Oderwałem wzrok od jego ciepłej, przystojnej twarzy. Wyczułem, że zorientowałby się, gdybym skłamał, lecz nie chciałem się przyznać, nie mogłem się przyznać, bo gdybym to zrobił, spytałby o przyczynę, a ja nie byłbym w stanie zataić przed nim prawdy.

– Chodzi o to, że spałem z twoją siostrą? – naciskał. – Czy może o to, że przestałem z nią sypiać?

– Nie, Colchester…

– Ash – poprawił mnie.

– Ash. Nie dlatego… albo sam nie wiem… nie tylko dlatego.

– Bo mnie ciebie brakowało – odparł cicho. – Chciałem widywać cię częściej.

– Myślałem, że tak naprawdę mnie nie cierpisz.

– Jesteś zepsuty, autodestrukcyjny i nieznużenie beztroski. Jedynym, czego w tobie nie cierpię, jest to, że nie jesteś jednym z moich ludzi, więc nie mogę cię zdyscyplinować.

I pomimo ostrzeżeń Morgan, pomimo tego, co myślałem o sobie, w chwili, kiedy wymówił słowo *zdyscyplinować*, zjeżyły mi się włoski na

ramionach i naprężyły mięśnie ud. Nieznana mi część mojej osoby pragnęła go prosić, by zdyscyplinował mnie tu i teraz.

– I chciałbyś, żebym był jednym z twoich ludzi.

– Tak. Chciałbym, żebyś należał do mnie.

Należeć. To słowo nigdy nie wydawało mi się seksowne, nigdy nie wydawało mi się brzemienne emocjami. To było słowo przeznaczone dla *rzeczy*, samochodów, broni i własności. Ale Boże, w tamtej chwili niczego nie pragnąłem bardziej, niż być jego własnością, jego rzeczą. Należeć do niego.

Nie mogłem uwierzyć, że o to pytam, a jednak wypowiedziałem te słowa.

– Co masz na myśli, kiedy myślisz o dyscyplinowaniu mnie?

Przebiegł go dreszcz.

Przebiegł go najprawdziwszy dreszcz.

Ku memu wielkiemu rozczarowaniu nie odpowiedział na pytanie. Zamiast tego sam spytał:

– Czy znasz historię Achillesa i Patroklosa?

– Uczyłem się w szkole męskiej z internatem – przypomniałem mu. – A zatem tak.

– Mam… po trochu mam poczucie, że po twoim wyjeździe nie będę zdolny do walki – przyznał Colchester… od tamtej chwili Ash. – Jak Achilles po śmierci Patroklosa.

– Ty? – Roześmiałem się. – Jesteś tu najlepszym żołnierzem!

– Z twoją obecnością wiąże się coś, co mi to ułatwia. Świadomość, że należyte wykonanie każdego zadania zmniejsza ryzyko, jakie podejmujesz ty, realizując własne misje.

Jego słowa zakłuły mnie w serce – zanadto były miłe, zbyt wiele niosły treści – i pomyślałem, że nie mogły oznaczać tego, czego pragnąłem, ale naraz stwierdziłem, że leżę na plecach, skały i igły sosnowe kłują mnie przez koszulę, a on klęczy nade mną okrakiem i trzyma moją koszulę w garści.

Nic nie mogłem na to poradzić, z głębi gardła wyrwało mi się ciche piśnięcie. Ciało Colchestera nawet z daleka imponowało muskulaturą, lecz dopiero gdy przygwoździł mnie do ziemi, poczułem, jaki jest ciężki, twardy i cholernie silny, spragniony żołnierz wciskający moje ciało w skały.

– U Ajschylosa Achilles opłakuje Patroklosa po śmierci – szeptał, nachylając się tak nisko, że czułem jego zapach, skórę i ogień. – Zarzuca mu brak wdzięczności za pocałunki, którymi go obsypywał. Jak mógł nie być niewdzięczny, skoro zginął, zamiast pozostać u boku Achillesa? Noc w noc rozmyślałem o twoim wyjeździe stąd, o tym, że mnie zostawiasz, ale nie byłbym w stanie oskarżać cię o brak wdzięczności za cokolwiek, o ile…

Ledwo mogłem złapać oddech, jego długie rzęsy upadały i unosiły się, jego uda poruszały się na moich biodrach, mój fiut twardniał pod naciskiem poruszającej się na mnie ucieleśnionej siły.

– O ile co? – zapytałem, rozpaczliwie pragnąc przełamać napięcie.

Ash nie odpowiedział słowami. Zamiast tego pochylił głowę i pocałował mnie.

To był namiętny pocałunek – bardziej namiętny, niż bym się tego spodziewał po człowieku, który w obecności innych ludzi zawsze jest powściągliwy i zdyscyplinowany, ale tak namiętny, jak można się było tego spodziewać po mężczyźnie, któremu sprawiało przyjemność stawanie w wojskowym buciorze na moim nadgarstku. Prężyłem się pod nim, szukając, do czego mógłbym docisnąć kutasa, gotów zrobić mu laskę, a on dawał i brał w zamian, przesuwając biodra, aż poczułem jego erekcję

naprzeciwko mojej. Przesunął dłoń z koszuli na moją szyję i ścisnął mocno. Drugą dłoń wsunął pod moją głowę i uświadomiłem sobie, że zrobił to po to, żebym nie leżał głową na skale.

– Ty będziesz mi wdzięczny za moje pocałunki, prawda? – zapytał, szczypiąc mnie w brodę. – Nie zostawisz mnie po to, żeby nigdy nie wrócić?

W ciągu dwudziestu dwóch lat nikt, *nikt* nie wzbudził we mnie podobnych uczuć. Nie tylko żądał, ale zdawał się swoim żądaniem wbijać w moje ciało, zakotwiczać się w moich kościach. Byliśmy wówczas obaj tacy młodzi. Ash był ode mnie zaledwie o rok starszy, lecz zdominował mnie i owładnął mną z taką naturalnością, jakby przez całe lata nic innego nie robił.

A jednak, kiedy spojrzałem w jego twarz, nie dostrzegłem w niej perfekcyjnego opanowania człowieka doświadczonego, lecz rozpaczliwy, zaborczy gniew dwudziestotrzylatka, któremu grozi utrata upragnionej osoby. Te ciemne brwi ściągnięte razem, jadeitowe oczy wpatrzone gorączkowo w moją twarz.

– Embry – błagał. – Obiecaj mi, że nie znikniesz tak po prostu z mego życia.

Wciąż starałem się pojąć to, co wydarzyło się w ciągu ostatnich trzydziestu sekund.

– Nie wiedziałem, że tego chcesz – powiedziałem. – Myślałem… chyba myślałem, że nie zechciałbyś mnie.

Pocałował mnie jeszcze raz, a potem jeszcze i jeszcze. Rozchylił moje usta swymi wargami i nasze języki zetknęły się ze sobą. To było doznanie tak ciepłe, wilgotne, intymne, że aż pod nim zadrżałem, a on jęknął w moje usta.

– Pragnąłem cię od pierwszego dnia – wyznał, przerwawszy nasz pocałunek. – Chciałem wtedy trzymać cię przypartego do ściany całymi godzinami. – Na jego twarzy pojawił się wyraz onieśmielenia, nowy i całkiem słodki na jego zwykle surowym obliczu. – To pierwszy raz, kiedy poczułem coś takiego w stosunku do mężczyzny.

– Ale Morgan… – Nie powinienem był tego mówić. Nie wiem, dlaczego to powiedziałem.

– Tak – westchnął. – Morgan.

Jej imię w jego ustach sprawiło, że czar prysł.

Co ja robię? Czy fakt, że Ash pragnął mnie tak samo, jak ja pragnąłem jego, cokolwiek zmieniał? Czy naprawdę wyobrażałem sobie, że mógłbym żyć z facetem pragnącym dyscyplinować i znaczyć ciała swych kochanków sińcami? Chociaż moje ciało krzyczało *tak, tak, możemy to zrobić*, musiałem użyć do myślenia czegoś więcej niż tylko fiuta. Wszystkie moje relacje albo opierały się na pełnej równowadze sił, albo to ja byłem stroną dominującą, a to nawet nie mieściło się w skomplikowanych realiach mego zdrowia emocjonalnego. Nie mieściło się w skomplikowanych realiach naszej służby.

Ash dostrzegł zmianę na mojej twarzy.

– Powiedz, że to nie koniec, Embry. Obiecaj, że nauczysz mnie tańczyć. Powiedz, że będziesz moim małym księciem. Proszę.

Jego dłoń wciąż podtrzymywała moją głowę, nadal chroniła mnie przed wszelkim bólem poza tym, który pragnął mi zadać sam. Zacisnąłem powieki, każda cząsteczka mnie chciała powiedzieć tak, a jednak… Mali książęta nie mogą bawić się z królami. Źle by się to dla nich skończyło.

– Powinniśmy wrócić do bazy. – Uniosłem powieki, lecz nie spojrzałem mu w twarz. Gdybym zobaczył te zielone oczy błyszczące bólem, tę kwadratową szczękę zaciśniętą w wyrazie cierpienia, byłoby po mnie.

Ugiąłbym się i pozwolił wciągnąć w coś, co nieuchronnie okazałoby się toksyczne i okropne, bo to zawsze udawało mi się najlepiej.

Ash zsunął się ze mnie, wstał i podał mi rękę, ale jej nie przyjąłem. Wróciliśmy do bazy w milczeniu, rozstaliśmy się bez słowa, choć czułem, że przez cały czas na mnie patrzy. Udałem, że źle się czuję, gdy nadeszła godzina pożegnalnej imprezy, myśląc, że to ostatni raz, gdy musiałbym widzieć Colchestera, chociaż już wówczas wiedziałem, że nigdy nie uwolnię się od jego wspomnienia.

Rano, kiedy wyszedłem z mego pokoju ze swoim bagażem, znalazłem za drzwiami niewielki prezent zawinięty w papier. Zmusiłem się do odczekania, aż wsiądę do pociągu do Lwowa, i dopiero tam, odpakowawszy prezent, poczułem się tak, jakby ktoś zanurzył glocka w moich żebrach i pociągnął za spust.

Egzemplarz *Małego księcia*. Od Asha.

Przycisnąłem czoło do szyby i wysiłkiem woli powstrzymałem się od płaczu.

14

Embry

przed

Patroklosie!

Tym razem to będzie tylko mail, ale mam nadzieję, że wiesz, że każdy dzień, w którym nie dostajesz ode mnie poczty, jest dniem, w którym pragnę napisać do Ciebie mail. W swojej głowie będę układał listy do Ciebie przez lata i przynajmniej ten jeden muszę wysłać.

Wracam myślami do wydarzeń minionego roku. Czyżbym zrozumiał wszystko opacznie? Czy błędnie odczuwałem to, co działo się między nami podczas tańca, czy mylnie odczytałem Twoje spojrzenie w chwili, kiedy wypowiadałem Twoje imię? Czy nietrafnie oceniłem reakcję Twego ciała, gdym na Tobie leżał i Cię całował?

To musi być sprawka Morgan. Mogę sobie tylko wyobrazić, co Ci nagadała na mój temat, ale proszę, przyjmij do wiadomości, że wszystko, co zrobiliśmy w ciągu tamtego tygodnia, działo się za obopólną zgodą… i wolą. Embry, nie muszę być tego rodzaju

kochankiem, jeśli tego nie chcesz. Dla Ciebie będę, jakimkolwiek mnie zechcesz. Tylko nie znikaj.

Achilles

Życie płynęło dalej. Przez trzy lata toczyło się swoim biegiem. Byłem krótki okres na Południowym Pacyfiku, osiem miesięcy w Polsce, potem rok w Leavenworth. Czas między kolejnymi misjami spędzałem w Seattle, w ogromnej rezydencji mej matki, nad rozległym jeziorem. Bawiłem się z synkiem Nimue, kłóciłem z Morgan, taplałem we wszelkiego rodzaju rozwiązłości, żeby nie myśleć o rzeczach, których byłem świadkiem i których byłem sprawcą w Karpatii.

I żeby nie myśleć o Maxenie Ashleyu Colchesterze.

Nie było dnia, żebym go nie wspominał. Myślałem o naszym tańcu, o całowaniu, o doznaniu, jakiego dostarczył mi jego sterczący gruby kutas dociskający moją erekcję. O jego mailu, o jego *Dla Ciebie będę, jakimkolwiek mnie zechcesz.*

Nie mógłbym pozwolić na to, żeby zmienił się dla mnie. Nie chciałbym tego. To byłoby drastycznie niesprawiedliwe wobec niego – nie mówiąc o tym, że nie chciałem, żeby był inny. Może byłem zanadto popierdolony, żeby być tym, kogo potrzebował, może broniłem się przed myślą, że on był tym, kogo *ja* potrzebowałem, lecz w zaciszu i mroku nocy z mózgiem nabuzowanym od seksu, alkoholu lub czegoś jeszcze gorszego, znałem prawdę. Może trzeba by było mnie do tego przymusić, przyprzeć do muru albo przyłożyć mi pistolet do głowy, ale kiedy raz zdałbym się na łaskę Asha, należałbym do niego duszą i ciałem. Wszelkie upokorzenia, wszelkie formy zniewolenia, wszystko, cokolwiek zechciałby mi zrobić, zaakceptowałbym z radością. Do diabła, jeszcze bym mu za to dziękował.

I to przerażało mnie bardziej niż cokolwiek innego.

A zatem postanowione: Colchester nie wchodzi w grę. Dla jego i mojego dobra.

I tak płynęły lata.

Świat znów się zmienił. Kucałem skulony za krzesłem w jadalni w domu Vivienne, czekając, aż zza rogu wyłoni się Lyr, by go schwytać i udawać, że pożeram go jak ogr, kiedy naraz zabrzęczał mój telefon. SMS od Morgan.

Widziałeś wiadomości?

Nie, bawię się z Lyrem przed obiadem.
Przy okazji, będziesz na obiedzie?

Włącz TV, idioto.

Nadal czekałem na Lyra, rzuciłem się na niego i skubałem ustami dziecięce policzki, a on zanosił się śmiechem i wiercił w moim uścisku. Na ogół był cichym chłopczykiem – poważnym i powściągliwym – jedynie kuzyn Embry potrafił doprowadzić go do śmiechu i pisku, więc ilekroć się z nim widziałem, starałem się tego dokazać. Może to był jakiś mój defekt, bo mnie widok Asha śmiejącego się lub choć uśmiechniętego sprawiał również mnóstwo radości. Może po prostu nie byłem w stanie myśleć o wszystkich tych poważnych ludziach tak serio przeżywających swoje życie, spokojnie i uroczyście traktujących nawet najlepsze rzeczy, jakie ich spotykają.

Rzuciłem chichoczącego Lyra na kanapę, raz jeszcze połechtałem po dziecinnemu pulchne żebra i sięgnąłem po pilot.

– Zrób tak jeszcze!

Poczochrałem tylko jego ciemne włosy i włączyłem telewizor.

– Ciocia Morgan mówi, że zamiast się bawić, mamy oglądać wiadomości. Czy ona nie jest okropna?

Kiwnął głową, ale nie marudził i nie narzekał. Przytulił się do mnie i jak ja patrzył na duży, płaski ekran.

W wiadomościach pokazali płonący Kraków.

Karpaccy separatyści zadali cios w serce swych przeciwników – oznajmiał napis przesuwający się na pasku w dole ekranu. Było jasne, że tym razem sprawy przybrały nowy obrót. To nie była jedna z tych pośpiesznie improwizowanych napaści na pociąg czy najazdów na wieś, jak dotąd. To najprawdziwszy akt terroru, przemyślany, zaplanowany i bezbłędnie wykonany. Pięć budynków przy rynku, w sercu miasta. Jednocześnie wybuchły bomby podłożone w bazylice Mariackiej. Dziewięćset osób zabitych.

Melwas Kocur, samozwańczy przywódca „narodu karpatiańskiego”, już zdążył zadeklarować, że zamach był jego „zasługą”.

W okrucieństwie nie ma nic nowego. W okropnościach wojny nie wydarzyło się nic nowego, odkąd ludzie zeszli z drzew i zaczęli walczyć o to, która połać sawanny do kogo należy. Jednak być może najlepsze świadectwo ludzkiej naturze daje fakt, że każdy przejaw okrucieństwa odczuwamy jako coś nowego, jako coś tak okropnego, jakby to był pierwszy mord w dziejach. I tamten krakowski zamach odczuwało się jako coś nowego i odmiennego od dotychczasowych.

Odczuwało się go jako akt wojny, nawet pomimo odległości dzielącej Kraków od Seattle.

Kilka godzin później dostałem telefonicznie rozkaz wyjazdu na Ukrainę.

Tydzień później rzuciłem swój worek żołnierski do pokoju w koszarach i wyszedłem na dziedziniec. Baza tętniła życiem, wręcz nim rozbrzmiewała. Helikoptery lądowały i wzbijały się w powietrze, przez bramy wjeżdżały i wyjeżdżały humvee i jeepy, roiło się od żołnierzy, a wszyscy oni byli czymś zajęci, krzykliwi i pełni energii.

Patrzyłem na nich, czując się trochę jak uczeń najstarszej klasy w pierwszym dniu ostatniego roku szkolnego w liceum. Ci chłopcy wydawali mi się tacy… *młodzi*. I pełni zapału. Zastanawiałem się, ilu z nich miało za sobą prawdziwą walkę. Ilu stało w ostrzelanej wiosce, słuchając obłąkańczego meczenia owiec w płonących zagrodach? Ilu unosiło na rękach krzyczące dzieci od zwłok ich rodziców, słyszało ostrzegawcze trzaski wystrzałów wśród drzew i świst kul przelatujących koło głów i szło przed siebie ze świadomością, że w każdej chwili mogą zginąć? Colchester miał rację, gdy wówczas przed laty potrząsnął mną, żebym oprzytomniał. Teraz pragnąłem zrobić to samo z tymi młodzikami.

Udałem się do kwatery kapitana, żeby zameldować się mojemu obecnemu przełożonemu. Wedle dokumentów miał nim być jakiś facet imieniem Mark, jednak… co za niespodzianka, kapitanem obecnie dowodzącym kompanią nie był żaden Mark.

Był nim Colchester.

Zamarłem w drzwiach, zupełnie na to nieprzygotowany, a serce tłukło mi się w piersi, jakby usiłowało wyrwać się z mego ciała i lecieć do tego, który wciąż żył w moich myślach i fantazjach.

Wyglądał inaczej. I nie chodziło jedynie o trzy lata, które upłynęły od naszego ostatniego spotkania. Stracił chłopięce rysy, które mężczyźni zachowują do początku trzeciej dekady swego życia, i stał się sobą. Bary

miał jeszcze szersze, ramiona potężniejsze, szczękę jeszcze bardziej kwadratową, kości policzkowe uwydatniały się wprost dramatycznie. Jego skóra zachowała ciepły oliwkowy odcień, choć może jej brąz lekko pogłębił się od słońca, włosy były kruczoczarne, gęste, nieco dłuższe na czubku głowy niż dawniej.

Natomiast wyraz jego twarzy, gdy siedział zapatrzony w ekran stojącego na biurku laptopa, był równie poważny jak dawniej, z ustami zaciśniętymi w sposób, który jemu być może zdawał się surowy, lecz z powodu pełnych warg sprawiał niemalże wrażenie kapryśnego nadąsania. Czytał coś i pocierał czoło kciukiem, a ja nie mogłem oderwać od niego oczu, bo przypomniałem sobie, jak to było czuć ów kciuk na tchawicy, przesuwający się wzdłuż mego podbródka.

Jego twarz się zmieniła, gdy kliknął i czytał coś nowego. Kąciki ust leciutko się uchyliły w ledwie dostrzegalnym uśmiechu, zaraz jednak uśmiech zgasł, a on pokręcił głową, jakby zły na samego siebie. Gwałtownym gestem zatrzasnął laptop, uniósł wzrok i skamieniał, widząc mnie w progu.

– Embry? – zapytał, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

W tamtej chwili zrobiłbym wszystko, czego by sobie zażyczył, tylko po to, żeby usłyszeć, jak ponownie wymawia moje imię.

Wstał i wyszedł zza biurka. Przez moment myślałem, że może uściska mnie i przytuli, jak sobie to tysiące razy wyobrażałem, gdy stałem sam pod prysznicem, jednak on przystanął i wyciągnął rękę do uścisku dłoni.

Pieprzony uścisk dłoni.

– Myślałem, że kapitanem jest…

– Zostałem awansowany zaledwie kilka miesięcy temu i skończyło się na tym, że przysłano mnie tutaj, gdyż posiadam doświadczenie w prowadzeniu działań na tym terenie – przerwał mi.

– Och. – Nic innego nie byłem w stanie powiedzieć.

– Uściśniesz moją dłoń, Embry?

Tkwiące we mnie kapryśne dziecko chciało powiedzieć *nie*. Czemu – nie mam pojęcia, bo powód, dla którego w tamtej chwili nie obejmowaliśmy się na powitanie, leżał po mojej stronie. To był mój wybór. Moje tchórzostwo.

Cofnął dłoń, obrzucając mnie spojrzeniem swych ciemnych oczu.

– To niegrzeczne odrzucić rękę wyciągniętą do uścisku – zganił mnie.

– Więc wydaj mi rozkaz, jeśli chcesz, żebym ją uścisnął – odparłem z rozdrażnieniem.

Z rozdrażnieniem, bo mój fiut natychmiast ożył na jego widok. Z rozdrażnieniem, bo cała ta napięta i niezręczna sytuacja wynikła z mojej winy. Z rozdrażnieniem, bo od trzech lat mogłem należeć do niego, gdybym tylko odpowiedział pozytywnie na jego mail.

– Uściśnij mi dłoń – rozkazał ostrym tonem.

– Pierdol się – odparowałem.

Jego oczy zwęziły się i zlodowaciały, zamarznięte zielone jezioro.

– Dwadzieścia pompek, żołnierzu.

– *Co?*

– Jesteście podporucznikiem, zgadza się? A ja jestem waszym kapitanem? To znaczy, że jesteście teraz jednym z moich podkomendnych i należycie do mnie. Podlegacie mi dyscyplinarnie i mimo to odmówiliście wykonania rozkazu. A teraz padnij i dwadzieścia pompek!

Wytrzeszczyłem oczy. Mówię serio, naprawdę wytrzeszczyłem oczy, szczęka mi opadła, na twarzy odmalowało się niedowierzanie.

– Ale…

– Zakładam – odparł uprzejmie – że słowa, których wam zabrakło, żołnierzu, to: „Tak jest, panie kapitanie”. I żebyście je sobie utrwalili, niech to będzie trzydzieści pompek.

Wpatrując się w niego wzrokiem pełnym zranionej dumy, opadłem na kolana i zapytałem z rozdrażnieniem:

– Na pewno tego właśnie chcesz?

Spojrzał na mnie z góry.

– Tak – odparł, wciąż tym samym lodowatym tonem. – Tego chcę. A teraz wykonać rozkaz.

Pierdol się, chciałem mu cisnąć w twarz, ale czułem, że lepiej nie przeciągać struny. W starciu woli przegrałbym z nim, a jeślibym zdecydował się później wnieść skargę, nie miałbym do niej solidnych podstaw.

Opadłem zatem na podłogę, wyciągnąłem nogi i ugiąłem ręce. Kiedy je prostowałem, poczułem przez kurtkę mundurową kauczukową podeszwę buta okrutnie cisnącego mnie do ziemi.

– Nie powiedziałeś: „Tak jest, panie kapitanie” – zauważył łagodnym tonem Ash. – Teraz to jest pięćdziesiąt pompek.

Chciałem go zabić. Chciałem zerwać się na nogi i boksować go, aż moje knykcie zaczną krwawić. Chciałem chwycić matkojebcę za szyję i udusić. Co nie wyjaśniało ostrej żądzy zwijającej się wokół podstawy mego kręgosłupa, ani erekcji wzmagającej się za każdym razem, gdy prostowałem ręce i czułem but naciskający moje plecy.

– Wciąż nie usłyszałem, jak meldujecie wykonanie rozkazu, poruczniku.

– Tak jest, *panie kapitanie* – warknąłem przez zaciśnięte zęby.

– Lepiej. A teraz do samej podłogi. Jeśli tego nie zrobicie, każę wam całować podłogę za każdym opuszczeniem ciała.

Starałem się, jak mogłem, ale wykonywałem dopiero dwudziestą czwartą pompkę i ramiona mi drżały. Byłem w fantastycznej formie – nie chodziło o pompki, chodziło o ten but na grzbiecie i o to, ile gramów nacisku wywierał nań rozeźlony Colchester. Z trudem opuściłem ciało po raz kolejny i wyprostowałem ręce, wiedząc, że Ash nie będzie usatysfakcjonowany.

– O, nie – odezwał się niezadowolonym tonem. – Wygląda na to, że musimy pocałować podłogę.

– *Nie* będę całował podłogi! – zaperzyłem się.

Brzemię z mego karku znikło, Ash kucnął przede mną.

– Więc może mój but? Śmiało. Pocałuj mój but i obaj będziemy wiedzieli, że nauczyłeś się, co to dyscyplina i subordynacja.

– Nienawidzę cię – odparłem z cichą furią. – Tak cię, kurwa, nienawidzę.

Jednak już przegrałem i obaj to wiedzieliśmy. Jeśli chodziło o Colchestera, zawsze przegrywałem, bo zawsze chciałem z nim przegrywać. Opuściłem więc ciało po raz kolejny i pocałowałem jego but.

Pachniał skórą i sosnowymi igłami i trochę, zaledwie odrobinę, kurzem z wyschniętej ziemi dziedzińca bazy. Zamsz okazał się zaskakująco miękki i delikatny, miększy i delikatniejszy od ust samego Colchestera, gdy całował mnie przed trzema laty. Słyszałem, jak powoli wypuszcza powietrze z płuc, słyszałem w uszach własne tętno.

I przez chwilę nie było wojny. Nie było Karpatii. Nie było Morgan ani pełnej napięć historii naszych relacji. Na moment przestałem nawet nienawidzić samego siebie.

Podczas tego wyciszenia, z ustami na bucie Colchestera, ogarnął mnie wyłącznie spokój. Nie czułem ani wstydu, ani ukłucia dumy, ani oporu – to była jedynie prosta egzystencja. Byłem nią niemal oszołomiony. *Byłem* nią

oszołomiony, mój oddech się zmienił, krew płynęła inaczej. Czy kiedykolwiek przed tym pocałunkiem życie było równie pełne detali? Równie żywe? Każda molekuła śpiewała swoją własną indywidualną pieśń tak głośno, że niemalże słyszałem, jak ściany mówią, a podłoga krzyczy?

– Embry – usłyszałem głos Asha. – Embry, wróć. Embry.

Poczułem palce pod brodą i pozwoliłem unieść się na kolana.

– Mały książę – wymamrotał Ash. – Dokąd odpłynąłeś?

Zamrugałem. Nie rozumiałem pytania, a on zdawał się to dostrzegać.

– Unosiłeś się tak z ustami na moim bucie przez dobrą minutę czy dwie – wyjaśnił, a jego usta ułożyły się w uśmiech.

– Naprawdę?

On także klęczał, dość blisko, żebym widział fasety tych oczu z rżniętego kryształu.

– Nic mi to nie przeszkadzało – odparł, nie przestając się uśmiechać. – Dobrze wyglądałeś tam w dole.

Teraz czułem więcej aromatów, poza zapachem jego buta. Czułem *jego* zapach – woń dymu i ognia, i skóry – prawdziwej skóry – nie takiej, z jakiej zrobione były jego buty, lecz z jakiej robi się pasy. I pejcze.

Ręce mi się trzęsły. Podźwignąłem się na nogi, ocierając usta i starając się stworzyć między nami tak duży dystans, jak było to możliwe bez opuszczania jego biura.

Przypatrywał mi się rozbawiony.

– Dobrze się czujesz?

Wcale nie czułem się dobrze.

– Czy mogę dokończyć pompki innym razem? Panie kapitanie?

Wyraz rozbawienia znikł. Po chwili pokręcił głową.

– Dość zrobiliście, poruczniku. Możecie uznać swoje ćwiczenie dyscyplinujące za wykonane.

Nie przeprosił mnie.

A ja zdałem sobie sprawę, że nie chcę, żeby to zrobił.

15

Embry

przed

*M*arsz albo cię wepchnę! – krzyknął do Daga Colchester.

W korytarzu rozbrzmiało dobrze nam już znajome *klik*, *bum!* Odgłos miny odpalanej przez pociągnięcie przewodu rozpiętego nad ziemią. Siła eksplozji omal nas nie zwaliła z nóg.

– Meldujcie się! – krzyknąłem do radia, choć w uszach wciąż tak mi dzwoniło, że nie usłyszałbym odpowiedzi, nawet gdyby nadeszła. Ash wciąż darł się na Daga, niemal niewzruszony wybuchem. Z korytarza słychać było krzyki.

Zaledwie trzy godziny temu wraz z resztą kompanii wjechaliśmy do opuszczonego miasta Caledonia, aby ustanowić wysunięty posterunek. To miało być łatwe zadanie – o ile cokolwiek było w tamtych czasach łatwe – bez użycia broni, natomiast z wykorzystaniem koszów szańcowych i generatorów, w celu wybrania, zajęcia i umocnienia jednego

z opuszczonych budynków. Przeszukanie reszty zabudowań miało być zbędne, a zatem pobieżne.

To była pułapka. Pierdolona pułapka. Od samego pierdolonego początku.

To Ash wpadł na pomysł, żeby uciekać przez szyby windowe i niemal cała kompania, która znalazła się w pułapce, przedostała się do piwnicy, jednak tam okazało się, że trzech ludzi brak. Trzech żołnierzy z mojego plutonu. Ash zapowiedział, że zejdzie na dół jako ostatni, a ja od początku zamierzałem czekać razem z nim, bo nie mogłem znieść myśli, że miałby zostać sam. A kiedy okazało się, że na ziemi niczyjej, pomiędzy opanowanymi przez separatystów górnymi kondygnacjami a dolnymi, zostało uwięzionych trzech moich podkomendnych, za żadne skarby świata nie opuściłbym budynku.

– Meldujcie się, kurwa, bo zejdę bez was – wrzasnąłem w mikrofon.

Wyjrzałem na korytarz, lecz nie było na nim widać nic prócz kłębów dymu.

Chryste. Byłem tu dopiero od dwóch tygodni i już miałem zginąć. W starym bloku mieszkalnym, kawał drogi od domu i rodziny, metry od mężczyzny, którego kochałem. Na pieprzonym linoleum. Kto chciałby wydać ostatnie tchnienie na pierdolonym pożółkłym linoleum?

Cokolwiek Ash krzyczał do Daga, podziałało. Dag wycofał się przez otwarte drzwi do szybu windowego i zaczął schodzić w dół po drabinie wmurowanej w ścianę. Ash odwrócił się do mnie.

– Gotów?

Pokręciłem głową i wskazałem korytarz.

– Tam zostało trzech moich ludzi, panie kapitanie.

Na dźwięk słów „panie kapitanie” jego źrenice rozszerzyły się lekko, jak za każdym razem w ciągu tygodnia od tamtych pompek i dziwnej

sytuacji, do której doszło w jego biurze. Od tamtej pory nie rozmawialiśmy, a w każdym razie nie rozmawialiśmy o niczym, co nie dotyczyło służby i wojny, jednak chwila się przedłużała i patrząc na jego twarz, nie byłem w stanie nie myśleć o tym, jak się czułem, dotykając ustami jego buta. Odnosiłem wrażenie, że on jest w stanie przejrzeć mnie na wskroś, zobaczyć to, wyczuć rozpaczliwy chaos płonący w mojej krwi, lecz on nie napierał, nie ponaglał mnie. Jeśli miałbym cokolwiek powiedzieć o jego uczuciach, to zapewne to, że wyglądał na trochę urażonego utrzymywaniem przeze mnie dystansu, który zwiększył się, odkąd go zraniłem, bo byłem zbyt popierdolony, żeby zebrać się w garść i przyznać, czego chcę.

To był czas udręki. Każda sekunda.

Lecz teraz wszystko zbladło. Za wiele trzeba było zrobić, żeby przeżyć tu i teraz.

– Idę tam – powiedziałem, zdejmując z ramienia M4.

– To ryzykowne…

Ja jednak już szedłem korytarzem. Gdyby potem próbował mnie zjebać, powiedziałbym, że go nie słyszałem, ale teraz nie było mowy o tym, bym opuścił swoich żołnierzy. Słyszałem, jak klnie za moimi plecami, a potem dobiegł mnie krzyk dochodzący skądś z głębi korytarza i trzy wymowne wystrzały.

Moje radio ożyło panicznym krzykiem – to było trzech ludzi uwięzionych w głębi korytarza.

– Są tu! Na południowej klatce schodowej… – W radiu rozległy się dalsze trzaski przerywane odgłosem wystrzałów. Słyszałem je i w słuchawce, i poza nią.

Eksplozja ładunku wybuchowego oszczędziła strop i większość ścian, lecz spowodowała pożar obejmujący urywki ścian – trwało to dobrą chwilę,

nim się połapałem, że palą się drewniane drzwi mieszkań. W nosie czułem ostry smród płonącej farby.

– Ja pierdolę – wymamrotałem, brnąc przez dym. Spust ciążył mi na palcu. – Kurwa, kurwa, kurwa.

Trach. Rozległ się krzyk, a ja w końcu przedarłem się przez kłęby dymu i zobaczyłem moich chłopaków skulonych w drzwiach. Jeden z nich ściskał dłonią krwawiące przedramię.

– Będę was osłaniał – rzuciłem ściszonym głosem. – Wycofujcie się do windy.

Nagle znalazł się przy nas Ash – poszedł za mną w dym i strzelaninę. Ktoś krzyknął po ukraińsku i Ash wepchnął mnie we wnękę w murze tak płytką, że ledwie nas skrywała. Refleksy płomieni tańczyły wzdłuż krawędzi jego balistycznych okularów, spod hełmu wypływała strużka potu i spływała w dół wzdłuż silnego i wdzięcznego zarysu jego szyi. Był napięty, czujny, lecz zarazem całkowicie opanowany. Znaleźć się przy nim w tym ognistym piekle było jak dotknięcie dłonią nagrzanego przez słońce głazu albo zanurzenie palców w piasku: to było coś naturalnie kojącego, ugruntowującego, przypominającego, co znaczy prawdziwa siła.

Taki był Ash w ogniu walki. Miał w sobie nieuchronność kamienia, siłę sztormowych fal.

Spojrzał na mnie, klepnął mnie w ramię i powiedział:

– Spadamy stąd, Embry.

Popatrzyłem wilkiem w głąb korytarza, gdzie za chmurą dymu kryli się karpatiańscy separatyści.

– Ci pierdoleni Karpatianie nie wyjdą stąd żywi.

Gówno mnie obchodziło, dlaczego separatystom zachciało się własnego państwa, gówno mnie obchodziło wszystko poza tym, że próbowali zabić ludzi, których los leżał mi na sercu i… pieprzyć ich. Pieprzyć ich za to, że

wybrali sobie ten skalisty, porośnięty sosnami skrawek gównianego kraju za miejsce do życia, że wybrali ten brzydki jak gówno blok z czasów sowieckich na miejsce mojej śmierci, pieprzyć ich wszystkich.

– Hej – powiedział Ash i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że wciąż mam na twarzy grymas gniewu. – Nasz priorytet to wyjść stąd cało, okej? Przeżyć jest ważniejsze niż zabić.

Jak na zawołanie wśród dymu rozległo się *krak*, *krak*, *krak*.

Przyklęknąłem, Ash pozostał w pozycji stojącej i obaj otworzyliśmy ogień do nieprzyjaciela. Moi trzej ludzie po drugiej stronie korytarza skorzystali z okazji, żeby wycofać się biegiem w kierunku wind. Ash pociągnął mnie za ramię i ruszył za nimi tyłem.

– Chodź, poruczniku.

Strząsnąłem jego dłoń i zamiast wstać, dalej prowadziłem ostrzał. Niemal na pewno czułem, skąd do nas strzelają. Byłem tego prawie pewny. I gdybym tylko trochę się do nich zbliżył…

– Embry – ponaglił mnie Ash. – Kurwa, wstawaj.

Zignorowałem go i podbiegłem naprzód, do następnych drzwi. Zamierzałem dopaść tych skurwysynów, wiedziałem, że ich dopadnę, a wściekłość i pewność, że wygram to starcie, stapiały się w mojej krwi, tętniły w moim ciele. *Nienawidziłem* ich, nienawidziłem tego budynku, nienawidziłem dymu i łuszczącej się farby, nienawidziłem zimnego potu spływającego mi po szyi, gdy kule ryły ścianę wokół mnie.

Oddali kolejną salwę, krótkimi seriami, a ja ostatecznie zlokalizowałem narożnik, zza którego strzelali. Nisko pochylony wybiegłem na środek korytarza i otworzyłem ogień, cofając się, owszem, ale całkowicie odsłonięty, bo ja pierdolę, zamierzałem wystrzelać ich jak psy…

Na moje ramię spadł naraz ciężki jak wszyscy diabli młot kowalski.

Zatkało mnie, zatoczyłem się w tył i rozglądałem wkoło, usiłując dociec, skąd nadszedł cios i kto mi go zadał. Lecz to wcale nie był młot. W gruncie rzeczy mało co widziałem w półmroku zasnutym dymem, mało co poza szybko powiększającą się plamą na rękawie munduru, tuż poniżej miejsca, gdzie kończyła się kamizelka kuloodporna.

I wtedy kolejny cios młota spadł na moją łydkę. Czułem ogień i szarpnięcie, gorącą krew wsiąkającą w skarpetę. Dopiero co prałem pieprzone skarpety.

– Kurwa – powiedziałem cicho, a potem się roześmiałem.

Mój głos brzmiał tak *zabawnie*, tyle w nim było łagodnego zdziwienia, jakby chodziło o niemożność znalezienia kluczyków do mojego audi R8 albo ulubionego zegarka czy czegoś w tym rodzaju. Nie przestając się śmiać, uniosłem broń i strzelałem, strzelałem i strzelałem, jak mi się zdawało przez kilka przezabawnych godzin, chociaż naprawdę było to zapewne tylko parę sekund.

Może nawet mniej czasu upłynęło, nim znalazł się przy mnie Ash i krzyczał coś, najwyraźniej wytrącony z równowagi, wręcz spanikowany. Zmartwiło mnie, że widzę go wystraszonego. Wolałbym, żeby był spokojny. Czemu nie dostrzegał komizmu w zalanej krwią świeżo wypranej skarpecie? Albo w moim stłumionym głosie?

Próbowałem zwrócić mu na to uwagę, ale kiedy w końcu udało mi się wydobyć z siebie głos, był on dziwnie drżący i nierówny, a jedyne słowa, jakie wymówiłem, to *krew* i *skarpeta*, i *audi*. Ash przygryzł wargę i przeniósł spojrzenie z mojego krwawiącego ramienia na miejsce, gdzie moja krew ściekała na podłogę.

– Mały książę – powiedział łamiącym się głosem. – Coś ty narobił?

Kule rozdarły linoleum koło naszych nóg i w tej samej chwili Ash na powrót zmienił się w kamień, na powrót stał się moim kapitanem, moim

dowódcą, a nie człowiekiem, który kiedyś błagał mnie, żebym nie znikał. Zarzucił sobie moje ramię na szyję, jakby po namyśle wziął w drugą rękę karabin szturmowy i wycofując się ze mną korytarzem, a właściwie dźwigając na swych krzepkich barkach niemal cały ciężar mego ciała, palił raz po raz w kłęby dymu. Zawroty głowy ustały, w ich miejsce pojawił się ból, zapierający dech w piersi i paraliżujący myśl, jak hak w żołądku niepozwalający mi rozszerzyć klatki piersiowej.

– Północna klatka schodowa – powiedział Ash, gdy doszliśmy do szybów. – Nie ma mowy, żebyś w takim stanie zdołał zejść w dół szybu.

Spostrzegł moją minę i dodał:

– Będę z tobą. Ale musisz iść pierwszy.

Ból odebrał mi chęć do dyskusji. Ash położył mnie na podłodze, a potem zrobiłem, co kazał, i popełzłem w stronę schodów, wlokąc się przy pomocy jednej ręki i jednej nogi i pozostawiając za sobą krwawą smugę. Ash strzelał, krył się przed ostrzałem, rzucił w głąb korytarza jeden czy dwa granaty, wykrzykiwał w radio komendy skierowane do żołnierzy oczekujących nas na dole – sam jeden prowadził bitwę, wziął na siebie całą nawałę ognia, cały napór wroga, ratując tym samym nas wszystkich.

Dowlokłem się do schodów i drżącą ręką wyciągnąłem pistolet na wypadek, gdyby znajdowali się tam separatyści. Nie było ich. Chwilę później dołączył do mnie Ash, zatrzasnąwszy za sobą kopniakiem drzwi, i wyciągnął latarkę. Wtedy już trząsłem się na całym ciele w gwałtownych spazmach, a ból przebiegał na wyścigi wzdłuż rozedrganych nerwów, wstrząsając mną bezlitośnie. Chwilami życie we mnie zamierało, by powrócić znowu: wypełniał mnie czarny szum, potem pojawiał się Ash z latarką, a następnie znów wszystko pogrążało się w czarnym szumie.

– Mały książę – powiedział. Jego głos był jednocześnie tak odległy i tak bliski. – Zostań tu. Zostań ze mną.

Próbowałem. Naprawdę. Lecz mimo przypływu adrenaliny w żyłach nie mogłem złapać oddechu, nie byłem w stanie odpędzić czarnego szumu zbierającego się na peryferiach pola widzenia. Pamiętam, że uchwyciłem się kurtki Asha i namawiałem go, żeby zostawił mnie za sobą i ratował własne życie. Pamiętam, że wtedy pochylił się nade mną i pocałował mój hełm.

– Jeszcze nie jesteś Patroklosem – powiedział. – Jeszcze nie umierasz.

Do dziś nie jestem pewien, co działo się potem. Niesiono mnie, tyle wiem, pamiętam też więcej wystrzałów, więcej chwil, gdy panika i adrenalina wtrącały mnie w stan czujnego napięcia, jak u tropionego zwierzęcia. Moje serce zaczynało mocniej bić, a krew szybciej upływała z moich żył. Pamiętam chwilę, gdy siedziałem na ziemi, a Ash ściągał z pleców trupa karpatiańskiego żołnierza plecak i przetrząsał go, zapewne w poszukiwaniu materiałów opatrunkowych. Oraz inną, gdy klął jak szewc po wielokrotnym bezskutecznym wzywaniu pomocy przez radio.

I wreszcie pamiętam chwilę, gdy popadłem w kompletne otumanienie, pogrążyłem się w dziwacznych snach i widziałem kroczące przede mną buty Asha, stertę plecaków i nasze kamizelki kuloodporne. Nadeszła noc. W lesie była dwakroć czarniejsza, wszechogarniająca jak czarna farba rozlana pod koronami drzew. Przyniosła ze sobą wietrzyk, który muskał moją skórę chłodnymi palcami. Wstrząsały mną dreszcze.

Buty się zatrzymały.

– Rozpalenie ognia wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem – powiedział Ash – ale dam ci moją kurtkę. Musimy spędzić tu jakiś czas. Na razie nie jestem w stanie ściągnąć przez radio pomocy, a tymczasem straciliśmy kontakt z resztą oddziału. Zdjąłem z ciebie kamizelkę, żeby opatrzyć ci ramię. Swoją też ściągnąłem, żeby łatwiej się poruszać, ale chyba wkrótce przyjdzie pora włożyć je na powrót. Jak się czujesz?

– Ja… – Byłem oszołomiony, ale nie czułem się źle. Trochę osłabiony, w ustach miałem metaliczny posmak, ale wciąż żyłem i nie umierałem, nie wiłem się w agonii. W sumie zatem czułem się miło zaskoczony.

Buty na nowo podjęły ruch w tę i z powrotem. Spostrzegłem, że krążąc wokół mnie, Ash na przemian zaciska i rozluźnia pięści.

– Karpatianie noszą w apteczkach morfinę. Kiedy cię bandażowałem, jęczałeś, więc zrobiłem ci zastrzyk. To pozostanie naszą małą tajemnicą.

Morfina. To wyjaśniało stan oszołomienia i wrażenie, że ból dociera do mnie z daleka, jak wołanie dobiegające z oddalonego pomieszczenia. Próbowałem usiąść, lecz wówczas oszołomienie natychmiast ustąpiło miejsca zawrotom głowy, a krzyki bólu przybrały na sile. Jednak udało mi się usiąść, oprzeć plecami o drzewo i wziąć kilka ostrożnych oddechów, podczas gdy Ash krążył wokół mnie jak tygrys w klatce.

Ostrożnie uniosłem kurtkę – rękaw został bezceremonialnie rozcięty, zapewne zrobił to Ash, by łatwiej dostać się do rany – i pomacałem bandaż pod spodem. Czułem zapach środka odkażającego, widziałem miejsca, gdzie najlepiej jak się dało otarł krew, podziwiałem precyzyjne zwoje bandaża i plastra. Moja łydka została opatrzona z tą samą pieczołowitą starannością.

– Niezły w tym jesteś – powiedziałem słabym głosem. – Powinieneś był zostać lekarzem.

– Gdybym został lekarzem, nie byłoby mnie tu dzisiaj, żeby uratować ci życie – mruknął, a potem powiedział głośniej, z nieskrywanym bólem. – Coś ty, kurwa, sobie wyobrażał, Embry?

– Nie wiem. – Wściekłość na Karpatiańczyków mi przeszła. Opuściła mnie nawet euforia, którą zwykle odczuwałem po walce – wszystko rozpłynęło się w morfinowym błogostanie. – Nie powinienem był się tam pchać.

– Oj, kurwa, nie powinieneś. Omal dziś nie zginąłeś i w imię czego? W imię walki z rebeliantami o jakieś miasteczko, którego nazwa nic nikomu nie mówi?

Uniosłem na niego wzrok. Mnie euforia walki opuściła, lecz w nim rozpoznawałem wszystkie jej objawy. Nie był otępiały, jak niektórzy żołnierze, ani podekscytowany, jak to bywało ze mną. *Wibrował*, jakby trzymał oburącz drut pod napięciem. Jego oczy błyszczały w mroku, biło z niego napięcie. Miałem przed sobą mężczyznę, który potrzebował drinka, pieprzenia lub bójki albo jednego, drugiego i trzeciego – często spędzałem czas w towarzystwie takich facetów, ale przy Ashu odczuwałem to inaczej. To zapalczywe, gwałtowne podniecenie, gdy trawiło mężczyznę tak silnego jak Ash, było czym innym, było niebezpieczne, bo ogarnęło kogoś, kto nie był przyzwyczajony do tego, że nad sobą nie panuje.

W tej chwili Ash był groźny. Niebezpiecznie było znajdować się koło niego.

A ja? Czy się bałem? Odczuwałem niepokój w towarzystwie faceta, który wyglądał, jakby gotów był rozszarpać mnie i cały świat na strzępy gołymi rękami?

Nie.

Mało tego – czułem podziw zapierający dech w piersi, rozkoszną grozę, jaką odczuwali rycerze odkrywający, że kobieta napotkana przez nich nad rzeką jest potężną i przerażającą królową elfów, skłonną pożreć ich żywcem.

Patrzyłem na Asha, który przestał krążyć, zatrzymał się przede mną i o coś mnie prosił. Z trudem otrząsnąłem się z narkotycznego otumanienia i skupiłem myśl na tym, co działo się tu i teraz.

– …pragnienie śmierci – mówił Ash. – Chcesz umrzeć? O to chodzi? Czy tak bardzo mnie nienawidzisz, że chciałeś mnie zmusić, żebym był

świadkiem tego, jak umierasz? Chciałeś, żebym czuł się odpowiedzialny za twoją śmierć?

– Nie byłeś za nic odpowiedzialny – odparłem. Morfina i ból sprawiły, że mój głos brzmiał ociężale, jakbym był totalnie zmęczony.

– Jasne, kurwa, że nie byłem odpowiedzialny – syknął, w najmniejszej mierze nie zwracając uwagi na to, że ledwie jestem w stanie wydobyć z siebie głos. – Myślisz, że byłbym w stanie oddać twojej matce złożoną flagę i odejść, jakbym nie miał z twoją śmiercią nic wspólnego? Chronię wszystkich moich ludzi, ale *ty*… – Głos mu się załamał, Ash odwrócił się gwałtownie i kopnął leżący na ziemi konar. – Pierdolę ciebie i twoje pragnienie śmierci, Embry. Pierdolę cię!

Przypomniałem sobie dzień, kiedy się poznaliśmy, i spróbowałem żartu, ale ten okazał się nietrafiony.

– Osobiście wolałbym odwrotnie.

W mgnieniu oka był nade mną, stanął okrakiem nad moimi udami i jedną ręką odchylił mi głowę, zmuszając mnie do spojrzenia sobie w oczy.

– Nie pogrywaj ze mną – ostrzegł mnie niskim głosem. – Nie dziś. Nie po tym, co zrobiłeś. Wolałbyś nie wiedzieć, o czym teraz myślę.

Ledwie mogłem złapać oddech. Ból śpiewał w moim ramieniu, głód śpiewał w moim rosnącym szybko fiucie. Byłem zdany na łaskę potwora – jak to się mówi, w rękach rozgniewanego boga – i nigdy nie czułem się bardziej żywy. To było jak całowanie jego butów, jak ów pierwszy raz, gdy znalazłem się pod ostrzałem w lasach Karpatii – cały świat ożył, las szumiał, liście szeleściły, a moja krew i moje serce stanowiły część tej niewiarygodnej symfonii magicznej muzyki, która rozbrzmiewała przez cały czas i którą mógłbym słyszeć, gdybym tylko chciał. Bycie z Ashem było jak euforia bitewna, kruchość życia tak oczywista, emocja przeżycia tak radosna. Przeżycia *jego*.

– Weź to sobie. – Wróciły do mnie fantazje snute przez te wszystkie lata, sprawiając, że poruszyłem się pod nim.

– Co? – zapytał cicho.

– Weź sobie to, co jestem ci winny. Weź to, na co sobie zasłużyłeś, ocalając mi życie.

Jego usta się rozchyliły, powieki opadły, odchylił moją głowę jeszcze bardziej, odsłaniając gardło.

– A cóż takiego jesteś mi winny? Na co takiego sobie zasłużyłem?

Popatrzyłem mu w oczy, niemal czarne w ciemności.

– Cokolwiek zechcesz.

– Biorąc to, czego chcę, zrównałbym cię z ziemią. Popłakałbyś się. Wciąż myślisz, że chcesz mi to dać?

– Nie. – Przełknąłem. – Sam to sobie weź.

Znieruchomiał.

– Pozwól, żebym ci w ten sposób podziękował – błagałem. – Pozwól, żebym ci w ten sposób pomógł. Zrób ze mną, co chcesz.

– Ach, więc tego chcesz, tak? – szepnął. – Usiadł okrakiem na moich udach, na mojej pulsującej erekcji, a ja poczułem jego kutasa jak żelazny pręt wciskający się w mój brzuch. Był wielgachny. Rozłupałby mnie nim.

– Odmówiłeś mi, kiedy cię całowałem i pisałem listy miłosne, a teraz, gdy krwawisz, a ja jestem wściekły, chcesz się przede mną otworzyć? Dopiero teraz to dostanę?

Jak mógłbym mu to wyjaśnić? Że to musiało być właśnie tak? Że musiałem zostać zdobyty, a nie uwiedziony? Bo dla mnie samego było to coś nowego, ten aspekt mojej osobowości istniał wyłącznie przy nim. Ledwie potrafiłem ująć to w słowa we własnej głowie.

Może wyczytał to z mojej twarzy. Może z góry znał odpowiedź. Pochylił głowę i ugryzł mnie w szyję – nie delikatnie, lecz mocno, tak okrutnie dziko, że aż krzyknąłem. Jego palce puściły moje włosy i zaczęły niecierpliwie szarpać rzepy i suwak mojej kurtki mundurowej, dosłownie zdzierając ją ze mnie. Trochę delikatniej obszedł się z ramieniem, lecz nie dość, żebym nie poczuł bólu. Wciąż był wściekły, wciąż był potworem, wciąż był mrocznym i porywczym księciem z bajki, a ja osobą, którą wyratował.

T-shirt zdarł ze mnie równie brutalnie i nie wdawał się w admirację ani pieszczoty, w nic, co odwodziłoby go od jego nieustępliwego gniewu. Zerwał się ze mnie i w jednej chwili zamiast siedzieć pod drzewem, leżałem przełożony przez plecak. Niecierpliwe dłonie zdarły ze mnie nylonowy pas i ściągnęły spodnie niemal do kolan. Powietrze było chłodne – nie zimne, lecz prawie – i poczułem, jak dostaję gęsiej skórki od pleców przez pośladki po biodra. Pomimo morfiny i bólu na moment ogarnęło mnie paniczne zakłopotanie – co ja wyprawiam? Spałem z tak wielu mężczyznami, lecz żaden nie potraktował mnie równie bezceremonialnie, odzierając z ubrania i rozwierając, jakbym nie był niczym więcej niż wygodną dziurą do pieprzenia…

Jednak właśnie myśl o tym, o byciu tak odczłowieczonym, podczas gdy normalnie moi kochankowie adorowali mnie i uwielbiali, doprowadziła mnie niebezpiecznie blisko do natychmiastowego wytryśnięcia na leżący przede mną plecak.

Ash położył przedramię jednej ręki na dolnej części mych pleców, przygważdżając mnie do miejsca, a drugą ręką wsmarował wydobytą z apteczki wazelinę tam, gdzie było jej miejsce.

– Tego chcesz? – zapytał lodowatym tonem.

Czubek palca naparł na zwieracz i wsunął się aż po knykieć, a ja targnąłem tyłkiem, bo nie czułem się z tym dobrze. Moje ciało zinterpretowało wtargnięcie palca w odbyt jako doznanie bolesne, jednak robiłem to już tyle razy, że szybko przerobiłem to w swojej głowie na doznanie przyjemne. Po kilku sekundach Ash wcisnął drugi palec, głębiej, rozszerzając zwieracz, i poczułem muśnięcie na prostacie.

– Odpowiedz – zażądał Ash. – Czy tego chcesz?

– Tak – jęknąłem.

– Pozwalasz mi się wykorzystać? Wypierdolić, jak tylko zechcę?

Jęknąłem ponownie, gdy jego zręczne palce opuściły mój odbyt, bezwiednie poruszając biodrami, żeby potrzeć o coś mego fiuta.

– Tak – mruknął do siebie Ash. – Tak, pozwalasz.

Obejrzałem się, niegotów na widok, który mnie czekał: Ash bez kurtki, z T-shirtem opinającym potężne muskuły jego barków i klatki piersiowej, z jednym bicepsem napinającym się i rozluźniającym, gdy wpierdalał pięść pełną wazeliny w rozporek swoich bojówek. Wszystko w nim manifestowało władzę nade mną, jego prawo do brania sobie, czego tylko zechce – fakt, że pozostał w ubraniu, ślizg przeraźliwego kutasa w garści, przedramię nadal brutalnie przygważdżające mnie do ziemi.

W końcu jego pała była lśniąca i błyszcząca od wazeliny i wtedy przysunął się bliżej i wciąż mnie przytrzymując, zaczął napierać na mój zwieracz masywną żołędzią. Czułem, że jest ogromna, nieznośnie wielka, wprost monstrualna, więc wiłem się i dyszałem, instynktownie usiłując uchronić się przed gwałtem.

– O, nie! – sapnął Ash. – Teraz się nie wymigasz.

Wsunął rękę pod moje podbrzusze, żebym nie był w stanie robić dalszych uników, po czym wprowadzał kutasa głębiej. Nabrzmiała żołądź

przedarła się przez pierwszy, a potem przez drugi pierścień mięśni zwieracza odbytu.

Czegoś podobnego jeszcze nigdy w życiu nie czułem. Szorstkość, ból z ran postrzałowych, morfina. Lata skrywanego pożądania i marzeń, i ukradkowego walenia konia wśród wyobrażeń równie popierdolonych jak to, co się właśnie działo. *Bolało*, bolało tak strasznie, że aż zaparło mi dech, a mimo to mój własny kutas był napięty jak skóra na bębnie, śliski od preejakulatu i aż pulsował w gorączce pożądania.

Paznokcie przeczesywały moje plecy jak ogień, sunąc w dół, a ja prężyłem się w odpowiedzi, wywołując tym okrutniejszy śmiech Asha. Wcisnął fiuta jeszcze o dwa centymetry głębiej, pod nowym kątem, sprawiając, że czubek nacisnął jędrny gruczoł na przedzie wewnętrznej ścianki, a ja opadłem bezwładnie w morfinowej ekstazie, całkowicie nakrywając swym ciałem plecak.

Ash podążył za mną, prąc, aż wszedł we mnie na całą długość.

– Kurwa, gorąco w tej twojej dupie – syknął, a jego głos brzmiał, jakby był niemal zły z powodu tego, jak dobrze mu jest w środku. Wpierał się we mnie biodrami, cofał je o kilka centymetrów, kołysał nimi w przód i w tył, żeby pobudzać to miejsce w moim wnętrzu.

– Och, Boże – wybełkotałem. Moje biodra pchały plecak – to był odruch, nad którym nie potrafiłbym zapanować, nawet gdybym próbował. Wywołał on kolejny wybuch okrutnego śmiechu za moimi plecami.

– Spuścisz się jak nastolatek pieprzący poduszkę? – Dłoń Asha wsunęła się pod moje gardło i odgięła moje ciało tak, że pompując mnie swoim tłokiem, mógł mi szeptać wprost do ucha. – Co?

Zadrżałem gwałtownie, gdy piekielne gorąco wcięło się w moje krocze. Moje jaja się uniosły, a uda były tak kurczowo napięte, że bolały niemal bardziej od rany postrzałowej łydki, morfina zaś przenosiła to wszystko na

pogranicze fantasmagorii. Przez chwilę mężczyzna za moimi plecami, ze swoim lodowatym śmiechem i upokarzającymi drwinami naprawdę zdawał się jakimś pieprzonym złym księciem ze strasznej bajki. Przez chwilę to wszystko było kontynuacją czegoś, co wydarzyło się wiele lat wcześniej, tamtego dnia w lesie, kiedy stał nade mną z butem na moim nadgarstku – pokonawszy mnie podczas ćwiczeń, przewrócił mnie na brzuch, aby kompletnie i totalnie dopełnić mojej klęski.

Trzymał mnie dłonią za gardło, lecz sam opuścił głowę, poddając się emocji pieprzenia mnie, a jego pchnięcia stały się głębokie i zawzięte, dość mocne, by za każdym razem wstrząsać moim ramieniem, dostatecznie twarde, żeby rozluźnić opatrunek na mojej ranie.

– Kurwa – powiedział do siebie. – Tego mi było trzeba. *O, do kurwy,* nie wierć się – moje biodra znów spazmatycznie ocierały się o plecak, byłem o włos od szczytowania – leż, kurwa, spokojnie, jak mi tego trzeba.

Mnie też tego tylko było trzeba, tego jaskrawego potwierdzenia, że w istocie wykorzystywał mnie, że w tej chwili byłem dla niego jedynie ciasną dziurą, która nie ma prawa mu się stawiać, żebym doszedł, rżnąc plecak, jak napalony nastolatek, jak to powiedział Colchester, a nie jak mężczyzna mający na koncie szereg zastrzelonych nieprzyjacielskich żołnierzy i posiadający garaż pełen sportowych samochodów. To był Colchester w moim wnętrzu, Colchester trzymający mnie za gardło, Colchester demonstrujący mi nowy aspekt swojej osobowości, wypełniony bezgranicznym okrucieństwem i egoistyczną, bestialską siłą. Colchester, Ash, mój kapitan wtykający mi kutasa jak zdobywca, jak król.

Mój orgazm trwał i trwał, grube smugi ejakulatu znaczyły plecak, a Ash trzymał moje ciało odchylone do siebie, żeby móc obserwować to wszystko ponad moim ramieniem, jakbym urządził dla niego przedstawienie. A kiedy już sobie ulżyłem, przydusił mnie na powrót do plecaka i poszedł na całość,

jakby mój orgazm rozjuszył go i podniecił ponad wszelką miarę. Opadł na mnie niemal całym ciężarem ciała. Czułem mięśnie jego ud, brzucha i klatki piersiowej pracujące koncertowo na rzecz wtykania mi tego wielkiego kutasa głęboko, energicznie i szybko. Wszystko, co mogłem zrobić, to oddychać, żeby szarpane, chrypliwe jęki nie wyrywały mi się z gardła. To było jego masywne ciało złożone na mnie i ten masywny kutas, nieodpuszczający i zachłanny, zdecydowany wycisnąć ze mnie wszystko, czego ode mnie chciał, zanim skończy.

Wyglądało na to, że Ash także zatracił się w sobie, skończyły się kpiny i docinki, pozostały tylko nieregularne pochrząkiwania i nieubłagana inwazja jego fiuta, którym przeszywał mnie raz po raz.

I nagle, bez ostrzeżenia, jego zęby zagłębiły się w moim ramieniu i eksplodował lawiną sadystycznych pchnięć, od których łzy zapiekły mnie pod powiekami. Czułem jego palące nasienie, gdy spompował się we mnie, gorące wytryski i jednocześnie świeżą krew cieknącą przez pierś z rany i naszła mnie dziwna niefrasobliwość. Colchester… Ash… właśnie wyjebał mnie tak, że ledwie żyłem, dopiero co wylał się we mnie, a równocześnie *ze* mnie wylała się krew, jakby był wampirem czy królową skrzydlatych elfów lub wilkiem. Czekałem na to cztery lata i okazało się bardziej zabójcze i brutalniejsze, i piękne ponad wszelką nadzieję.

Leżeliśmy przez chwilę, Ash wciąż udrapowany na mnie, aż naraz – coś niemożliwego – na powrót zaczął się we mnie poruszać. Wciąż twardy jak skurwysyn.

– Mam nadzieję, że nie spodziewałeś się, że tak łatwo się z tego wywiniesz – mruknął mi w ucho. Uniósł się i uniósł moje ciało, i czułem cienkie strużki krwi cieknącej z moich ran po brzuchu, gdy je sobie ustawiał. Krwią się nie przejmowałem, a już z pewnością nie przejmował

się nią on, nie wskazywał na to sposób, w jaki uniósł palce, by przypatrzyć się jej w blasku księżyca.

Więcej przesuwania i poruszania i nagle mój gwałtownie rosnący fiut napotkał ciepłą dłoń pełną wazeliny. Jego palce zacisnęły się wokół mnie, a moje oczy zamrugały i zamknęły się mimowolnie, a on rozpiął mnie między dwoma rzeczywistościami – rzeczywistością jego kutasa posuwającego mnie od wewnątrz i rzeczywistością jego śliskiej dłoni, zaciśniętej mocniej i złośliwiej, niż to lubiłem, gdy onanizowałem się sam, a jednak właśnie dlatego jeszcze doskonalej.

– Zaraz… – urwałem, bo to już się działo, mroczny śmiech Asha rozbrzmiewał echem w moich uszach, podczas gdy nie przestawał onanizować mnie podczas mego orgazmu. Chwilę później doszedł po raz kolejny z niskim pomrukiem i wyciągnął, kiedy jego skurcze zwolniły. Myślałem, że to koniec, ale kiedy zobaczyłem – coś jeszcze bardziej niemożliwego – że *wciąż* jest twardy, zorientowałem się, że tak nie jest. Obrócił mnie na wznak, ochoczo ściągnął ze mnie buty i spodnie i ponownie we mnie wszedł.

– Lubisz być tak pierdolony? – zapytał, przywierając piersią i brzuchem do mojej piersi i brzucha w taki sposób, że ilekroć się odsuwał, na jego idealnie rzeźbionym brzuchu widać było smugi krwi i spermy.

Obaj jęknęliśmy na widok krwi.

– Tak – stęknąłem.

O Boże, nie było mowy o tym, żeby mi na powrót stanął i żebym ponownie doszedł, a jednak to właśnie miało nastąpić, już to czułem. Ash pochylił głowę, by skubać zębami moją szczękę, a ja odwróciłem twarz, żeby popatrzyć na niego rozgorączkowanymi oczami. Teraz był zaledwie w połowie potworem, a w jego twarzy znów widziałem mego Achillesa,

mężczyznę, który tańczył ze mną. Czy to było złe, że pragnąłem ich obu? Mężczyzny, który ze mną tańczył, i mężczyzny, który mnie siniaczył?

Wówczas znieruchomiał, tylko na moment, z jedną dłonią uniesioną do mego policzka.

– Jesteś piękny w blasku księżyca – powiedział cicho.

Podłożył ręce pode mnie i kołysał mnie na nich, pierdoląc mnie, odnajdując moje usta swymi ciepłymi, jędrnymi wargami i wycałowując mój oddech wprost z moich płuc, a kiedy doszliśmy, doszliśmy cicho i boleśnie, wbijając sobie wzajemnie paznokcie w plecy i wgryzając się sobie nawzajem zębami w szyje.

Do tamtej chwili nigdy nie byłem człowiekiem religijnym ani uduchowionym. To był pierwszy raz, kiedy poczułem, że może istnieć jakiś bóg czy bogini, a jeśli istnieje ów bóg czy owa bogini, to stworzył lub stworzyła ludzkość dokładnie w tym celu, dokładnie dla tej lepkiej, zapierającej dech w piersi, erotycznej i bolesnej chwili.

Po wszystkim Ash wyczyścił mnie, poprawił opatrunek na ramieniu, pod którym rana zaczęła na powrót krwawić, i podał mi drugą dawkę morfiny, zużywszy kolejną porcję gazy i spirytusu na oczyszczenie nas z krwi i spermy, którą obaj byliśmy splamieni.

– Oczywiście, to musiało być krwawe – wymamrotałem, gdy nowa działka morfiny popłynęła w moich żyłach.

– Hmm? – Ash sprawdzał właśnie opatrunek na mojej łydce.

– Chodzi o… dobrze mi. Z tym, jak to poszło. Z bólem i przemocą.

Ash milczał przez chwilę, zajęty pakowaniem rzeczy, a potem pomaganiem mi we wkładaniu na powrót T-shirtu i kurtki.

– To nie musiało tak wyglądać – powiedział w końcu. – Ani nie musi wyglądać podobnie następnym razem.

– Sam o tym pisałeś w swoim mailu. – Skończył bandażowanie, a potem zrobił coś, czego się nie spodziewałem: położył się obok mnie i przytulił. Leżałem ze zranionym barkiem, otoczonym jego ramieniem, z głową na jego piersi. To było trochę komiczne – byłem o centymetr albo wręcz o dwa centymetry wyższy, więc moje stopy sięgały dalej od jego stóp – ale pomimo to czułem się dobrze. Czułem się na swoim miejscu.

– Napisałem tak, bo tak jest. Mogę być takim mężczyzną, jakiegokolwiek zechcesz. Dopóki tylko będę twój.

Westchnąłem.

– Nie chcę, żebyś zmieniał się dla mnie.

– Embry, nie pierdol…

– Zaczekaj – przerwałem mu. – Nie rozumiesz, co chcę powiedzieć. Nie to, że „nie chcę, żebyś się zmienił dla naszego związku”, ale to, że „*w ogóle* nie chcę, żebyś się zmieniał”, zwłaszcza dla mnie, bo pragnę cię takiego, jaki jesteś. Poza tym nie sądzę, żebyś był w stanie się zmienić, Ash. Myślę, że możesz spróbować na jakiś czas. Albo raczej, że mógłbyś tłumić to w sobie przez jakiś czas. Jednak jestem pewny, że zawsze byłby w tobie jakiś świerzbiący, mroczny zakątek serca, który wyłby w ciemności, domagając się, żebyś wypuścił go na wolność. Pożądanie, które by cię zjadało od środka.

Przez długą chwilę leżeliśmy przytuleni, słuchając szmeru wiatru wśród liści, paplaniny nocnych zwierząt. Dłoń Asha przesunęła się leniwie po moim ramieniu i pomimo że miałem za sobą najbardziej brutalny akt seksualny w życiu, pomimo ran postrzałowych i faktu, że tkwiłem ledwie żywy i bezbronny w strefie działań zbrojnych, czułem błogi spokój. Uświadomiłem sobie, że to była zasługa Asha. To on sprawiał, że czułem się tak, a nie inaczej. Bezpieczny i doceniany, chociaż i bez tego byłem ekstremalnie dobry w chronieniu własnej osoby i jej wysokiej ocenie.

Jednak co innego, gdy pochodziło to od drugiego człowieka. Domyślałem się, że społeczne okablowanie ludzkiego mózgu nastawione jest na doświadczanie poczucia zadowolenia w przypadku pozyskania uwagi innej istoty ludzkiej.

Jednak wtedy nie miałem poczucia, jakby to była kwestia okablowania mózgu. Wtedy czułem się, jakby to była kwestia olśniewającej magii, sekretnej alchemii, wyczarowanej poprzez pogłaskanie przez niego palcami postrzępionego rękawa mojej kurtki i równomierne bicie jego serca pod moim uchem. Jakie zabawne było jego ostrzeżenie, że skończę zrównany z ziemią i zapłakany, podczas gdy oto faktycznie leżałem na ziemi obok niego, a pod powiekami kłuły mnie ciepłe łzy durnego szczęścia, tyle że moje ciało grzało się w cieple jego ciała, a moje łzy spadały na jego odzianą w kurtkę pierś, a nie na obojętną ziemię.

– Nie wiem, dlaczego jestem taki – powiedział po długiej chwili. – Waham się między akceptacją i nienawiścią dla swoich pragnień. Jednak jeśli tobie, Patroklosie, nie przeszkadza to, jaki jestem, postaram się tym więcej nie przejmować. Dopóki znów nie znikniesz.

– Skończyłem z uciekaniem od ciebie – zadeklarowałem z jak najszczerszymi intencjami. – Próbowałem i to nic nie pomogło – dokądkolwiek się udałem, wszędzie mnie nawiedzałeś.

– Tak jak ty nawiedzałeś mnie – mruknął i obrócił się na bok, by po raz kolejny przywrzeć wargami do moich ust.

I tak rozpoczął się następny akt naszej tragedii.

16

Embry

po

Helikopter ląduje ze wstrząsem, ale Greer się nie budzi. Nie winię jej za to – minione cztery dni, od chwili uprowadzenia, były dla niej piekłem. Tak naprawdę były piekłem dla nas wszystkich, ale dla niej najgorszym. Wciąż prześladuje mnie widok jej twarzy w oknie w chwili, gdy Melwas ją obmacywał. Równie mocno zapisały się w mojej pamięci jej łzy i skrępowane ręce wyciągające się do mnie, gdy stanąłem koło jej łóżka chwilę potem.

Sam czułem kiedyś coś takiego, ten przypływ wdzięczności pomieszanej z lękiem, miłością i popędem autodestrukcji. Jakże mógłbym odmówić jej tego, czego sam żądałem od Asha, cudem uniknąwszy śmierci?

Jak mógłbym jej odmówić, skoro oznaczałoby to zaprzeczenie zarówno przeszłej, jak i obecnej wersji mnie samego?

Gdy wirnik helikoptera zwalnia, lądowisko w Camp David zapełnia się mrowiem ludzi, a ja spodziewam się, że przed drzwiami będzie czekał Luc albo jakiś inny agent. Nie wiem dlaczego, bo powinienem był się domyślić, że to będzie sam Ash z mocno podkrążonymi oczami i czarną szczeciną, która już nie jest szczeciną, lecz rozkosznie gęstym, kilkudniowym zarostem. Wchodząc do kabiny helikoptera, pochyla głowę, by zmieścić się w drzwiach, a po jego twarzy w chwili, gdy widzi Greer, poznaję, że przenika mnie na wylot i odgaduje wszystkie moje uczucia – zazdrość, miłość i dumę. A także, albo przede wszystkim, gniew. Nie najstarszy z moich gniewów, ale dostatecznie stary. Gniew wojny.

Przenikliwy wyraz twarzy Asha pojawia się z powodu Melwasa. Pojedyncza łza spływa po policzku Greer w chwili, gdy uniósłszy powieki uświadamia sobie, że jest bezpieczna w domu, a jej pan jest przy niej, gotów unieść ją w swoich silnych ramionach – ta łza także ciąży na sumieniu Melwasa. I nieważne, że jakaś łza i jakaś mina mogą ważyć tyle, ile kula w moim barku, płonąca wioska, ciała ludzi, których przysiągłem chronić na tym górskim zadupiu. Ale nie obchodzi mnie to. Jest jak jest i obiecuję sobie, że Melwas już nigdy nie skrzywdzi nikogo z ludzi, których kocham. Jakoś tego dopilnuję. Jakoś temu zapobiegnę.

Ash odpina pas bezpieczeństwa i wynosi Greer z helikoptera. Wysiadam za nimi, czując się dziwnie nie na miejscu, gdy zmierzamy w kierunku dużego domu. Wczesnoletni wietrzyk tarmosi długie biało-złociste włosy, targa krawat Asha. Są razem tacy piękni, idealna para, Bohater Ameryki i Ukochanie Ameryki. Odręczny rysunek podręcznikowej perfekcji.

A gdzie w tym miejsce dla mnie?

Ash odprawia z domu wszystkich poza mną i razem idziemy do sypialni. Zapadam się w fotelu stojącym w kącie i dopiero teraz dociera do mnie, że jestem wykończony. Całe moje ciało zdaje się rozpływać

w tapicerce, przezwyciężane dotąd zmęczenie bierze nade mną górę. Przyglądam się, jak Ash ostrożnie układa Greer na krawędzi łóżka, a ona unosi na niego spojrzenie szarych oczu tak pustych i zmęczonych, że muszę odwrócić wzrok.

– Mała księżniczko. Rozbiorę cię i umyję – mówi Ash – a potem pójdziesz spać.

Greer nie odpowiada, tylko odwraca głowę, by uciec przed jego wzrokiem.

Ujmuje ją pod brodę, a kiedy się odzywa, jego głos jest tak czuły i głęboki jak wówczas, gdy ślubował kochać ją w chorobie i w zdrowiu.

– Odpowiedź brzmi *tak, panie*.

Te słowa przywracają na twarz Greer iskierkę życia. Spogląda na Asha, jakby naprawdę widziała go po raz pierwszy. Broda jej drży, a głos ma niski, gdy odpowiada:

– Tak, panie.

Ash ogląda się na mnie.

– Zaczekaj tu, Embry. Mamy to i owo do omówienia, kiedy już zadbam o moją żonę.

Kiwam głową, a potem odchylam ją na oparcie fotela i to jest ostatnia rzecz, jakiej jestem świadomy, zanim zmęczenie i senność biorą górę.

– Embry.

Otwieram oczy i widzę Asha stojącego nade mną z dziwną miną. Włosy ma mokre, a na piersi krople wody. Spodnie dresowe, które włożył, wiszą mu nisko na biodrach. Zerkam ukradkiem na łóżko i widzę szczupłą postać

okrytą grubą warstwą kołder. We wpadającym przez okno późnopopołudniowym słońcu dostrzegam błysk blond włosów na poduszce.

– Usnęła, ledwie ją położyłem – mówi Ash.

– Wyglądasz, jakby i tobie przydało się trochę snu.

Przesuwa dłonią po twarzy.

– Bez niej i tak nie jestem w stanie zasnąć. Świadomość, że oboje tam jesteście, uczyniła sen bardziej niż nieosiągalnym.

– Teraz jest bezpieczna.

– I ty także. Chodźmy do mego gabinetu i pozwólmy Greer odpocząć.

Idziemy, cicho zamykamy za sobą drzwi i przechodzimy do gabinetu Asha, obszernego pokoju ze ścianami wyłożonymi boazerią, ogromnym biurkiem i regałami pełnymi książek. Tam proponuje mi, żebym usiadł na kanapie stojącej obok wielkiego okna, sam siada w fotelu obok. Przez kilka chwil obaj spoglądamy przez okno na wysokie drzewa liściaste – osiki, klony i dęby okryte bujną zielenią lata, tak odmienne od kosodrzewiny porastającej wierzchołki gór Karpatii.

W końcu Ash przenosi spojrzenie z pejzażu na mnie.

– Na całym ciele ma świeże ślady zębów.

Wciąż głowię się, co na to odpowiedzieć, gdy on powiada:

– Powiedz mi, że to byłeś ty, Embry. Powiedz mi, że to ty, a nie on.

Wypuszczam powietrze z płuc.

– To nie on. Ja… jak już ją odnalazłem… – zmęczenie nie pomaga w brnięciu przez skomplikowany wir emocji i lęków, a do tego dołącza się poczucie winy. – Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, jak to jest z nami trojgiem. Zasady. Nie myślałem, że to coś złego, skoro nie określiliśmy granic.

– Nie mieliśmy czasu na wytyczenie granic. – Jego spojrzenie i głos nadal nacechowane są chłodnym spokojem. Panuję nad dreszczami, nie odwracam wzroku, bo wiem, że to zauważy. – Pieprzyłeś ją? Tylko we dwoje?

– To nie jest tak, jak byś mógł myśleć, przysięgam. Melwas nie zdążył jej zgwałcić – wyrzucam z siebie jednym tchem – ale ją obmacywał. Gdybyś ją widział, Ash…

Wstaje, podchodzi do okna, opiera się przedramieniem o szybę i pochyla. Ta postawa uwydatnia mięśnie jego ramion i barków, miejsce, w którym spodnie od dresu zwisają na jego sterczących kościach miednicy i otulają jego jędrne pośladki.

– Co, Embry? – W jego głosie jest wszystko, w jego zranionym, gorzkim głosie. – Co bym zrobił, gdybym ją zobaczył?

Zmęczenie ze mnie opada, moje stanowisko wiceprezydenta opada, wszystko opada w nicość i proch i robię coś, co robię rzadko i wyłącznie wtedy, kiedy jestem do tego zmuszony. Wstaję z kanapy, a potem klękam przed nim i przyciskam usta do grzbietu jego stopy. Widzę światło zraszające ciemne włosy powyżej kostki, grube wiązki ścięgien i mięśni i czuję czysty zapach mydła po niedawnym prysznicu.

Robię to, a on zamiera, nie odzywa się ani słowem, nie porusza się. Przenoszę usta na drugą stopę i przytrzymuję tak długo, aż jej ciepło ogrzewa moje usta.

W końcu pyta głosem niemalże obojętnym.

– Doszedłeś? Ona doszła?

– Tak – szepczę w jego stopę.

– Pomyśleliście o mnie?

– Niech to szlag, Ash, wiesz, że myśleliśmy o tobie.

– Ma być niech to szlag, *panie*.

– Równie dobrze mógłby pan być z nami, *panie*.

– Udawałeś, że ją gwałcisz?

Jego słowa przeszywają mnie, jak strzały mistrzowsko trafiające wprost w cel. Zrozpaczony unoszę na niego wzrok, a on lituje się nade mną i pochyla się, by przeczesać palcami moje włosy.

– Tego jej było potrzeba, mały książę. Tego chciała.

Zawstydzony spuszczam wzrok.

– Aha – mówi Ash. – I *ty* także tego chciałeś.

Ręce mi się trzęsą, a on klęka i ujmuje moje dłonie. Jego ręce są pewne, mocne i ciepłe, jak on sam.

– Wszedłem, a ona była związana… to znaczy skrępowana taśmą. Kostki i nadgarstki. I knebel. Błagała mnie, płakała… – Czuję, że mój głos zaraz się załamie, ale brnę dalej, wyznaję grzechy memu kapłanowi. Mojemu królowi. – Kiedyś ja ciebie o to prosiłem, więc jak mógłbym odmówić jej? A ona powiedziała, że tego potrzebuje, ale Ash… ja chciałem tego już wcześniej… Chciałem tego od chwili, kiedy wszedłem do tamtego ciemnego pokoju i mój cień padł na jej ciało.

– Ustaliliście bezpieczne słowo?

– Umówiliśmy się na pstryknięcie palcami, ponieważ ja…. Wetknąłem jej na powrót knebel w usta.

Ash kiwa głową, przyjmując do wiadomości, że zrobiliśmy to w bezpieczny sposób, ale jego wzrok staje się daleki. Zastanawiam się, czy sobie to wyobraża, stawia przed oczami drastyczną, zjebaną scenę.

– Zastałeś ją skrępowaną tymi taśmami?

– Tak.

Jego dresy w najmniejszym stopniu nie skrywają jego potężniejącej erekcji.

– Broniła się?

Wstyd i podniecenie rosną we mnie w równym tempie.

– Tak.

– A ty pokonałeś jej opór?

Zamyka oczy.

Ledwie mogę oddychać.

– Tak.

– I ty też tego chciałeś?

Moje słowa są duchami.

– Udawałem, że jestem tobą.

Jego powieki błyskawicznie się unoszą, a zieleń jego oczu staje się bardziej intensywna od zieleni zagajnika rosnącego przed rezydencją. Jego oddech jest nierówny, tak samo jak mój.

– Czuję taką zazdrość, mały książę – szepcze. – Jestem zły na siebie, że nie było mnie tam, żebym sam mógł dać mojej żonie to, czego jej było trzeba, i jestem ci wdzięczny, że ty jej to dałeś. Myśl o was obojgu tak… – Jego usta wykrzywiają się w smętnym uśmiechu, gdy moje dłonie otaczają w geście uwielbienia rozpierającego się pod dresami kutasa. – No cóż, sam wiesz.

Tęsknię do jego dotyku.

– Wybaczysz mi?

Zieleńsze od lasu oczy łagodnieją odrobinę.

– Uratowałeś jej życie, Embry. Wszystko bym ci wybaczył.

O mało nie umieram z ulgi.

– Nawet gdybyś drwił sobie ze mnie i nienawidził mnie przez cały ten czas, kiedy przyprawiałeś mi rogi, i tak bym ci wybaczył. Nawet gdybyście odtworzyli każdą perwersję, jaką kiedykolwiek z nią wyprawiałem, aby

wymazać wspomnienie mojej osoby z jej ciała, wybaczyłbym wam. Gdybyście się pieprzyli i zdecydowali oboje mnie porzucić, wybaczyłbym wam. A tym bardziej to. Zająłeś się nią w sposób, jakiego potrzebowała.

– Czuję się z tym jak gówno – mamroczę, choć prawda jest bardziej skomplikowana, a błąkający się na jego ustach uśmieszek mówi mi, że doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

– Wybaczam ci, więc musisz wybaczyć sobie. Prosiła, a ty powiedziałeś tak, bo wiedziałeś, że tego jej trzeba. Bo sam potrzebowałeś kiedyś czegoś podobnego. I ponieważ tego chciałeś. I ponieważ wiedziałeś, że ja dałbym jej to samo, gdybym tam był.

Wstaje i podaje mi rękę, a ja pozwalam mu postawić się na nogi.

– Siadaj – wskazuje kanapę i maszeruje za biurko, podczas gdy zajmuję wskazane mi miejsce.

Czuję się wstrząśnięty, wybebeszony po moim wyznaniu i hołdzie, i po jego wybaczeniu, więc szukam jakiegokolwiek tematu, który nie dotyczyłby tego, co wyprawiałem z żoną mojego ukochanego.

– Czy udało się nam wszystkich nabrać? Czy sprawa uprowadzenia Greer nie wyszła na jaw?

Ash kiwa głową, przeszukując jedną z głębokich szuflad starego biurka.

– Z tego, co wiadomo ludziom, poza garstką wtajemniczonych, Greer i ja spędzamy miesiąc miodowy tutaj, a ty zażywałeś zasłużonego wypoczynku nad jeziorem, w domu matki. Ale nie wiem, jak długo udałoby się jeszcze utrzymać to w tajemnicy. Media są złaknione naszych zdjęć.

Jak zwykle wydaje się nie pojmować tego zainteresowania ludzi własną osobą.

– To musi być kwestia Greer – konkluduje i wysuwa inną szufladę. – Wszyscy ją uwielbiają – słusznie – i wydaje się, że mają na jej punkcie obsesję. Reportaże ze ślubu, potem okładki magazynów ze zdjęciami ze

ślubu, wszystkie te artykuły w Internecie… Ilekroć włączyłem telewizor, musiałem oglądać klipy z własnego ślubu. Cokolwiek oglądałem, nie mogłem nie zobaczyć jej twarzy. – Bierze głęboki wdech i spogląda na mnie. – Dziękuję ci, Embry. Gdybyś nie sprowadził jej z powrotem, gdybyś *ty sam* nie wrócił…

Słońce wysuwa się zza chmury i wypełnia pokój zielono-złotym światłem, wydobywając srebrzysty połysk na jego skroniach i drobne zmarszczki wokół oczu. Ma zaledwie trzydzieści sześć lat, dopiero wkracza w najlepszy okres życia, lecz przez chwilę widzę, jak wiele kosztowało go to wszystko – wojna, prezydentura, Greer i ja. Wszystko spoczywa na jego barkach, zawsze tak było, i na co dzień dźwiga to brzemię z łatwością, lecz teraz dostrzegam, ile sił czerpał ze związku z Greer. A może nawet ze związku ze mną.

Jednak w tej chwili prostuje się, ściskając w dużej dłoni coś kolorowego, i na powrót rządzi. Na powrót jest pełen naturalnej siły i spokoju. Wraca do mnie, z tym czymś kolorowym w ręku, a jego gruby kutas tak rozkosznie rysuje się pod spodniami dresowymi. Nie mogę oderwać wzroku od niego ani od ciemnego pasemka włosów biegnącego od pępka do gumki w pasie dresów.

Zatrzymuje się przede mną.

– Chcesz zobaczyć coś, co lubisz, Patroklosie?

Unoszę wzrok na jego twarz i napotykam uśmiech znaczący jego oblicze pełnymi uroku dołeczkami. Już mam wygłosić jakąś dowcipną ripostę, gdy dostrzegam, co takiego trzyma w ręku.

– To… to ten nowatorski krawat z podobiznami prezydentów wykutymi w zboczu góry Rushmore?

– Prezent od Belvedere’a. Obiecałem mu, że nigdy nie ujrzy światła dziennego… ale teraz… zmieniłem zdanie. – Nachyla się, zasłania mi

krawatem oczy i zawiązuje go na mojej potylicy. – Widzisz coś?

Brzydki krawat odcina w zupełności dopływ światła, ale jedwab przynosi moim zmęczonym oczom przyjemne doznanie gładkości i chłodu.

– Co ty wyprawiasz?

Dwa szorstkie palce przyciskają moje usta.

– Sam zobaczysz. Odchyl głowę i rozłóż ręce na oparciu kanapy. Nie wolno ci się poruszyć, dopóki ci na to nie pozwolę.

Robię, co każe. Mój wzwiedziony fiut już naciska boleśnie na szew moich majtek, a serce mi wali. Tak wiele z naszego przelotnego, namiętnego romansu, który się zdarzył między śmiercią Jenny i początkiem randek z Greer, działo się spontanicznie, było jedynie kolekcją skradzionych chwil w opuszczonych zakątkach Białego Domu. Jednak to – przedłużona i zaplanowana dominacja – nie było tego od lat, od czasów sprzed Jenny. Od momentu, kiedy po raz pierwszy odmówiłem poślubienia go.

Brakowało mi tego. Brakowało mi tego tak, jak może brakować światła po długim szeregu pochmurnych dni. Wtedy nagle zaczynasz zapominać o zachmurzeniu, o tęsknocie do słońca i pewnego dnia ono powraca, tak gorące, czyste i jasne, że zastanawiasz się, jak w ogóle mogłeś bez niego żyć. Brakowało mi tej niepewności, tego, jak ni cholery nic nie widzę spod przepaski zasłaniającej mi oczy. Tęskniłem za *świadomością* tego, za tym, jak moja skóra pokrywa się gęsią skórką z każdym muśnięciem powietrza, wytężając się, by pojąć, czego Ash ode mnie chce.

To zabawne, jak moja pozycja sugeruje zrelaksowaną antycypację, jednak mnie natychmiast ogarnia napięcie i trudno mi utrzymać ręce na oparciu, gdy czuję dłoń Asha na moim rozporku. Wzdrygam się, gdy wierzchołkami palców muska moją erekcję, i praktycznie słyszę, jak się uśmiecha.

– Nie ruszaj się – ostrzega, a jego pewne palce ciągną zamek rozporka w dół, w dół, w dół.

– A co, jeśli się poruszę? – pytam, zaciskając palce na ramie kanapy za poduszkami, by nie dotknąć go, by nie złapać go za fiuta albo nie sięgnąć do własnego.

– Konsekwencje. – To słowo jest jak ziemia niczyja pomiędzy swawolą i śmiertelną powagą. Od bardzo dawna nie myślałem o konsekwencjach i jestem zaskoczony, jak głęboko w trzewia sięga podniecenie wywołane tą myślą. – A teraz ani słowa więcej, chyba że miałoby to być *dziękuję, panie* albo *proszę, panie, już nie*.

Prycham.

– I naprawdę przestaniesz, kiedy powiem proszę?

– Nie. – Teraz już zdecydowanie wyczuwam w jego głosie uśmiech. – Zdejmij koszulę, Embry. W tym celu wolno ci się poruszyć. A potem połóż ręce z powrotem na oparcie.

Jestem posłuszny i w tej samej chwili, gdy kładę ręce na oparcie, czuję ostre smagnięcie gumą w lewy sutek. Chwytam ustami powietrze.

– Wiesz, co jeszcze mam w biurku? – W głosie Asha dźwięczy rozbawienie. Kolejne pstryknięcie w ten sam sutek i prężę grzbiet, podczas gdy ból szybko przeradza się w zgoła innego rodzaju gorąco. – To były klapsy ostrzegawcze. Jeśli dalej będziesz pyskował, przekonam się, jak czerwone mogą się stać te twoje sutki. I nie zapominaj, Embry, że mogę użyć gumki w czulszych miejscach.

Demonstracyjnie ściągam usta.

– Dobry chłopiec – chwali mnie Ash, a jego dłoń powraca do moich spodni, rozpina suwak i ściąga mi spodnie i majtki w dół, uwalniając mego kutasa. Czuję takie podniecenie, że nawet pieszczota klimatyzowanego powietrza jest zanadto stymulująca. Opieram się odruchowemu pragnieniu

wiercenia się, bo wiem, że pociągnęłoby ono za sobą konsekwencje, choć z drugiej strony niemalże ich pragnę.

– W dawnych czasach monarchowie wynagradzali trudy wiernych rycerzy powracających z rozmaitych misji podarunkami. Czasami bywała to ziemia lub zamek, kiedy indziej statek. Królowie anglosascy dawali swoim wasalom pierścienie i złote naszyjniki. Zdarzało się nawet, że nagrodą za wierną służbę była noc z królową. – Twarda dłoń chwyta mnie za fiuta i to doznanie mną wstrząsa. – Ale ja nie mam złota, a ty już zerżnąłeś moją żonę. Co zatem mogę ci dać? Za wierną służbę? Za ocalenie mojej królowej?

Jego ręka sunie w dół, a potem z powrotem w górę, szemrząc na napiętej, jedwabistej skórze mego wyprężonego kutasa. W mojej piersi wzbiera niski pomruk. Ja pierdolę, jak dobrze.

I naraz następuje coś nieoczekiwanego: czubek mego fiuta zalewa coś ciepłego.

– O, ja pierdolę – jęczę i natychmiast dociera do mnie, że popełniłem błąd. – Przepraszam, przepraszam, przepraszam, nie…

Za późno. Gumka wraca, żądląc moje sutki i zjeżdżając w dół mego brzucha, *trach, trach, trach*. Zamieram sparaliżowany przyjemnością przemieszaną z bólem, błagając w duchu gumkę, by nie sięgała niżej, i jednocześnie po trochu żywiąc nadzieję, że to właśnie uczyni.

Nie czyni tego, natomiast czuję na brzuchu kojące głaśnięcie dłoni, przyjemnie ciepłej i szorstkiej, w miejscach obolałych po smagnięciach gumki.

– Skiń głową, jeśli chcesz, żebyśmy to kontynuowali. – Kiedy to mówi, czuję jego ciepłe tchnienie na fiucie i brzuchu. Muszę hamować się ze wszystkich sił, żeby nie wyprężyć się i nie wepchnąć mu kutasa w usta, ale

znam go na tyle, by wiedzieć, że gdybym tak zrobił, natychmiast by mnie wypluł i odrzucił, więc trwam w bezruchu. Niemalże.

Kiwam głową, czując, jak strumyczek potu spływa z mojej skroni pod zawiązany na oczach krawat. Moja skóra żyje bólem pręg i pragnieniem, moje ciało błaga o dotknięcie.

I wówczas zdarza się to ponownie, powolne, niemalże łaskoczące ciepło. Takie mokre. Takie, kurwa, mokre i gorące, a potem jego usta obejmują czubek mego fiuta i zaczynają go ssać.

– Mmphh – jęczę, w ostatniej chwili powstrzymując się przed nadaniem temu dźwiękowi kształtu słowa. – *Mmphh*.

Śmieje się, a jego śmiech wstrząsa moim fiutem i sięga do głębi trzewi, ściągających się w odpowiedzi. Pochłania mnie głębiej i Boże, jakże ja bym chciał go teraz zobaczyć! Zobaczyć tę ciemną, dumną głowę pochyloną nad moim kutasem, te szerokie ramiona złożone i wsunięte między moje nogi. Twierdzi, że nie jest sadystą, ale odmawianie mi tego widoku, wspomnienia tego obrazu wystarczy aż nadto za dowód na obecność w nim sadystycznych skłonności.

Bierze mnie tak głęboko, że czuję tylną ścianę jego gardła, a potem, kiedy zaczynam kołysać biodrami, unieruchamia mnie, kładąc mi przedramię w poprzek podbrzusza. Przytrzymuje mnie tak, by móc ssać mnie w taki sposób, w jaki chce, poświęca dobrą chwilę na lizanie podstawy mego fiuta i obwodzenie językiem żołędzi, dopieszczając mnie skubaniem, całowaniem i głaskaniem krocza. Jakby nawet wówczas, gdy robi mi loda, to było dla niego. Wszystko dla niego.

Ściąga niżej moje spodnie, by móc przesuwać dłonią po wewnętrznych stronach moich ud, podążać za liniami mięśni i ścięgien w górnej części ud i na podbrzuszu, szczypać sterczące kości biodrowe. Teraz pozwala mi się wiercić, pozwala mi kręcić biodrami. Słyszę szuranie i dopiero po chwili

dociera do mnie, że to odgłos moich butów przesuwających się po dywanie, gdy moje nogi poruszają się niespokojnie wokół niego.

Jednak on wciąż mnie przytrzymuje, nie pozwalając, by moja desperacja narzucała mu tempo. Mało tego, jeszcze zwalnia, ssąc mnie długimi, głębokimi pociągnięciami, sunąc po trzonie penisa płaszczyzną języka i, ja pierdolę, to taka tortura, nie móc tego oglądać. Nie móc utrwalić tego na zawsze w pamięci, bo walił mi konia niezliczoną ilość razy, pierdolił mnie równie często, kilkakrotnie zdarzyło się nawet, że wziął w usta, żeby mnie podniecić lub utrzymywać na krawędzi orgazmu, jednak *czegoś takiego* nie było jeszcze nigdy. Nigdy nie był tak czuły, ani tak sumienny, ani nie ciągnął tego tak długo.

– To moje podziękowanie – mruczy. Jego usta zasypują pocałunkami mój sześciopak, biodra i pępek. – Wyraz mojej wdzięczności. – Szybko zasysa czubek mego fiuta, sprawiając, że dyszę. – Mojej wiecznej, dozgonnej wdzięczności.

Moje palce wbijają się w kanapę i ogarnia mnie perwersyjne pragnienie, żeby być skrępowanym – to niemal gorsze, być odpowiedzialnym za samokontrolę, wiedzieć, że między tą chwilą i zanurzeniem palców w jego włosach nie ma niczego prócz mojej nieistniejącej samodyscypliny. Wszystko, czego pragnę, gdy tak porusza się nade mną, to schwycić w ręce jego głowę, namierzyć palcami zarys jego ust otulających mego kutasa. Chwycić jedną z błądzących po mnie dłoni i pociągnąć ją aż na pierś, żeby spoczęła na płask na moim sercu.

Granica, zza której nie ma powrotu, nadchodzi dręcząco powoli, narastając nisko w głębi mego krocza. Mój ograniczony opaską na oczy świat skurczył się do satynowego żaru jego języka, ciasnego uchwytu jego gardła, ciśnienia rosnącego w głębi, poniżej mego fiuta. Moje nogi

poruszają się wokół niego, moje buty wciąż ślizgają się po dywanie, a moje uda i mięśnie brzucha są takie napięte, takie napięte…

– Chcesz mi się spuścić w usta, Embry?

Kiwam głową, napięty jak cięciwa łuku, gotowa lada chwila pęknąć.

– Powiedz „proszę”. – Koniec języka trzepocze, muskając czubek mego fiuta, pieści szczelinkę na czubku.

– O, *kurwa*. O kurwa, o kurwa, o kurwa.

– Źle wymawiasz słowo *proszę*.

– Proszę, ja pierdolę, proszę, *proszę*…

Pochłania mnie na powrót tak głęboko i obrabia tak intensywnie, aż mi się palce podwijają w butach, i mam poczucie, że wszystko w mojej miednicy rozsypie się z trzaskiem, i wtedy właśnie uderza pierwsza fala wytrysku z siłą dwutonowej bomby. Krzyczę, wyginając się w łuk i skręcając naraz, a on zaciska palce wokół moich bioder, żeby utrzymać mnie w miejscu, jakbym coś mu przerywał.

Uderza druga fala i tryskam mu w usta, pompując nasienie na jego szeroki, mocny język. I znów zostaję wessany głębiej, moją obrzmiałą żołądź ściskają mięśnie jego gardła, gdy łyka, a ja wciąż trzęsę się, pulsuję i tryskam, wstrząsany dreszczami. Połyka wszystko, jego palce nadal zaciskają się na moich biodrach, a usta na moim fiucie, aż w końcu spływają ze mnie ostatnie krople. Dopiero wtedy cofa głowę.

Spodziewam się, że zaraz wstanie, na wpół oczekuję, że okrutne palce zadrą moją brodę do góry, żeby teraz on mógł wypierdolić mnie w usta, jednak zamiast tego słyszę westchnienie i czuję coś, co nigdy dotąd się nie zdarzyło – Ash opiera głowę na moim udzie. I to, o wiele bardziej niż robienie laski, pragnę zobaczyć, bo kto może zgadnąć, czy to się jeszcze kiedykolwiek powtórzy? Ash klęczący między *moimi* stopami, opierający głowę na *moim* ciele.

Sięgam do opaski, lecz on mówi szybko:

– Nie rób tego. Zostaw ją jeszcze na chwilę.

Aż kulę palce, tak strasznie świerzbi mnie, żeby nie posłuchać, ale w końcu odkładam ręce na oparcie kanapy. Czuję i słyszę, jak wzdycha.

– Jeszcze tylko chwilę. Wiem, że to miał być twój prezent, ale chcę, żeby to… jeszcze chwilę potrwało.

Wyciąga rękę i gładzi mnie po brzuchu, a ostatecznie robi to, o czym marzyłem, i układa mi dłoń płasko na sercu. W glebie mego umysłu kiełkuje myśl. Może nawet nie myśl, ale raczej odczucie czy instynktowny domysł, że jakimś sposobem, pomimo nowości tego, co się wydarzyło, fakt, że to Ash klęczał przede mną i mnie obsługiwał, nie różni się tak wiele od czegokolwiek, co robiliśmy w przeszłości. Bo choć to on klęczy przede mną, choć to on połyka moje nasienie, jednak to wciąż on sprawuje kontrolę. To on bezgłośnie pokazuje, że ciągle panuje nad każdym uderzeniem mego serca.

– Kocham cię, mały książę – szepcze, a ja czuję na piersi jego ciepłą dłoń. Zaciskam powieki pod opaską w stanie czegoś, co można by nazwać bolesną rozkoszą. Po tylu latach jego wyznanie miłości nadal nie utraciło swojej magicznej władzy nade mną. Władzy przejmowania mnie dreszczem i władzy przerażania mnie, bo być kochanym przez takiego człowieka jak on to nie lada ciężar. – Nie musisz odpowiadać. Nie chcę cię naciskać.

– Wiesz, że cię kocham. – To może być trochę drażniące, bo Ash ma wszelkie powody, żeby wątpić w głębię moich uczuć, i obaj o tym wiemy. Ale co mogę zrobić, żeby zrozumiał? Że za każdym razem, kiedy go odpychałem, czyniłem to dla jego pieprzonego dobra? I nie dla jego dobra pojmowanego w jakimś ogólnikowym, moralistycznym sensie, lecz dla najzupełniej praktycznych, konkretnych korzyści. Jeśliby mnie poślubił, nie znajdowalibyśmy się teraz w prezydenckim gabinecie w Camp David. Nie

byłoby biurka, na którym czeka na niego sterta raportów. Nie odszedłby z wojska w randze majora. Nic z tego, co uczyniło go tym, kim jest dzisiaj, nie mogłoby się wydarzyć, gdyby otwarcie manifestował swoją biseksualność. I chociaż nienawidzę tego jak każdy, ale taka jest pieprzona prawda. Poświęciłem dla niego siebie i własne szczęście, bo to oczywiste, że ludzie tacy jak Maxen Colchester nie rodzą się codziennie. Każdy mógłby dostrzec, że on jest przeznaczony do większych rzeczy – nie w ogólnikowym sensie: *Jedz, módl się, kochaj*, „wszyscy jesteśmy dziećmi wszechświata", ale do naprawdę wielkich dokonań. Historycznych. Zmieniających egzystencję milionów ludzi na lepsze. To nie jest sprawiedliwe ani w stosunku do mnie, ani w stosunku do niego, ale konieczność nie zawsze bywa sprawiedliwa.

Wiem to teraz lepiej niż kiedykolwiek.

Unosi głowę z mojej nogi i zabiera dłoń z mego serca, i moja dusza więdnie. Wstaje i odwiązuje przepaskę, a jego twarz jest pierwszą rzeczą, jaką widzę, gdy w końcu otwieram oczy na światło dnia. Czoło ma lekko zmarszczone, usta tragicznie ściągnięte i spogląda na mnie, jakby chciał, żebym mu coś powiedział, cokolwiek więcej poza tym, co już powiedziałem.

Ale co ja mogę powiedzieć? W końcu sam zdecydowałem się poświęcić siebie w imię jego przyszłości. On gotów był poświęcić swoją przyszłość, żeby być ze mną, i dlatego gorycz nigdy nie trwa zbyt długo. I z tego właśnie powodu nie mogę zdradzić mu prawdziwej przyczyny mojej odmowy. Dość się nacierpiał i nie muszę kazać mu przełknąć jeszcze i tej gorzkiej pigułki.

– Powinniśmy zobaczyć, jak się ma Greer – mówię, a w jego twarzy coś się zamyka, jak drzwi. Kiwa głową.

Wstaję i zapinam spodnie.

– Dziękuję ci za twoje podziękowanie – mówię, starając się przywołać na usta ten krzywy uśmiech, który zawsze go rozbraja.

W jego oczach pojawia się na powrót odrobina ciepła, na ustach leciutki uśmieszek.

– Jeśli chcesz mi naprawdę podziękować, to możesz zaczekać pod prysznicem, aż sprawdzę, jak się miewa moja żona.

No cóż, nie każę sobie tego powtarzać dwa razy.

17

Greer

po

*K*iedy otwieram oczy, jest ranek. Wnioskuję to po świetle przefiltrowanym przez liście drzew, rozjaśniającym niskie wzgórza Marylandu. Uświadamiam sobie, że jest mi ciepło, i w tej samej chwili zdaję sobie sprawę dlaczego – po obu stronach śpią szczupli, muskularni mężczyźni. Leżę na boku, a przede mną Embry, jak zwykle śpiący na wznak, omotany kołdrą. Jedna jego noga zwisa przez krawędź łóżka, jedną ręką zasłania twarz, jakby nie chciał dopuścić do siebie bladego światła wpadającego przez okno. Jego oddech ciut cichszy od chrapania, ciężki i równy, na przemian to unosi, to opuszcza tę rozkoszną klatkę piersiową. *Mmm*.

Skoro mowa o klatce piersiowej, to muskularne ręce obejmują mnie od tyłu i tulą do takiego właśnie muskularnego torsu, jak również do twardego brzucha i jeszcze twardszej erekcji. Odruchowo kręcę tyłkiem, żeby się na nią nadziać i wówczas moje nogi oplatają mocarne, owłosione nogi,

mocniej garnąc moją dupę do siebie. Dociera do mnie, że Ash się przebudził.

– Dzień dobry, księżniczko – mruczy mi do ucha.

– Dzień dobry – szepczę. Coś napiera na membranę moich sennych myśli, usiłując się przez nią przebić, ale membrana jeszcze wciąż jest za gruba, zaś Ash jest taki ciepły obok mnie.

– Jak ci się spało, księżniczko?

– Głęboko.

Obracam się na drugi bok, wciąż w jego ramionach, by spojrzeć mu w twarz. To ta sama twarz, w którą patrzyłam, składając przysięgę małżeńską, te same wysokie kości policzkowe, dumne czoło, pełne i jędrne usta. Ale też coś się zmieniło – cienie pod oczami świadczące o nieprzespanych nocach, które już niemal znikły, powróciły. Jego oczy wypełniają refleksy rozmyślań nad mrocznymi, bolesnymi uczuciami, pionowa zmarszczka przecina czoło w miejscu, gdzie ściągał brwi, gdy się o mnie zamartwiał.

Sięgam kciukiem i próbuję wygładzić tę zmarszczkę.

– A jak *tobie* się spało?

Wzrusza jednym ramieniem.

– Niewiele spałem. Głównie przypatrywałem się tobie.

– To musiało być nudne.

Kręci głową, a potem wykonuje ruch będący odzwierciedleniem mojego i gładzi kciukiem mój policzek.

– Spać mogę zawsze. Ale zobaczyć cię bezpieczną w moich ramionach… Potrzebowałem tego bardziej niż kilku godzin snu.

Bezpieczna.

Okropne coś przeciska się i wdziera do mego umysłu z pazurami i zębami, a ja sztywnieję. Wciąż czuję na sobie łapy Melwasa, wciąż mam w ustach smak tamtych cierpkich jabłek. Czuję tę brutalną rękę na mojej cipce, miętoszącą mój wzgórek Wenery.

Odpycham się od męża, ciężko dysząc, a on pozwala mi się odsunąć, ale natychmiast przetacza się nade mnie, utrzymując ciężar ciała na łokciach i kolanach, tak że choć nie opiera się na mnie, to jednak jestem pod nim uwięziona. Przykłada mi dłoń do czoła, a zieleń jego oczu traci naraz całą swoją żywotność i głębię. Nie mogę znieść ich widoku, nie teraz, kiedy uparcie prześladuje mnie widmo obmacywania przez Melwasa, złe wspomnienie smaku tamtych okropnych jabłek.

– Greer – prosi cicho Ash. – Popatrz na mnie.

Robię to z ociąganiem i z najwyższym trudem.

– Jestem tu dla ciebie, żebyś mogła dać upust swojej wściekłości, strachowi i wstydowi. Wylej wszystkie te uczucia na mnie, Greer. Uderz mnie nimi, oparz mnie nimi, wydrap mi je na skórze. Wypłacz je, wyszepcz, wykrzycz. Chcę tego wszystkiego. Przyjmę to wszystko, bo ślubowałem troszczyć się o twój ból i radość. Czy nie? I czy to nie ból? – Potakuję ledwie widocznym skinieniem, a on ciągnie. – Czy zatem należy to do mnie?

Nie może wiedzieć, nie wie, jaki to chaos. Moje uczucia są jak sala krzywych luster, zniekształconych, zwichrowanych i groteskowych, a kiedy odwracam się, by przypatrzyć się któremuś z bliska, widzę tanie sztuczki szklarza, które uczyniły je takimi. Rozumiem, że moje uczucia pochodzą z tego czy z owego miejsca, a kiedy się staram, to nawet potrafię je dla siebie nazwać w jakiś dziwnie obojętny sposób. A jednak w chwili, kiedy przestaję się na nich skupiać, zniekształcone obrazy wracają, próżna karykatura prawdziwych odczuć, prawdziwych reakcji.

Ja sama tego nie chcę – jakże, kurwa, on może tego chcieć?

Usiłuję ująć to w słowa, lecz nie potrafię.

– To nie twój problem. – Odwracam głowę, by uciec przed jego wzrokiem. Patrzę na Embry'ego, który chrapie wciąż pogrążony we śnie.

Ash delikatnie odwraca moją głowę z powrotem do siebie, ale w łagodności jego gestu tkwi nieuchronność, taka jak nieuchronny jest ocean czy wiatr. Mogłabym się opierać, mogłabym odmawiać, ale w końcu on i tak by wygrał. Nie siłą ani przymusem, a może z udziałem którejś z tych rzeczy, lecz to jego wola, osobliwa, nieugięta wola pokonałaby mnie, niezależnie od tego, jak bardzo bym się starała.

– Niech się stanie moim – powiada.

Pozwalam, by powtórnie odwrócił moją głowę, pozwalam mu przepalić wnętrze mojej duszy tym królewskim spojrzeniem, przed którym nic się nie ukryje.

– Och, księżniczko – mówi z prawdziwą troską w głosie.

– Nie lituj się nade mną – syczę. Nie wiem, dlaczego miałoby mnie to wkurzać, dlaczego jego dobroć miałaby mnie złościć, ale tak się właśnie dzieje.

– Nigdy bym się nie ośmielił. Myślisz, że się nad tobą lituję? Myślisz, że podejrzewam, iż jesteś słaba? – Unosi się na kolana i w jego postawie jest coś, co sprawia, że moje serce bije szybciej. To wystudiowane rozluźnienie jego ramion, sposób, w jaki jego dłonie są otwarte koło ud. Jest nagi i na wpół wzwiedziony kutas opiera się o udo, co jednak wcale nie czyni go mniej groźnym. W gruncie rzeczy, czyni go to w jakiś sposób jeszcze groźniejszym, jakby wszelkie pozory cywilizowanego zachowania przestały istnieć.

Aczkolwiek sposób, w jaki pochyla głowę i studiuje mnie, jest bardzo cywilizowany. Bardzo spokojny.

– Stań przy łóżku.

– Nie mam w tej chwili ochoty na figle – odpowiadam nadąsana.

– To nie są, kurwa, żadne figle. Stań przy łóżku.

Mrużę oczy, a moje skomplikowane emocje sprowadzają się do jednej: gniewu.

– Odpierdol się.

– Odpierdol się, to nie jest bezpieczne słowo, mój aniele. Możesz się na mnie wściekać, możesz pleść, co ci ślina na język przyniesie, ale dopóki nie powiesz „Maxen”, nic się nie zmieni. – Wskazuje boczną krawędź łóżka. Jego fiut sterczy w pełnym wzwodzie. – Rób, co mówię.

Gryzę wnętrze policzka. Piorunuję go wzrokiem. Jak on, kurwa, śmie, po tym, co przeszłam? Po tym, co mnie spotkało? Gniew wytrąca mnie z próżnej konfuzji i odziera z rozbijającego przygnębienia, więc podnoszę się z łóżka i staję obok niego, robiąc taki bałagan w pościeli, jak to tylko możliwe, i przybierając tak niedostępną pozę, jak tylko się da, ustawiając się bokiem do niego i krzyżując ręce na piersi.

Słyszę stłumiony śmiech, jakby mój napad złości był słodkim, dziecinnym fochem, a nie autentycznym wyrazem uczuć dojrzałej kobiety. Odwracam się, by rzucić mu gniewne spojrzenie, ale powstrzymuje mnie przed tym jego twarz, na której widzę uśmiech czystej, pełnej uwielbienia miłości.

– Jesteś zepsutą księżniczką – mówi, owijając pięść kocem. – Nie mogę się doczekać, kiedy cię za to ukarzę.

Otwieram usta, żeby… no cóż, sama nie wiem po co. Żeby mu powiedzieć, jaki z niego skurwysyn, jaki wyzbyty z uczuć, pierdolony dupek. Żeby powiedzieć mu, jak dziwnie odczuwam swoje uprowadzenie we własnym umyśle, jak noszenie koszuli z pokrzyw. Wykonujesz ruch i całe twoje ciało jest poparzone. Porusz się inaczej i jesteś ocalona przed

jadowitymi igiełkami, ale wiesz, że to wyłącznie kwestia czasu, kiedy znów zostaniesz poparzona. Zarówno doznanie, jak i brak doznania w odstępie zaledwie milisekund.

Tyle że kiedy już mam to wszystko powiedzieć, zdaję sobie sprawę, że to nie całkiem prawda, w każdym razie nie w tej chwili. Złość na Asha zepchnęła wspomnienie Melwasa wstecz – nie daleko – lecz dość, żebym mogła w tej chwili żyć i oddychać, nie wracając nieustannie myślami do wydarzeń ostatnich dni.

Ash mnie ignoruje albo przynajmniej udaje, że to robi, kolejny raz owijając dłoń kocem i jednym ruchem zdzierając go z łóżka. Potem przychodzi pora na prześcieradło, z czym idzie mu trudniej, bo jest ono owinięte wokół bioder Embry’ego. Jednak Ash jest silny, kiedy ciągnie, muskuły jego klatki piersiowej i ramienia napinają się. A ja trzymam ręce skrzyżowane na piersi, żeby ukryć, jak stwardniały mi sutki na widok jego ciała w działaniu.

Embry otwiera oczy, mrugając, jęczy i przewraca się na brzuch.

– Nie chcę iść do szkoły, mamo – dobiega nas jego pomruk, stłumiony przez poduszkę.

– Nie umiem powiedzieć, jak czułbym się w tej chwili jako twoja matka – oświadcza Ash oschłym tonem.

– Powinieneś czuć się paskudnie – mamrocze Embry w poduszkę. – Moja matka jest nikczemna. Całkiem jak ty.

To wystarcza, żebym się uśmiechnęła, odrobinę. Dość, żebym rozluźniła napięte ramiona.

Ash daje Embry’emu klapsa w gołe pośladki, niby w żartach, ale dość mocno, by pozostawić czerwony ślad.

– Pora wstawać, Patroklosie.

– Patroklos? – pytam.

Embry z westchnieniem przewraca się na wznak.

– Ash wyobraża sobie, że jesteśmy epizodem w starożytnym eposie o uprowadzeniu żony.

– Mówiąc szczerze – odzywa się Ash – do głowy mi nie przyszło, że to okaże się takie prorocze.

Embry siada.

– *Phi*.

Ash milknie i bez słowa unosi brew.

– Tak jest, phikałem sobie z ciebie – powiada Embry z godnością. – Ty wybrałeś to zestawienie, bo podobała ci się myśl, że jesteś wojowniczym Achillesem, a ja twoim kochasiem, zabawką do pierdolenia.

– Wiesz dobrze, że Platon w *Uczcie* powiada, że to Achilles jest zabawką do pierdolenia.

– Phi *po raz drugi* – Embry na to. – Za pierwszym razem, kiedy mnie całowałeś, nie cytowałeś mi Platona, tylko Ajschylosa.

Teraz już uśmiecham się pełną gębą, wbrew wszystkiemu, i muszę sobie przypominać, że jestem zła. Staram się na powrót wzbudzić w sobie gniew. Przy pewnym wysiłku udaje mi się zmarszczyć brwi.

Ash wzdycha teatralnie.

– Co za różnica?

– Sam zacząłeś.

Embry zerka na mnie i niby to lekceważąca mina znika z jego twarzy.

– Greer – mówi tonem wskazującym, że widzi rzeczy, których wolałabym mu nie pokazywać.

– Racja – odzywa się Ash rzeczowo. – Embry, potrzebna mi będzie twoja pomoc.

Embry spogląda na mnie raz jeszcze swoimi błękitnymi jak niezapominajki oczami, a potem przenosi wzrok na Asha.

– Cokolwiek każesz.

Ash podchodzi do stojącego w kącie drewnianego krzesła. Jest stare – to jeden ze sprzętów, które jakimś sposobem przetrwały prezydenturę Eisenhowera – lecz w chwili, gdy Ash na nim zasiada, staje się królewskim tronem. Salomon gotów do wydawania wyroków. Nawet nagość czyni go w jakiś sposób bardziej królewskim, jednoznaczniej potężnym.

Pstryka palcami. Sześć miesięcy prowadzących do naszego ślubu, sceny, które odgrywaliśmy, przygotowania, rozkoszne szykowanie się – to przebija wszystko. W ułamku sekundy jestem przy nim, klękam, pochylam nisko głowę i składam ręce za plecami. Nie ma czasu na gniew – w pewnym sensie nie ma nawet miejsca. On pstryka palcami, ja jestem posłuszna. I w chwili, gdy opadam na kolana, koszula utkana z pokrzyw zostaje jakimś sposobem ze mnie zdjęta. U stóp Asha nikt nie może mnie skrzywdzić. Co ważniejsze, nie mogę skrzywdzić się sama. Ani myślami, ani uczuciami, ani wspomnieniami. U jego stóp należę do niego.

Służę rozkoszy prezydenta.

– Bezpieczne słowo? – To oznacza, że za chwilę sytuacja stanie się niezbyt przyjemna.

Z opuszczonymi oczami widzę wyłącznie jego golenie i kostki, i stopy, porośnięte czarnymi jak węgiel włosami, które tak wielbię. Skupiam na nich uwagę, wypowiadając bezpieczne słowo:

– Maxen.

– Użyj go, jeśli będziesz go potrzebowała. – Znów jest Ashem, mężczyzną, który nie może spać, gdy mnie przy nim nie ma. – Teraz cię przycisnę. Nie na żarty.

– Dlaczego to robimy? Panie? – Na szczęście w porę przypominam sobie, żeby dodać tytuł.

Nachyla się. W moim polu widzenia pojawiają się końce jego palców u rąk.

– Bo myślisz, że ja myślę, że jesteś słaba. Bo w tej chwili boisz się, że istotnie *jesteś* słaba. Bo twój ból należy do mnie i do nikogo innego, nawet nie do ciebie samej. Bo… – Bierze oddech, a ja niemalże czuję ból i potrzebę promieniujące z niego. – Bo omal cię nie utraciłem, Greer. Uwierz mi, kiedy mówię, że chciałbym, żeby trzymanie cię w ramionach przez całą noc wystarczyło dla uśmierzenia tego cierpienia, dla przekreślenia tego nowo powstałego dystansu między nami, lecz nie wystarcza. – Jego palce delikatnie wplątują się w moje włosy. – Ja również tego potrzebuję, widzisz. Muszę to osiągnąć w ten sposób.

Nachylam się do jego ręki, na ile to możliwe, ocieram się o jego dłoń jak kotka.

– A zatem to dla nas obojga?

– Może bardziej dla mnie niż dla ciebie. Embry powiedział mi, co się wydarzyło w Karpatii, o co go poprosiłaś.

Embry porusza się za nami. Zerkam na Asha, wystraszona, on jednak przesuwa palec na moje usta, przyciska do nich opuszkę.

– Jeden demon naraz, Greer.

– Nikt nie może pokonać jednego demona naraz – mówię, poruszając wargami pod jego palcem. – Demony trzymają się pod ręce, trzymają się za ręce. To zawsze cała szajka.

Wtyka mi w usta dwa palce, zmuszając, bym umilkła.

– Nie dzisiaj, nie dla ciebie. Cieszę się, że Embry tam trafił, że dał ci to, czego potrzebowałaś. Nie jestem zły… Zazdrosny, może. – Spogląda na Embry’ego, biorąc głęboki wdech, a potem na powrót patrzy na mnie. –

Okej, zgoda, jestem okropnie zazdrosny, lecz doceniam to, że on ocalił cię przed Melwasem. Oddałbym mu wszystko. A ty… Ty przeszłaś piekło. Czy sądzisz, że istnieje jakikolwiek balsam, jakakolwiek pociecha, której bym ci po tym odmówił? Dziś nawet nie będziemy o tym myśleć, dziś liczy się to, że mam cię tu, u mych stóp, gdzie jak to oboje wiemy, jest twoje miejsce. Zazdrość zachowam na inny raz.

Długo ssę jego palce, a potem kiwam głową. To dla nas obojga. Jeden demon naraz.

Dam radę.

Ash odchyla się na oparcie.

– Czy chcesz przejść przez to, co zaplanowałem?

Przygryzam wnętrze wargi. Czuję się rozdarta. Profesor Greer nie chce przechodzić przez to. W gruncie rzeczy profesor Greer chciałaby powiedzieć *Maxen* już w tej chwili i poprosić o masaż pleców zamiast sceny. Lecz pierwotniejsza część mnie beszta profesor Greer za tchórzostwo. W ciągu ośmiu miesięcy Ash nigdy mnie nie skrzywdził, nigdy nie zmuszał do czegoś, czego bym sama nie chciała. Skoro uważa, że mi tego trzeba, to muszę wziąć pod uwagę, iż on może mieć rację.

A ja tego *potrzebuję*. Na sposób, którego nie potrafię należycie wyjaśnić. Potrzebuję czegoś mocnego, brutalnego. Czegoś, co by sprawiło, że na powrót stanę stopami na ziemi. Czegoś ekstremalnego. Bólu, który wygnałby ból.

W końcu kręcę głową, nie podnosząc wzroku.

– Nie chcę wiedzieć. Ja chcę po prostu… – Ja pierdolę. Czy nigdy nie będę w stanie wyjaśnić, jakie uczucia wzbudziło we mnie tamto obmacywanie? – Chcę po prostu czuć, że należę do ciebie. Nie do niego.

Nie muszę wypowiadać imienia, żeby Ash mnie zrozumiał. Jego dłonie same zaciskają się w pięści.

– Nie jesteś jego – mówi zapalczywie. – Jesteś moja.

Kiwam głową, choć łzy pieką mnie pod powiekami. To taka fundamentalna prawda – Melwas nie posiada takiej władzy, żeby móc zmienić to, kim jestem, komu się oddaję, jakiego pragnę seksu – jednak w tej chwili koszula z pokrzyw znów okrywa mój grzbiet i *parzy*. Czy Melwas próbowałby mnie zgwałcić, gdybym nie nosiła na całym ciele śladów Asha i Embry'ego? Gdyby moja skóra nie wydawała tego niezaprzeczalnego zapachu *uległości*. Czy to coś, co jest we mnie, zachęciło go do napaści?

Czuję pod brodą palec, wciąż mokry od mojej śliny, i moja twarz zostaje podniesiona, bym mogła spojrzeć w oczy mego męża. Nie Asha teraz widzę, lecz mego pana.

– Powiedz mi jedną rzecz z tego, która utkwiła ci w pamięci – mówi, spoglądając na mnie badawczym i nieubłaganym wzrokiem. – Jakiś kolor, zapach, smak…

– Jabłka. – Wzdragam się, jakbym poczuła w ustach truciznę. – Podczas kolacji, po której zawlókł mnie do pokoju, gdzie… była sałatka z jabłkami. Wciąż czułam w ustach ich smak, podczas gdy on…

Milknę.

Ash puszcza moją brodę i spogląda na Embry'ego.

– Kuchnia. Wiesz, gdzie są.

Słyszę, jak Embry wychodzi z pokoju, potem Ash klepie się palcami po nagim udzie. Patrzę na te jego palce, nie opuszczając spojrzenia na podłogę ani nie sięgając wzrokiem do jego twarzy, zamiast to zrobić, patrzę na te jego ręce i myślę o jabłkach. O ich kwaśnym smaku, o potokach śliny zalewających mi usta, o tym, jak nie mogłam się uwolnić od ich smaku, niezależnie od tego, ile razy tę ślinę przełykałam. Jak wciąż czułam ten ich smak, gdy Melwas się do mnie dobierał.

Ash przestaje stukać palcami w udo.

– Powiedz to, aniele.

– Nie chcę tego robić – rzucam.

– Bo myślisz, że to ci nie pomoże? Czy dlatego, że to będzie trudne?

– Jedno i drugie. To będzie trudne *i* na nic się nie zda.

Moja broda ponownie zostaje uniesiona, a zielone oczy prześwietlają mnie przenikliwym wzrokiem.

– Ja jestem gotów podjąć to ryzyko – mówi. – Bo to ja ryzykuję, prawda?

Marszczę brwi. Z pewnością nie – to moje ciało zostało ujarzmione siłą i odsłonięte przed oczami Melwasa, mój umysł i moje wspomnienia zostały zatrute przez to doświadczenie… i…

Okrutne palce sięgają w dół i szczypią mój odsłonięty sutek. Piszczę, a mój pisk przemienia się w krzyk, gdy mąż skręca niemiłosiernie sutek twardymi palcami.

– Bolało?

– Tak, panie.

– A do kogo należy twój ból? Do ciebie czy do mnie?

– Do ciebie, panie.

Puszcza mój sutek i daje mi klapsa w pierś.

– A ten ból?

– Do ciebie, panie.

Chwyta mnie za włosy i szarpie moją głowę w bok, by móc bez przeszkód dobrać się zębami do mojej szyi. W tej chwili moje ciało już śpiewa, mój układ nerwowy, kompletnie zdezorientowany, wysyła do mózgu wszelkiego rodzaju impulsy elektryczne.

– A ten ból?

– Jest twój, panie – mówię z trudem.

Jego dłoń opada na moją lewą pierś, czubki palców przesuwają się w dół do jej wierzchołka i spoczywają na moim sercu. Ruch jest zaborczy, przemyślany i precyzyjny. Bardzo spokojnie, bardzo powoli pyta:

– A ten ból? Do kogo należy?

Mam ochotę spierać się z nim, mam ochotę krzyknąć, że nie może być jego, że to nie przytrafiło się jemu, to przydarzyło się mnie, ale już się na tyle wciągnęłam w tę chwilę, że odpowiadam:

– Ten ból również należy do ciebie.

I kiedy to mówię, głos mi się łamie. To koniec udawania, ukrywania się, odpychania tego od siebie. To jest dokładnie tam. Odkrywam, że sama go proszę, aby to ode mnie zabrał.

– Proszę, spraw, żeby mnie to opuściło – błagam, a po moich policzkach spływają łzy. – Zabierz to ode mnie.

– Nie ma sprawy. – Bez najmniejszego wysiłku schyla się, bierze mnie w ramiona i scałowuje słoną wodę z mojej twarzy. Czuję jego trzepoczący język muskający mój policzek, jak język wampira żywiącego się łzami zamiast krwi. – To moje ryzyko, ponieważ to już mój ból, aniele. Oddawaj mi go przez następną godzinę, zaufaj mi tylko przez tę jedną godzinę. Pozwól, żebym wziął to na siebie.

Kiwam głową i pociągając nosem, sadowię mu się na kolanach zwinięta w kłębek. Przesuwa dłońmi po moich włosach i z głębi jego piersi dobiega pomruk uznania, gdy jedwabista materia przecieka przez jego palce. Czuję, jak jego erekcja pali moje udo, i niemal się uśmiecham – jego upodobanie do moich włosów nie przestaje mnie bawić.

Wchodzi Embry z jabłkiem w dłoni. Widzi mnie na kolanach Asha i w jego błękitnych oczach pojawia się coś ciepłego, coś, czego nie jestem w stanie odczytać, coś roztopionego i wyrażającego zazdrość. Jednak to coś

znika równie szybko, jak nadeszło, a on zamyka za sobą drzwi i podchodzi do mnie z owocem w wyciągniętej dłoni.

– Jesteś gotowa, mała księżniczko? – pyta Ash. – Pstryknij palcami, jeśli będziesz chciała przestać, wtedy przestaniemy. Poza tym nie zapominaj, że twój ból jest moim bólem i że robię to dla nas. Nas *wszystkich*. – Czuję, że unosi wzrok na Embry'ego. Embry, którego kutas ożywa pod spojrzeniem Asha, kiwa głową.

Na twarzy Embry'ego maluje się lekko przepraszająca mina, gdy podchodzi, by wetknąć mi jabłko w usta, lecz jego fiut sterczy na całego, skóra na żołędzi jest napięta, błyszcząca i ciemna. A w chwili, gdy Ash mruczy „Gryź" i moje zęby wbijają się w miąższ, twarz Embry'ego zmienia się w kąty i płaszczyzny czystego, niebezpiecznego pożądania. Zatraconego w sobie pożądania, tego rodzaju, jakie widziałam w Karpatii, gdy udawał, że jest moim mężem, udawał, że jest moim porywaczem, tego rodzaju, jaki widziałam tamtej nocy, kiedy pozbawił mnie dziewictwa.

Twarz Embry'ego tak dalece mnie rozkojarzyła – jak twarz pana Darcy'ego, o ile pan Darcy kiedykolwiek w życiu pieprzył kobietę – że kompletnie nie pamiętam o jabłku w ustach, do chwili gdy sok spływa mi na język. Jednak w momencie, gdy ten sok trafia na mój język – słodki i cierpki i lekko kwiatowy – wierzgam i wzdragam się, gotowa wypluć cholerne paskudztwo.

– Jak wypuścisz to jabłko z ust, dostaniesz pasem – ostrzega mnie Ash w momencie, gdy jabłko właśnie niemalże wypada mi z ust i muszę mocniej wbić w nie zęby, żeby nie wyleciało. Z kącika moich ust wypływa sok i ścieka mi po brodzie. Naprawdę nie mam ochoty oberwać pasem. Naprawdę, naprawdę, choć wiem, że euforii, jakiej potem doświadczam, nie da się z niczym porównać, a sposób, w jaki wciąga mnie w tu i teraz

i wypiera z mego umysłu wszelkie inne myśli, jest zapewne dokładnie tym, czego mi w tej chwili trzeba.

– Oczyść ją – powiada Ash do Embry’ego, a ja przez chwilę jestem zdezorientowana, aż czuję, że sok z jabłka skapuje mi na piersi i po nich spływa.

Ash odchyla się, żeby obserwować widowisko – mnie usadzoną na swoich kolanach i luźno otuloną jego ramionami i jego kochanka podchodzącego i przyklękającego między jego rozstawionymi nogami. Embry przywiera spragnionymi ustami do mego ciała i chłepcze sok, tak jak wcześniej Ash chłeptał moje łzy.

Jest taki wiersz, myślę półprzytomnie, gdy gorące usta Embry’ego docierają do piersi zmaltretowanej wcześniej przez Asha, a potem do drugiej, i zlizują każdą kropelkę soku wprost z mojej skóry. Jego usta znaczą mokre linie do mojego mostka i obojczyka, a jego lekki trzepoczący język łechcze mnie w dołku u nasady szyi. Każdy ruch jego warg wędruje prosto do mojej łechtaczki.

The Goblin Market (Targ goblinów), przypominam sobie. *Tak brzmi tytuł*. Wiktoriański wiersz o dwóch siostrach, Lizie i Laurze, które powinny były powstrzymać się przed jedzeniem zakazanych owoców oferowanych na targu przez upiorne gobliny. Opowiadałam o nim studentom w Cambridge i kiedy Embry przykłada usta do pulsującego miejsca na mojej szyi i ssie, przypominam sobie kilka linijek:

Brakło ci mnie?
Chodź, całuj mnie.
Nie zważaj na moje wyskoki.
Tul i całuj, ssij moje soki.
…jedz mnie, pij i kochaj mnie,

Lauro, i uwielbiaj mnie.

Potem Embry zlizuje sok z mojej brody, jego łechczące usta przesuwają się wzdłuż mojej szczęki, napiętej od trzymania owocu. Obcałowuje jabłko dookoła, wzdłuż krawędzi moich rozwartych ust.

– Calutka czysta – szepcze, nie odrywając warg od mojej skóry.

– Dziękuję, Embry – mówi Ash ochrypłym głosem.

Czuję, jak bardzo przypatrywanie się temu, jak Embry zlizywał sok z mego ciała, zadziałało na niego, a potem czuję to jeszcze silniej, gdy bez wysiłku unosi mnie i układa sobie w poprzek kolan, na brzuchu, tyłkiem do góry. Odczuwam jego erekcję na nagim brzuchu jak rozgrzaną, twardą stal, moja łechtaczka pulsuje w tej nowej pozycji, gdy powietrze przepływa między moimi udami i muska moją odsłoniętą cipę.

Nie powinno mnie to zaskakiwać, po wszystkim, co robiliśmy, i co przeszliśmy, a jednak mnie zaskakuje – jestem *mokra*. Jestem taka mokra, z jabłkiem w ustach przypominającym mi o moim porwaniu, z dupą wypiętą do klapsów, z moim ciałem urzeczowionym przez jedynych ludzi na świecie, z którymi chcę się nim dzielić.

– Trzymaj to jabłko w swojej ślicznej buźce, księżniczko.

Klap.

Gorąco rozkwita pod jego dłonią, która już się unosi do kolejnego klapsa. Tym razem jest on mocniejszy, gwałtowniejszy, rozbrzmiewa w całym pokoju. Wzdrygam się, jabłko zaczyna wysuwać mi się z ust, co zmusza mnie, bym głębiej się w nie wgryzła. Embry, wciąż na kolanach, przesuwa się na bok i sadowi na zewnątrz nóg Asha, twarzą do mnie. Ujmuje mnie za ręce i przytyka czoło do mojego czoła.

– Pamiętaj, żeby oddychać – radzi, a ja kiwam głową, choć z pieprzonym jabłkiem wetkniętym w zęby nie jest to łatwe i...

Klap, klap.

Jabłko tłumi mój krzyk, jeszcze więcej soku zalewa mój język i spływa po brodzie. Smakuję go, i smakuję Melwasa, czuję jego oddech na karku…

Klap, klap, klap.

Embry ściska moje palce. Moje zęby ściskają jabłko.

Klap, klap.

Klap.

I tak to trwa i trwa, mocne, solidne, powolne klapsy na przemian z lżejszymi i szybszymi, aż w końcu traci znaczenie, które są mocne, a które lekkie, wszystkie bolą, wszystkie pieką. Moja skóra stoi w ogniu, moja dupa i uda stoją w ogniu, a przy tym cały czas ledwie chwytam dech, zatkana pieprzonym owocem.

Moja dupa, palce Embry’ego, jabłko. Nie istnieję poza tymi trzema punktami, tymi trzema doznaniami. Na tych trzech punktach rozpięta jest moja egzystencja, zakotwiczają mnie one w rzeczywistości. Wszystko, co mogę, to oddychać, trzymać jabłko w ustach, a ból i pieczenie wypędzają ze mnie wszelkie myśli. Wszelkie wspomnienia. Istnieją wyłącznie karzące dłonie Asha, kojące dłonie Embry’ego i słodki sok na moim języku.

Ash z uznaniem pociera dłonią moją dupę i nawet ta delikatna pieszczota pali mi skórę. Jestem na krawędzi odlotu, zatracona dla samej siebie – jeszcze trochę bólu i dam głową naprzód nura w podprzestrzeń, czego niemal pragnę. Jednak Ash utrzymuje mnie na krawędzi świadomości, spowalniając ból i moje tętno.

Po mojej cipie przesuwa się palec, rozchyla mokre wargi i wślizguje się do środka.

– Dla kogo jesteś taka mokra?

– Dla ciebie, panie – usiłuję powiedzieć, nie wypuszczając jabłka, i z moich ust wydobywa się stłumiony, mokry dźwięk.

– Mm. A dla kogo odczuwasz swój ból?

– Dla ciebie, panie.

Ilekroć usiłuję coś powiedzieć, jestem niebezpiecznie blisko tego, by jabłko wypadło mi z ust, i muszę mocniej zaciskać na nim zęby.

Palec Asha, mokry od moich soków, przesuwa się w górę do zwarcie pofałdowanego wejścia do mojej dupy. Obwodzi je, nie na żarty, lecz twardo i zręcznie rozchyla zwornik odbytu i wsuwa się do środka. Prężę się, ściskam dłonie Embry’ego, staram się oddychać. Palce Asha były tam już kilkakrotnie, lecz ja za każdym razem odczuwam ich odwiedziny na świeżo, jako coś równie pierwotnego i brudnego jak za ostatnim razem.

– A to dla kogo? – pyta, wsuwając palec aż po knykieć.

– Dla ciebie, p…

W końcu stało się, jabłko wypada mi z ust, upada z łoskotem na podłogę i toczy się do kostki Embry’ego, przy której zatrzymuje się nadgryzioną częścią do góry.

– Ojojoj – odzywa się z dezaprobatą Ash. – Upuściliśmy jabłko.

Robię wielkie oczy, wykręcam się, by na niego spojrzeć i błagam:

– Proszę, wezmę je z powrotem, będę je nosić w zębach, jak długo zechcesz, proszę…

Milknę. Jego uniesiona brew nie wyraża niczego poza łagodnym rozbawieniem, takim samym rozbawieniem, z jakim można by podnieść wiercącego się kotka albo króliczka, tym słodszego przez swoje bezcelowe miotanie się. Jego dłonie i przedramiona wsuwają się pode mnie, po czym jestem przeniesiona do łóżka i ułożona na nim z wypiętym tyłkiem, podczas gdy Embry układa się na brzuchu przede mną, by móc znów ująć mnie za ręce. Nie chcę pasa, nie chcę go, ale jednocześnie chcę. Chcę przestać myśleć, chcę, żeby moja przynależność do Asha została wypisana i wypalona na moim ciele. Pragnę swobodnego spadania płynącego

z poddania się, piekącego przypomnienia, ile dokładnie mogę wybrać i kontrolować. Mogę wybrać dla siebie oślepiający ból i mogę wybrać oślepiającą rozkosz, mogę wybrać sen, pocałunki lub przestrzeń. Moje ciało należy do mnie i tylko do mnie.

I po raz pierwszy od powrotu do Ameryki wierzę w to.

– Trzy to magiczna liczba – powiada Ash i słyszę szelest skóry pasa przesuwającego się między jego palcami. – Policz do trzech, mały książę.

Pas spada jak ogień, pieczenie i trzask są tak ostre, że czuję ból, dopiero gdy już mija. Moja dupa błyszczy od bicia, a rozgrzewka zarówno pomaga, jak i sprawia, że razy bolą jeszcze gorzej.

– Jeden – szepcze Embry, mocniej ściskając moje dłonie. – Nie zapominaj oddychać.

Zawsze zapominam oddychać. Biorę głęboki wdech, gdy pas po raz kolejny siecze mnie, głęboko i boleśnie, spadając na nieco niższą część dupy. Gwałtownie chwytam powietrze, a Embry wyciąga rękę i głaszcze mnie po głowie.

– Dwa. Już tylko jeden, Greer. Ostatni.

Jakoś tak się dzieje, że ostatni wydaje się zawsze najgorszy, i tym razem nie jest inaczej, skórzany pas wrzyna się w delikatną skórę w miejscu, gdzie uda przechodzą w dupę. Wrzeszczę z bólu, wierzgam nogami i wciskam twarz w pościel, słysząc łagodne mruczenie Embry’ego:

– Oddychaj, oddychaj, oddychaj.

Pas zostaje odrzucony na łóżko, po czym Ash rozrzuca moje nogi i przeszywa mnie swoim sterczącym kutasem. Rozkosz rozśpiewuje się w samym jądrze mego ciała, a jej melodia brzdąka w koniuszkach palców, skórze głowy, zdezorientowanych zakończeniach nerwów, przemieniając wszystko w zachwycające doznanie.

– Jezu, ależ ty jesteś mokra – mruczy Ash nad moją głową.

Wciąż leżący na brzuchu przede mną Embry jęczy, więc unoszę wzrok i widzę, że sięgnął pod siebie i wali konia, przyglądając się, jak Ash nadziewa mnie na swój pal.

– Jak go czujesz? – dopytuje, zapatrzony w biodra Asha poruszające się ponad moją dupą.

– Duży jest – mówię, wiercąc się. Zarabiam sobie tym klapsa w dupę, po którym Ash trąca mnie nogami w kostki, zmuszając do zsunięcia ich na powrót razem, tym samym czyniąc moją cipę ciaśniejszą.

– Tak – wzdycha Embry, nie przestając trzepać kapucyna. – Jest duży.

Obrywam kolejnego klapsa w tyłek.

– Na łóżko – rozkazuje Ash, a chrypa w jego głosie przejmuje mnie dreszczem dumy.

Zrobiłam to jemu, przywódcy wolnego świata. Nie robiąc nic innego poza byciem sobą, nic innego poza daniem mu tego, czego potrzebuje, i pozwalając, by w zamian dał mi to, czego ja potrzebuję. Spodziewam się, że będzie mnie pieprzył na łóżku, a tymczasem on siada na jego wezgłowiu obok mnie, a jego fiut połyskuje w ciepłym świetle.

– Na plecy – rozkazuje mi. – Rozłóż nogi. Embry właśnie potrzebuje twojej cipy.

Mój oddech przyśpiesza, gdy wykonuję jego polecenie, a moje i tak naprężone sutki zwijają się w dwa boleśnie napięte czubki, gdy układam się na wznak, podczas gdy Embry spogląda na mnie oczami z błękitnego kryształu.

– Mogę? – pyta drżącym głosem.

– Nie interesuje mnie wasze zdanie – rzuca mój mąż ostrym tonem. – Oczekuję po tobie, że ją pokryjesz. Zerżniesz. Doprowadzisz do orgazmu. A po niej oczekuję, że ci na to wszystko pozwoli.

Od tych twardych, szorstkich słów aż się trzęsę. Od tych słów i od gorącego spojrzenia szmaragdowych oczu.

– Patrz na mnie, kiedy on będzie w tobie – rozkazuje Ash. – Chcę widzieć twoją twarz.

– Och, Ash – mruczę.

Jestem teraz wyłącznie hormonami i elektrycznością, jestem niczym poza tym, czym on chce mnie mieć. On również to wie, z uśmiechem zadowolenia przygląda się, jak Embry gramoli się między moje nogi i penetruje mnie.

Jego własny fiut, masywny i ciemny, wskazuje wprost na sufit, on jednak ignoruje to, składa ręce na szerokiej piersi i obserwuje, jak jego najlepszy przyjaciel to wkłada, to wyjmuje fiuta z mojej cipy, najpierw powoli, a potem coraz szybciej i szybciej, aż w końcu przymyka powieki i zaczyna tracić nad sobą kontrolę. Kładzie się na mnie, tak że nasze brzuchy stykają się ze sobą, wsuwa mi przedramiona pod ramiona, i z twarzą wtuloną w moją szyję rżnie mnie szybkimi, samolubnymi pchnięciami.

No cóż, nie całkiem samolubnymi. Trzon jego kutasa przy każdym pchnięciu ociera się o moją łechtaczkę, a nachylenie jego bioder sprawia, że za każdym razem trafia w ten idealny punkt. W miarę jak zbliżam się do orgazmu, wiem, czego pragnę ponad wszystko. Wiem, czego potrzebuję. I jeśli Ash zrobił to, żeby sobie przypomnieć, jakie to uczucie zdobyć mnie, jeśli ja zrobiłam to, żeby poczuć w pełni moją własną sprawczość… nie wspominając o tym, że pragnęłam tego od lat…

Wciąż wpatrujemy się w siebie. Wyciągam rękę i wsuwam ją pod jego ręce złożone na piersi.

– Chcę cię o coś prosić.

Embry nie zwalnia tempa, nie unosi głowy wtulonej w moją szyję, ale wiem, że słucha i czeka, co dalej nastąpi.

Ash ujmuje moją dłoń i przesuwa w dół po swym twardym sześciopaku do oczekującego mnie kutasa. Używa mojej ręki tak, jak sprawia mu to przyjemność, jego duża dłoń otula moją mniejszą, regulując siłę ścisku i tempo.

– Skąd wiesz, że nie planowałem tego zrobić?

– Nie wiesz, o co chciałam cię prosić. – Miało to zabrzmieć przekornie i kokieteryjnie, jednak ciało Embry'ego jest maszyną, która wyzuwa mnie z wszelkich uczuć poza narastającym orgazmem, więc w rezultacie wyrzucam to z siebie bez tchu. Zdyszana.

– To nieważne – mówi Ash, w ten niedbały sposób, który wykracza poza arogancję. Który jest po prostu stwierdzeniem faktu. – Zamierzam zrobić ci wszystko, co zechcę, a ty mi na to pozwolisz.

Nadal używa mej ręki do walenia konia, lecz nawet na nią nie spojrzy, jego oczy wciąż wpatrują się płomiennie w moje. Myślę o chwili, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy przed tylu laty w Londynie.

– Cokolwiek – mówię, powtarzając słowa, wypowiedziane wówczas w nieznajomej bibliotece do młodego żołnierza. – Pozwolę ci na wszystko.

Teraz znaczą one jeszcze więcej niż wtedy, gdy miałam szesnaście lat – *cokolwiek* tak wiele znaczy obecnie, w ustach dorosłej kobiety. Widziałam już horrory *czegokolwiek*, czułam je, a jednak w ciemnozielonej głębi oczu mego męża odkrywam na nowo to, co zawsze o nim wiedziałam. Że z nim *cokolwiek* jest rozkoszną otchłanią, którą pragnęłam odwiedzić jako młoda kobieta, *cokolwiek* jest królestwem zarówno rzeczy przyjemnych, jak i przerażających, *cokolwiek* jest wszelkim zdeprawowanym, sprawiającym ból uczynkiem przekształconym przez wzajemne przyzwolenie i wzajemną rozkosz w wyraz miłości.

Usta Asha drgają, gdy słyszy moje słowa – pamięta tamtą chwilę w bibliotece równie dobrze jak ja – a jego twarz pana na moment znika, odsłaniając zmęczonego, a jednak wciąż skorego do zabawy człowieka, który się za nią skrywał.

– I to czyni cię tak niebezpieczną – mruczy, odgarniając drugą ręką włosy z mojej zlanej potem twarzy.

– Zaraz dojdę – szepczę do niego i zarazem do Embry’ego.

– Dobrze – mówi Ash, zaś Embry w tej samej chwili kąsa mnie w szyję, dając znać, że przyjął moje słowa do wiadomości. – Dla kogo dochodzisz, Greer?

– Dla ciebie, panie – odpowiadam, wijąc się pod jego przyjacielem.

– Dobra dziewczynka. Niech cię Embry poczuje. Zasłużył sobie na to, nie sądzisz? Po tym wszystkim, co zrobił, żebyś była bezpieczna.

W tej chwili nie jestem w stanie odpowiedzieć i myślę, że Embry także chyba nie, bo jęczy, słysząc słowa Asha: „Wyjmij, kiedy ona dojdzie, Embry, bo chcę cię mieć twardego dla siebie”, lecz poza wydaniem tego jedynego, przeciągłego, pełnego udręki dźwięku, nie zgłasza więcej protestów.

– Dobry chłopiec. Zasłużyłeś sobie swoją wierną służbą na gorącą cipę, nie? Na tę chwilę między nogami mojej żony. To dobre, nie? Tak miło jest odebrać zasłużoną nagrodę.

Słowa Asha są okrutne i poniżające w najsmakowitszy sposób, ale jeszcze smakowitsza jest zmiana, jaką wywołują one w Embrym. Jego posunięcia się zmieniają, stają się dłuższe, twardsze, mocniejsze – jego palce wpijają się w moje plecy, jego zęby wpijają się w moją szyję, staje się czysto zwierzęcy i samczy. Patrząc na twarz Asha, widzę, że to było zamierzone – wiedział, jaki wpływ jego słowa wywrą na Embry’ego, że te

pomysły płoną poza myślami Embry’ego, kiedy wydaje mu się, że nikt nie widzi.

Jednak Ash potrafi to zobaczyć. I kiedy szepcze: „Rżnij ją ostro, Embry, rżnij ją, jakbyś zawsze tego chciał”, to wiem, co robi. Rozniecając i podsycając zazdrość między nimi. To rozpala wiceprezydenta, rozpala i mnie i jak beczka spadająca przez próg wodospadu w jednej chwili przeskakuję od antycypacji do niekoherentnych emocji, w gwałtownych skurczach zaciskając cipę na fiucie Embry’ego, chwytając powietrze, gdy emocje wypierają z mego ciała wszelkie myśli i wszelką wiedzę. Nie ma nic, tylko głębokie biologiczne wyswobodzenie, czysta, hormonalna rozkosz.

Embry jest posłuszny Ashowi i wyciąga, lecz po jego zaciśniętych szczękach i podkurczonych jajach widzę, że jest o krok od wytrysku. Siada na piętach, jego twarz wyraża oszołomienie. Szybko przytomnieje, gdy Ash powiada:

– W niskim stoliku powinien być lubrykant. Tam gdzie zwykle.

Tam gdzie zwykle?, pytam samą siebie, lecz zaraz przypominam sobie miesiące, które upłynęły między śmiercią Jenny i moim pojawieniem się w życiu Asha. Wstrząsa mną dreszcz czystej żądzy, gdy zastanawiam się, ile razy mężczyźni, których mam przed oczami, pierdolili się w tym łóżku – ta myśl podnieca mnie i jednocześnie napełnia znajomym lękiem i przerażeniem. Tak wiele działo się między nimi, tyle miłości i seksu, i rozpaczy, że czuję się jak intruz. Jakbym zawsze była po drugiej stronie zasłony, zbyt grubej, bym mogła odciągnąć ją własnymi siłami.

– Mieć w łóżku was oboje to taki dar – odzywa się Ash, jakby czytał w moich myślach. – Nigdy nie byłbym w stanie sobie wyobrazić… – Milknie i kręci głową, a potem wyciąga rękę po butelkę, którą wręcza mu

Embry, na powrót chłodny i rzeczowy. – Na brzuch, Greer. Odwróć głowę tak, żeby Embry mógł skorzystać z twoich ust, jeśli zechce.

Embry chce i klęka przede mną, i wtyka mi fiuta w usta, gdy tylko jestem na to gotowa. Ash wsuwa mi poduszkę pod biodra, po czym szczypie mnie w dupę za to, że się wiercę, gdy to robił.

– Nie przeciągaj struny, Greer – ostrzega. – Wolisz, żebym był cierpliwy.

Jednak jego głos, jego dłonie szorstkie i pełne zapału świadczą, że jego cierpliwość dawno już legła w gruzach, unicestwiona przez okazję zerżnięcia mnie w dupę. I nie traci czasu, mając mnie pod ręką gotową do rżnięcia. Wtyka śliski palec w moją gwiazdeczkę, sonduje ją i rozciąga, szykując mnie, o ile cokolwiek może mnie na to naszykować, na swego wielgaśnego fiuta. Dołącza drugi palec, a ja jęczę z ustami na fiucie Embry’ego, wskutek czego Embry zaciska dłoń na wezgłowiu łóżka i na moich włosach, mamrocząc pod nosem przekleństwa.

– Nie mogę się doczekać, kiedy cię zerżnę w różany pączek – powiada Ash, a jego palce jednocześnie posuwają mnie powoli i wiercą się w mojej w dupie. – Mój mały książę był w tobie pierwszy, ale ja będę pierwszym facetem, który wetknie ci do dupy, i nawet nie potrafię powiedzieć, jak długo o tym marzyłem. Jak tam będzie gorąco. Jak ciasno. Jak wstydliwie.

Ściągam usta z fiuta Embry’ego, odwracam głowę do Asha i mówię:

– Ależ proszę.

– Sprośna dziewczynka – mruczy i mocniej porusza palcami, od czego przebiegają mnie dreszcze rozkoszy. – Pierdolona sprośna świnka.

Po tych słowach lokuje się między moimi nogami, a jego palce wycofują się, pozostawiając otwór dla fiuta. Spodziewam się, że Embry będzie mnie nadal pieprzył w usta, zwłaszcza odkąd czuję jego dłoń pod

brodą, więc odwracam głowę z powrotem do niego, on jednak zamiast wetknąć mi w usta fiuta, całuje mnie, długo i namiętnie.

– Kocham cię – szepcze mi w usta. – Tak bardzo cię kocham.

Cofa się, a ja wpatruję się badawczo w jego twarz. Nigdy go nie zrozumiem, myślę, choćbym starała się nawet przez milion lat. Nigdy nie pojmę tych dokonujących się w ułamku sekundy przeskoków od egoizmu do altruizmu, jego niestałości, jego niepojętej zdolności do łączenia miłości z zazdrością. Bo po co wypowiada te słowa teraz, gdy Ash zabiera się do pierdolenia mnie, po co mówi je, skoro Ash słyszy?

Zanim zdołam wyczytać z niemal nieskazitelnej arystokratycznej twarzy jakąkolwiek odpowiedź, mówi nieco głośniej:

– Oddychaj, kiedy będzie ci wtykał, oddychaj i pchaj dupą wspak. Dobrze cię przygotował, ale z początku i tak to będzie trochę nieprzyjemne. Po prostu oddychaj.

Kiwam głową i czuję palce Asha na plecach. Wiem, nie odwracając głowy, że nie robi tego po to, żeby mnie uspokoić czy pocieszyć. Gładzi moje boki i grzbiet jak nabywca gładzący nowo nabytego konia, jak kolekcjoner gładzący maskę nowego sportowego samochodu. To zaborczy, władczy gest posiadacza, zawierający w sobie uznanie, ale z gruntu samolubny. Jego dłoń przez chwilę spoczywa na moim karku i przesłanie tego gestu jest jasne. Jestem jego zabawką, jego zwierzątkiem, jego żoną, zrobi ze mną, co zechce.

A ja za nic nie chciałabym, żeby było inaczej.

Pochyla się nade mną i czuję pierwsze natarcie, lub raczej przesunięcie czubka jego kutasa po moim wejściu, z minimalnym naciskiem. Potem następuje drugie natarcie, z naciskiem na już uprzednio rozluźniony palcami zwieracz, a później wycofanie.

– Odpręż się – radzi Embry, pocierając nosem o mój nos. – Napinasz się.

To prawda, i nawet nie wiem dlaczego. Chcę tego, chcę tego od dawna, jestem taka podniecona, że moja cipa jest od tego podniecenia ciężka i nabrzmiała, tyle poszło lubrykantu, tyle było działań przygotowawczych… a jednak odczuwam to jak inwazję, głęboką i dziwną, niemalże coś złego, choć nie do końca.

Podczas mojego kolejnego wdechu Ash napiera na moją dziurę i prze, a śliski lubrykant robi swoje i sprawia, że wszystko jest wilgotne i śliskie i o Boże!, o kurwa…

– *Chryste* – powiada Ash przez zaciśnięte zęby, gdy mój dziewiczy zwieracz niemiłosiernie ściska czubek jego fiuta. – Jezu, to takie, kurwa, miłe.

Wpycha fiuta głębiej, pokonując początkowy opór.

– O kurwa, o kurwa – mruczę, zaciskając powieki. To boli, to boli, to boli.

– Pocałuj ją, Embry – rozkazuje Ash, gładząc mnie po udach, jakbym była narowistym koniem, lecz jego dłoń drży i wiem, że w tej chwili ledwie panuje nad sobą.

Usta Embry’ego przywierają do moich ust. Jego pocałunek jest słodki, łagodny i kojący – w przeciwieństwie do napalonego kutasa szturmującego moje delikatne miejsce – i daję mu się uwieść tym kochającym, czułym poruszeniom ust odwodzącym mnie od bólu i prowadzącym ku czemuś innemu. Ku czemuś odczuwalnemu jak ból, migoczącemu ściskaniu w splocie słonecznym, zaparciu tchu w piersi, jednak odmieniającemu także moje ciało w coś innego.

– Nie przestawaj oddychać, skarbie – mówi Ash. – Świetnie sobie radzisz.

Czuję, jak przełamuje opór moich zwieraczy i wbija się we mnie, w końcu, w końcu, ta szeroka, dzwonowata żołądź przełamuje moje bramy i wciska się głęboko do środka.

– O kurwa – szepczę w usta Embry’ego, ale mój głos brzmi inaczej niż przed chwilą, już nie jest spanikowany, lecz przepełniony podziwem. Wciąż pozostało trochę bólu, o ile ból jest w ogóle właściwym słowem. Wciąż pozostała jakaś część, która odczuwa to jako coś niewłaściwego. Jednak ściskanie w piersi przechodzi w ściskanie w podbrzuszu wynikłe z wcześniejszego biegłego rżnięcia Embry’ego, a moje ciało reaguje, zanim moja głowa zdąży się w tym połapać, wiercąc się i kręcąc na grubym kutasie tkwiącym między moimi pośladkami, usiłując nadziać się na niego głębiej.

Moje wysiłki zostają nagrodzone mocnym klapsem, po czym Ash wyciąga fiuta aż po żołądź i wciska z powrotem tak głęboko, że czuję jego jaja obijające się o moją cipkę. Embry wsparł się na rękach, by lepiej widzieć, jego śliczne usta są lekko rozchylone, oddech szybki i nierówny.

– Spójrz na to, Embry – zachęca mój mąż i Embry posłusznie gramoli się po łóżku, żeby popatrzeć. Ash ujmuje moje pośladki w ręce i rozchyla ja, na ile się da, eksponując miejsce, w którym jesteśmy złączeni. – Patrz, jaka jest wielka, kiedy ją rozciągam. Popatrz, jak zaciska się na moim fiucie.

Nie widzę Embry’ego, lecz wyczuwam w jego głosie tłumione pożądanie, gdy pyta:

– Dobrze ci?

– Brak mi słów, żeby opisać, jakie to zajebiste.

Palec – domyślam się, że to palec Embry’ego – obwodzi okolicę, gdzie jestem rozciągnięta i napięta wokół sterczącego penisa Asha. Przebiega mnie dreszcz, Asha również. Słyszę, jak Embry ściszonym głosem pyta

o coś, słyszę Asha wydającego z siebie równie niewyraźny pomruk przyzwolenia, odwracam głowę i widzę, że Embry zagryza wargę i wyciąga rękę do mojego męża. Wydaje się czynić to z wahaniem, niepewnie, jakby dotykanie Asha w ten sposób nie było czymś, co zdarza się często, jakby chciał zapamiętać każdą sekundę tego wydarzenia. I zamiast sięgnąć do klatki piersiowej czy brody, wsuwa Ashowi dłoń pod brodę, a kciukiem gładzi krawędź przetykanych srebrem włosów swego kochanka.

W chwili gdy Embry go dotyka, Ash nieruchomieje, jego fiut wciąż we mnie tkwi, dłonie spoczywają na moich biodrach. Mruga powiekami, zamyka oczy, gdy Embry ujmuje jego twarz w dłonie, a jego wargi się rozchylają. Przez długą chwilę nikt się nie porusza, nic się nie porusza, wszystko zamiera na czas, którego nie rozumiem, a który mimo to rozdziera mi serce na dwoje. Ból, który dzielą, jest wręcz dotykalny, równie realny jak nasz pot i nasze ciała, dotykalny i żywy. I jeśli kiedykolwiek myślałam, że to Ash sprawuje całą władzę w tym związku, to teraz widzę wyraźnie: Embry trzyma serce mego męża w swoich rękach i nawet o tym nie wie. Jest zanadto skupiony na wpatrywaniu się w detale twarzy Asha, żeby uchwycić jej wyraz, zanadto skupiony na swoim zakochaniu, by dostrzec, jak bardzo sam jest kochany.

To łamie mi serce.

– Pocałuj mnie – prosi Ash cicho. – Proszę.

Zawahawszy się zaledwie przez sekundę, Embry nachyla się i muska ustami wargi Asha, a kiedy to się dzieje, jego ciałem wstrząsa elektryczny dreszcz. Ash wzdycha, jego długie rzęsy opierają się na policzkach, a dłoń puszcza moje biodro, by objąć talię Embry’ego i przyciągnąć go do siebie. Potem wypuszcza go z ociąganiem i uśmiecha się do mnie żałośnie.

– Zaniedbujemy naszą księżniczkę.

– Trudno czuć się zaniedbywaną, kiedy we mnie tkwisz – zauważam z uśmiechem.

– Niemniej jednak, skoro wciąż się uśmiechasz, to znaczy, że musimy wziąć cię w obroty – mruczy, w zasadzie figlarnie, choć w jego słowach wyczuwa się coś mrocznego. Przypominam sobie, po co to robimy – od czego oboje chcieliśmy się uwolnić – i wiem, że nie spocznie, aż tego dokaże.

Szepcze coś Embry'emu do ucha, Embry kiwa głową, rzucając mi szelmowskie spojrzenie i cofając się nieco, by Ash mógł pomóc mi stanąć na czworakach. Wciąż tkwiąc głęboko we mnie, otacza ramieniem mój brzuch i przewraca się na plecy, trzymając mnie na sobie. Moje plecy spoczywają na jego piersi, a on sięga ręką, żeby upewnić się, że leżę wygodnie, a włosy nie opadają mi na twarz. Zaraz potem Embry wpełza między moje nogi i już wiem, co teraz nastąpi.

– Nie wiem, czy dam radę – szepczę.

– Dasz, dasz – szepcze mi w ucho Ash. Wyszukuje stopami moje kostki i rozchyla mi nogi, całkowicie odsłaniając moją mokrą cipę przed Embrym, który teraz klęczy między naszymi nogami, z piersią wezbraną podnieceniem. – Dasz radę i spodoba ci się to.

Jedną dłoń kładzie mi płasko na brzuchu, drugą rękę zakłada mi na szyję, zmuszając mnie do opuszczenia miednicy i odchylenia głowy poza jego ramię, formując moje ciało w jeden wydłużony, napięty łuk, którego obie dziury są łatwo dostępne dla obu moich mężczyzn.

– Kurwa, to mnie jara – mówi Embry, podziwiając ten widok, przesuwając opuszkami palców po mokrych płatkach cipy, które teraz są rozchylone dla niego, wokół czułego miejsca, w którym Ash i ja jesteśmy złączeni.

– Jest twoja, pierdol – mówi Ash tonem wielkodusznego gospodarza, tonem króla rozdzielającego nagrody. – Ciesz się nią.

Embry ustawia się nad nami, z jedną ręką na trzonie penisa, a drugą wspartą koło głowy Asha.

– Mogę się w nią spuścić?

– A chcesz?

– Boże, tak – jęczy Embry.

– Więc zrób to – decyduje Ash, a Embry w końcu wprowadza wielką żołądź do mego otworu, który jest tak mokry, że słyszę mlaskanie, gdy się w nim porusza. Jednak kiedy wciska się do środka, różnica w porównaniu z dotychczasowym pierdoleniem jest tak ogromna, że aż zapiera mi dech w piersi.

– Będę wchodził powoli – obiecuje Embry. – Wiem, że jest ciasna.

Głos mu się łamie na ostatnim słowie, jakby nawet sama myśl o tym przechodziła zdolność pojmowania, a sądząc po tym, jak pierś Asha porusza się pode mną wstrząsana pośpiesznymi, płytkimi oddechami, domyślam się, że z nim dzieje się to samo.

Embry dotrzymuje słowa, zwalnia i wpycha się delikatnie, choć nadziana na jednego grubego kutasa, nie nazwałabym wtykania drugiego czymś *delikatnym*. To raczej powolna, ale brutalna inwazja; mimo wszystkich soków, którymi jestem zlana, jest to akt przemocy i z każdym okrutnym centymetrem, prawdziwy Embry zdaje się znikać, a górę bierze jego mroczny cień. To Embry rozkwitający w chaosie i przemocy, Embry tak dalece pochłonięty pilącą go potrzebą, że ledwie dostrzega kogokolwiek poza sobą samym.

Wszedł już do połowy, wprowadzając fale dźgającej jak sztylet rozkoszy w głąb mego brzucha, aż po pierś. Czuję, jak pod spoczywającą

na mojej szyi ręką Asha zbiera się pot, chłodny i wilgotny na mojej szyi, zraszający nagą skórę mego brzucha.

– Nie wiem, czy dam radę – dyszę ponownie.

Zęby Asha chwytają płatek mego ucha.

– Dasz – mówi swoim głosem pana. – Weź go. Weź go całego.

Embry wpycha dalej, a ja krzyczę, po trochu z bólu, po trochu z zachwytu, a z piersi Asha pode mną wyrywa się pomruk rozkoszy, gdy każdy ruch Embry'ego naciska go i masuje. I wreszcie Embry wszedł cały i patrzy na mnie zdezorientowanym wzrokiem. Odpowiadam mu błagalnym spojrzeniem własnych równie zdezorientowanych oczu.

Błagając o litość, a może o okrucieństwo. Nie wiem nawet tego.

Embry na próbę pcha i krzyczę ponownie, rozkosz-ból jak gorące żelazo w moim podbrzuszu.

– Przepraszam – wydobywa z siebie przez zaciśnięte zęby. – Tak mi, kurwa, przykro, ale Jezu Chryste, jest taka, kurwa, ciasna, to takie miłe… – Kolejne pchnięcie i wydaje niski pomruk z zamkniętymi oczami, a ja wiem, że nie mogę spodziewać się po nim litości. To zbyt przyjemne uczucie, zbyt ciasna cipa, zbyt gorąca i mokra, zbyt to jest sprośne.

– Jak się czujesz, księżniczko? – pyta Ash, gdy Embry wyciąga i z powrotem wciska fiuta w mój ciasny kanał.

Słowa zaczynają wypadać mi z głowy, myśli. Wspomnienia, intencje – nie potrafię sobie nawet przypomnieć, dlaczego tu teraz jestem, dlaczego skończyłam przyszpilona jak motyl, między moim mężem i kochankiem.

– Pełna. – To jedyne słowo, jakie przychodzi mi na myśl. – Jestem pełna.

– Pełna kogo? – dopytuje Ash. – Dłoń spoczywająca dotąd na moim brzuchu ześlizguje się na łechtaczkę i masuje ją ze znajomością rzeczy.

– Mojego pana – odpowiadam. – I mojego Embry'ego.

– Naszego Embry’ego – poprawia mnie Ash, a głowa Embry’ego opada, jakby nie chciał, żebyśmy widzieli, jak oddziałują na niego słowa Asha.

Wsuwam jedną rękę pod siebie, żeby oprzeć ją pod karkiem Asha, a drugą wyciągam, by objąć kark Embry’ego. Przyciągam jego głowę do pocałunku, a on jest mi posłuszny i pochyla się z jękiem, wciąż to wpychając fiuta w moją cipę, to wyciągając go z niej. Jego usta są ciepłe i słodkie, niecierpliwe i już bynajmniej nie łagodne, i wtedy ręka Asha puszcza moją szyję, by uchwycić w garść włosy Embry’ego i przyciągnąć go do siebie i całować, aż zniecierpliwiona odciągam go z powrotem do siebie. Po krótkiej chwili rozpoczynają się między nami zmagania o usta Embry’ego, szamoczemy się i skręcamy, wśród dyszenia i kręcenia biodrami, i tłumionych jęków. Embry całuje Asha, potem całuje mnie, potem Ash całuje mnie, potem wszyscy troje łączymy się w pocałunku, w dręczącym, zapierającym dech w piersi wyczynie akrobatycznym. Zaczynam zapominać, które usta do kogo należą, który język jest czyj, który kutas czerpie przyjemność z mojej dupy, a który kutas czerpie przyjemność z mojej pizdy.

To jak moja noc poślubna – nasze osobne sparowania uległy rozpuszczeniu i jest tylko nas troje, nas troje ruszających się, całujących i oddychających jak jedno. W tej chwili nie ma podziałów, nie ma podejrzeń ani zazdrości – jest tylko jedność. Ekstaza. Pierwotna żądza pierdolenia połączona z uświęconą głęboko duchową potrzebą kochania innej duszy tak gwałtownie, jak to możliwe.

Parzenie. Oto czym to jest. Słowo oznaczające naraz pierdolenie i dzielenie się życiem.

– Daj mi – mruczy Ash. – To należy do mnie i ja tego chcę. Teraz.

Nie muszę pytać, o co mu chodzi; równie dobrze jak ja wyczuwa skurcz mięśni, drżącą pulsację wokół tkwiącego we mnie kutasa. Zaraz dojdę,

a kiedy dojdę, to dla niego, dla jego rozkoszy.

– To jest to – mówi. – To jest to.

Naciska mój brzuch, tuż ponad kością łonową, i jęk, który wydaję, brzmi obscenicznie, bo to takie, kurwa, sprośne odczucie, jakby dociskał mnie, żeby ciaśniej miał on i Embry, jakby dociskał mnie, żeby przekonać się, czy sam również jest w stanie poczuć to „pełno”, a w rezultacie dociska mój punkt G do rżnącego mnie bez miłosierdzia fiuta Embry’ego.

– Tak – mówi do siebie, gdy zaczynam implodować, gdy dociska mnie mocniej. – Tam to jest, księżniczko. Postaraj się, żebyśmy doszli w tobie na całego. Postaraj się, żebyśmy dali ci więcej, niż jesteś w stanie przyjąć.

Mój mąż jest tak zdeprawowany i przez to zniewalający dla mnie, i jęczę ponownie, gdy ostateczne nakręcanie dobiega końca. Kiedy napięcie wywołane przez dwa kutasy w moim wnętrzu unosi się w miejscu tuż poza moją łechtaczką przez jedną pełną blasku minutę. Nie mogę złapać oddechu, nie całkiem, a ciśnienie mnie zgniecie, stopi mnie, zamorduje mnie, i nie uświadamiam sobie, że drapię ramiona i plecy i wierzgam biodrami, aż Embry powiada: „Ash, przytrzymaj ją w miejscu” i zostaję poskromiona. A wówczas Embry zaczyna wywijać biodrami w sposób nieopanowany, gdy Ash przyciska moje podbrzusze jeszcze mocniej, i to jest w równej mierze widok jego rzeźbionego brzucha i prężących się bioder, jak głębokie, szybkie posunięcia jego fiuta po moim punkcie G.

Nakręcanie się kończy, pełnia blasku się wypala, i wtedy dopiero imploduję w pełni, obkurczam się na tych kutasach tak twardych, że to aż boli, tak twardych, że czuję, jak moje mięśnie brzucha zaciskają się i drżą, a elektryczność wzbudza się na owłosionej skórze głowy i ze skwierczeniem przebiega po mojej skórze.

– Kurwa, nie mogę przestać – mówi Embry, gdy wiję się pod nim z jękiem. – Muszę… muszę…

– Zrób to – komenderuje szorstko Ash. – Pokaż mi, jak bardzo ci się podoba używanie mojej żony. Okaż mi swoją wdzięczność.

Embry wyświadcza mu tę uprzejmość i każdy mięsień rysuje się ostrymi, napiętymi liniami, gdy mamrocze *o kurwa, je pierdolę* i zaczyna napełniać mnie swoją spermą.

– Och, Greer, ja pierdolę, dziecinko, jak dobrze.

Posuwa mnie przez cały czas wytrysku, przeciągając go głębokimi posunięciami i pulsując tak intensywnie, że czuję to mimo trwającego własnego orgazmu.

– Tak – jęczy, podciągając się odrobinę i zmieniając kąt, by wypompować we mnie resztki swej spermy. – To było takie cudowne, dziecino. Takie, kurwa, cudowne.

Wyciąga ze mnie fiuta z dźwiękiem, który można określić jedynie jako porażająco cudowny, a ja czuję, co zostawił we mnie, ciepłą wilgoć jego nasienia, która powoli wycieka na zewnątrz. Embry wpatruje się w nie pożądliwymi oczami, wpatruje się, gdy Ash sięga, by przekonać się, co był mi w stanie dać. Potem Ash wydaje pomruk aprobaty, dowód, że wykorzystanie mnie w pełni i do syta przez jego przyjaciela wzbudziło w nim głęboką zwierzęcą żądzę.

– Moja kolej – chrypi mi do ucha. Porusza biodrami pode mną, jego muskularny tors i uda ciężko pracują nad wtykaniem fiuta w moją dupę i wysuwaniem go z niej na przemian, a ja jestem zaskoczona, że teraz wcale mnie to już nie boli. Tylko to *czuję*, w inny sposób niż w cipce, ale równie intensywnie, równie mocno. Może nawet mocniej ze względu na wymóg bardziej intymnego i bezbronnego otwarcia się i uległości. Z dłonią na mojej mokrej od spermy cipce i drugą zgiętą w łokciu na moim gardle, trzeba mu dziesięciu czy piętnastu pchnięć, żeby osiągnąć punkt szczytowy. Jego ciało to solidna bryła spoconego, pochrząkującego mięśnia pode mną,

jego ręce jak łańcuchy najlepszego gatunku, a jego sterczący fiut taki wielki i wbijający się tak głęboko. Czuję, jak ten ogromny kutas robi się niemożliwie wielki, te twarde muskuły jeszcze twardsze, aż powiada zduszonym głosem:

– Oto nadchodzi, księżniczko, nadchodzi.

Brak mi słów na opisanie odczucia tego, jak mój mąż spuszcza się we mnie. Po wszystkim, co przeszłam: po uprowadzeniu, pierdoleniu się z jego księciem, po jego dyscyplinowaniu, po jego rozkoszy, po harmonii osiągniętej przez nas troje wespół, tak podobnej do tego, co działo się w noc poślubną. Bezbronne i rozkoszne dźwięki, które teraz wydaje, i gorące pulsowanie jego ejakulacji w miejscu, gdzie dotąd jeszcze nikogo innego nie było, ciasny, zlany potem uścisk – uświadamiam sobie, że płaczę, i to więcej niż wyzwolenie, które mogłaby mi dać nawet najlepiej odegrana scena, to głębsze i ważniejsze od tamtego. To gwarancja, że nic nie może zerwać miłości, którą ten mężczyzna odczuwa dla mnie, niezależnie od tego, jak daleko zostałabym uprowadzona, czy jak daleko sama bym uciekła, czy cokolwiek wyprawiałabym z Embrym. To gwarancja tego, że żadna doza przemocy czy okrucieństwa nie może zachwiać mojej wiary w siebie, mojej sprawczości i zdolności do dokonywania wyborów i do miłości.

To jest małżeństwo, myślę w oszołomieniu. Radość i ból, wyjawione i wymieniane między sobą.

Radość i ból, dzielone między sobą.

I kiedy krzyczę, kiedy Ash spuszcza się we mnie z długimi, gwałtownymi wydechami, a Embry obserwuje nas oboje ze swoją książęcą ciekawością, z mieszaniną udręki i pożądania, wciąż czuję słaby posmak jabłka w moich ustach, lecz już nie jest ono gorzkie, ale słodkie. I wiem, że to, co się wydarzyło, nigdy mnie nie opuści – nie tak naprawdę. Nie w taki

sposób, w jaki bym chciała. Ale nie będzie mnie to określało, nie uczyni mnie niezdatną do małżeństwa, czy pierdolenia, czy miłości, czy wybaczenia.

Ash miał rację – myślałam, że jestem słaba. Nawet jeśli nie sformułowałam tego sama dla siebie, był we mnie lęk, że w jakiś sposób jestem winna lub współwinna, a jeśli nie to, to lęk, że nie starczy mi sił, by znieść ból lub szorstkie traktowanie ze strony mężczyzny, którego poślubiłam – mężczyzny, którego poślubiłam właśnie dlatego, że pragnęłam doznawać od niego bólu i szorstkiego traktowania. Ash dowiódł mi, że myliłam się pod każdym względem.

Ten mężczyzna.

Ten bystry, okrutny, królewski mężczyzna.

I przychodzi chwila, po prysznicu, po tym, jak on i Embry spędzają rozkoszną godzinę między moimi nogami, liżąc mnie i całując się, po zaśnięciu Embry’ego. Ash przewraca mnie i wjeżdża do mojej cipki bez wstępu czy pytania o pozwolenie – bo kiedy jesteśmy sami, jestem jego i on nie potrzebuje jednego ani drugiego. I on spogląda mi w oczy i pyta:

– Czyj to ból?

Odpowiedź przychodzi sama, bez myślenia, bez oporu.

– Pański, panie prezydencie. To wszystko należy do pana.

18

Embry

po

Dwa dni później siedzę w rezydencji Vivienne Moore, popijam gin i gapię się na jezioro. W Waszyngtonie wciąż wieje chłodny wiatr, towarzyszy mu zachmurzenie i mżawka, a ja czuję wdzięczność za zadaszony balkon i lekką kurtkę, gdy tak siedzę i patrzę na kręgi powstające na toni akwenu z każdą spadającą kroplą deszczu. Zaglądam do smartfona, wysyłam kilka krótkich maili. Oficjalnie rzecz biorąc, spędzam czas z rodziną, jestem na urlopie, więc mój szef sztabu ogranicza napływ wiadomości, jednak prawda jest taka, że bardziej trzeba mi roboty niż wypoczynku. To miła odmiana po wyprawie ratunkowej i szczęśliwym połączeniu rodziny. Po wymuszonym rozstaniu.

Jednak Merlin jasno wyraził swoje zdanie i chociaż wcale mi się ono nie podoba, nie mogę się z nim nie zgodzić.

– To – powiedział w Camp David na drugi dzień po uratowaniu Greer – nie może ujrzeć światła dziennego.

Ash jednoznacznie nadawał ton całej sytuacji, trzymając Greer pod rękę, a mnie, bez najmniejszego skrępowania, za rękę. Co do mnie, to odwzajemniałem jego uścisk. Po uprowadzeniu naszej królowej wszystko wydawało się takie kruche i niepewne, że musieliśmy trzymać się razem. Poza tym to było dziwnie przyjemne – stanąć razem, we troje, i otwarcie głosić *kocham dwoje ludzi, a oni kochają mnie*.

Zresztą Merlin znał nasze dzieje, moje i Asha. Nie było więc wyrazem paranoi sądzić, że przeniknął sekret naszego niekonwencjonalnego związku.

Jak zatem można się było spodziewać, Merlin nie speszył się, widząc nas razem. Kiwnął głową i wygłosił swoje zwykłe kazanie, jak zawsze zaczynające się od słów: *Jeśli zależy ci na reelekcji…*

Musimy być ostrożni, powiedział. Musimy być więcej niż dyskretni, a wręcz musimy postępować tak, żeby w porównaniu z naszym postępowaniem dyskrecja wydawała się zuchwalstwem. Ani słowa, cicho sza. Żadnych wycieków o mnie i Greer, a tym bardziej o Ashu i o mnie. Świat musi wierzyć, że Greer jest ideałem pierwszej damy Ameryki, ja jestem niepoprawnym amerykańskim playboyem, i to do nas należy podtrzymywanie tego wyobrażenia, mamy dbać o nie, jak o nasze poletko. Trieste, rzecznik prasowy, miał zostać wtajemniczony w zmowę, oczywistą dla Kaya i Belvedere’a, jednak poza nimi absolutnie nikt nie mógł dowiedzieć się o naszym trójstronnym związku.

Za nic w świecie.

A w każdym razie nie, jeśli Ash chce spędzić kolejne cztery lata na urzędzie prezydenta.

Widziałem, jak na słowa Merlina Ash zagryza wargę, i czym prędzej wyrwałem dłoń z jego uścisku.

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegłem go.

– O czym? – odparł, patrząc na mnie z niezmąconym spokojem.

– Sam wiesz, o czym – odparłem ze złością. – Doskonale wiesz, o czym. Oddałeś wszystko, żeby się tu znaleźć, ja tak samo, i jeszcze nie dokończyłeś swego dzieła.

– On ma rację – poparła mnie ściszonym głosem Greer.– Pomyśl o tych wszystkich sprawach, nad którymi wciąż pracujesz. Odnawialna energia, modernizacja systemu wsparcia dla weteranów wojennych, publiczna edukacja. Nie wspominając o Karpatii. Nie uporasz się z tym wszystkim w dwa lata, Ash. Potrzebujesz więcej czasu, a nasz kraj na to zasługuje.

– Uważam, że należy to przemyśleć – zaoponował Ash, spoglądając nam kolejno w oczy. – Najbliższe… sześć lat życia w ukryciu?

– Sześć i pół – doprecyzował Merlin. Ash zignorował go i wciąż spoglądał na nas. – Czy jest fair tego od siebie wymagać?

Greer, najgłębiej zakorzeniona w świecie polityki, położyła mu dłoń na policzku.

– Zadajesz niewłaściwe pytanie. Spytaj raczej, czy byłoby fair w stosunku do naszego kraju, żebyś zrezygnował ze stanowiska, wbrew ofiarom, które zgodziliśmy się ponieść? Pozostanie nam reszta życia. Możemy sobie odpuścić tych sześć lat.

– Sześć i pół – po raz kolejny doprecyzował Merlin.

Ash westchnął, ale nic nie powiedział.

– Dziecko – odezwał się Merlin ni stąd, ni zowąd. – Dziecko także by pomogło.

Wszyscy obróciliśmy głowy, by popatrzeć na niego.

Merlin kiwał głową, patrząc na Greer, która wciąż trzymała dłoń na policzku Asha.

– W dalszym ciągu będziemy trzaskać wam masę zdjęć takich jak to, ale pomyślcie, o ileż lepiej wyglądalibyście, gdyby Greer była w ciąży.

Obaj z Ashem spojrzeliśmy na Greer i wiem, że obaj wyobraziliśmy sobie to samo – naszą pannę młodą z brzuchem zaokrąglonym od dziecka. Nie miałoby nawet znaczenia, czyje by ono było, myślałem, śledząc wzrokiem płaską jędrność brzucha dającą się wyczuć pod letnią sukienką. Dziecko byłoby nasze, radość byłaby nasza…

Wcale nie, prawda? Nie w Białym Domu, nie ze skierowanymi na nas oczami świata. Zostałbym zdegradowany do roli starego kawalera, wujka, widza, nawet gdybym był biologicznym ojcem dziecka. Na myśl o tym zabolało mnie serce.

Krew odpłynęła z twarzy Greer i zdaje się, że na ten widok Merlina ogarnęła litość.

– Nie pali się – pocieszył ją – najlepiej byłoby dopiero podczas kampanii na rzecz reelekcji.

Pokręciła głową.

– Nie, nie chodzi o to, co powiedziałeś… To znaczy tak, ale… – Jej srebrne oczy popatrzyły w oczy moje i Asha. – Od dnia ślubu nie stosuję antykoncepcji. I po tym wszystkim, co mi się przytrafiło, ja nie…

Wyglądała, jakby miała się zaraz rozpłakać. Co dziwniejsze, sam czułem się podobnie, chociaż nie byłem pewny dlaczego. Strach? Ekscytacja? Ile razy Ash i ja spuściliśmy się w nią? Jak wysokie było prawdopodobieństwo ciąży?

Czy chciałbym, żeby było wysokie?

Myśląc o tym teraz, nazajutrz, na drugim końcu kraju, nadal nie jestem w stanie tego rozstrzygnąć. Jeśli Greer jest w ciąży, to zmienia wszystko. Jeśli jeszcze nie jest, ale zadecydujemy we troje, że *powinna* mieć dziecko, to także zmieni wszystko.

Nie zapomnij o randce, dostaję wiadomość od Trieste.

Wzdycham. Pierdolona randka. Stara zdobycz, którą zaprosiłem na kolację, z którą dałem się sfotografować i którą następnie zostawiłem na progu domu, nie obdarzywszy nawet całusem. Po tym, cośmy przeżyli we troje z Greer i Ashem od ślubu – Chryste, to był ledwie tydzień? – pomysł przespania się z kimś innym jest więcej niż komiczny, gorzej niż niesmaczny. Nie chcę nikogo innego. Kropka. Koniec. Tymczasem okrutnym zrządzeniem losu muszę udawać, że pragnę innych ludzi, żeby móc być z tymi, których kocham.

Nie przegapiłbym jej za nic w świecie, odpisuję, mając nadzieję, że tekst nie pokazuje, jak, kurwa, kompletnie brak mi chęci.

Odpowiedź Trieste brzmi kojąco. **Sam wiesz, że nie lubię całego tego ukrywania i udawania, ale Merlin jest najlepszy w tym, co robi. Normalnie zawsze jestem za otwartością, lecz w twoim wypadku…**

Trieste przypisano na izbie porodowej niewłaściwą płeć i jako pierwsza jawnie transpłciowa osoba w Gabinecie Stanów Zjednoczonych wie lepiej od kogokolwiek innego, jakie są koszty jawności życia seksualnego. Wie także co nieco o swobodzie i uldze, jaka wynika z tejże jawności życia, czego jej do bólu zazdroszczę. Jednak pieprzenie żony najlepszego przyjaciela jest mniej heroiczne od zmagań, jakie ma za sobą Trieste, nie mówiąc o tym, że ona nigdy nie stanęła wobec konieczności dokonania wyboru, kim jest. A w moim plugawym romansie z najbliższym przyjacielem i jego żoną wszystko polega właśnie na wyborze.

Co oznacza, że nie pozostaje mi nic innego, jak wzniośle przecierpieć randkę i liczyć, że nieprędko się powtórzy.

Trieste przysyła kolejną wiadomość. **Ash i Greer ładnie się prezentują na zdjęciach.**

Wraz z tekstem nadchodzi zdjęcie, z datownika wynika, że zostało zrobione zaledwie przed godziną. Para prezydencka stoi na piaszczystej

plaży, trzymając się za ręce. Ash z odrzuconą w tył głową śmieje się z czegoś, co powiedziała żona, ona też się uśmiecha, biało-złote włosy ma rozpuszczone i potargane wiatrem, czerwony kostium bikini retro podkreśla jej szczupłą sylwetkę. Na ten widok czuję ukłucie w sercu. Chcę być tam. Chcę być z nimi. Po trochu boli mnie to, jak szczęśliwi wydają się beze mnie, boli mnie, jak *dobrze* wyglądają we dwoje, ze swoimi mocnymi ciałami, gęstymi włosami i uśmiechem jak z obrazka.

Są idealną parą, Parą Ameryki – dziennikarze nazywają ich Nowym Camelotem – i nawet ja sam daję się wciągnąć w tę fantazję. Ulegam popędowi do idealizowania ich. Ich miłość jest taka zaraźliwa, radość, jaką czerpią z siebie nawzajem, tak uwodzicielska. Zastanawiam się, czy gdybym to ja był tam, na plaży zamiast Asha, ludzie myśleliby to samo o mnie i Greer. Czy potrafiłbym być tak spektakularnie radosny? I co ważniejsze, czy potrafiłbym uczynić drugą osobę tak spektakularnie radosną?

Nie wiem, czy bym potrafił. Jestem zbyt pokręcony, popierdolony i samolubny, i ani w połowie tak skłonny do skruchy. Nie zasługuję na radość, na plaże ani na Nowy Camelot. Zasługuję na gównianą niby-randkę. Na to zasługuję.

Nie odpisuję Trieste, że istnieje różnica między świeżo poślubioną parą, która ładnie się prezentuje, i mną prezentującym się ładnie – oni *chcą* być razem, nie muszą niczego udawać – ale wysyłam wiadomość do Asha z pytaniem, jak im się udała podróż na południe, czy prasa kupuje kit, że zwieńczyli miesiąc miodowy kilkudniowym pobytem na Bahamach po całym tygodniu spędzonym z dala od świata w Camp David.

Kupują to, a podróż była udana, przychodzi natychmiast odpowiedź. **Milej byłoby z tobą. Tęsknimy za tobą**.

Już zaczynam pisać, że ja też tęsknię, lecz naraz urywam. Nie wiem dlaczego, może chodzi o coś w tym pełnym beztroski zdjęciu, a może o wspomnienie naszego ostatniego wspólnego pieprzenia, tej megaintensywnej więzi pomiędzy Ashem i Greer, kiedyśmy się pierdolili. Ash dokładnie wiedział, czego jej potrzeba, a ona krzyczała w jego ramionach z rozkoszy. Jego troska o nią, jego zręczność w obchodzeniu się z jej ciałem i umysłem, sprawiała, że scenka odegrana przeze mnie w Karpatii wydaje mi się zaledwie żałosną amatorszczyzną.

Jak ja mogę konkurować o miłość Greer z takim mężczyzną? Z królem.

I jak mogę ubiegać się o miłość Asha, skoro w końcu znalazł to, czego zawsze pragnął – kogoś naprawdę uległego, kogo nie trzeba długo namawiać, by klęczał i służył? Nieważne, jak bardzo kocham to po fakcie, nieważne, jak bardzo obaj radujemy się zmaganiami, Greer zawsze będzie mu lepiej pasowała. Proste.

Wzdycham ciężko i zamiast pisać o swojej tęsknocie, pytam: **Jakieś nowiny z Karpatii? Wiadomo coś o Melwasie?**

Pauza. Zastanawiam się, czy poczuł się urażony brakiem bardziej emocjonalnej reakcji, czy podzielił się poczuciem urazy z Greer.

Powinien już zdążyć przywyknąć do tego, że go rozczarowuję. Od tak dawna to robię.

W końcu: **Wygląda na to, że ich machina propagandowa działa, ale w zakresie działań militarnych nic się nie dzieje. Melwas siedzi w rezydencji, w której więził Greer.**

Najchętniej w tej chwili spuściłbym na tę rezydencję jakąś pierdoloną bombę i zmiótł ją, wraz z zamieszkującym ją podczłowiekiem, z powierzchni ziemi. Jednak tego zrobić nie możemy, bo ostatnio zawarty traktat Zachodu z Karpatią wprost zabrania ofensywnych działań militarnych, dopuszczając jedynie działania odwetowe w przypadku

otwartej agresji. Melwas nie może rzucić nam rękawicy z powodu odbicia z jego rąk upragnionej zdobyczy, choć bardzo bym chciał, żeby spróbował, bo wtedy moglibyśmy zetrzeć go wreszcie w proch.

Na wyświetlaczu pojawiają się trzy kropki, ale zaraz znikają, jakby Ash chciał mi coś przekazać, lecz się rozmyślił. Potem kropki pojawiają się na powrót. **Wykryliśmy w laptopie Greer ślady złośliwego oprogramowania zagranicznego pochodzenia. Wygląda na to, że źródło znajduje się w Karpatii, choć na razie nie mamy całkowitej pewności. Wiemy tyle, że zainstalowano je świeżo… już po jej powrocie.**

Troska i gniew sprawiają, że piszę odpowiedź drżącymi rękami. **Dla niego gra nie jest skończona, Ash. Ma obsesję na jej punkcie i spróbuje ponownie.**

Nie dam mu szansy. W słowach wiadomości wyczuwam stanowczy głos Asha.

Odkładam telefon, wciąż drżącymi rękami. Jak on może tego nie widzieć, że słowo *szansa* w tym wypadku jest bez sensu? Za pierwszym razem udało im się wykraść Greer mimo roztoczonej nad nią opieki tajnych służb, więc dlaczego miałbym uwierzyć, że teraz agenci okażą się skuteczniejsi? Ash nie widział, jak ten potwór ją obmacywał, nie widział jej przerażonej i zrezygnowanej twarzy, nie byłby w stanie zrozumieć, że o włos ominęło ją coś strasznego.

– Embry?

Unoszę wzrok i widzę wchodzącego na balkon młodego mężczyznę. Jest wysoki i szczupły, na głowie ma burzę loków i ze swymi młodzieńczymi, jakby ciętymi w krysztale rysami twarzy wygląda jak rycerz z płócien prerafaelitów. Biorąc pod uwagę te loki i długie rzęsy, nie zdziwiłbym się, gdyby już w liceum miał swój fanklub. Lecz Lyr jest ostatnim młodzieńcem, który pragnąłby mieć fanklub, pomimo że ma

czternaście lat. Lyr pragnie czytać i studiować, chce, by zostawiono go w spokoju.

– Hej. – Uśmiecham się. – Co słychać? Mama jest z tobą?

– Podrzuciła mnie na weekend. Zmieniła obszar badawczy ze strukturalnego rasizmu w społecznościach emerytów na strukturalny rasizm w bractwach studenckich, a ja odmówiłem występowania w roli jej asystenta.

Lyr wypowiada słowo *bractwa* takim samym drwiącym tonem, jakim mógłby wypowiadać słowa *padlina drogowa* albo *Nickelback*, albo *bekon z indyka*. Nie mogę się nie roześmiać na widok niesmaku malującego się na jego młodzieńczej twarzy.

– Wiesz, że sam należałem do bractwa w Yale – mówię. – Nie wszystkie bractwa są takie złe.

Spogląda na mnie wzrokiem poważnym i przenikliwym, jakbym stał się dla niego kimś zupełnie obcym. Z jakiegoś powodu wyraz jego twarzy sprawia, że ogarnia mnie tęsknota za czymś, ale nie jestem pewny, za czym. Może po prostu za tym, żeby znów mieć czternaście lat i odczuwać pewność, czego nienawidzę, a co kocham. Za poczuciem, że dorośli wokół mnie nie mają zielonego pojęcia, jak wygląda moje totalnie oryginalne i skomplikowane życie wewnętrzne.

– A poza tym, który facet w twoim wieku nie chciałby spędzić weekendu w kampusie college’u? Są tam nie tylko bractwa, są również korporacje studentek.

Lyr wywraca oczami.

– W niczym nie są lepsze – wyjaśnia takim tonem, jakbym był idiotą, czym wywołuje kolejny wybuch mego śmiechu. – Poza tym mamy lato, więc w kampusie mało kto teraz mieszka. A na dodatek byłbym tam z *matką*.

– Domyślam się, że to by ci utrudniło uganianie się za dziewczynami. Czy może za chłopcami?

Przygląda mi się z poważną miną.

– To sfera prywatna.

Jego surowa mina sprawia, że moja tęsknota się nasila – czy może to déjà vu?

– No weź, mnie możesz powiedzieć. Wiem, że nasłuchałeś się opowieści o moich młodzieńczych wybrykach, więc nie masz się czego wstydzić, biorąc pod uwagę, co wyprawiałem. Co wciąż wyprawiam – poprawiam się, przypominając sobie swoje najświeższe wyskoki.

– Nie mam ochoty na lekkomyślne związki – ripostuje z godnością.

– Jesteś nastolatkiem. W twoim wieku to powinno być wszystko, czego chcesz.

Wzrusza ramionami i naraz na powrót wygląda bardzo młodo.

– Zresztą nawet nie wiem, jak mówić do dziewcząt.

– Aha! Więc jednak dziewczęta! – Nim jednak zdążę podzielić się z nim swoją wątpliwą znajomością rzeczy, w progu staje moja matka, obojętna na chłodny wiatr w swojej sukni ze złotogłowiu.

– Lyr – beszta chłopca. – Wysłałam cię po Embry’ego dziesięć minut temu. Czemu was jeszcze nie ma?

– Rozmawialiśmy o dziewczynach w college’u – odpowiadam, wyłącznie po to, żeby ją bardziej zirytować.

I to działa. Nie ma znaczenia, że zostałem uznany za bohatera wojennego, że obecnie jestem wiceprezydentem. Dla Vivienne Moore zawsze pozostanę przysparzającym zmartwień nastolatkiem zwabiającym do swego pokoju dziewczęta i chłopców – niekiedy jedne i drugich naraz.

– Proszę, nie zakażaj mego siostrzeńca swoją rozwiązłością – upomina mnie. – Mojej siostrze należy się ode mnie choć tyle.

Teraz moja kolej na wywrócenie oczami.

– A skoro mowa o siostrach, twoja czeka na ciebie w bibliotece. O czym Lyr miał cię zawiadomić.

– Jest tu Morgan?

– Owszem, przekroczyła próg przed kwadransem. I zależało jej na pilnym spotkaniu z tobą, więc domyślam się, że sprawa dotyczy pracy.

Podnoszę się z westchnieniem i ruszam na spotkanie Morgan.

– Och i ktoś jej towarzyszy – woła za mną matka. – Zdaje się, że to jakaś specjalistka od planowania imprez.

Specjalistka od planowania imprez? To nie ma sensu i zamierzam to powiedzieć Morgan. Oświadczę jej to, a potem powiem, że mam wieczorem randkę, więc nie znajdę czasu na żadne jej…

Wszedłszy do biblioteki, zamieram, skóra mrowi mnie, bo przeczuwam niebezpieczeństwo, jak za dawnych czasów w karpatiańskich lasach, tyle że tym razem nie ma mowy o kulach, bombach czy ogniu. Jest wyłącznie moja przyrodnia siostra siedząca sztywno na sofie i trzymająca w ręku szklankę jakiegoś przejrzystego płynu, który – gotów jestem się o to założyć – nie jest wodą.

I jest z nią jeszcze ktoś. Młoda rudowłosa, o której często myślałem od czasu ślubu.

Abilene Corbenic. Kuzynka Greer.

Abilene uśmiecha się do nas obojga, a ja wciąż mam gęsią skórkę, krew ścina mi się w żyłach. Ona jest oczywistym zagrożeniem. Kiedy mówi: „Panie wiceprezydencie, jeśli byłby pan skłonny zamknąć drzwi, zanim zaczniemy…”, mam pewność. To nie tego rodzaju niebezpieczeństwo, jakiemu stawiałem czoło w górach – pod jej obcisłą sukienką z pewnością

nie kryje się żadna broń – lecz takie, któremu stawiałem czoło więcej razy, niż potrafiłbym zliczyć, w dzielnicy rządowej Waszyngtonu.

Ambicja.

Zamykam za sobą drzwi, odwracam się do gości i dopiero teraz dostrzegam czerwone i zapuchnięte oczy Morgan. Jakby dopiero co płakała.

– A teraz – cedzi Abilene z tym swoim okrutnym uśmieszkiem. – Zacznijmy od wyjaśnienia, dlaczego od tej pory będziesz robił dokładnie to, co ci każę.

19

Embry

przed

Trzy miesiące wypoczynku i fizjoterapii starczyło, żebym wylizał się z ran postrzałowych i mógł wracać. Nikt nie robił tajemnicy z wszechmocy mojej matki, otwarcie mówiono mi, że mogę wybrać miejsce misji, lecz ja nie zamierzałem uchylać się od obowiązku, nie teraz, gdy wojna została oficjalnie nazwana wojną. I nie zamierzałem rezygnować z szansy powrotu do Asha.

Ash pisał do mnie każdego dnia, o ile tylko mógł, a ja mu odpisywałem. Wszystkie swoje listy zaczynał od Patroklosie i kończył krótkimi, rzeczowymi opisami tego, co zrobiłby ze mną, gdyby ujrzał mnie ponownie. Chciał dławić mnie swoim fiutem, chciał sprawdzić, ile razy w ciągu nocy zdołam dojść, chciał spryskiwać nasieniem moje plecy, podczas gdy ja całowałbym jego buty. Cały ten okres, kiedyśmy się nie widzieli, był jak jedna niekończąca się erekcja, więc gdy w końcu wsiadłem

do pociągu, który miał odwieźć mnie do bazy, odczuwałem naraz ulgę i nerwowe podniecenie.

Nie byłem w stanie myśleć o niczym poza Ashem, niczego poza nim nie widziałem oczami duszy, więc oczywiście nie zwróciłem uwagi na twarz mężczyzny, który usiadł obok mnie w przedziale. Prawdę mówiąc, w ogóle go nie zauważałem, dopóki nie przemówił do mnie nieskazitelną angielszczyzną z ledwie wyczuwalną nutą walijskiego akcentu.

– Porucznik Moore. No proszę, jaki szczęśliwy zbieg okoliczności.

Oderwanie się myślami od Asha i jego zdeprawowanych obietnic wymagało ode mnie nie lada wysiłku, jednak zdołałem zdobyć się na uprzejmy uśmiech.

– Pan Merlin Rhys. – Wyciągnąłem dłoń, a on ją uścisnął. – Miło znów pana widzieć. Jak zwykle podróżuje pan w misji zleconej przez królową?

– Niestety nie, ale dobra wiadomość jest taka, że obecnie pracuję dla pańskiego rządu, jako koordynator programów o strategicznym znaczeniu. Jutro mam się spotkać z kapitanem Colchesterem.

– Ja także jadę do kapitana Colchestera – oznajmiłem, może zbyt gorliwie. – To znaczy jadę do bazy, którą dowodzi.

Merlin pokiwał głową i przez dobrą minutę nie odezwał się ani słowem. Aż nagle spytał:

– Czy uważa pan kapitana Colchestera za bohatera?

– Uratował mi życie – odparłem. – Nie sposób zliczyć, ile osób zawdzięcza mu ocalenie. Zawsze stawia siebie na ostatnim miejscu, choć o wszystkim myśli z wyprzedzeniem. Tak, to bohater.

– Zgadzam się z panem – powiedział Merlin z właściwą sobie uprzejmością. – Bez jego udziału ta wojna wyglądałaby marnie.

– Nawet sobie tego nie potrafię wyobrazić. – Naprawdę nie potrafiłem. Ani nie chciałem, bo to byłoby straszne. – Jeśli zwyciężymy, będzie to jego

zasługą.

To było śmiałe twierdzenie – w naszych czasach, w wieku technologii i strategii ktoś mógłby powiedzieć, że to wręcz śmieszne, przypisywać zwycięstwo pojedynczemu żołnierzowi. Jednak my, którzyśmy walczyli pod dowództwem Colchestera, wiedzieliśmy swoje.

– Zatem zgodzi się pan ze mną, że byłoby niepowetowaną stratą, gdyby kapitan Colchester opuścił szeregi sił zbrojnych?

Spojrzałem na Merlina zdumiony.

– Oczywiście.

Pokiwał głową z wyraźną satysfakcją.

– Mogę więc liczyć na to, że w kwestii swojej prywatnej relacji z kapitanem Colchesterem zachowa pan dyskrecję?

Poczułem się tak, jakbym oberwał cios w żołądek. Merlin wiedział o naszym związku? Skąd?

– *Słucham?*

– Wiem o mailach, które wymienialiście między sobą.

– Pan… Ja… To *prywatna* korespondencja – odparłem, nie posiadając się z gniewu. Na myśl, że ktoś obcy, do diabła, iluś obcych ludzi, czytało nasze maile, czułem istne katusze. – Jak pan śmiał?

Merlin w najmniejszej mierze nie przejął się moim gniewem.

– Treść maili zachowam dla siebie, zresztą zapoznałem się z nimi pobieżnie. Nie wczytywałem się w szczegóły. Wiedzieć takie rzeczy należy do moich obowiązków, zwłaszcza gdy dotyczą kapitana Colchestera. Ten żołnierz ma kluczowe znaczenie dla losów wojny oraz, o czym jestem przekonany, dla losów świata. Proszę mi wierzyć, że nie zazdroszczę wam namiętności, jaką do siebie płoniecie. Nie obchodzi mnie także jej aspekt moralny. Jednak – kontynuował głosem, który nie pozostawiał wątpliwości

co do jego wymowy – nie mogę powiedzieć tego samego o dowództwie sił zbrojnych. Nawet podczas wojny.

Zakłopotany, uciekłem przed nim wzrokiem. Nie byłem głupi, wiedziałem, że służąc w armii, nie możemy żyć z Ashem w jawnym związku, jednak co innego, gdy człowiek usłyszy to w tak dobitnym sformułowaniu, uświadomi sobie stawkę. Tu liczyło się coś więcej niż nasze stanowisko, w grę wchodziły losy wojny. Colchester był zbyt cenny, by go narażać.

Skinąłem głową.

– Rozumiem.

Poczucie urazy dławiło mnie w gardle, lecz wbrew pokusie znienawidzenia Merlina za to, że wie o czymś, o czym wiedzieć nie powinien, że wtyka nos w nie swoje sprawy, musiałem uznać, że nie jest niczemu winny. Winny jest świat, w którym żyjemy, świat bez wahania wysyłający chłopców, by zabijali innych chłopców, ale trzęsący się z oburzenia, gdy owi chłopcy zakochiwali się w sobie.

– To się kiedyś skończy – pocieszył mnie Merlin, gdy pociąg zaczął zwalniać, wjeżdżając na stację. – Na pewno nie szybko, może się nawet wydawać, jakby trwało wiecznie, lecz nie będzie tak źle. A jeśli naprawdę go kochasz, to nie ma takiej rzeczy, której byś nie poświęcił w imię miłości.

– Dobrze mieć was z powrotem, poruczniku.

Ash uścisnął mi dłoń, położył mi rękę na ramieniu i trzymał tam stosownie krótko. Otaczali nas żołnierze tym chętniej witający posiłki, że ceremonia ta zwalniała ich chwilowo z konieczności patrolowania trudnego górskiego terenu i staczania potyczek z rebeliantami. Odraczała powrót na wojnę.

Osobiście również zadbałem o to, by nasze powitanie nie trwało za długo, choć w głębi serca niczego nie pragnąłem bardziej, niż zacisnąć dłonie na jego koszuli i obdarzyć go namiętnym pocałunkiem. Przywrzeć do niego biodrami, żeby poczuł, co się ze mną dzieje, kiedy go widzę. Jednak ostrzeżenie Merlina ciążyło nade mną jak chmura gradowa, a widok Asha w otoczeniu podkomendnych czynił jego przestrogę tym dobitniejszą.

Ash musiał tu pozostać. Musiał zrealizować swoją misję, wypełnić swoje przeznaczenie. A moje uczucia stanowiły zaledwie znikomy punkt w kipiącym gniewem świecie wojny, bólu i chaosu. W świecie, który nade wszystko potrzebował wprowadzonego przez Asha porządku i dyscypliny.

Późnym wieczorem, gdy leżałem w łóżku miotany niepokojem, rozpamiętując każdy znany Merlinowi szczegół mych maili do Asha, rozmyślając o polityce „nie pytaj, nie mów”, obowiązującej w armii Stanów Zjednoczonych w stosunku do osób nieheteroseksualnych, i rozważając, jakie realne zagrożenie nam ona niosła, drzwi do mego pokoju nagle się otwarły. Nie było pukania, pytania o pozwolenie, powitania. Otwarły się, a potem zamknęły, a później Ash leżał na mnie i mnie całował, kąsał i niecierpliwie zdzierał ze mnie kołdrę.

– Łóżko skrzypi – szepnąłem mu wprost w usta, a on tylko mruknął w odpowiedzi, wziął mnie na ręce i złożył na chłodnym linoleum podłogi. Drżącymi rękami wyszukał tasiemkę w pasku moich bokserek, po czym roześmiał się do siebie.

– Zachowuję się jak uczniak – mruknął i pocałował mnie w czoło. – Nie mogę się zdecydować, czego chcę, albo raczej, od czego chcę zacząć.

– Zrób wszystko – szepnąłem. – Wszystko po kolei.

– Zrobię, mały książę. O nic się nie martw.

Jednak kiedy zabrał się do całowania, lęk wziął we mnie górę nad pożądaniem. Uciekłem przed jego ustami.

– Ash, musimy być ostrożni.

Gonił za mną, nachylając głowę, by mnie całować.

– Będziemy.

– Mówię serio. Nikt nie może się dowiedzieć. Twoja kariera…

– Nie dbam o nią – odparł po prostu. – Nie jest tego warta.

Skoro nie bał się wcale, ja zacząłem bać się za dwóch.

– Nie bądź śmieszny…

– Nie jestem – odparł już ostrzejszym tonem. – Jestem poważny, Embry. To… ty… wolę ciebie ponad wszystko inne. Jeśli przyjdzie za to zapłacić, zapłacę z chęcią. Wszystko poświęcę, byle być z tobą.

Jego słowa zabrzmiały tak podobnie do słów Merlina – *jeśli naprawdę go kochasz, to nie ma takiej rzeczy, której nie wyrzekłbyś się w imię miłości* – i naraz zrozumiałem, że Merlinowi chodziło o coś więcej niż ujawnienie naszego związku. Miałem zdobyć się na daleko, daleko większe poświęcenie.

Omal tego nie uczyniłem. Tam na linoleum, gdy moje nagie nogi splątały się z jego nogami odzianymi w spodnie, omal nie uległem i omal nie dałem się ponieść lekkomyślnej namiętności, z którą gotów był angażować się w nasz romans. Ostatecznie może nie zostalibyśmy przyłapani, a nawet gdybyśmy zostali, może uszłoby to nam na sucho, jako że procedura „nie pytaj, nie mów” pozostawiała pewną dowolność. Czy ryzyko naprawdę było tak wielkie?

Popatrzyłem na niego w mroku, jego ciemne oczy błyszczały, blask księżyca wydobywał kanciasty zarys policzków i szczęki, mocne linie karku. I w owej srebrzystej poświacie zobaczyłem nie tylko człowieka, którym był obecnie – potężnego, bystrego i dobrego – lecz również tego, którym miał się stać. I ten drugi człowiek zaparł mi dech w piersi.

Powietrze opuściło moje ciało, gdy nowa prawda wydrapała się na szkle mego umysłu: „Zrobiłbym wszystko, żeby zobaczyć, jak ten przyszły człowiek zaistnieje”. Nieważne, ile bólu miałoby mnie to kosztować.

– Mówię ci, że to *ja* nie zamierzam niczego poświęcać – skłamałem, licząc, że ciemność skryje wyraz mej twarzy. Poznałby, że kłamię, był zbyt przenikliwy. Lecz może w ciemności, może gdybym odwrócił jego uwagę… Ująłem przez spodnie jego fiuta i ścisnąłem.

Zajęczał, a ja skorzystałem z okazji.

– Chcę być z tobą – powiedziałem i przynajmniej to nie było kłamstwem. – Jednak chcę, żebyś zrozumiał, że nigdy nie mogę dać ci tego rodzaju miłości. Takiej, która ma swoją cenę.

Głos mi drżał, dłoń, w której ściskałem jego kutasa, drżała. Byłem zręcznym kłamcą i nigdy nie miałem wyrzutów sumienia z powodu mówienia nieprawdy, co ułatwiało sprawę, ale, ja pierdolę, wtedy było mi naprawdę trudno. Miałem wrażenie, że mój głos wżera się w Asha jak płonąca gałąź. Słysząc ostatnie zdanie, stanowiące okrutne echo jego słów, wzdrygnął się. W tamtej chwili, choć robiłem to dla niego, nienawidziłem siebie bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

– Rozumiem – powiedział w końcu. – Pojmuję to.

Nie, nic nie rozumiesz, chciałem krzyknąć. *Nie jesteś w stanie*. Boże, chciałem to wszystko cofnąć, błagać go o wybaczenie, wyjawić, że kłamałem, bo zadawanie mu bólu bolało mnie bardziej niż cokolwiek, co mógłbym sobie wyobrazić. Aż mnie skręcało od wmawiania mu, że nie zależało mi na nim tak bardzo, jak jemu zależało na mnie. Bo jeżeli już, to zależało mi *bardziej*, pragnąłem go *bardziej*, a jednak on musiał uwierzyć, że jest inaczej. Bo gdyby wiedział, że przedmiotem mej troski jest *jego* przyszłość, to bez wahania odrzuciłby wszelkie zastrzeżenia zgłaszane przez rozsądek. Zrzuciłby je jak brzemię, którego nigdy nie pragnął,

a wszystko po to, by móc dać mnie – pierdolonemu egoiście, żałosnemu *mnie* – domek z ogródkiem.

Nie, nie mogłem na to pozwolić.

Lecz gdyby sądził, że chodziło o *moją* przyszłość, moje potrzeby i pragnienia… uszanowałby to. Choćby go to miało zabić.

Zacisnął wargi i skinął głową. Zdawało się, że podejmuje jakąś decyzję.

– Okej – powiedział, a ja słyszałem, jak jego serce zasklepia w sobie doznany ból, jak ów ból zmienia się w jego krwi w coś trującego i zjadliwego. – Wezmę cię na każdy sposób, na jaki się da.

– Tak będzie najlepiej – zasugerowałem słabo.

Zmrużył oczy. Jego uwaga była nie do zniesienia, bo łączyła się ze spojrzeniem błagalnym, krwawiącym i zagubionym.

W tamtej chwili nienawidziłem tego, że żyję. Nienawidziłem. I wówczas jego zraniona dociekliwość zmieniła się w coś innego, coś gorącego i gwałtownego, i wielce obiecującego. Wprawiło mnie to w euforię. Łaknąłem jego gniewu, łaknąłem bólu zadanego jego rękami. Zasłużyłem sobie na to, nieprawdaż? A jeśliby mnie skrzywdził, jeśliby mnie wykorzystał, to może mógłbym udawać przed samym sobą, że rachunki zostały wyrównane. Dług spłacony. Ja skrzywdziłem go na swój sposób, on mnie na swój.

Sprawiedliwe, sprawiedliwe, sprawiedliwe. To było sprawiedliwe.

Doprowadziłem go do ostateczności i w tamtej chwili nie mógłbym powiedzieć, czy zrobiłem to po to, by przypieczętować decyzję, którą podjąłem dla jego dobra, czy po to, żeby obudzić w nim potwora i skłonić go, by skrzywdził mnie tak, jak tego pragnąłem.

– To może być po prostu to – powiedziałem, napierając na niego biodrami. – To jest równie dobre, jak wszystko, czego mógłbyś sobie życzyć.

– To? – Spojrzał na nasze splątane nogi. – To ma być dla mnie równie dobre?

Nie było mowy o tym, żebym nie pojmował niebezpieczeństwa. Witałem je chętnie, każdą komórką, każdą molekułą, każdym atomem.

Zadośćuczynienie.

– Tak – szepnąłem. – To jest równie dobre.

Wymierzył mi policzek. Strzelił mnie mocno, prosto w mój pierdolony pysk.

– Idź do diabła.

Przewróciłem się na wznak, z dłonią przyłożoną do palącego mnie policzka i zaciśniętymi pięściami. Gotów byłem skoczyć mu do oczu, lecz zmiana perspektywy oznaczała, że ujrzałem łzy wzbierające w jego oczach, gotowe lada moment popłynąć po policzkach. Colchester – wielki bohater, sadystycznie przystojny mężczyzna, któremu oddałem swoje serce – znalazł się na granicy płaczu. Z mojego powodu.

I nim zdążyłem na to zareagować, obrócił mnie siłą na brzuch i coś chłodnego skapnęło na szczelinę w mojej dupie. Przede mną wylądowała na podłodze niezakręcona tubka lubrykantu, po czym dwa palce okrutne i śliskie wcisnęły się w mój odbyt.

– To będzie równie dobre, tak? – spytał, wiercąc palcami w taki sposób, że aż się prężyłem z rozkosznego bólu. Zły, ale dobry, nieczysty, ale słuszny. – Mów, kurwa. Czy to nie jest równie dobre?

– Tak – jęknąłem, choć nie wiedziałem, skąd wziął się ten jęk. Z dupy? Z serca? Z głowy, która wciąż upierała się, że postępuję właściwie?

– Doprawdy? – zapytał dziko, ponownie kręcąc palcami i poruszając się za mną. Słyszałem, jak rozpinał rozporek i na ten metaliczny wizg mój fiut w ciągu kilku sekund przeszedł od erekcji do erekcji-aż-bolesnej. – Naprawdę w to wierzysz?

Jego palce opuściły mój odbyt, a ich miejsce natychmiast zajęła gruba żołądź, wpychająca się we mnie bez ostrzeżenia. Krzyknąłem, a on zatkał mi usta ręką.

– Przestanę, jeśli chcesz. Ale najpierw będziesz musiał przyznać, że to nie jest równie dobre. Będziesz musiał przyznać, że byłeś w błędzie.

Wsunął się o kolejne przynajmniej pięć centymetrów głębiej, a ja jęknąłem mu w dłoń. Pierdolić mnie!, ależ to było brutalne… i jakie, kurwa, kręcące. Jednak nigdy nie byłbym w stanie mu tego wyjaśnić. Nawet przez tysiąc lat, bo nie potrafiłem tego wyjaśnić samemu sobie. Bo oczywiście ukradkowe pierdolenie nie mogło być równie dobre, jak kochanie go w sposób, którego tak zajebiście pragnąłem, w żadnym razie. Lecz zostać tak zgwałconym, zostać zaliczonym przez Asha i jego nieposkromioną wolę, i jego nieposkromionego kutasa – no cóż, to nie było *złe*. Jeśli to miało być moją nagrodą pocieszenia za ocalenie jego przyszłości, to cóż…

Chodzi mi o to, że trudno było uskarżać się na to w jakimkolwiek innym sensie niż abstrakcyjny.

Polizałem wnętrze jego dłoni – co w moim przekonaniu jest jedyną bardziej dobitną formą wyrażenia zgody od słowa *tak* – a on jęknął, uklęknął nade mną okrakiem i wepchnął kutasa do końca. Ciśnienie było szalone, nie całkiem jak postrzał, ale też nie całkiem inne, a w chwili gdy wysunął się ze mnie, a potem wcisnął na powrót, poczułem to. Żywiołowy, orgazmiczny żar.

– O kurwa – wyszeptałem z zachwytem w jego dłoń.

Nie zważał na mnie, przesunął dłoń z moich ust na moją potylicę, wcisnął mi twarz w podłogę i pierdolił mnie, jak chciał, głębokimi, przeszywającymi pchnięciami, którymi przyszpilał mnie do podłogi, i od których miałem gwiazdy w oczach.

– Spuść się – rzucił. – Chcę, żebyś się spuścił na tę pierdoloną, brudną podłogę, a kiedy już się spuścisz, powiedz mi, że tak jest lepiej.

Tak też zrobiłem.

Doszedłem od tego bycia wbijanym w linoleum, od skręcania się na twardej podłodze, podczas gdy masywny kutas mnie rżnął, a kiedy skończyłem tryskać spermą, chwycił mnie za włosy i odwrócił twarzą do siebie, podczas gdy jego sperma wyciekała z dziury w mojej dupie.

– Tak jest lepiej – powiedziałem.

Błysk smutku, błysk gniewu.

– Więc tak to będziesz miał – powiedział, dźwigając mnie i układając z wypiętą dupą na krawędzi łóżka, by na powrót zanurzyć we mnie swoje palce.

– Tak jest lepiej – powtórzyłem, spuściwszy się po raz kolejny, na pościel.

– Tak jest lepiej – powiedziałem, gdy kazał mi wylizać sobie fiuta, po czym przez godzinę pchał mi go do gardła.

– Tak jest lepiej – szepnąłem, gdy pomarańczowe światło brzasku wpełzło do mego pokoju przez okno, a on wyszedł.

I tak było. Tak było lepiej.

Omal sam w to nie uwierzyłem.

20

Embry

przed

Tak to wyglądało przez długi czas – przez trzy i pół roku, ściśle rzecz biorąc. Trzy i pół roku ukradkowego pierdolenia na peryferiach wojny, skradzionych pocałunków, długich nocy, gdyśmy śledzili nasze oddechy, wpatrując się w lodowate gwiazdy. Ash lubił towarzystwo, gdy nie mógł spać – czyli zawsze – a ja lubiłem zasypiać przy nim, bo przy nim czułem się bezpieczny.

Nigdy nie przestał być brutalny i szorstki, ja nigdy nie przestałem z nim walczyć, i chociaż się z tym kryliśmy, nie minął nam ani jeden dzień, byśmy sobie *czegoś* nawzajem nie przekazali. Mógł to być pośpieszny pocałunek w podłużnym pokoju kredensowym przy kantynie, zamykanym od środka, lub wezwanie do jego gabinetu, gdzie zmuszał mnie, bym mu obciągnął przy zamkniętych drzwiach. A czasami było to coś tak prostego jak uczenie go tańca. Walc, fokstrot, a nawet swingowanie z tego tylko

powodu, że było zabawne, a swingująca muzyka przywoływała uśmiech na jego twarz.

To było najczystsze niebo pośród najgorszego piekła, a ja uwielbiałem każdą jego minutę, mimo iż wszystko to podszyte było kłamstwem – *moim* kłamstwem – i wiedziałem, że pewnego dnia zapłonie ono wokół mnie.

Dwie rzeczy przypominały mi o nietrwałości naszego związku. Pierwsza z nich pojawiła się wcześnie – wręcz bardzo wcześnie, w ciągu roku od mego powrotu ze szpitala.

Tamtego ranka ledwie mogłem chodzić. Poprzedniego wieczora Ash przywiązał mnie do krzesła i onanizował własną dłonią, aż wiłem się z rozkoszy, ale cofnął rękę na moment przed tym, nim doszedłem. I zamiast napryskać na cały brzuch, sperma wyciekała z czubka mego fiuta kropla po kropli jak łzy, a orgazm był sflaczały jak przekłuty balon, zgaśnięty silnik. Jednak zostałem po nim z twardym kutasem i bardziej napalony niż kiedykolwiek. A on zaczął brandzlować mnie od nowa, lecz znów cofnął rękę, gdy jaja mi się podciągnęły do podbrzusza, a ja znowu przeżyłem taki sam zrujnowany orgazm.

Jeszcze dwukrotnie to robił, a kiedy skończył, przykucnął na bosych piętach i obserwował swoje rękodzieło. Prężyłem się, walcząc z więzami, mój fiut był tak twardy, że naprężona skóra lśniła jak posiniaczony jedwab, jakby miała lada chwila popękać. Byłem zlany potem i własnym nasieniem, każdy mięsień pęczniał i prężył się, każda żyła występowała w ostrej wypukłorzeźbie. A co najlepsze, moje myśli były spokojne. Mój umysł był otwarty, serce spokojne i po brzegi wypełnione nim.

Jego wzrok prześlizgnął się po sztywnym cierpieniu mej erekcji, po czym pokiwał głową.

– Teraz wyrucham cię w usta – zapowiedział – i jeśli będzie mi dostatecznie dobrze, to pozwolę ci dojść naprawdę. – Uśmiechnął się

leciutko. – Spuścić się na moją skórę. Chciałbyś tego?

Pokiwałem głową z takim entuzjazmem, że uśmiechnął się szerzej, jak wówczas, gdy przydepnął butem mój nadgarstek, uśmiechem składającym się z ostrych kącików ust i białych zębów. Rozwiązał mnie i rzucił na kolana, trzymając za kark, a drugą ręką już rozpinał pasek. Jego kutas był twardy i tak ciężki, że ledwie rozpiął rozporek, wysunął się z niego. Rzut oka na brzeżek żołędzi był całym ostrzeżeniem, jakie otrzymałem, nim wepchnął mi go do gardła. Czułem słonawy smak jego preejakulatu, tyle go było, że jęknąłem w duchu. Dotąd przez cały czas biedaczysko sterczał i płakał cicho skryty w spodniach.

Ujął moją twarz w dłonie, nie w czułym geście – w tamtych wczesnych dniach dobrze ukrywał przede mną czułą stronę swojej natury, wciąż starając się dostosować do mojego życzenia – unieruchomił moją głowę, by móc pierdolić mnie w usta tak, jak zechciał. Rozpłaszczyłem język i pozwoliłem mu się ruchać, odczuwając ogromną chęć, by sięgnąć w dół i ulżyć swemu fiutowi, podczas kiedy sobie na mnie używał, lecz nie chciałem stracić szansy spuszczenia się na niego. Wykorzystałby każdą wymówkę, żeby mi odmówić; to była jedna z jego najulubieńszych tortur, skuteczniejsza niż jakikolwiek ból czy przymus, jaki potrafił wymyślić. No więc oparłem ręce na jego udach, a on posuwał mnie w usta, na pociechę czułem pod dłońmi te jego twarde mięśnie, na języku smak jego czystej skóry.

Dochodząc, przesunął ręce na moją potylicę i wepchnął mi kutasa tak głęboko, że aż łzy popłynęły mi z oczu, a gardłem wstrząsnął odruch wymiotny. Trzymał mnie tak, pochrząkując i tryskając, aż w końcu mnie puścił, wyciągnął fiuta i otarł kciukiem kącik moich ust.

– Dobrze się spisałeś, Embry – pochwalił mnie. – Tak ładnie połknąłeś całą moją spermę. Jesteś gotów do tego, żeby teraz dojść?

– Tak – odparłem ochryple.

Wtedy zrobił coś niespodziewanego, gdyż ściągnął opadające z niego spodnie kompletnie, zdjął też skarpety i koszulę. Widząc moją minę, skarcił mnie.

– Nie myśl sobie, że będziesz mnie pierdolił, jeśli to ci chodzi po głowie.

Faktycznie chodziło mi to po głowie. Wcześniej nie zdarzyło mi się być z mężczyzną dłużej niż przez dzień, żebyśmy tych spraw nie postawili jasno i nie omówili, i zawsze twardo stałem na stanowisku, że nie ma na stałe przypisanych ról. Fakt, że Ash zawsze był górą, stanowił coś, na co zwróciłem uwagę i nad czym często się zastanawiałem.

Tyle tylko… że nie do końca tak było. Zauważyłem to i dumałem nad tym, gdy byłem z dala od niego, daleko od zapachu skóry i dymu, którym tchnęła jego skóra, daleko od jego zręcznych palców. Jednak kiedy byłem z nim, takie pojęcia jak *góra* i *dół* traciły wszelkie znaczenie, a w każdym razie traciły to znaczenie, jakie zwykłem im przypisywać. Raczej *góra* oznaczała sposób, w jaki Ash kąsał mnie w ramię, spuszczając mi się w dupę, sposób, w jaki mnie potem czyścił, oglądał siniaki i zadrapania na moim ciele jak gospodarz dokonujący inspekcji salonu po imprezie. A *dół* oznaczał sposób, w jaki doprowadzał mego kutasa do dygotu swoimi okrutnymi słowami i pieszczotliwie dręczącym językiem, sposób, w jaki świat śpiewał swoją w innych chwilach skrywaną pieśń, kiedy zadawał mi ból, upokarzał mnie lub poskramiał.

Wszystko było tak, jak być powinno, a jednak muszę przyznać, że idea wypierdolenia Asha była więcej niż podniecająca. Była fascynująca.

Jakby czytał w moich myślach, uśmiechnął się i pokręcił głową, zdjął z łóżka prześcieradło, rozłożył się na nim na podłodze, splatając ręce pod głową.

– Obiecuję wam poruczniku Embry Moore, że któregoś dnia pozwolę się wam wyruchać.

– Kiedy? – spytałem, wodząc wzrokiem po solidnych, twardych zarysach jego nagiego ciała. Nawet nasycony i uśpiony jego fiut wciąż był imponująco masywny, gdy tak zwieszał się na udzie.

– Kiedy sobie na to zasłużysz.

– Jestem tego blisko?

Uśmiechnął się.

– W żadnym razie.

No cóż, cholera, trudno.

Jednak to, co mi dał, było niemal równie dobre. Przywołał mnie gestem i po raz pierwszy położyłem się na nim, brzuch przy brzuchu i pierś przy piersi. Nawet kiedy leżał pode mną, czuło się, że to on rządzi, jego bicepsy i mięśnie brzucha poruszały się, gdy pomagał mi ułożyć się na sobie tak, jak chciał – z moim kutasem świeżo nasmarowanym lubrykantem między swymi udami.

– Nie robiłem tego od czasu liceum – wyznałem szeptem, z wahaniem poruszając biodrami. Mój fiut wsunął się między jego muskularne uda, których uścisk był mocny, śliski i ciepły.

– Czujesz się, jakbyś był teraz w liceum? – zapytał rozbawiony. Spojrzałem na niego z góry – mięśnie, ciepła skóra, władcze ręce układające mnie na sobie w taki sposób, jakiego sobie życzył, i musiałem przyznać, że to było dużo, dużo lepsze niż nieudolne eskapady w internacie, za moich nastoletnich lat.

– Nie, czuję się tak, jakbym był z mężczyzną.

– Dobrze – odparł, przesuwając dłońmi po moim grzbiecie. – Bo tak właśnie jest.

Aby obejść drażliwą kwestię bierności, Grecy pierdolili się między udami – dwóch mężczyzn równych sobie urodzeniem mogło spółkować w ten sposób ze sobą, nie wzbudzając wątpliwości co do przypisanych im ról seksualnych. Jednak pomimo tego, że to moje ciało wykonywało pchnięcia i oblewało się potem, i było na górze, nie ulegało wątpliwości, kto rządził. Rządził Ash. Zaciskając palce na moich biodrach, dyktując tempo, w jakim wykonywałem ruchy posuwiste, od czasu do czasu rzucając chłodnym tonem uwagę – *to naprawdę wszystko, na co cię stać?* albo *Ależ ci się śpieszy, żeby się spuścić, wystarczy spojrzeć ci w oczy*.

Kiedy nadszedł orgazm, zaparło mi dech w piersi, jakbym oberwał potężny cios; mój biedny, wymęczony kutas przemienił każde pchnięcie w barbarzyństwo, w zbrodnię bólu. Moja zmaltretowana skóra zeszła się na powrót, moja jaja również się zeszły, Ash zaś mruknął:

– Na mój brzuch, Embry.

Wycofałem się spomiędzy jego ud w samą porę, żeby zdążyć schwycić penisa w rękę i spuścić się na twardą płaskorzeźbę jego sześciopaku, niezdolny do zaczerpnięcia oddechu, bo tego było, kurwa, za wiele, rozkoszy, wraz z którą cierpiałem i z którą gotów byłem zginąć oraz przepaść. Jednak nawet przepadając, zmuszałem się do obserwacji cienkiej białej linii, którą moje nasienie nakreśliło, tryskając łukiem na jego umięśniony brzuch. Po wszystkich wcześniejszych wytryskach niewiele mi już tego zostało, lecz mimo to obserwacja napryskanych na jego skórę kropek nasienia była nieprawdopodobnie podniecająca. Mogłem udawać przed sobą, chociaż przez chwilę, że należał do mnie, tak jak ja należałem do niego.

Na powrót splótł ramiona pod głową i przeciągnął się jak lew.

– Teraz mnie oczyść – zakomenderował, z lekka wzgardliwym tonem. – Językiem. Bierz się do roboty. A potem złapał mnie palcami za włosy

i szarpał, kiedy nie poruszałem się tak szybko, jakby sobie tego życzył.

Taka była miniona noc. Zdeprawowana i wyczerpująca, a ja maszerowałem raźno, chociaż ból spowodowany maratonem orgazmów odzywał się przy każdym ruchu.

Maszerowałem pod prysznic, ciesząc się na odkrycie, że łazienka jest niemal pusta, i wdzięczny za to, że stare zasłonki zastąpiono kabinami prysznicowymi z prawdziwego zdarzenia. Jednak naraz usłyszałem dźwięk – tego rodzaju, którego nawet kabiny prysznicowe nie są w stanie stłumić – i serce we mnie zamarło.

To był Ash. A dźwięk…

Jednak nie, pod drzwiami kabiny widoczne były tylko jego stopy. Wypuściłem nieświadomie wstrzymany oddech i pokręciłem głową, rozmyślając nad sobą. Czy naprawdę sądziłem, że Ash zabawiał się z innym żołnierzem? Wówczas rozległ się inny dźwięk. To nie był jęk, nie był aż tak głośny. Brzmiał bardziej jak stęknięcie, gwałtowny wydech. A potem odgłos dobrze znany każdemu mężczyźnie – ręki poruszającej się szybko na fiucie. Ash walił konia.

Wycofałem się do swego pokoju, zdecydowany odłożyć prysznic na później. Po trochu byłem rozbawiony, lecz muszę przyznać, że po trochu, w głupszej części mego umysłu, czułem się nieco urażony. Czy miniona noc to było dla niego za mało? Czy uznał, że jestem zbyt wymęczony, żeby mu ulżyć po raz kolejny, choć tego potrzebował? Czy może – i nawet myśl o tym wydawała się do szaleństwa paranoiczna, jak najgorszego rodzaju zazdrość – był ktoś oprócz mnie, kogo pożądał? Czy żywił pragnienie, które honor lub złakniony porządku mózg kazał mu zaspokajać poza mną? Od tamtej chwili obserwowałem go, jak czyniłby to każdy zazdrosny kochanek. Śledziłem jego zachowanie przy innych żołnierzach, tropiłem jego nawyki. Tak często bywaliśmy w terenie, że trudno byłoby przyłapać

go na odchodzeniu od rutyny, lecz mimo to zacząłem zauważać pewne drobiazgi. Częściej, niż było to konieczne, sprawdzał pocztę na laptopie polowym. W kieszeni na piersi nosił plik poskładanych kartek. Wymykał się nocami, gdy wszyscy spali.

Wszyscy poza mną.

Tylko raz ujrzałem ten plik kartek z bliska. Byliśmy wtedy w jego pokoju przed kolacją, drzwi były otwarte, a my odgrywaliśmy przypadkowych kumpli. Ash poszedł do łazienki, żeby umyć zęby, a ja zobaczyłem papiery wystające spod poduszki. To było nielojalne, wścibskie, krótko mówiąc, nikczemne, ale odkąd to skrupuły powstrzymywałyby mnie przed jakimkolwiek nikczemnym uczynkiem? Uniosłem nieco poduszkę, nasłuchując jego kroków w korytarzu, i delikatnie rozłożyłem jedną z kartek. To był wydruk maila sprzed pół roku.

Na początku ujrzałem słowa *Drogi Ashu*. Serce we mnie zamarło. *Ash*. Imię, które znały jedynie najbliższe mu osoby.

Minęło sześć miesięcy, od kiedy się poznaliśmy.

Kroki w korytarzu. Z biegłością zrodzoną z praktyki wsunąłem wyszperane listy z powrotem pod poduszkę i przybrałem pozę lekko znudzonego oczekiwaniem, Bogu ducha winnego przyjaciela. Poszliśmy na kolację, a ja byłem w stanie rozmawiać, śmiać się i wygłupiać, jednak przez cały czas rozbrzmiewały w mojej głowie przeczytane słowa. *Minęło sześć miesięcy, od kiedy się poznaliśmy… sześć miesięcy, od kiedy się poznaliśmy... od kiedy się poznaliśmy.* Czy tak wyglądają listy miłosne? Pisywaliśmy do siebie z Ashem, ale w naszych listach mowa była nie tyle o miłości, ile o pożądaniu i udręce czekania.

Nigdy nie sprecyzowaliśmy, co właściwie nas łączy poza potajemnymi schadzkami i niezmordowanym rżnięciem. Takie ujęcie zostało narzucone

przez moje pierwotne kłamstwo co do tego, jakie mam oczekiwania wobec przyszłości. A skoro nie określiliśmy, na czym polega nasz związek, to czy wykluczał on osoby trzecie?

Od czasu bohaterskiego wyrwania się z zasadzki w Caledonii Ash stał się ulubieńcem prasy, a ponieważ ja byłem przedmiotem jego bohaterstwa, na dodatek dogodnie przystojnym i zamożnym, również stałem się po trochu jej ulubieńcem. Przy okazji zyskałem reputację playboya, choć to było ciut niesprawiedliwe, jako że od pierwszej nocy z Ashem nie spałem z nikim innym. To było wariactwo, co prasa potrafiła wysmażyć, wychodząc od garstki imprez i kilku niesmacznych żartów. Nigdy mi nie przeszkadzało, że ludzie myślą o mnie w ten sposób – z pewnością byłem taki, nim poznałem Asha – jednak wcale nie miałem ochoty, żeby on sądził, iż sypiam z kim popadnie.

Przeszkadzało mi to zwłaszcza od chwili, gdy w grę zaczęła wchodzić osoba trzecia.

Mocno główkowałem, jak zagaić, jak niby to przypadkiem wprowadzić temat, ale nawet w mojej własnej głowie wymyślone przeze mnie słowa zawsze brzmiały fałszywie, podejrzanie i brzydko – zresztą jakie miałem podstawy, żeby rościć sobie jakiekolwiek prawo do Asha? Czy to nie ja powiedziałem mu, że nie widzę przed nami przyszłości, nie ja pozwoliłem mu się poznać jako jednostka gruboskórna, nieskora do trwałego związku? Jakże więc mogłem indagować go w sprawie jakichś e-maili czy walenia gruchy pod prysznicem? Pewnego dnia, niedługo potem, miałem jakiś problem z patrolem, który miał wyruszyć w pole w następnym tygodniu, i wybrałem się do niego późnym wieczorem, żeby dojść do ładu z tą sprawą. Zastałem go przy laptopie, z werwą piszącego odpowiedź na jakieś e-maile.

– Tak, poruczniku? – spytał, odrywając oczy od ekranu, by spojrzeć na pokrytą znaczkami mapę doliny.

– Dag mówi, że wcale nie dostali środków zaopatrzenia medycznego, które mieli przetransportować w dół doli…

Laptop zaćwierkał sygnałem informującym o nadejściu e-maila, Ash kliknął kilkakrotnie myszką, przebiegł wzrokiem po ekranie i zatrzymał się w chwili, gdy znalazł to, czego szukał. Jego twarz zmieniała się w ułamku sekundy – jej wyraz przechodził od skupienia przez osłupienie po wystudiowaną obojętność.

A ja wiedziałem.

Po prostu wiedziałem.

– Masz kogoś? – zapytałem. – Jesteś z… znaczy… Po prostu. Jest ktoś?

Spojrzał na mnie tym wystudiowanie obojętnym wzrokiem i zamknął laptop pchnięciem dłoni.

– Nie. – Czekałem, zastanawiając się, czy pojmowałem wszystko opacznie, lecz wówczas odezwał się ponownie. – W każdym razie nie w takim sensie, jak myślisz.

– Nie wiesz, co myślę.

Uśmiechnął się do mnie smutno.

– Myślisz, że kogoś pieprzę albo zamierzam pieprzyć. Albo ostatecznie myślisz, że z kimś koresponduję. Wszystko to nieprawda.

To mi nie wystarczało.

– Czy to ktoś, kogo chciałbyś pieprzyć? Ktoś, kto pisze do ciebie maile? A ty lubisz je dostawać?

Westchnął.

– Odpowiedź na wszystkie trzy pytania brzmi *tak*. Jednak nigdy nie będziemy się pieprzyć ani nigdy jej nie odpiszę.

Jej. To była ona. Z jakiegoś powodu rozjątrzyło mnie to jeszcze bardziej.

– Dlaczego?

Odchylił się na oparcie krzesła.

– To byłoby złe.

– Ze względu na mnie?

– Nie chodzi o ciebie.

To mnie zabolało, musiałem to przyznać.

– Więc czemu?

Zmierzył mnie badawczym spojrzeniem.

– Bo ma szesnaście lat.

Na to nie znalazłem odpowiedzi. Otworzyłem usta, zamknąłem, otworzyłem je ponownie i wciąż – nic. Poza jednym.

– Ty masz dwadzieścia sześć.

– Pochlebia mi, że o tym pamiętasz.

– Jesteś od niej o dziesięć lat starszy.

– Trafnie zauważone.

– To nielegalne. I wątpliwe moralnie.

Rozłożył ręce obrócone wnętrzami dłoni do góry.

– Pierdoliłem cię, kiedy krwawiłeś z dwóch ran postrzałowych, Embry. Nie jestem człowiekiem moralnym.

Wpatrywałem się w niego, kręcąc głową.

– Jesteś najbardziej moralnym człowiekiem, jakiego znam. I właśnie dlatego to jest jakiś absurd.

– Tak… – przyznał, opuszczając wzrok na swoje ręce. – To absurd. Niemniej jednak…

Moja zazdrościć, moja irytacja, że mógł kręcić z *nastolatką*, podsyciła moją ciekawość. Musiałem się dowiedzieć.

– Jak? Kiedy?

– Latem ubiegłego roku, w Londynie. Przed Caledonią. Merlin zabrał mnie na przyjęcie. – Uśmiechnął się do siebie, zatracając się we wspomnieniach. – Klęczała, kiedy wszedłem, zbierała z posadzki odłamki kieliszka, którym cisnęła jej kuzynka w napadzie złości. Jej włosy były jak… – szukał odpowiednich słów – woda, gdyby woda mogła być złota i biała.

Omalże mogłem sobie to wyobrazić, tę scenę. Tamtą młodą kobietę klęczącą wśród potłuczonego szkła, Asha w mundurze, angielski księżyc srebrzący się na tle nieba zaciągniętego cienką warstewką deszczowych chmur.

– Zauważyła, że cierpię na bezsenność – myślę, że ona w ogóle jest bardzo spostrzegawcza – a ja pomogłem jej pozbierać szkło. A potem… – Jego kciuk powędrował w górę i dotknął dolnej wargi.

– Pocałowałeś ją.

– To był pierwszy pocałunek w jej życiu. Nie wiem, czy przedtem zdarzyło mi się obdarzyć jakąś osobę pierwszym pocałunkiem w jej życiu. Jednak całowanie tamtej dziewczyny było jak… – popatrzył mi w oczy – jak całowanie ciebie. Oczywiście pod wieloma względami się różniło, lecz to, co najważniejsze było takie samo: dobrze się z tym czułem.

Tego się nie spodziewałem. Przełknąłem, oczy pod powiekami piekły mnie z jakiegoś niepojętego dla mnie powodu.

– Wyszedłem, poprzestawszy na tym jednym pocałunku. Od tamtej pory pisuje do mnie maile, ale ten dzisiejszy jest pierwszy po półrocznej przerwie. – Uśmiechnął się z wysiłkiem. – Domyślam się, że jej zauroczenie mną mija.

– A twoje nie.

– Moje nie mija – potwierdził.

Czułem bezradną frustrację. Zazdrość.

– Dlaczego? Dlaczego nie możesz być po prostu szczęśliwy z… – umilkłem, ale już było za późno. Ash wiedział, co chciałem powiedzieć.

– Z tobą? – spytał łagodnie, a ja nie potrafiłbym powiedzieć, czy ta łagodność skrywała gniew, czy była wyrazem miłości. W przypadku Asha jedno często wiąże się z drugim. Wstał, wyszedł zza biurka, upewnił się, że drzwi jego gabinetu są zamknięte, po czym przykucnął przede mną i popatrzył mi w oczy.

– *Jestem* z tobą szczęśliwy, mały książę. Musisz zrozumieć, że kiedy ją poznałem, nie widzieliśmy się od przeszło trzech lat i wszystko wskazywało na to, że nigdy więcej cię nie zobaczę. A wtedy spotkałem kogoś, przy kim czułem się przez tę jedną godzinę tak, jak zawsze czułem się przy tobie. Cenię sobie tę godzinę jak największy skarb, bo był to zaledwie drugi raz w moim życiu, gdy się tak czułem, i wiem, że mężczyznom takim jak ja nie jest dane wiele więcej.

– Ash…

– Być może przedwczesnym byłoby nazywać to miłością, ale nic nie poradzę na to, że jestem tak skonstruowany, Embry. – Zaczerpnął oddech, wstał i spojrzał na mnie z góry. – Wiem, że nie chcesz ode mnie obietnic, lecz mimo to złożę ci jedną. Dopóki będę cię pierdolił, będziesz jedyną osobą, którą pierdolę. – Tak dosadna obietnica monogamii wywołała na moich policzkach rumieniec, mile połechtała moją miłość własną. Lecz uczucie to szybko przygasło, gdy Ash kontynuował: – Jednak w moim sercu zawsze pozostanie odrobina miejsca wyłącznie na tamto wspomnienie, Embry. Wspomnienie jednej godziny w Londynie. Gdybyśmy ty i ja byli… – Zamknął oczy, wstrzymał oddech, jego mięsień

policzkowy zadrżał wstrząsany tikiem. Patrzyłem na niego, czekając, aż odzyska panowanie nad sobą. – Gdyby sprawy między nami wyglądały inaczej, wówczas oddałbym to wszystko tobie, tamtą godzinę w Londynie i całą resztę. Jednak skoro ty od początku byłeś ze mną szczery w kwestii tego, co chcesz i czego nie chcesz mi dać, to i ja będę szczery i powiem ci, że to coś, co chcę zachować wyłącznie dla siebie.

Mogłem protestować, wiem, że mogłem. Mogłem powiedzieć Ashowi, że nie obchodzi mnie, w jakich kwestiach byłem szczery, że chcę mieć jego serce i myśli wyłącznie dla siebie, zażądać, by spalił wydruki tamtych maili. I on by mnie posłuchał. Jednak zbyt dotkliwie odczuwałem niesprawiedliwość żądania, by wyrzekł się jednego wspomnienia, podczas gdy ja nie chciałem się wyrzec niczego z mojego życia – a przynajmniej do takiego przekonania doprowadziło go moje kłamstwo.

– Okej – powiedziałem.

– Chcesz wiedzieć, jak jej na imię?

– Nie.

– Dobrze.

– Dobrze.

Jego ręce powędrowały do paska i zaczęły powoli odpinać sprzączkę.

– No to pokaż mi, jak dobrze ci z tym jest – polecił, a ja to zrobiłem.

Dwa i pół roku minęło, odkąd odkryłem obsesję Asha na punkcie dziewczyny z włosami jak woda, gdy sprawy zaczęły wymykać się spod kontroli. Ash – kiedyś tak zręcznie podtrzymujący nasz układ oparty na połączeniu braterstwa broni z ukradkowym seksem – zaczął się sypać. Kiedy zasypiałem, gładził mnie po włosach. Odkładał dla mnie cukierki

Skittles ze swoich racji żywnościowych. Mówił o zabraniu mnie do domu w Kansas City, żebym poznał jego matkę i siostrę.

Obaj zaczęliśmy – jak najbardziej niezobowiązująco, niemal przypadkowo – rozmawiać o przyszłości. Napomykaliśmy o miejscach, w które chętnie byśmy się wybrali, mówiliśmy, co lubimy, a czego nie lubimy w urządzeniu mieszkania, czy chcielibyśmy kiedyś mieć dzieci. Wszystko to było ujmowane w jak najbardziej niewinny sposób: *chcesz mieć dzieci* – tak i tak, *czy wyobrażasz sobie, że mógłbyś żyć na wsi* – on tak, ja nie, *dokąd chcesz się wybrać, kiedy to tutaj się skończy* – tego żaden z nas nie wiedział. Krążyliśmy wokół istotnych kwestii kryjących się poza tym, co mówiliśmy na głos, i to było wszystko. Jego troskliwa uwaga i ekstatyczne gwałty to za wiele, by można się było temu oprzeć. Kto potrafiłby się oprzeć chęci bycia kochanym przez kapitana Maxena Ashleya Colchestera? Naprawdę. Kto mógłby się na to zdobyć?

Późną nocą, kiedy już byłem posiniaczony i zerżnięty, rozmawialiśmy o wojnie. Czasami działo się to w moim pokoju w bazie, niekiedy na lichej i zimnej wysuniętej placówce lub podczas patrolu, gdy inni żołnierze spali, lecz zawsze nocą, zawsze w ciemności, z twarzami zwróconymi w górę, do sufitu lub do nieba. Rozmawialiśmy o tym, co zrobilibyśmy inaczej lub lepiej, co zrobilibyśmy tak samo, gdybyśmy byli Kongresem albo prezydentem, albo NATO, albo ONZ. Nie wiem, dlaczego tak często zachęcałem go do roztrząsania zagadnień politycznych. Może po trochu dlatego, że sam zamierzałem zostać politykiem, a niedolę zawsze łatwiej znosi się w towarzystwie – tak samo małżeństwa zachęcają pary niezwiązane formalnym węzłem do zawarcia ślubu. Jednak po trochu także dlatego, że wydawało się to wręcz niesłychanym marnotrawstwem, by ktoś tak z gruntu moralny, inteligentny i czarujący nie wszedł do polityki. Było dla mnie oczywiste, że Ash jest do niej stworzony, i na samą myśl, że

miałby zostać urzędniczyną w jakiejś firmie ubezpieczeniowej lub uczyć w szkole na państwowej posadzie, chciałem walić łbem o ścianę.

– Może zostanę zawodowym żołnierzem – mawiał dość często, gdy podnosiłem temat naszych planów na przyszłość po wojnie.

– Nie zostaniesz – zaręczałem mu. – Za bardzo lubisz majsterkować.

Drwił sobie ze mnie, a ja układałem się na nim i mruczałem:

– Pomajsterkuj przy mnie.

Na tym rozmowa się urywała, a ja pozwalałam mu, by niestrudzenie majsterkował we mnie do świtu.

W jakiś osobliwy sposób pogodziłem się z istnieniem w jego sercu zakątka przechowującego wspomnienie o kimś innym niż ja. Jego namiętne przywiązanie do maili nigdy nie osłabło i nieraz widziałem, jak wychodził spod prysznica z zaróżowionymi policzkami i na wpół przymkniętymi powiekami. Uświadomiłem sobie, że taki wynalazł sposób na rozdzielenie tych dwóch rzeczy – na dochodzenie ze sobą do ładu – jakby troszcząc się wyłącznie o własną żądzę, nie zdradzał mnie tym samym. I raz, tylko raz, na tygodniowej przepustce, kiedyśmy byli pijani w Berlinie, nachyliłem się do niego w hotelowym barze i szepnąłem: „Chcę udawać, że jestem nią”.

Oczy mu zabłysły i przez długą chwilę wpatrywał się we mnie badawczo. Wówczas jednak obaj byliśmy pijani i głupi, i pełni niewypowiedzianych uczuć. Zabrał mnie do pokoju na górze. Na wspomnienie tego, co wtedy ze mną wyprawiał, wciąż czuję ból.

Było także coś atrakcyjnego w posiadaniu czegoś, o co mogłem być zazdrosny. Mogłem mieć jakiś inny powód do cierpienia poza moim kłamstwem i naszym skrywanym związkiem.

O ileż łatwiej było leżeć w łóżku i ubolewać nad istnieniem jakiejś nastolatki na drugim końcu kontynentu, niż gryźć się tym, że narażam na

niebezpieczeństwo karierę moją i Asha, że uparcie odmawiam mu tego, czego obaj naprawdę pragniemy.

Bo mimo że prywatnie zaczęliśmy lekceważyć nasze granice, w przestrzeni publicznej pozostaliśmy wzorcowymi przykładami na ukrywanie orientacji seksualnej. Ukrywaliśmy starannie nasze schadzki, kontrolowaliśmy swoje zachowanie w obecności innych żołnierzy. Starałem się umawiać na jak najwięcej pozorowanych randek, sprowadzać kobiety na wszelkie imprezy, kiedy byłem w domu, otaczać się chmarą młodych lasek, ilekroć miałem po temu okazję. Na pozór wszystko było fajnie, a nawet więcej niż fajnie. To było *dobre*, przynajmniej tak dobre, jak dobre może być życie, gdy ma się na karku wojnę nie do wygrania i paskudne żarcie.

Wszystko to do dnia, w którym Ash wszedł do mego pokoju i powiedział:

– Zostałem wytypowany do awansu.

Leżałem rozciągnięty w łóżku i czytałem *Powrót do Brideshead* po raz tysięczny, odkąd przed laty porównał mnie do Sebastiana Flyte’a, i z początku nie pojąłem całej doniosłości jego słów.

Ale potem pojąłem.

– Do rangi majora, jeśli cię to interesuje – wyjaśnił chłodnym tonem, gdy usiadłem.

– Będziesz musiał wyjechać do Szkoły Dowodzenia. – Myślałem intensywnie. Panicznie. – Na jak długo?

– Dziesięć miesięcy. – Wyraz jego twarzy zmienił się, trochę złagodniał. – To w domu, w Kansas. Fort Leavenworth.

Ależ mój dom jest wszędzie tam, gdzie ty jesteś, chciałem powiedzieć. Jednak nie powiedziałem tego. Bo słyszałem głos Merlina tak wyraźnie, jak mógłbym słyszeć swój własny. Głos nakazujący mi *poświęcić siebie*. Całe to ukrywanie się – to działo się właśnie dlatego.

– Cieszę się wraz z tobą – wydusiłem z siebie. – Moje gratulacje. Będziesz wspaniałym majorem.

Z westchnieniem usiadł na krawędzi mego łóżka.

– Chyba z tego zrezygnuję. Wolę zostać tutaj. Opuścić tę placówkę byłoby z mojej strony nieodpowiedzialnością.

– Ash, chyba żartujesz. Pomyśl, jak wiele dobrego możesz zdziałać jako major.

Popatrzył na mnie i jakoś tak to było, że z góry wiedziałem, co powie.

– Embry…

– Nie mów tego – odparłem zdławionym głosem. – Mówię serio. Nie mów tego.

Nie posłuchał mnie.

– To niemal trzy lata. Kocham cię od siedmiu. Jeśli po wojnie odejdziemy ze służby, nic nam nie przeszkodzi żyć razem.

Opuściłem wzrok na starą książkę w papierowej oprawie, z oślimi uszami i pofałdowanymi kartkami. Ash zawsze śmiał się ze mnie, że czytam pod prysznicem, ale ja znalazłem tę książkę w antykwariacie w Portlandzie i utrzymywałem, że w takim stanie ją nabyłem. Z okładki spoglądali na mnie Jeremy Irons i Anthony Andrews, w wytwornych strojach, o świeżych twarzach. Anthony tulił pluszowego misia stanowiącego znak firmowy Sebastiana.

Ash położył dłoń na okładce.

– Nie umrzesz samotny i pijany, jeśli o tym teraz myślisz.

– Myślę, że Evelyn Waugh wiedział, że to, co dobre, nie trwa wiecznie. „Wszystko, co złote, krótko trwa”* – zacytowałem Roberta Frosta.

– To nie ta książka, mały książę.

Wyrwałem tomik spod jego dłoni i rzuciłem na nocny stolik. Nie mogłem z nim o tym rozmawiać. Nie mogłem patrzeć mu w twarz i kłamać. Nie tamtego wieczora. Gdyby mnie przycisnął, ugiąłbym się i wyznałbym mu wszystko. Że go kocham, że pragnę spędzić z nim resztę życia w domu z ogródkiem, że gotów jestem nawet wyprowadzić się z nim na wieś.

– Powinienem już iść spać – odezwałem się, gasząc tanią nocną lampkę.

Wstał.

– Ta rozmowa jeszcze nie jest skończona – zapowiedział na odchodnym.

Usnąłem, niemalże mając nadzieję, że tak jest w istocie.

Minęło kilka dni. To był okres chwilowego wyciszenia aktywności militarnej, odpowiadający pogodzie – ani słonecznej, ani burzliwej, ani zimnej, ani upalnej – chłodne, szare łono pozbawione czegokolwiek interesującego czy godnego uwagi. Dla jednych była to upragniona przerwa w boju. Dla innych, po intensywnym haju nieprzerwanych walk, nieznośna nuda.

Zatem gdy Ash zaproponował mi spacer wzdłuż doliny, zakładałem, że doskwiera mu nuda i koniecznie chce wyjść na powietrze, zamiast garbić się w biurze nad mapami i mailami.

Wyruszając, na wszelki wypadek zabraliśmy broń. Mgła opadła, zmieciona strugami letniego deszczu, który lunął z ciężkich chmur nad naszymi głowami. Spomiędzy tych chmur wyglądał niekiedy promień słońca, rzucając snopy złotego światła w soczystą zieleń doliny i tym mroczniejszym czyniąc przez porównanie niebo. Na przekór wszystkiemu moje serce się radowało, zbudowane widokiem stanowiącym połączenie Olimpu z surowym pięknem szkockiego pogórza.

– Tu wysoko zawsze wygląda inaczej – powiedziałem, spoglądając na dolinę. – Nie tak, jakby nie było wojny, lecz stąd widać, że stanowi ona jedynie drobną cząstkę rzeczywistości. Znikomą cząstkę życia. Jak przypomnienie, że przyjdzie czas, kiedy zostawię wojnę za sobą i będę po prostu szczęśliwy.

Nie widziałem, co robi, dopóki nie przystanąłem i nie odwróciłem się do niego – z uśmiechem wyrażającym świadomość, jak absurdalne rzeczy wygaduję – a wówczas skamieniałem.

Czułem, jak uśmiech spełza mi z ust, a serce skacze do gardła.

Ash klęczał, w ręku trzymał czarne pudełeczko.

Nie, pomyślałem dziko i rozpaczliwie.

– Nie – powiedziałem równie dziko i równie rozpaczliwie.

– Embry, kocham cię od siedmiu lat. Nigdy nie przestanę cię kochać.

Nie rób mi tego, chciałem błagać. *Nie zmuszaj mnie, żebym powiedział nie*.

– Nie – powiedziałem.

– Jestem lepszym człowiekiem przy tobie i dzięki tobie. Chcę być jedynym mężczyzną, któremu dostanie się szansa, by ściskać cię i siniaczyć. Jedynym, który będzie słyszał, jak wzdychasz przez sen. Chcę, żebyś moją twarz widział po przebudzeniu.

Łzy piekły mnie pod powiekami, w gardle miałem gulę, która nie pozwalała mi ani przełknąć, ani przemówić, lecz mimo to wychrypiałem słabo:

– Nie.

– Przestań powtarzać jedno słowo i posłuchaj – poprosił z uśmiechem. – Kogo obchodzą nasze kariery? Znajdziemy sobie nowe zajęcia. Jeśli będziemy musieli wyjechać do Kanady, żeby móc adoptować dzieci, to

wyjedziemy do Kanady. Zrobię wszystko, żeby być z tobą, zrezygnuję ze wszystkiego.

Nienawidziłem go w tamtej chwili. Nienawidziłem go za to, że był taki piękny, że tak szlachetnie wyglądał na tle doliny. Nienawidziłem go za to, jak głęboko był bezinteresowny, jak mocno mnie kochał, jak mało dbał o własną przyszłość. Tym trudniej było mi powiedzieć nie. Bo moja własna krew śpiewała na myśl o powiedzeniu mu *tak*.

– Ash, nie możesz z tego zrezygnować. Ze swojej kariery. Po prostu nie możesz.

Uniósł na mnie wzrok. Klęcząc tak przede mną, wyglądał jak książę z bajki, pominąwszy karabin szturmowy przewieszony przez ramię.

– Ile razy ryzykowałem życie, żeby cię ocalić? Ile razy dowiodłem, że dla ciebie jestem gotów złożyć każdą ofiarę, poświęcić wszystko? Co znaczy posada w porównaniu z posiadaniem ciebie? Co znaczy miejsce zamieszkania? Mając ciebie, będę miał wszystko, czego mi trzeba.

To jedno słowo. Ofiara. Utkwiło w mojej głowie, wirując szaleńczo jak płyta. Głos Asha, głos Merlina, mój głos. Ofiara, ofiara, ofiara.

Mogłem powiedzieć tak.

Chciałem powiedzieć tak.

Chciałem powiedzieć Ashowi, że miłość do niego jest jak blizna, jak choroba, która zawsze we mnie pozostanie, z której nigdy się nie wyleczę ani wyleczyć się nie chcę. Chciałem powiedzieć mu, że nigdy nie spotkałem nikogo równie odważnego, bystrego, współczującego ani równie cudownie i rozkosznie pełnokrwistego jak on, że nigdy nie chciałem i nigdy nie zechcę kogoś podobnego szukać.

Chciałem powiedzieć mu, że będę jego. Że będę do niego należał. Że będę jego własnością tak długo, jak długo on będzie chciał mnie posiadać.

Ofiara.

Nie powiedziałem mu nic z tego wszystkiego.

Zamiast tego wymówiłem jedno słowo.

– Nie.

---

* W przekładzie Stanisława Barańczaka (przyp. tłum.).

21

Greer

po

Pierwszy dzień w domu dłuży mi się.

Drugi jeszcze bardziej. To dzień, w którym w końcu zmusiłam się do zawarcia znajomości z moją szefową sztabu, zawziętą brunetką imieniem Linette – i asystowałam przy przenosinach reszty moich rzeczy z domu w mieście do Białego Domu. Po raz ostatni chodzę po swoim dawnym domu, choć był nim zaledwie przez rok, a potem dzwonię do dziadka Leo, podczas gdy agent służb specjalnych czeka przed wejściem.

– Wyślę ci klucz – mówię, poinformowawszy go, że wszystkie moje rzeczy zostały przewiezione do rezydencji.

– To nie jest głos dziewczynki, która właśnie wróciła z miesiąca miodowego – mówi łagodnym tonem dziadek. – Czy smucisz się, że opuszczasz dom w mieście?

Nie, dziadku, w ubiegłym tygodniu zostałam porwana i niewiele brakowało, żeby mnie zgwałcono, a co gorsza, podejrzewam, że

wspólniczką porywaczy jest twoja druga wnuczka. Mam ochotę powiedzieć mu to wszystko, ale sprawiłabym mu tym tylko niepotrzebny ból. Cokolwiek by odpowiedział, nie cofnęłoby to tego, co zrobił Melwas. Nie mógłby mnie także pocieszyć lepiej, niż uczynili to Embry i Ash. A ja wciąż nie znalazłam w sobie odwagi, żeby porozmawiać z Abilene, zatem nie mogę powiedzieć z pewnością, że to ona mnie zdradziła.

Zamiast tego mówię więc do dziadka:

– Przywykam do nowej roli, to wszystko. Tego lata nie prowadzę wykładów, wciąż dopiero się wczuwam w rolę pierwszej damy. To zupełnie nowe życie. Nie jestem pewna, jak sobie w nim poradzę.

– Nie sposób po obejrzeniu wiadomości albo zajrzeniu do Internetu się nie zorientować, że ten kraj ma obsesję na twoim punkcie, a to znaczy, że radzisz sobie doskonale, kochanie.

– Dzięki, dziadku.

– Wiesz, pamiętam, że gdy Luther i ja zostaliśmy wybrani na pierwszą kadencję, czułem to samo. Jakby wszyscy mnie obserwowali. A ja nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Jednak wtedy doszło do tej paskudnej historii z Irańczykami i nie miałem innego wyjścia, niż zacząć działać. Ty też, zanim się obejrzysz, zostaniesz wciągnięta w prawdziwą służbę i wtedy już nie będziesz miała czasu na tremę.

Wzdycham cicho. Nie ma o niczym pojęcia, ale kocham go i wiem, że stara się podnieść mnie na duchu, jak tylko potrafi najlepiej.

– To pocieszające, co mówisz, dziadku.

– W przyszłym miesiącu wpadnę z wizytą. Może do tego czasu trochę urządzisz rezydencję, co? Jak na mój gust, prezydent Colchester jest nieco… no cóż, nieco zanadto *oszczędny*.

Uśmiecham się, myśląc o urządzonej absolutnie oszczędnie, wręcz minimalistycznie sypialni Asha.

O sypialni, która teraz jest także moją sypialnią.

Żegnamy się i wracam do rezydencji. Po drodze robię przystanek we wschodnim skrzydle, by się przywitać z zespołem, który od dziś mi podlega – sekretarzem do spraw imprez publicznych, moją osobistą asystentką prasową oraz starszym doradcą. Jutro spotkamy się, żeby szerzej omówić moje inicjatywy w roli pierwszej damy – zapobieganie napaściom seksualnym, co wybrałam kilka miesięcy temu i od czego teraz robi mi się niedobrze – a także nakreślić program działań społecznych Białego Domu na przyszły rok. W końcu wysyłam wiadomość do Belvedere'a z pytaniem, czy Ash jest zajęty.

Przegląda coś na jutro, odpisuje Belvedere.

A zatem idę, by odwiedzić mego męża w jego miejscu urzędowania.

To nie jest moja pierwsza wizyta w Gabinecie Owalnym, nawet nie pierwsza, odkąd zaczęłam się spotykać z Ashem, jednak dzisiaj odczuwam ją inaczej. Po raz pierwszy wchodzę tu jako pierwsza dama i nawet Ash zdaje się to odczuwać, sądząc po spojrzeniu, jakie posyła mi zza biurka, kiedy przekraczam próg.

– Mała księżniczko – mówi ochrypłym głosem, podążając wzrokiem wzdłuż linii mojej letniej sukienki eksponującej krągłości biustu i bioder. Belvedere dyskretnie wycofuje się do siebie, zamykając za sobą drzwi, a my zostajemy sami. Ash odwraca fotel i klepie się po udzie.

– Chodź tu, aniele.

Zerkam w stronę okna, za którym widzę agenta służb specjalnych, odwróconego w kierunku Ogrodu Różanego.

– Nie będzie nas podglądał – zapewnia mnie Ash. – A jeśli nawet zajrzy, wszystko, co zobaczy, to prezydenta trzymającego w ramionach małżonkę. Robiącego sobie krótką przerwę w pracy, by obsypać świeżo poślubioną pierwszą damę pocałunkami.

Siadam mu okrakiem na kolanach, a kiedy to robię, on rozchyla moją sukienkę.

– I to wszystko, co będziesz robił? Obsypywał mnie pocałunkami?

– Ni chuja – odpowiada mój mąż z niezmąconym spokojem, jedną ręką sięgając pod sukienkę, drugą rozpinając klamrę pasa, by wyciągnąć fiuta z rozporka. Odsuwa na bok stringi, sprawdza palcem, czy jestem dość mokra, unosi mnie lekko i sadza sobie na fiucie. Moje sutki momentalnie twardnieją, całe ciało okrywa się gęsią skórką, czuję, jak jego kutas prze w górę, w górę, w górę. Mnie z kolei łapie za biodra i przywodzi w dół, więc czuję, jak napiera na najgłębsze partie mej cipy. Wstrząsa mną dreszcz i czuję gorąco rozlewające się na moich policzkach i piersi, gdy on obejmuje mnie w talii i ściąga w dół.

– To był ciężki dzień – powiada, wciąż tym samym spokojnym tonem, w najmniejszej mierze niestropiony faktem, że pierdolimy się ukradkiem przed tym wielkim oknem. – I muszę się w ciebie spuścić. Co ty na to?

Szukam słów, z trudem, gdyż głębokie, misterne pchnięcia jego kutasa zapierają mi dech w piersi.

– Powiem…. Ach…. Powiem dziękuję.

– To mało. – Podkreśla wagę swoich słów zwróconym w górę sztychem, od którego omal nie krzyczę, w ostatniej chwili tłumiąc odruch. Już wiem, czego chce.

– Powiem, dziękuję panu, panie prezydencie.

– To będzie dobre.

Po czym nieustannie nad sobą panując, pcha fiuta w górę i tak pozostaje, pochyliwszy głowę, by pocałować mnie, podczas gdy moje wnętrze napełnia się jego nasieniem. I dalej ciągnie moje biodra w dół, podczas gdy nasieniowody pompują, ile wlezie, a następnie, skończywszy, zdejmuje mnie z siebie. Jakby po prostu zaspokajał potrzebę fizjologiczną,

jakby wypijał szklankę wody lub przeciągał się, by rozprostować przykurczony kark, po czym spokojnie zabierał się na powrót do roboty. W rzeczy samej, podczas gdy ja obciągam sukienkę, on odwraca się do biurka i sięga po dokument, który czytał, gdy weszłam do gabinetu.

– Dziękuję, panie prezydencie – mówię ciut zmieszana i nielicho rozgrzana w kroczu na myśl o takim spożytkowaniu mojej osoby. To nieznośnie podniecające, mimo że potęguje trapiące mnie od rana uczucie osamotnienia spowodowane przeprowadzką. Więc tak wygląda pożycie małżeńskie?

– Dziękuję pani, pani Colchester. Do zobaczenia punkt siódma.

– Tak, panie.

Zbieram się do odejścia, lecz wówczas jego słowa wstrzymują moje kroki.

– Będziesz na mnie czekać naga, na kolanach, z rękami splecionymi za plecami. Kolana rozłożone, żebym mógł widzieć twoją cipkę. I będziesz mokra.

– Tak, panie.

– Pani Colchester?

Spoglądam na niego i widzę lekki uśmiech na jego surowym obliczu.

– Mieć panią tutaj było najlepszym, co mi się dziś przydarzyło w pracy.

Oblewam się rumieńcem szczęścia i pozostawiam go jego zajęciom.

Na górze czeka plik maili od Linette i na chwilę ogarnia mnie panika na myśl o żonglowaniu obowiązkami pierwszej damy i obowiązkami wykładowcy podczas jesiennego semestru na uniwersytecie Georgetown,

jednak odpycham ją od siebie. Wkrótce zjawi się Ash i wygna wszelkie wątpliwości i troski w miejsce, gdzie nie będą mnie dłużej trapić.

Oczekuję go w pozycji, jakiej żądał, gdy słyszę, jak wchodzi do salonu sąsiadującego z naszą sypialnią. Klęczę z rękami splecionymi elegancko za plecami i nogami rozłożonymi dość szeroko, żeby mógł dokonać inspekcji mojej cipy. Jednak, mimo że wszystko jest dokładnie tak, jak sobie życzył, ledwie staje w drzwiach, czuję, że dzieje się coś złego.

Nie ośmielam się podnieść wzroku i spojrzeć mu w oczy. Nie muszę jednak tego robić. Emanuje z niego gniew, niepokój czy frustracja – czuję bijące od niego gorąco, gdy mija mnie, idąc do komody. Słyszę szelest, gdy zrzuca z siebie marynarkę, brzęknięcie spinek, jedwabisty odgłos rozwiązywanego krawata. Nic nie mówi, a kiedy staje przede mną, widzę jego nagie stopy i podwinięte rękawy koszuli. Z jakiegoś powodu na widok tych nagich stóp w mojej głowie rozlega się dzwonek alarmowy.

Moje myśli pędzą na wyścigi do Owalnego Gabinetu. Czy go czymś rozgniewałam? Czy wydarzyło się coś w związku z jego pracą? Co takiego w ciągu ostatniej godziny mogło go wprawić w tak zły nastrój?

Jego ręka chwyta mnie za włosy i szarpie moją głowę w tył.

– Powiedz – warczy przez zaciśnięte zęby. – Powiedz, żebym miał pewność, że wiesz, jak mnie zatrzymać.

Jeszcze nigdy go takim nie widziałam – równie wściekłego i dzikiego. To budzi we mnie autentyczny strach. I zarazem wprawia mnie w euforyczny nastrój. Czuję tętno w całym ciele, moja pizda pulsuje, moją skórę aż świerzbi, żeby poczuć jego dotknięcie.

– Maxen – szepczę. – Tym słowem mogę cię powstrzymać.

Ledwie to wypowiadam, jestem wleczona za włosy do garderoby, kolana mnie pieką, gdy szoruję nimi po dywanie, choć staram się pełznąć na czworakach, by złagodzić ból skóry głowy. Ash wypuszcza moje włosy

z garści i podchodzi do półki na buty. Otwarłszy ją, odsłania ukrytą gablotkę pełną sznurów, zabawek erotycznych i wszelkich narzędzi służących dominacji, wykorzystywaniu i rozkoszy.

To nie pierwsze moje zetknięcie z tymi akcesoriami, lecz pierwsze, gdy mój mąż jest w takim nastroju.

Przebiega mnie dreszcz.

– Czy jest pan… niezadowolony ze mnie, panie?

Rzuca mi ostre spojrzenie.

– Nie pozwoliłem ci się odzywać.

– Proszę, panie.

Zniecierpliwiony moją gadaniną chwyta szpicrutę i wskazuje gestem niską ławkę na środku garderoby, przeznaczoną do tego, by dżentelmen, oparłszy na niej stopę, mógł łatwiej zawiązać sznurowadła.

– Na ławkę, dupą w górę, morda na kłódkę. Jasne?

Wpatruję się w jego oblicze, szukam śladu mego Asha, ciepłego mężczyzny, którego kocham. Nie znajduję nic, prócz nagiego gniewu. I bólu. Roztrzęsiona układam się na ławce i nim zdążę się porządnie umościć, szpicruta kąsa mnie w dupę.

Wrzeszczę, nieprzygotowana, a szpicruta spada na moją dupę po raz kolejny. Nie chodzi o skórzaną patkę na końcu, ale o pręt, który chłoszcze mnie od krągłości po odsłonięte uda. Uderzenia sypią się jedno za drugim, szybko i bezlitośnie, a ja przy każdym wydaję z siebie nowy krzyk, bezsensownie tłukąc stopami o podłogę i lejąc łzy, które żłobią w moich policzkach gorące trakty.

Kurwa, boli. Tak boli, że nie mogę złapać tchu. Ból jest taki, że wygania ze mnie wszystko, wszystko poza cierpieniem. Tak jeszcze nie było, nawet z pasem, nigdy jeszcze nie odczułam całej siły jego emocji, prawdziwego chaosu, który zwykle trzyma na uwięzi.

Jednak ani przez chwilę nie jestem bliska wypowiedzenia bezpiecznego słowa. Wiem, że jeśli to zrobię, Ash przestanie. Wiem to tak samo jak to, że niebo jest błękitne, a słońce jutro znów wzejdzie. I nie chcę, żeby przestał. Pragnę być w stanie wchłonąć to od niego, zdjąć, cokolwiek to jest, z jego barków, choćby na nie wiem jak krótko. I chcę także, żeby uwolnił mój umysł od tych samotniczych, nerwowych odczuć, które nękają mnie, odkąd zaczął się nasz miesiąc miodowy.

Szpicruta przestaje mnie chłostać i ląduje na podłodze obok mojej twarzy.

– Chcę, żebyś biegała – mówi, a do mnie dociera, że jest bez tchu, że lał mnie tak mocno i tak szybko, aż się zadyszał.

Odwracam głowę, żeby spojrzeć na niego, oszołomiona bólem i endorfinami.

– Biegać?

– Nie kazałem ci patrzeć na mnie.

Opuszczam wzrok, a on kontynuuje.

– Będziesz biegać, a ja będę cię łapać. Będziesz ze mną walczyć, a ja wygram. A potem cię pokryję. Kumasz?

– Tak, panie.

Serce tłucze mi się w piersi. To takie popieprzone. Więc dlaczego ledwie powstrzymuję uśmiech?

– Marsz!

Ruszam. Zrywam się na nogi i wybiegam z garderoby, a on daje mi fory, po czym słyszę, jak gna za mną z tupotem bosych stóp. Teraz te bose stopy nabierają sensu – trudno biegać w butach od garnituru.

Wypadam z sypialni i pędzę przez salon oraz Żółty Owalny Pokój. Ash depcze mi po piętach, ma dłuższe nogi, biegnie pewniejszym krokiem. Wieję na korytarz i wpadam w najbliższe drzwi, licząc, że kolejne

prowadzą do innego pokoju, ale to jest Sypialnia Lincolna. I wpadam w pułapkę.

Odwracam się na pięcie, żeby stawić mu czoło, a on rzuca się na mnie i oboje przewracamy się na podłogę z takim impetem, że aż mi zapiera dech w piersi. Mimo to walczę, odpycham jego ręce, staram się mu wywinąć. Przyciska mnie kolanem, chwyta okrutną ręką za włosy, po czym drugie kolano wpycha między moje uda i rozchyla je. Brutalność tego gestu i sploty starego dywanu pod moją gołą dupą wystarczają, żeby przypomnieć mojemu ciału o wściekłym laniu, które dopiero co zniosłam. Jego dłoń puszcza moje włosy, by złapać mnie za cipę, i mogę usłyszeć ją i powąchać. Mokra. Spragniona.

Jego oczy błyszczą w ciemności.

Zostaję obrócona na brzuch, a moje ręce zostają złapane razem i przygwożdżone ponad moją głową. Sama nie wiem, czy wiję się i kręcę biodrami po to, żeby podtrzymać pozory walki, czy robię to dlatego, by się ocierać sutkami o szorstki dywan i szorować zaróżowioną, czerwoną dupą o sterczącego fiuta Asha.

Niezależnie od pobudek obrywam tak mocnego klapa, że krzyczę głośno, a potem gruba żołądź wpycha się we mnie. Kutas wydaje się ogromny, gdy tak się we mnie wciska, większy niż kiedykolwiek, a kiedy ośmielam się zerknąć za siebie, widzę jego ciało elegancko potężne w świetle księżyca, same mięśnie i pot. Nocny drapieżca.

Pożera mnie, jego fiut wyjada mnie od środka, wypalając ze mnie strach i siejąc rozkosz pośród płomieni. Czy kiedykolwiek byłam w stanie schwytać oddech? Zapomniałam, czym jest oddychanie, czym jest istnienie, czym jest cokolwiek poza uczuciem bycia pierdoloną jak zbuntowana zdzira na podłodze Sypialni Lincolna.

Zaraz dojdę, to jest jak drut kolczasty w mojej miednicy, wywleczony z bólu w dupie i adrenaliny po walce, lecz Ash ubiega mój orgazm. Wyciąga penisa, obraca mnie z powrotem na wznak, po czym klęka okrakiem nad moimi ramionami i wali konia, zdyszany i gniewny.

– Twoje ciało należy do mnie – oznajmia zapalczywie, a mięśnie jego ramienia i przedramienia tworzą grube wiązki, gdy brandzluje się we wściekłym tempie. – I twoje złote włosy, i twoja twarz, i twoje serce. Powiedz to. *Powiedz to*.

– To twoje – mówię, zahipnotyzowana jego siłą, jego gniewem, jego kutasem. – Cała należę do ciebie.

Wydaje z siebie syczący oddech i dochodzi, tryskając długimi, białymi prążkami na moją twarz, skrapiając moje włosy, opryskując moje rzęsy i skapując do moich ust. Jest tego tyle, tyle dławionej żądzy, a spuściwszy się do ostatniej kropli, wstaje.

Przez niesamowitą chwilę, kiedy tak stoi nade mną, a ja leżę na plecach pokryta jego spermą, odczuwam przedziwny strach, że tak mnie tu zostawi. Odejdzie, zmuszając mnie tym samym, bym pozbierała się z podłogi i pokuśtykała do sypialni o własnych siłach.

Lecz jego gniew jeszcze się nie wyczerpał, nie całkiem. Nachyla się i przerzuca mnie przez ramię jak worek ziemniaków, niesie do naszej sypialni i bezceremonialnie rzuca na łóżko. Ciska we mnie chusteczką.

– Obetrzyj twarz i rozłóż nogi.

– Ja…

Nim zdążę powiedzieć cokolwiek więcej, on się kładzie i przywiera ustami do mojej gorącej, rozwartej cipki.

Moje plecy odchylają się poza kołdrę, doznanie bycia tak blisko orgazmu i późniejszy zawód to niemal aż za wiele. Orgazm powraca ze zdwojoną siłą, natomiast usta Asha nie okazują miłosierdzia ani

cierpliwości, ssąc i mlaszcząc, i liżąc mnie z tym samym gniewem, który okazywał, kiedy mnie pierdolił.

– Dojdźże, cholera – syczy. – I wiesz, co masz powiedzieć, jak już dojdziesz.

Orgazm jest mocny i pokrętnie długi, trę stopami o prześcieradło, zaciskam daremnie pięści na poduszkach za głową i mam serce w gardle. Orgazm jest tak potężny, że blednie przy nim wszystko poza gorącymi ustami mego męża.

– Dziękuję, panie – dyszę, gdy nieco słabnie i znów jestem w stanie oddychać. – Dziękuję, panie prezydencie.

Spogląda na mnie spomiędzy moich nóg. Jego rzęsy są takie długie, że w blasku lampki rzucają cień na jego policzki i przez chwilę jego twarz wydaje się szeroko otwarta, rozdzierająco otwarta. Potem kładzie się na mnie i całuje mnie w usta, roszcząc sobie do nich prawo, jak do wszystkiego innego tego wieczora.

Czuję w jego pocałunku smak własnej cipki i odwzajemniam go jeszcze mocniej, liżąc jego język i usta, czym wywołuję jego jęk.

– Należysz do mnie – szepcze mi w usta. – Jesteś moja. Moja żona. Moja własna.

– Tak – odpowiadam. – Tak.

Ściska mocno moją pierś.

– Znów cię pragnę.

Czuję to jego naglące pragnienie na udzie i posłusznie rozkładam nogi. Tym razem zrzuca spodnie, lecz przenosiny do łóżka i całowanie nie czynią seksu mniej gwałtownym ani brutalnym. Pierdoli mnie, aż ponownie dochodzę, pierdoli mnie, aż jego pierś spływa potem i faluje poruszana głębokim oddechem. Dochodzi z siłą mężczyzny wracającego do siebie,

z siłą egzorcyzmu. Tym razem opróżnia się we mnie z rwanym oddechem, który zdaje się wyrywać z głębi jego duszy.

Czuję się niemalże smutna, gdy jego zielone oczy spoglądają na mnie i dostrzegam przepełniającą je troskę i miłość. Zapala mocniejszą lampę, wstaje i dokonuje inspekcji mojej cipy i pręg na dupie. Potem pyta:

– Jak się teraz czujesz?

To standardowe pytanie kontrolne, podobne do tych, które wielokrotnie mi zadawał, lecz oboje wiemy, że tym razem sprawy mają się inaczej, że zbliżyliśmy się niebezpiecznie do krawędzi, od której dotąd trzymaliśmy się z daleka.

– Delirycznie. I trochę wstrząśnięta.

– Mocno cię dziś przycisnąłem – przyznaje. – Liczę, że będziesz ze mną szczera. Liczę, że powstrzymasz mnie, kiedy posunę się za daleko.

Kręcę głową, nim jeszcze umilknie.

– Nie posunąłeś się za daleko. Nie wstydziłabym się użyć bezpiecznego słowa albo poprosić cię, żebyś przestał. Ale Ash… – Spoglądam w jego mocną twarz, zwracam uwagę na szczecinę pokrywającą jego policzki o tak późnej porze, na zmierzwione włosy. Błysk obrączki na jego dłoni. – Twój gniew jest straszniejszy od szpicruty.

Siada obok mnie na łóżku, ja również siadam, przyciągając kolana do piersi. Ash ściąga brwi.

– Bo boisz się, że w gniewie posunę się za daleko?

Broda mi drży, muszę odwrócić wzrok.

– Bo rani mnie w serce.

Chrząka, a potem bierze mnie w ramiona.

– Tak mi przykro, mała księżniczko. Powinienem był powiedzieć ci co… ja… potrzebowałem cię. Potrzebowałem tego, co dla mnie robiłaś.

Wydaję westchnienie ulgi.

– A zatem nie byłeś na mnie zły.

Jego bezruch jest wymowny. Jego milczenie. Odsuwam się i widzę, że bacznie mnie obserwuje.

– Ash? – Pytam drżącym głosem.

Wsuwa mi za ucho kosmyk włosów.

– Weźmy prysznic. A potem coś ci pokażę.

Rzeczą, która wywołała w Ashu pragnienie ukarania mnie, okazuje się trzyminutowe nagranie wideo. Wykonane zostało przy użyciu noktowizora, obraz jest zielony i miejscami zbyt jaskrawy, ale dostatecznie wyraźny. Moje włosy wyglądają jak biały ogień, srebrna taśma błyszczy.

Przecież domyślałam się, że tam są kamery. Dlaczego nie pomyślałam o tym, gdy prosiłam Embry’ego, żeby mnie wypierdolił? Jak mogłam nie przewidzieć, że Melwas zrobi wszystko, żeby mnie zniszczyć?

– Wiesz, że nigdy nie miałem tego za złe ani tobie, ani Embry’emu – mówi Ash przepraszającym tonem, jakby to on był winny istnieniu tego nagrania. Zamyka laptop stojący na stoliku do kawy w salonie przed kanapą i przytula mnie. – Ale kiedy to obejrzałem, bo Merlin mi o tym powiedział, wpadłem w szał. Przede wszystkim na Melwasa. Ale także na ciebie i Embry’ego za waszą nieroztropność. I jeśli mam być szczery, Greer, co innego jest wiedzieć, co zrobiliście, i zobaczyć to na własne oczy.

Naraz odczuwam potrzebę dystansu. Wstaję, krzyżuję ramiona na piersi, odchodzę do okna. Panika jest jak pięść zaciśnięta w mojej piersi, ale głos, który z siebie wydobywam, brzmi spokojnie.

– Z pewnością.

– Greer, tu nie chodzi wyłącznie o nas.

Zamykam oczy i przyciskam powieki palcami, żałując, że nie mogę wycisnąć z siebie wstydu, wydusić go z głowy.

– Wiem. Merlin to widział.

– Nie tylko on. Mało tego. To trafiło do Internetu. Może to obejrzeć każdy. Merlin, Kay, Trieste, Linette i Embry zjawią się tu jutro o siódmej, żeby opracować plan obrony medialnej.

– Więc wszyscy będą wiedzieć, że Embry mnie wypierdolił, ale nie będą wiedzieć o porwaniu, jako że nic w tym nagraniu nie wskazuje, że powstało w Karpatii. A ponieważ wideo jest datowane, wygląda na to, że Embry i ja pierdoliliśmy się w trakcie naszego miesiąca miodowego.

– Bo się pierdoliliście, Greer. Bądź uczciwa chociaż co do tego.

To boli. Jego gorycz jest żrąca jak kwas.

– Pieprzę cię – szepcę.

Opuszcza głowę i ukrywa twarz w dłoniach.

– Przepraszam. Boże, tak mi przykro. Nie chciałem, żeby to tak wyszło. Ja po prostu…

Nagle mam poczucie, że dzieli nas ogromna odległość, nagle myślę o sobie w sposób, w jaki nigdy dotąd nie myślałam. Przy Ashu zawsze miałam poczucie bezpieczeństwa, kochałam dwóch mężczyzn, byłam kompletna, zdrowa i szczęśliwa. A teraz po raz pierwszy zastanawiam się, czy ma mnie za zdzirę. Zastanawiam się, czy uważa mnie za kurwę, nie w takim zabawowym sensie, w jakim mówi się to w sypialni, lecz w takim, w jakim mężczyźni myślą o kobietach, których nie szanują.

Zastanawiam się, czy sama tak o sobie myślę.

Bądź co bądź pierdoliłam się z jego najlepszym przyjacielem. Zrobiłam to po ślubie. Sprawiło mi to przyjemność. I zrobiłabym to znowu. A teraz cały świat wie.

Ash spogląda na mnie z wyrazem udręki.

– Greer.

– To moja wina, moje gówno. Sama się tym zajmę. – Mój głos jest równie zimny, jak mój żołądek jest gorący od bólu, i odwracam się, żeby odejść do sypialni. W tej chwili nie jestem w stanie być koło niego.

– Greer, przestań. Chodź tutaj.

Nie robię tego. I nie zrobię. Jeśli tak wyglądam w jego oczach, to nie mogę nawet znieść *jego* widoku. Jeśli zamierza osądzać mnie tak surowo, jak ja sama oceniam teraz siebie, to po prostu powinniśmy się rozwieść, bo…

Pstryka placami.

Moje plecy sztywnieją na ten dźwięk, pamięć ciała zmusza mnie do poprawienia postawy, nim się odwrócę, by na niego spojrzeć.

Na jego twarzy wciąż maluje się udręka, ale w oczach zielonych jak jeziora latem znów jest opanowanie i kontrola i naraz uświadamiam sobie, że dla niego rozwód nigdy nie wchodził w grę. Zlał mnie po dupie, żeby przypomnieć nam obojgu, że nigdy nie przestanie mnie kochać, a ja nigdy nie przestanę do niego należeć. Pstryknął palcami, aby mi pokazać, że wciąż pragnie mieć mnie u swych stóp.

Przypatruje mi się z uwagą, kiedy podchodzę do niego i padam przed nim na kolana. Słyszę, jak wydaje długie westchnienie, kiedy sadowię się na piętach i pochylam głowę.

– Przepraszam – mówi, a ja wiem, że nie chodzi mu o scenę sprzed chwili, ani nawet o wybuch gniewu, lecz o to, że nie porozmawiał ze mną zawczasu. Że się nie komunikował.

Włosy wciąż mam mokre po prysznicu, lecz on i tak zaczyna się nimi bawić, gładzić je i nawijać kosmyki na palce. Nie potrafię oprzeć się

instynktowi każącemu mi ocierać się o jego dłoń jak kot, a kiedy to robię, wydaje z siebie pomruk wyrażający zadowolenie.

Tak mija nam kilka minut, moje gorące uczucia zaczynają stygnąć w tej znajomej pozycji, z jego znajomymi i pocieszającymi rękami we włosach.

– Gdybym mógł uchronić cię przed tym, uczyniłbym to – mówi łagodnie. – Obietnice na ślubnym kobiercu składałem z serca. Kwestię chronienia cię przed złem traktuję z pełną powagą.

– Czuję się upokorzona – wyznaję ledwie słyszalnym głosem. – Tym, że ludzie się dowiedzą…

– Ludzie będą myśleli, że wiedzą. A my powiemy im, że jest wręcz przeciwnie. Tego rodzaju nagrania można łatwo sprokurować i to zamierzamy ogłosić światu.

– Ale to kłamstwo, a ty nienawidzisz kłamstwa i o mój Boże… – żołądek wywraca mi się na samo wspomnienie i robi mi się niedobrze – kwestia reelekcji. A jeśli to wszystko zepsuje? A jeśli przekreśliłam twoją karierę? Nie przeżyłabym tego!

– Ćśś. – Palce Asha zanurzone są teraz głęboko w moich włosach, gładzą skórę mojej głowy, masują ją. – Zrobię wszystko, żeby ochronić ciebie, aniele, posunę się nawet do kłamstwa. Owszem, to może zaszkodzić mojej kampanii wyborczej. Obawiam się, że niezależnie od tego, jak przekonująco będziemy kłamać, nigdy nie uwolnimy się od podejrzeń, zawsze coś do nas przylgnie. Od tej pory ludzie będę obserwować ciebie i Embry’ego baczniej niż dotąd, będą wypatrywać jakichkolwiek oznak potwierdzających prawdziwość ich podejrzeń. Pod tym względem ludzie są jak wilki.

Zamykam oczy i zmuszam się do głębokich oddechów dla stłumienia paniki. Oczywiście to jest to, co miał na myśli, gdy mówił, że sprawa nie dotyczy wyłącznie nas. Chodziło o kampanię wyborczą.

– Nie pozwolę ci obwiniać się o to. Zostałaś porwana, Melwas zabawiał się z tobą po swojemu i nadal się tobą bawi. Ty, Embry i ja już rozwiązaliśmy nasze problemy związane z tym, co się wówczas wydarzyło.

Unoszę na niego wzrok, wspominając pręgi na dupie i jego zajadłe słowa.

– Doprawdy?

Jego palce tężeją w moich włosach.

– Na ile to było możliwe, mała księżniczko. Bolało mnie serce, kiedy musiałem na to patrzeć. Nie tylko czułem zazdrość, patrząc, jak pierdolicie się beze mnie, ale na dodatek gryzłem się, myśląc o tym, jak bardzo cię zawiodłem. Że to nie ja okazałem się tym, kto cię ratuje, kto cię pociesza. Ale nie to mnie ostatecznie najbardziej zabolało.

– Więc co? Chodzi o reelekcję?

– Nawet nie to. Fakt, że po raz kolejny nie zdołałem cię uchronić. Powinniśmy przewidzieć, że Melwas posiada coś takiego, powinniśmy się na to przygotować. A teraz przez moją nieudolność będziesz narażona na oszczerstwa i pomówienia. Nie zasłużyłaś sobie na to, a ja nie zasłużyłem sobie na ciebie.

– To nie twoja wina, Ash. Nie możesz tak myśleć. Embry i ja jesteśmy tymi, którzy… no cóż, i Melwas. Wielu jest winnych, ale akurat nie ty.

Pochyla się i całuje mnie w czubek głowy, lecz nic nie odpowiada. A po dłuższej chwili bierze mnie na ręce i niesie do łóżka, gdzie pierdoli mnie do późnej nocy.

22

Embry

przed

Budząc się tamtego ranka, nie sądziłem, że moje życie się zmieni. Wstałem skacowany i samotny, obolały, jakby koń kopnął mnie w żebra – miałem tak zranione serce.

Poprzedniego wieczora Ash oświadczył się Jenny. Zrobił to w pięknej restauracji w Chicago, gdzie byli w towarzystwie moim, Merlina i jej rodziców. Przyklęknął na kolano i wygłosił standardową obietnicę miłości i wierności. Jenny się popłakała. Jej matka się popłakała, a ojciec uścisnął Ashowi dłoń. Robiono zdjęcia. Zaraz potem wyszedłem stamtąd i wróciłem do hotelu samotnie.

Strasznie dolegała mi świadomość, że nigdy nawet nie zobaczyłem tamtego pierścionka, który dwa lata wcześniej ofiarował mnie. To było dziwne, nie? Czy nie jest normalne, że otwiera się pudełko, żeby pokazać pierścionek ukochanej osobie? Tak zrobił, oświadczając się Jenny, i urocze brylanty zalśniły w blasku żyrandoli nad naszymi głowami. Ona była

czarująco ujęta widokiem klejnotu, a jeszcze bardziej Ashem, gdy zaczął przemawiać.

Może nie otworzył pudełka z moim pierścionkiem, bo z góry wiedział, że powiem nie.

Ale to nie pierścionek sprawił, że zamówiłem do pokoju butelkę ginu Hendricks, nawet nie same oświadczyny.

Nie, to była mina, z jaką się oświadczył.

Wyrażająca otwartość i szczęście. Pełna uwielbienia. Ash kochał Jenny – naprawdę szczerze ją kochał. On *chciał* ją poślubić. Nie po to, żeby mi dopiec, czy żeby dogodzić Merlinowi, lecz dlatego, że uszczęśliwiało go to we właściwy mu nieskomplikowany i prostolinijny sposób.

Mówiłem sobie, że Colchester jest nadzwyczajnym człowiekiem z nadzwyczajnymi potrzebami. Że karmiczna równowaga polegała na tym, że po ratowaniu ludzkich egzystencji i wygrywaniu wojen spędzał ciemne godziny w moim towarzystwie. Że dawałem mu coś, czego nie mógł mu dać nikt inny, że rzeczy, które pozwalałem mu wyczyniać ze sobą pod osłoną nocy, dostarczały mu siłę potrzebną, by nazajutrz rano wstać i spełniać bohaterskie uczynki. Jednak po ich ślubie wiedziałem, że się oszukiwałem. Ash pozostał bohaterem. Uprawiając konwencjonalny, grzeczny seks z prawniczką. Żyjąc w związku, w którym zrobienie laski było prezentem urodzinowym, a nie czymś, co mógł wziąć sobie siłą, ilekroć mu się zachciało.

No więc dokąd mnie to prowadziło?

Czym mnie to czyniło?

Marginesem? Wybrakowanym? Chorym?

Czy nie mógł przynajmniej zachować się tak, jakby go to trochę bolało? Te oświadczyny?

Bo mnie to bolało nie na żarty. I może o to mu właśnie chodziło. Może Ash nie potrafił odmówić sobie szczypty sadyzmu, dlatego kazał mi na to patrzeć, zmusił mnie, żebym widział, jaki szczęśliwy jest z kimś innym.

Ależ ja mu powiedziałem, że z nim będę, myślałem z goryczą, wchodząc pod prysznic. W ustach wciąż czułem smak limonek. *Powiedziałem mu, że wciąż chcę się z nim pierdolić, pomimo że nie mogę go poślubić*.

Pamiętałem wyraz jego twarzy w chwili, gdy powoli wstał z kolan, mając w tle moją ulubioną dolinę i wciąż trzymając w dłoni tamto pudełko.

– Ale ja nie chcę po prostu cię pierdolić – powiedział głuchym głosem. – Ja chcę cię kochać.

– Dam ci wszystko – obiecałem błagalnym tonem. – Tylko nie proś mnie o to. Proszę.

Widziałem to w jego twarzy. Pęknięcie. Ból. Furię.

– Czy musisz tak stawiać sprawę, że albo wszystko, albo nic? Naprawdę? – Dopytywałem. – Czy nie lepiej mieć *coś*?

Nie odpowiedział, więc odpowiedziałem sobie sam, wychodząc od własnej furii i bólu.

– Dobrze. Mówiłeś, zdaje się, że gotów jesteś przyjąć mnie w każdy sposób, w jaki zechcę ci się oddać, ale najwyraźniej to się zmieniło. Więc może lepiej, jeśli nie będziemy mieć siebie wcale.

I zostawiłem go tam ściskającego w dłoni to nieotwarte pudełeczko z pierścionkiem zaręczynowym.

Jest świadectwem jego wiernej natury, tego, że mimo wszystkiego, co się wówczas wydarzyło, nadal szukał mojej przyjaźni, ufał mi na polu walki, trzymał mnie przy sobie. Człowiek mniejszego kalibru odepchnąłby mnie, lecz on tego nie zrobił. I za to byłem mu wdzięczny, bo wciąż go pragnąłem. Kiedy przypadkiem znalazł się zbyt blisko, wdychałem zapach jego skóry, w gorące dni letnie pożądliwym wzrokiem śledziłem strużki

potu spływające po jego szyi. Tak bardzo byłem go spragniony, że gotów byłem gonić za resztkami.

Teraz jednak musiało się to skończyć. Od tamtego dnia w dolinie upłynęły dwa lata i Ash się zaręczył. Musiałem żyć dalej. Jak mawiała moja ciotka Nimue do swego syna Lyra, gdy wpakował się w kłopoty: „To twoje pomyje, teraz się w nich mocz". Dokonałem wyboru, przedkładając przyszłość Asha ponad naszą wspólną przyszłość, i teraz musiałem z tym wyborem żyć.

Kiedy wyszedłem spod prysznica, oczekiwała mnie wiadomość od Asha: **Idziemy z Merlinem na lunch – wybierzesz się z nami?**

Ostentacyjnie nie zrobiłem tego. Po pierwsze, wciąż za wiele bólu sprawiało mi przebywanie w jego towarzystwie, a po drugie, nie cierpiałem Merlina niemalże bardziej niż jakiegokolwiek innego człowieka na Ziemi. Choć to ja podjąłem decyzję, ja dokonałem wyboru, jakaś infantylna strona mojej osobowości obwiniała o to Merlina z całą tą jego gadaniną o ofierze i poświęceniu, którą uraczył mnie tamtego dnia w pociągu.

Poza tym wieczorem miałem być na jego przyjęciu urodzinowym i tego było aż nadto dla nas obu.

Resztę dnia spędziłem, podrzemując i histeryzując na przemian, dokończywszy przy okazji butelkę Hendricksa. Kiedy przyszła pora, żeby wybrać się na urodziny, byłem podpity i zrezygnowany. Zobaczę Asha z Jenny, Merlin zauważy, że ich widzę. Wszystko to okaże się okropne. Ale prawdopodobnie będą darmowe drinki, a ja nie zdołałbym się powstrzymać przed sprostytuowaniem swoich emocji po alkoholu. Jednak ostatecznie wcale nie dotarłem na tamto przyjęcie.

Życie miało inne plany.

– Kurwa – rzuciła dziewczyna, która się ze mną zderzyła.

– Moje ulubione słowo – powiedziałem odruchowo, lecz zarazem z rozbawieniem.

Jednak radość szybko mi przeszła, gdy uniosła na mnie wzrok i zobaczyłem jej twarz. Kurewsko, olśniewająco piękną twarz. Niekończące się fale opadających do pasa włosów w odcieniach złota i platyny. Śliczne, miękkie usteczka. Przykuwający uwagę pieprzyk na policzku. Drobniutki dołeczek w brodzie. Wielkie srebrne oczy obrysowane rzęsami jeszcze dłuższymi i ciemniejszymi od rzęs Asha, a teraz na dodatek błyszczące od łez.

Od razu wiedziałem, że nie należy do osób, które często płaczą. Ludzie skłonni do płaczu dobrze go ukrywają albo przynajmniej potrafią się z nim pogodzić, ona ani nie starała się ukryć płaczu, ani nie wyglądała na pogodzoną z nim. Oczywiste było, że cierpi, kuliła ramiona pod skórzanym żakietem, jej piersią wstrząsał rwany oddech osoby głęboko nieszczęśliwej.

– Przepraszam – wykrztusiła zduszonym głosem i wyminęła mnie.

Zafascynowany odwróciłem się, by śledzić ją wzrokiem, i trąciłem coś nogą. Opuściłem oczy. Jej telefon. Musiała go upuścić, gdy na mnie wpadła.

Los wkroczył do akcji, pomyślałem. Nie zamierzałem przepuścić okazji, by udzielić pomocy tak pięknej dziewczynie. Podniosłem więc telefon z posadzki, zdecydowany dowiedzieć się, co ją zasmuciło.

W dwudziestym dziewiątym roku życia poznałem księżniczkę. Miała złamane serce, ja też. Nosiła malinową minisukienkę, a ja niebieskie spodnie i mokasyny. Miała łzy w oczach, a ja dłoń, by je otrzeć. Było coś, co chciała mi dać, a co ja pragnąłem wziąć.

Może poznałem, że to miłość, w chwili gdy uśmiechnęła się do mnie przez łzy na chodniku chicagowskiej ulicy, a może w wagoniku na diabelskim młynie, kiedy klęczałem u jej stóp, a ona tuliła dłonie do mojej twarzy. A może dopiero wtedy, gdy wypełniłem w jej ciele miejsce, którego nie odwiedził nikt przede mną.

Jednak pewność przyszła dopiero później, już po tym, jak wypierdoliłem ją po raz pierwszy, po tym, jak wzięliśmy prysznic. Doprowadziłem ją z powrotem do łóżka i delikatnie wszedłem w jej obolałą cipę, a ona wygięła się pode mną w łuk.

– Boli? – zaniepokoiłem się.

– Owszem. – A potem uśmiechnęła się w ciemności od ucha do ucha. – Rób to mocniej.

Była jak ja.

Poznałem to po tym, jak się pode mną wierciła. Jak mnie drapała, odpychała, gryzła i jak momentalnie doszła, kiedy ja ją ugryzłem. Pragnęła bólu, pragnęła szorstkiego traktowania, pragnęła walki. Długo nie wiedziałem, że taka bojowa była tylko ze *mną*, że przy Ashu zachowywała się całkowicie ulegle – dokładnie tak samo jak ja. Dopiero później dotarło do mnie, że w sobie nawzajem znaleźliśmy coś, czego nie mogliśmy znaleźć przy nim.

Wtedy wiedziałem tylko tyle, że coś w jej ciele, w jej sercu, było takie samo jak we mnie. I wówczas zrozumiałem, że nie mogę pozwolić jej odejść.

– Gdzie Jenny? – spytałem, gdy Ash usiadł obok mnie.

Siedzieliśmy w kawiarni nieopodal hotelu. Zadzwoniłem do niego, ledwie obudziłem się w pustym łóżku i w moim sercu wezbrała panika, że

mój anioł z Chicago rozpłynął się w świetle słonecznego poranka. Tak się jednak nie stało – mało tego, zostawiła mi nawet karteczkę z numerem telefonu i adresem hotelu. Ku mojej uldze odkryłem coś nowego, coś, czego nie czułem już od bardzo dawna.

Ekscytację.

Byłem nią *podekscytowany*.

A Ash był moim najlepszym przyjacielem. Chciałem opowiedzieć mu o wszystkim. Jeśli kierowała mną także przekorna chęć, aby mu uświadomić, że potrafię być szczęśliwy również bez niego, to nie przyznawałem się do tego przed sobą.

Ash obszernie odpowiedział na moje wcześniejsze pytania, przeglądając menu wyrobów cukierniczych, po czym odchylił się na oparcie.

– Chciałem porozmawiać z tobą bez Jenny.

Wtedy po raz pierwszy spostrzegłem, że wygląda mizernie, a oczy ma nabiegłe krwią, jakby pił albo nie spał przez całą noc, albo jedno i drugie.

– Ale najpierw chcę usłyszeć coś więcej o tym twoim aniele – powiedział z wymuszonym uśmiechem. – Nie dzwoniłbyś do mnie, gdyby nie była kimś nadzwyczajnym.

Stanowczo coś z nim było nie tak – i nie chodziło o zazdrość o to, że jestem z kimś innym, choć oczywiście to by mi pochlebiało.

– Ash, wszystko w porządku? Wyglądasz na… – *Skacowanego. Zmartwionego. Nieszczęśliwego*. – Wyglądasz nieswojo.

Przesunął dłonią po twarzy, po szczecinie porastającej jego policzki. Na wspomnienie, jak ten jego zarost odczuwałem, gdy drapał najskrytsze zakamarki mego ciała, przeszedł mnie dreszcz.

– Pamiętasz tamte maile, które zawsze nosiłem przy sobie w Karpatii? – zapytał po dłuższej chwili. – Te wydruki?

– Od jakiejś nastolatki?

Opuścił wzrok na stolik.

– Wczoraj ją widziałem.

Wyczytałem z jego twarzy wszystko. Porażkę. Poczucie winy. Wstyd.

Tęsknotę.

– Czy ty ją…?

Rzucił mi spojrzenie ostre jak nóż.

– Nie pieprzyłem jej, jeśli o to pytasz.

– Nie, domyślam się, że nie – odparłem po namyśle. – Dochowasz wierności Jenny, póki śmierć was nie rozłączy.

Westchnął.

– Nie mów tego. Bo ja… dotykałem jej.

Uniosłem brwi, a on wstrzymał mnie ruchem ręki.

– Nie w taki sposób. Była na lunchu, na który zaprosił mnie Merlin. Zobaczyć ją to był szok. Jakbym dotknął przewodu pod napięciem. Teraz ma dwadzieścia lat, wiesz, i jest bez porównania piękniejsza, niż ją zapamiętałem. Wyszedłem za nią i rozmawialiśmy. Jest kurewsko bystra, a do tego kurewsko słodka i ule… – Urwał.

– Uległa – dokończyłem za niego.

Zamknął oczy.

– Przy ludziach nawinąłem sobie jej włosy na dłoń i szarpnąłem jej głowę w tył. Wcisnąłem jej sterczącego kutasa w brzuch, a ona na to, *tak, proszę*.

Z zamkniętymi oczami widziałem to jeszcze wyraźniej. Był porażony nie tylko wstydem spowodowanym faktem, że pragnął kogoś innego niż żona, ale także realną, fizyczną *żądzą*, udręką wynikającą z niedostępności kogoś, kogo pożądał w najbardziej elementarny sposób a kogo jednak posiąść nie mógł.

– Te rzeczy, które do mnie pisała, Embry – ciągnął. – Wiedziałem, że powie *tak, proszę*. Zawsze miałem poczucie, że w jakimś sensie jest dla mnie stworzona. Tak jak kiedyś czułem, że ty jesteś.

Miał opuszczone powieki, więc nie widział, jak się na to wzdrygnąłem. Jak odmalował się na mojej twarzy ból.

To przez to zranienie mu to powiedziałem.

– No więc zobaczyłeś ją i jesteś podjarany. Weź Jenny do łóżka i ulżyj sobie.

Otworzył oczy i zmierzył mnie twardym wzrokiem.

– To byłoby złe.

– Gorsze niż siedzieć tu ze sztywnym fiutem i napalać się na dwudziestolatkę?

– Nie siedzę ze sztywnym…

Sięgnąłem pod stolikiem i dotknąłem jego kutasa, grubego i sztywnego w lewej nogawce. Pierdoliliśmy się przez prawie trzy lata – wyczuwałem, kiedy mu stoi – wiedziałem, że stanął mu w chwili, gdy zamknął oczy i zaczął opowiadać o spotkaniu z nią. Siedzieliśmy przy stoliku w kącie sali, nasze krzesła stały obok siebie, więc bez trudu mogłem zrobić to dyskretnie.

Ująłem go w dłoń przez cienki materiał spodni i uścisnąłem. Syknął cicho.

– Kurwa, Embry – jęknął, ale nie próbował odsunąć się ode mnie. Zamiast tego popatrzył mi w oczy i lekko rozchylił nogi.

To mi wystarczyło. Dwa lata minęły, odkąd go ostatnio pieściłem, odkąd miałem okazję widzieć, jak jego tętnica szyjna zaczyna żywiej pulsować, a źrenice rozlewają się w dwa czarne jeziora pożądania.

– Nie okłamuj mnie – powiedziałem, nad stołem spokojny i uprzejmy, pod stołem ściskając go i miętosząc. – Czujesz coś, czego nie czułeś, odkąd

ostatnio mnie pierdoliłeś, i teraz nie wiesz, co z tym zrobić. Myślałeś, że potrafisz bez tego żyć, a teraz zdajesz sobie sprawę, że nie potrafisz. Nie zagłodzisz go, Ash. Zawsze tam będzie, głodny i nienasycony. – Zacząłem poruszać dłonią w tę i we w tę, opuszkami dwóch palców dociskając wędzidełko napletka. To były drobne ruchy, których nikt nie powinien zauważyć.

Nikt prócz Asha, który gwałtownie wciągnął powietrze i rozchylił nogi szerzej.

– Więc czemu nie miałbyś pozwolić, żebym ja go nakarmił – zamruczałem śpiewnie. – Czemu nie miałbyś mi pozwolić, żebym choć ten jeden raz mu dogodził?

Zacisnąłem dłoń, a on przymknął oczy.

– Ja nie… to nie jest w porządku… – mamrotał zdezorientowany, owładnięty przez wygłodniałą bestię w swoim wnętrzu.

– Opowiedz mi o niej coś jeszcze – poprosiłem, sam nie wiedząc, czy staram się mu pomóc, czy chcę go zniszczyć. – Powiedz, jak wyglądała. Co byś z nią zrobił, gdybyś miał okazję?

– Blond włosy – wymamrotał, nie unosząc powiek. – Srebrne oczy. Długa szyja. Dołeczek w brodzie, w którą chętnie wbiłbym zęby. Wszystko bym z nią zrobił.

Gwar kawiarni jakby ucichł, pozostawiając wyłącznie jego głos i cichy dzwonek alarmowy w tyle mej głowy.

– Jak jej na imię? – zapytałem, nie przestając miętosić go przez spodnie.

– Greer – wykrztusił. – Greer Galloway.

Czas nie stanął, krew nie zakrzepła mi w żyłach. Uświadomiłem sobie, że właściwie powinienem był się domyślić, może nawet w jakimś sensie się domyśliłem. Kiedy wpadła na mnie zapłakana w hotelowym holu. Co powiedziała w wagoniku diabelskiego młyna: *W sumie to nie byliśmy nawet*

razem. Ale i tak żywiłam do niego uczucia… Nikt normalny nie żywiłby przez cztery lata uczuć bez żadnej zachęty z drugiej strony…

To było zrządzenie losu, przeznaczenie, choć bynajmniej nie wierzyłem w przeznaczenie. A jednak *czułem się* tak, jakby to było zrządzenie losu: wszystko w moim życiu musiało mieć związek z Ashem. Odkrycie prawdy stopiło się we mnie z gniewem w jeden masywny blok ołowiu. Przez wszystkie te lata Ash po kryjomu kochał się w niej, w moim aniele, w mojej Greer. To ona zawładnęła tym zakątkiem jego serca, którego nigdy nie oddał mnie, to ona z pomocą garści dobrze dobranych słów uczyniła go swoim niewolnikiem. Teraz, kiedy sam ją poznałem, zrozumiałem. Pojąłem, dlaczego nie mógł jej sobie odpuścić.

Przez jedną straszliwą chwilę myślałem o tym, aby mu powiedzieć. Chciałem uświadomić mu, że byłem pierwszym mężczyzną, który znalazł się wewnątrz niej. To ja byłem tym, który zmył z jej ud dziewiczą krew. Ja sprawiłem, że uśmiechała się i wzdychała, i dopraszała się o więcej, ja pierwszy z całego świata kosztowałem jej i tuliłem ją w ramionach po orgazmie.

Ja. Pierdolony ja, a nie on. I wciąż byłem dość boleśnie zraniony jego zaręczynami z Jenny, żeby mu o tym powiedzieć. Pamiętacie, że jestem strasznym człowiekiem – samolubnym i podłym. To nie byłoby poniżej mojej godności.

A jednak nie powiedziałem mu.

Nie mogłem.

Nie dlatego, że poczucie sprawiedliwości wzięło górę nad moimi najgorszymi impulsami, ale z tego powodu, że go, kurwa, za mocno kochałem, żeby z premedytacją go skrzywdzić. *Nadal*.

I nie mogłem go skrzywdzić powtórnym spotkaniem z Greer. Chociaż jej numer wypalał dziurę w mojej kieszeni, a w mojej głowie tańczyły

wszystkie te fantazje typu: *a gdyby tak* zostać jej chłopakiem, wiedziałem, że nie mógłbym tego zrobić. Byłem na to zanadto szlachetny albo zbyt słaby, sam nie wiem.

Wypuściłem jego fiuta z dłoni.

Z jękiem opuścił głowę.

– Nie chcę, żebyś przestawał – przyznał.

– Nie muszę – odparłem, odsuwając kawę, której nawet nie tknąłem, i wstając od stolika. – Wystarczy, że każesz mi iść do toalety i czekać tam na ciebie na klęczkach, a ja to zrobię. Mógłbyś wybrać się na poszukiwanie swojej uległej blondynki i spuścić się na jej cudne loki, a ona byłaby tym zachwycona.

Jego usta ściągnęły się w ten kształt, który w zamierzeniu miał być srogi, lecz dla mnie stanowił wyraz rozkosznego nadąsania.

– Czy trafnie przeczuwam jakieś „ale”?

– Ale tego nie zrobisz. Chciałbyś wypierdolić mnie w usta. Tak strasznie byś tego chciał, że wystarczyłoby mi kilka ruchów, żebyś spuścił się tu, pod tym stołem. Pragniesz tamtej dziewczyny. Ale kochasz Jenny i jesteś zbyt wierny, żeby zerwać teraz zaręczyny wyłącznie dlatego, że nie jest dla ciebie odpowiednią partnerką.

Wydął wargi mocniej.

– To jest bardziej skomplikowane.

– Nie jest, daję słowo. – Rzuciłem na stolik drobne i zbierałem się do odejścia.

– Embry – odezwał się, nim zdążyłem się oddalić. – A co z tobą? Co z twoim aniołem? Twoją nocą z nią?

– To nic ważnego – odpowiedziałem i odszedłem.

Tak wkroczyłem w kłamstwo, które miało dręczyć mnie przez lata.

Ostatecznie poświęciłem dla Asha wszystko. Dlaczego nie miałbym poświęcić także jej?

23

Embry

po

*N*ie robisz dość.

Ash odwraca się do mnie w drodze do biurka.

– Robię dość i szczerze mówiąc, to tyle, ile ty dotąd zrobiłeś.

Jesteśmy w Gabinecie Owalnym. Za sobą mamy ciężki ranek w rezydencji, spędzony na wykuwaniu linii obrony wobec wideo Melwasa. Stworzenie planu nie było trudne – zaprzeczać, zaprzeczać, zaprzeczać – choć wszyscy wiedzieliśmy, że zaprzeczanie nie na wiele się zda. Nagranie było na to zbyt pikantne. Naród wziął się do patroszenia Greer z tym samym zapałem, z jakim ją wcześniej witał jako swoją królową. Najpierw w Internecie, potem w telewizji, gazetach codziennych i magazynach. Trieste błagała Greer, żeby nawet nie zbliżała się do Internetu, dopóki cała sprawa nie przycichnie. Merlin już wcześniej nakazał Linette odwołanie szeregu dawno zaplanowanych wystąpień, tak by przez najbliższe dwa tygodnie była jak najmniej widoczna.

Sama Greer z poważną, skupioną miną, ubrana w top z płytkim dekoltem, szarą spódnicę do kolan i półbuty damskie, z nogami skrzyżowanymi w kostkach z niezmąconym spokojem słuchała, jak cały pokój dyskutuje nad wideo, na którym widać, jak pierdoliła się z mężczyzną niebędącym jej świeżo poślubionym mężem. Spokojnie wygłaszała swoje opinie, spokojnie odpowiadała na pytania, spokojnie i jasno mówiła, co gotowa jest zrobić, a czego nie zrobi dla dogodzenia mediom.

Jest do tego stworzona, przypomniałem sobie po upływie drugiej ciężkiej godziny wałkowania strategii walki o wybór Asha na powtórną kadencję oraz implikacji, jakie niesie ze sobą nagranie. Lepiej od innych znała reguły tej gry i teraz je stosowała. Z imponującą rezerwą i godnością.

Umiała wzbudzić szacunek. Kay, Belvedere i Merlin oraz Trieste wiedzieli – Linette mogła się domyślać z dużą dozą pewności – że nagranie jest autentyczne, jednak kiedy Trieste zapytała o to otwarcie na początku zebrania, wystarczyło jej jedno lodowate spojrzenie, żeby temat został zarzucony raz na zawsze. Trieste zarumieniła się i wymamrotała jakieś przeprosiny, po czym szybko przeszła do linii obrony, potem już nikt inny nie ośmielił się poruszyć kwestii, która była oczywista.

A jeśli Greer wokół oczu miała czerwone obwódki, jeśli korektor nie skrywał w pełni śladów po ugryzieniach na szyi, jeśli krzywiła się, ilekroć poprawiła się na dwuosobowej sofie, którą dzieliła z Ashem, wówczas pokój udawał, że tego nie widzi. Ash z kolei siedział sztywno, pozwalając, by wszyscy wokół mówili, sam zaś gładził dłoń żony kciukiem i od czasu do czasu nachylał się do jej ucha, by coś szepnąć.

To nie było fair, że obrony wymagała przede wszystkim reputacja Greer. Dałbym się przykuć do skały i wydziobać sobie wątrobę, gdyby to mogło sprawić, że odium spadnie na mnie. Moją winą było samo istnienie

nagrania – powinienem był przewidzieć, że są tam kamery, w ogóle nie powinienem był jej tam pierdolić, powinienem był się domyślić, że Melwas nie podda się tak łatwo. To nie fair, że ludzie w pokoju ledwie na mnie zerkali, a na nią się gapili, nie fair, że powszechnie odsądzano ją od czci i wiary, podczas gdy o mnie mało kto się zająknął.

Lecz jakkolwiek to było ciężkie, to jeszcze nie było najgorsze. Rzecz w tym, że przyleciałem do Waszyngtonu z innym problemem niż wideo Melwasa.

Z problemem, o którym musiałem porozmawiać z Ashem najpilniej, jak to możliwe, tyle że najpierw należało się uporać z kwestią nagrania, a także samego Melwasa. A kiedy spotkanie dobiegło końca i wychodziliśmy z Gabinetu Owalnego, nie mogłem skupić myśli.

– Co chcesz ode mnie usłyszeć? – pytam go teraz, w jego gabinecie. – Że mi, kurwa, przykro? Słowo daję, Ash, że jest mi kurewsko przykro. W tej chwili zrobiłbym wszystko, żeby do tego nie doszło.

Ash mija mnie, by powiedzieć czekającemu na korytarzu Belvedere’owi, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Zamknąwszy drzwi, podchodzi do fotela stojącego koło kominka i zasiada na nim. Jego szerokie bary i długie, muskularne nogi wciąż dominują nad przestrzenią pomimo postawy zdradzającej zmęczenie.

– Nie wiem, co chcę od ciebie usłyszeć – mówi znużonym głosem. – Nie mogłeś wiedzieć, że tam są kamery. Nie mogłeś przewidzieć, że Melwas to zrobi. Stało się i po raz kolejny ludzie, których miałem chronić, są narażeni na ogromne nieprzyjemności.

Siadam w fotelu naprzeciw niego.

– Przetrwamy to, Ash. To okropne, ale Greer jest silna i doskonała i ona to jakoś przeżyje. A co do mnie, to mam to wszystko w dupie. Pamiętasz, mówiłem ci, że on nie odpuści.

– Pamiętam.

– I podtrzymuję tamte słowa. Dla Melwasa sprawa jeszcze nie jest skończona. Należy się spodziewać kolejnych ciosów.

Ash ściska palcami grzbiet nosa.

– A zatem? Czego ode mnie oczekujesz?

– Nie wiem, ale *coś* trzeba zrobić. Zabić go, nałożyć na niego sankcje… cokolwiek.

– Sądzisz, że którykolwiek z tych kroków nie doprowadzi do wojny? – Opuszcza rękę, by na mnie spojrzeć. – Uważasz, że to moralne prowokować człowieka, który tylko szuka *jakiegokolwiek* pretekstu do wojny?

– To nie prowokacja – odpowiadam, nachylając się do niego. – To nieustępliwość. To dbanie o bezpieczeństwo żony.

– Mam zobowiązania nie tylko wobec żony, ale i wobec mnóstwa ludzi, Embry. Wobec około trzystu dwudziestu milionów ludzi. Nie mogę wciągnąć kraju w wojnę dla bezpieczeństwa jednej osoby. To nie byłoby uczciwe.

– *Nikt* nie jest bezpieczny, dopóki Melwas może robić, co mu się spodoba!

Ash spogląda na mnie twardym wzrokiem.

– Pamiętasz Glein? Caledonię? Badon, gdzie poległ Dag, a krwi polało się tyle, że ziemia zmieniła się w grzęzawisko?

Przed oczami przelatują mi wspomnienia z Badon – miejsca ostatniej bitwy w tej wojnie – i krzywię się boleśnie.

– Przestań.

– Nie przestanę. Trzymałeś Daga w ramionach, gdy umierał, pamiętasz? Prosił cię, żebyś zadzwonił do jego siostry, nikt nie odbierał, ale ty

próbowałeś się dodzwonić, aż w końcu on już nie słyszał, co do niego mówiłeś.

– *Przestań*.

– Ilu ludzi straciłeś pod Badon? Siedemnastu z siedemdziesięciu jeden. Dwóm z nich miały się wkrótce urodzić dzieci w kraju, pamiętasz? Ośmiu z nich było świeżo po podstawowym szkoleniu. Ile flag potem złożyłeś? Ile wdów uściskałeś? Przed iloma dziećmi klęknąłeś, żeby spojrzeć im w oczy i powiedzieć: *twój tatuś zginął jak bohater*, choć wiedziałeś, że ich ojcowie krzyczeli z bólu w agonii, nie mając przy sobie nikogo, kto potrzymałby ich za rękę, gdy…

Zrywam się z fotela, wściekły.

– Pierdol się! – rzucam mu w twarz.

– Przepraszam, jeśli wspominając wojnę, odebrałem ci na nią chęć – odpowiada łagodnie. – Nie miałem pojęcia, że zareagujesz tak gwałtownie.

Przez długą chwilę patrzymy sobie w oczy.

Ash pierwszy przerywa milczenie.

– Widziałeś to, co i ja widziałem, Embry. Ludzie nas wybrali, bo uważali za bohaterów wojennych, ale co do mnie, to w dniu objęcia stanowiska przysięgłem sobie, że nie pozwolę na to, żeby te rzeczy kiedykolwiek się powtórzyły. Gwałcone kobiety, osierocone dzieci, *zabite* dzieci. Głodni, bezdomni, domy wysadzone w powietrze, worki ryżu… jeśli jedynym dokonaniem mego życia będzie niedopuszczenie, by to się powtórzyło, to umierając, będę mógł śmiało spojrzeć Bogu w oczy. Nie zaatakuję Melwasa i to, kurwa, moje ostatnie słowo.

Odwracam się, potem znów obracam się do niego, przeczesuję palcami włosy.

– Nie zgadzam się z tobą.

– W takim razie dobrze, że ja jestem prezydentem, a nie ty.

Zaczynam chodzić po gabinecie.

– Powiedz mi, że ona jest bezpieczna. Zapewnij mnie, że on nie zdoła już nigdy jej skrzywdzić.

– Wiesz, że tego nie mogę obiecać. – Głos Asha jest spokojny, lecz odwróciwszy się do niego, widzę w jego oczach bolesne błaganie. – Jest tak bezpieczna, jak mogę jej to zapewnić. Tak bezpieczna, jak to możliwe.

– Chcę, żeby była jeszcze bezpieczniejsza.

Wzdycha i poprawia krawat.

– Embry.

– Czy w pełni ufasz wszystkim agentom, którzy ją chronią? Wszystkim jej przyjaciołom?

– Nie ufam jej kuzynce.

No i masz. Problem, z którym przyleciałem do Waszyngtonu, dręcząca zagadka, nad którą się biedzę od dnia, kiedy wszedłszy do biblioteki w domu matki, ujrzałem zapłakaną siostrę. Zatrzymuję się, co zwraca uwagę Asha.

– Embry?

Siadam. Nie patrzę na niego. Myślę o zaczerwienionych oczach Morgan, o okrutnym uśmieszku Abilene. *Zacznijmy od wyjaśnienia, dlaczego od tej pory będziesz robił dokładnie to, co ci każę*.

Boże, jakby mało było…

Odchrząkuję.

– Myślę, że Abilene miała udział w porwaniu Greer.

– Ja też. Ale nie mam dowodu. A ty?

Kręcę głową.

– Nie, ona nie… nie. Nie mam. Ale ona nienawidzi Greer, a do tego jest niebezpieczna. To wystarczający dowód.

Ash nic nie odpowiada, nie rusza się, tylko mnie obserwuje. Myślę o tym wszystkim, czego zażądała ode mnie Abilene, o wszystkich kłamstwach, które kazała mi powiedzieć, i myślę o mojej siostrze, skulonej i kompletnie przegranej.

Morgan Leffey przegrana. Na samo wspomnienie aż mnie skręca. Do tamtej chwili nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo kocham swoją siostrę, jak bardzo kocham… no cóż… Zapewne to, jak bardzo kocham jego, wiedziałem zawsze.

– Abilene i ja… – urywam, nie wiedząc, od czego zacząć. Jestem wybornym kłamcą, ale tym razem ciężko mi idzie. – W Seattle. Nawiązaliśmy kontakt.

Ash unosi brwi.

– Nawiązaliście kontakt?

Już mam to zrobić, już mam zanurzyć się w kłamstwo, gdy Ash wskazuje skrawek podłogi przed swoimi butami.

– Chcę, żebyś był tutaj, kiedy będziesz mi o tym opowiadać.

– Nie zamierzam klękać przed tobą – odpowiadam rozdrażniony. – Nie w taki sposób.

Rozpina marynarkę.

– Mam cię zmusić? Co do *mnie*, to chętnie to zrobię. Powiedz tylko słowo.

Patrząc na niego wilkiem, podchodzę do niego i siadam na stoliku do kawy.

– Tu. Jestem przed tobą? Starczy?

Spogląda na mnie spod zmarszczonych brwi, ale po chwili kiwa głową.

– Tak. Starczy, bo widzę twoje oczy.

– Jakie to ma znaczenie?

– Zbierałeś się do kłamstwa.

W tej chwili nie mogę znieść jego spojrzenia. Odwracam wzrok.

– Śmiało, Embry. I nie kłam.

Zastanawiam się. Abilene chciała, żebym wmówił coś Greer, i uznała, że aby to zrobić, muszę przekonać również Asha. Jednak to właśnie on najbardziej by ucierpiał, gdyby znał prawdę. Muszę podążać wąską ścieżką między dwoma zestawami kłamstw i wcale nie jestem pewny, czy potrafię tego dokonać.

– Abilene skontaktowała się ze mną w Seattle – zaczynam, z trudem wyciągając cienki drut prawdy. – Chce, żebyśmy ze sobą byli. Zgodziłem się.

– Patrz mi w oczy.

Patrzę mu w oczy.

– Dlaczego? – Głos ma obojętny, lecz w jego oczach widzę płomień. – Dlaczego się zgodziłeś?

Tu kłamstwo zarazem *nie* jest kłamstwem.

– Żeby chronić Greer.

– Pierdoliłeś ją? – Wciąż pali mnie wzrokiem.

– Nie.

– A będziesz?

– Nie.

Rozluźnia się.

– A zatem ten układ, służący ochronie Greer, to czysto formalna transakcja?

Wypuszczam powietrze.

– Po części także prywatna. Greer musi w nią uwierzyć. Tego właśnie chce Abilene. Żeby Greer w to uwierzyła i żeby ją to zabolało.

Ash przygląda mi się.

– To faktycznie zaboli naszą księżniczkę, Embry. To może jej wyrządzić krzywdę nie do naprawienia. Czy ta „ochrona” jest tego warta?

Myślę o wszystkich ofiarach, jakie złożyłem, żeby chronić moich bliskich. Jaką różnicę zrobi jedna więcej?

– Nie wiesz, przed czym staram się nas uchronić, Ash.

– Mogę się dowiedzieć?

Boże, nade wszystko tego nie może się dowiedzieć.

– Nie.

– Nie co?

W gabinecie zjawia się Greer, słodka i opanowana. Dla świata wygląda tak, jakby spędziła ranek na lekturze T.H. White’a, a nie na wysłuchiwaniu, co obcy ludzie mają do powiedzenia na temat problemów wynikających z faktu, że upubliczniono jej akt zdrady wobec męża. Ogarnia mnie panika, oglądam się na Asha, lecz on tylko kręci głową, jakby mówił: *nie licz na pomoc z mojej strony*.

Belvedere wtyka głowę w drzwi, gotów wygłosić jakieś usprawiedliwienie, i Ash unosi rękę, żeby go powstrzymać.

– W porządku, Ryan.

Na twarzy Belvedere’a maluje się ulga, znika i zamyka drzwi za sobą.

Greer siada na kolanach Asha – zaledwie kilka centymetrów dzieli ją od stolika do kawy, na którym siedzę ja – i wyciąga do mnie rękę.

– Powiedziałeś mi, żebym przyszła do ciebie, gdybym się jakoś dziwnie poczuła po dzisiejszym ranku – mówi cicho do Asha i układa sobie moją dłoń na podołku. Na przekór wszystkiemu, otarcie się knykciami o jej uda sprawia, że w okolice mego krocza napływa ciężka fala krwi. – Belvedere powiedział, że siedzicie tylko we dwóch, więc pomyślałam…

– Nie przerwałaś nam niczego wagi państwowej – uspokaja ją Ash. – Jednak Embry ma nam coś do powiedzenia.

Greer zwraca na mnie swoje srebrne oczy, a ja myślę o wszystkich razach, kiedy ją zawiodłem. Jak musiała czuć się po Chicago. O wszystkich tych razach, kiedy spotykałem się z nią i Ashem, cuchnąc kimkolwiek, z kim się dopiero co pierdoliłem. O chwili, kiedy pozwoliłem na to, żeby mój wewnętrzny potwór posiadł ją w Karpatii, i na to, żeby nasz pokrętny seks został utrwalony na filmie.

Przepełnia mnie wstyd, ale w tym momencie żaden wstyd nie jest w stanie przeważyć strachu, jaki budzi we mnie Abilene. Więc mówię. Mówię kłamstwo, które rozedrze Greer na strzępy i daj Boże, ocali nas wszystkich.

– Twoja kuzynka i ja zaczęliśmy się ze sobą spotykać. Myślę, że powinnaś o tym wiedzieć.

Kiedy docieram do Number One Observatory Circle, już wiem, kto tam na mnie czeka. Agenci ochrony zgłosili się przez radio, a ja zadysponowałem, żeby ją wpuścili przez bramę, jednak mimo wszystko widok Abilene Corbenic na huśtawce zawieszonej na werandzie działa mi na nerwy.

– Cześć, kochanie – grucha pieszczotliwie i przekonująco, zeskakując z huśtawki i podchodząc do mnie. – Jak ci poszło? Jaką zrobiła minę?

Przypominają mi się skulone, usztywnione ramiona Greer i nerwowe mruganie, gdy wypuściła moją dłoń. *A ja myślałam, że jest nas tylko troje. Czy Ash i ja to dla ciebie za mało?*

– Pierdol się – odpowiadam Abilene uprzejmym tonem. Wkładam klucz do zamka i uświadamiam sobie, że drzwi nie są zamknięte na klucz, najwyraźniej zapomniałem je zamknąć po ostatniej wizycie.

Abilene wchodzi za mną do środka.

– Ale na serio… jej mina, Embry. Była zła? Zraniona? Zbita z tropu?

Jest was dla mnie aż nadto, Greer, ale Abilene jest kimś wyjątkowym. Nic na to nie poradzę.

Musisz coś z tym zrobić. Moja noc poślubna – obiecałeś, że będziesz mnie kochał – wszyscy troje przysięgliśmy sobie nawzajem, że postaramy się sprawić, żeby to się udało!

I wtedy kłamstwo, które zabolało mnie najbardziej ze wszystkich, ponieważ potwierdzało jej najgorsze obawy i lęki związane z moją osobą. *Wiesz, jaki jestem, księżniczko. Lubię pierdolić masę ludzi. Nie potrafię zatrzymać się w jednym miejscu zbyt długo i Abilene jest moim nowym miejscem przeznaczenia*.

Przygryzła swoją pełną dolną wargę, z trudem zachowując spokój. *Czy to dlatego, że nie jestem taka ładna jak ona? Ani taka zabawowa?* Te słowa wypowiedziała z trudem, jakby wbrew woli, jakby nie mogła znieść tego, że je mówi, ale one musiały wydostać się na zewnątrz. A ja nie mogłem znieść wbijania noża tak głęboko… wiedziałem jednak, że tego właśnie chce Abilene. *Musisz przyznać, księżniczko, że ona jest* wyjątkowo *piękna*.

– Jedno, drugie i trzecie. – Rzucam kluczyki na tacę na stoliku i ruszam do barku w salonie. Nie ma w nim wiele poza dwunastoletnią whisky Macallan, ale to akurat moja ulubiona, więc nie wybrzydzam. – Zła, zraniona i zbita z tropu. Masz, czego chciałaś. No, to już możesz iść.

Abilene sadowi się w najlepszym fotelu pod oknem.

– Jeszcze nie. Najpierw opowiedz mi więcej o Greer.

Wychylam duszkiem szklankę ciepłej whisky single malt, ocieram usta i napełniam szklankę ponownie. Gdzieś na marginesie świadomości przemyka myśl, że jeszcze nie ma trzeciej po południu.

– Czemu to robisz? Greer nigdy ci nie zaszkodziła.

W aurze Abilene następuje coś jak nagłe wyładowanie elektryczne.

– Tak myślisz, chłoptasiu? – pyta niskim głosem. – Bo ja mam mocne poczucie, że wręcz przeciwnie.

Wlewam w siebie drugą porcję, napełniam szklankę po raz kolejny i opadam na kanapę.

– No to czym ci zawiniła, Abilene. Miała w szkole lepsze stopnie? Obsadzili ją w lepszej roli w szkolnym przedstawieniu? Dziadek ją bardziej kochał? A ty przez te wszystkie lata czekałaś na okazję, żeby jej za to odpłacić?

– Nie bądź śmieszny – odpowiada chłodno.

– Tak też myślałem. Mówiła mi, że w szkole nie była popularna, że zawsze pozostawała w twoim cieniu, że to ciebie wszyscy lubili.

Niemalże słyszę kolejne trzaski wyładowań, a w oczach Abilene pojawia się szczególny odcień błękitu, kojarzący mi się z żyłami… lub sinymi wargami trupa.

– Tak mówiła? – Głos Abilene wciąż brzmi nisko. – To cię okłamała, tak jak mnie okłamywała.

– Okłamywała cię?

Abilene mówi, jakby w ogóle mnie nie słyszała.

– Wszyscy *uwielbiali* Greer. Każdy chłopak chciał ją pocałować, każda dziewczyna chciała nią być. Nauczyciele ją rozpieszczali, dziadek zawsze wolał ją ode mnie, nawet rodzice ubolewali, że nie jestem taka bystra i grzeczna jak ona. Ale była taka wyniosła, taka zdystansowana, że nawet sobie z tego nie zdawała sprawy. Nie docierało do niej. Mogłaby zostać królową szkoły, gdyby choć raz wytknęła nos z książek, i to mnie wkurza. Mogła mieć wszystko i nawet o tym nie wiedziała. Nie zauważała tego. Miała to w nosie.

Piję.

– Wciąż nie rozumiem, co w tym uważasz za kłamstwo.

Abilene chwyta powietrze, jakby nie mogła uwierzyć, że jestem takim idiotą.

– Nie okłamywała mnie w sprawach, które miały związek ze szkołą, kretynie. Chodziło mi o to, że kłamała o *nim*. Kłamała, kłamała, aż w końcu sprzątnęła mi go sprzed nosa.

Nie zamierzałem jej się przyglądać, lecz ostatnie słowa sprawiły, że odwracam głowę, by lepiej widzieć jej minę.

– O nim? Masz na myśli Asha?

– Wiedziała, że go kocham. Był wszystkim, czego potrzebowałam do szczęścia, i sprzątnęła mi go sprzed nosa, zanim w ogóle nadarzyła mi się okazja, żeby go zdobyć. – Jej głos brzmi gorzko, lecz widząc, że wybałuszam na nią oczy, podnosi się z uśmiechem na twarzy. Podchodzi do mnie z rozmyślną powolnością, która czyni eleganckie linie jej ciała tym powabniejszymi. Naraz w pełni odczuwam, jak dwie i pół szklanki szkockiej grzeją mnie w żołądku, i równie mocno czuję świeżą kłótnię z Greer.

– Jakoś, *jakoś*, dobrała się do niego pierwsza. To ja powinnam całować się z nim na tamtej imprezie przed laty. To ja powinnam stanąć z nim na ślubnym kobiercu, ale kiedy próbowałam wyjaśnić mu to w Genewie, odepchnął mnie. Powiedział, że *kocha* ją.

Abilene wymawia słowo *kocha*, jakby oznaczało coś plugawego, obscenicznego, jakby kochać Greer było uczynkiem w jakimś sensie odbiegającym od normy, naruszeniem tabu.

Sadowi się na moich kolanach, najnaturalniej w świecie, jakby to było normalne.

– Odebrała mi wszystko, czego pragnęłam, tak jak odbierała mi miłość i sympatię wszystkich wokół w czasach szkolnych. A skoro ja nie mogę

mieć Maxena, to ona nie może mieć ciebie. Prawdę mówiąc, chcę, żeby nie miała nic. – Przykłada dłoń do mego policzka i przekrzywia wdzięcznie głowę.

Kiedy byłem dzieckiem, moja babka miała mechanicznego ptaka ze skrzydłami zdobionymi złotym filigranem i oczkami z rubinów. Ptak był piękny i misterny, a gdy nakręciło się go kluczykiem ukrytym między skrzydłami, przekrzywiał łepek, otwierał dziubek i trzepotał skrzydłami. I teraz, kiedy Abilene przechyla z wdziękiem głowę, myślę o tamtym ptaku. Mechanicznie precyzyjnym i pięknym, i totalnie, totalnie nieżywym.

Mylnie odczytując mój badawczy wzrok, Abilene nachyla się i przykłada wargi do moich ust. Nie odwzajemniam pocałunku, nie zamykam oczu. Patrzę na nią i zastanawiam się, jak to się stało, że porywcza, namiętna dziewczyna, o której opowiadała mi Greer, przemieniła się w tę złowrogą, mściwą maszynę. Dziewczyna, która była pierwsza do zabawy, pierwsza do bitki, pierwsza do śmiechu. Co się z nią stało? Czy naprawdę zgorzkniała dlatego, że straciła szansę na miłość Asha?

Abilene otwiera oczy i nieco odchyla głowę.

– To może być dla nas niezła zabawa – mruczy uwodzicielsko. – Oboje możemy coś z tego mieć.

Kurwa, szkocka mnie bierze nie na żarty. Chciałbym pozbyć się Abilene z kolan, z domu, z życia, ale jestem tak pijany, że ledwie poruszam członkami, ledwie poruszam ustami. Ostatecznie jednak udaje mi się wstać, trzymając ją w ramionach, a potem postawić na jej własnych nogach, i robię to mniej delikatnie, niż bym mógł.

– Nawet gdybyś była ostatnią kobietą na Ziemi, Abilene, nauczyłbym się kochać owce. Wypierdalaj z mojego domu.

Znów przekrzywia głowę, lecz już nie kokieteryjnie, ale ze złością.

– Nie pozwalaj sobie, Embry. To nie fair, żeby ona miała was obu, i zamierzam załatwić to raz na zawsze.

– Gówno mnie obchodzi, co będziesz robić, dopóki dotrzymasz słowa w kwestii Morgan. – Podchodzę do drzwi i otwieram je. Od szkockiej wszystko zrobiło się tak niewyraźne i rozmyte, że przez chwilę mocuję się z gałką, nim udaje mi się ją przekręcić.

– Jeszcze pożałujesz swoich słów, kochasiu – zapowiada słodkim, śpiewnym głosem Abilene, po czym wychodzi na werandę, a ja zatrzaskuję za nią drzwi.

Wciskam nasady dłoni w oczy, ledwie stoję na nogach, taki jestem pijany i zmęczony. Jak ja się, kurwa, wpierdoliłem w takie gówno? Dlaczego to zawsze ja muszę dawać, dawać, dawać, aż w końcu nic mi, kurwa, nie zostaje? Zawsze skory do podejmowania złych decyzji, wracam do salonu, dopijam trzecią szklankę szkockiej i wlokę się schodami na piętro, by paść na łóżko. Nawet nie zdejmuję butów. Moja ostatnia myśl przed zapadnięciem w ciemną falującą otchłań dotyczy Greer i tego, jak światło dnia odbijało się od jej białozłotych włosów, kiedy złamałem jej serce w Gabinecie Owalnym.

Potem śnię. Śnię mroczne, ciężkie sny o Greer i Ashu, który trzyma żonę otwartą dla mnie, i o zgotowanym mi przez nią mokrym powitaniu, kiedy przytula mnie do swego ciała. W moim śnie Greer szepcze, że mnie kocha, że mi wybacza, że wpuści mnie do swego wnętrza, ilekroć będę tego potrzebował. *Proszę*, błagam wyśnioną Greer, *zrób tak, żebym poczuł się lepiej. Pozwól mi się spuścić w tobie*.

Sen się wlecze, ciało i pierdolenie, i tego rodzaju rzeczy, do których człowiek nie przyznaje się na trzeźwo, i w tym śnie dochodzę raz po raz, podczas gdy Greer wykrzykuje moje imię *Embry, Embry, Embry*…

– Embry – rozlega się przymilny kobiecy głos. – Embry, obudź się, twój budzik.

Otwieram oczy w pokoju prześwietlonym słońcem, z ciałem zaplątanym w prześcieradła. Jestem lepki od potu, odwodniony, nagi i…

Mój budzący się mózg przeszywają kolce paniki.

Obok mnie leży Abilene. Ona także jest naga.

Wyciągam rękę, wyłączam budzik i patrzę na nią. Naprawdę na nią patrzę.

– My chyba nie… – Mój głos jest w tej chwili równie niepewny jak moja pamięć. Tamte sny były *tak* plastyczne, a ja tak się upierdoliłem tą szkocką, choć w zasadzie trzy szklanki to dla mnie znowu nie tak wiele…

Wciąż jej się przypatruję. Potargane rude włosy, blada, upstrzona piegami skóra.

– Czego my chyba nie, kochasiu? – Grucha kokieteryjnie.

– Powiedziałem ci, żebyś się wynosiła. Widziałem, jak wychodziłaś.

– Być może martwiłam się o ciebie. Tyle wypiłeś. Być może wróciłam, aby się upewnić, że trafiłeś do łóżka. A potem… byłeś taki zdesperowany, taki spragniony. Proszę, zrób tak, żebym poczuł się lepiej, mówiłeś. Pozwól mi się spuścić w tobie.

To już nie zimny pot, to autentyczne lodowate dreszcze. Mój sen, mój pijany sen – czy to możliwe, żebym wypierdolił Abilene i nic nie pamiętał? Na samą myśl o tym czuję się zmrożony do kości z obrzydzenia, lecz te myśli pełzają po mnie jak robaki po wieku trumny. Mam chęć zedrzeć z siebie skórę, wypalić te myśli z mojego mózgu i…

– Dolałaś mi czegoś do szkockiej – rzucam pod jej adresem, jednocześnie skręcając się ze wstydu i złości na siebie, bo przecież można się tego było po niej spodziewać. – Drzwi były otwarte. Nigdy jeszcze tak

się nie zaprawiłem kilkoma szklankami. Chryste, Abilene, co tu było, kurwa, grane?

Abilene wstaje z łóżka, nie kłopocząc się okrywaniem nagości.

– No cóż, teraz nie da się niczego udowodnić, bo butelka gdzieś przepadła. Badanie krwi mogłoby wykazać obecność GHB i kilku innych zręcznie dobranych prochów, takich, od których facet traci świadomość, ale nie traci ochoty i zdolności do osiągnięcia… – szczerzy zęby w uśmiechu, od którego bierze mnie chęć, by gołymi rękami zwalić ściany – *imponującej* erekcji. Sam spójrz. – Podchodzi do kominka i wskazuje rząd stojących na gzymsie buteleczek z ciemnopomarańczowego szkła. – Wygląda na to, że na wszystko masz recepty.

Rzuca mi jedną z buteleczek. *GHB na nocne lęki powiązane z szokiem pourazowym*. Żaden lekarz nigdy nie przepisał mi nic takiego, a jednak widzę na etykietce nazwisko swoje i lekarza, i dam głowę, że gdyby poszperać, znalazłaby się cała niezbędna dokumentacja medyczna.

– Dotarłaś do służb medycznych Białego Domu?

– Poprzestańmy na tym, że organizowanie spotkań stwarza okazję do nawiązania kontaktu z najróżniejszymi ludźmi.

– Ale… – Spoglądam na butelkę, na swoje ręce, na swoje nagie uda. – Powiedz mi prawdę. Pierdoliliśmy się?

– Marzyłam o tym, odkąd cię poznałam. Rusz głową, kochasiu. Po co miałabym sobie zadawać tyle trudu, jeśli nie po to, żeby się z tobą pierdolić?

Muszę przyznać, że to trafna uwaga. To wymagało planowania i szantażu wykraczającego poza poziom zwykłego kłamstwa.

– Nienawidzę cię – mówię już spokojniejszym głosem. – Za szantażowanie nas, za to, że mnie oszukałaś, za to, że zraniłaś Greer. To wszystko jest niewybaczalne.

– Wybaczanie jest przeceniane. Liczy się satysfakcja. – Wciąga sukienkę przez głowę, wsuwa stopy w szpilki, wygląda świeżo i zawadiacko, wcale nie jak mechaniczna, metalowa bestia, którą jest naprawdę. Przystaje przed drzwiami. – Jeszcze jedna sprawa. Zapomniałam ci powiedzieć, że nie stosuję antykoncepcji.

Długo wypuszczam powietrze z płuc. Oczywiście, że nie stosuje. Oczywiście.

Posyła mi pocałunek.

– Jesteśmy w kontakcie.

24

Greer

po

sześć tygodni później

Kiedy się okazało, że nie jestem w ciąży, powiedziałam o tym Ashowi dopiero na trzeci dzień.

Nie chodziło o to, że bałam się jego reakcji albo że nie chciałam jego wsparcia, ale raczej o to, że zanim podzieliłam się tym z kimkolwiek, najpierw musiałam przetrawić to sama. To taka osobista sprawa, dzieci lub ich brak – dojmująco osobista, wręcz samotnicza. Moje uczucia były jak tort złożony kolejno z warstw żalu, ulgi i nadziei umarłych, nim zdążyły rozkwitnąć.

Musiałam stawić temu czoło: choć wątpliwe, czy byłoby to mądre, ale wbrew świeżości naszego małżeństwa, mimo zdrady Embry'ego, który związał się z Abilene, pragnęłam być w ciąży. Chciałam, żeby moje dziecko należało do moich mężczyzn. Chciałam nie dlatego, że Merlin doradzał to

jako zręczny chwyt w kampanii na rzecz reelekcji Asha, ale ponieważ kochałam Asha i Embry’ego tak mocno, że czasami wydawało się, że ta miłość posiada własne życie i witalność, niezależne ode mnie. I ta miłość przyzywała ciążę jak Księżyc przyzywa fale przypływu, w mroczny, wodnisty sposób, naraz powolny i szybki.

Jednak dostałam miesiączki i życie toczyło się dalej. *Tym lepiej*, mówiłam sobie i poświęcałam każdą chwilę wypełnianiu obowiązków Pierwszej Damy i przygotowaniom do jesiennego semestru na uniwersytecie Georgetown. I to właśnie robię dzisiaj.

Ani moje stanowisko na uniwersytecie mnie do tego nie uprawnia, ani moje zasługi, jednak choć w semestrze jesiennym będę prowadzić zajęcia tylko dla dwóch grup studentów, ze względu na moją godność Pierwszej Damy, władze uczelni przyznały mi własny gabinet. Jest mały, lecz ma okno i mieści się w miejscu, jak informuje mnie Luc, „strategicznie dogodnym”. Jest dopiero pierwszy sierpnia i pozostało mi mnóstwo czasu na urządzenie się tu w kampusie, lecz piliło mnie, żeby wyrwać się z Białego Domu, nie mogłam już znieść tych niekończących się występów i spotkań, w których muszę uczestniczyć, żeby uwolnić się od stygmatu niewiernej żony. A przede wszystkim, żeby uwolnić się od widoku tego zdradzieckiego rozpustnika Embry’ego Moore’a, który nadal przesiaduje do późnej nocy w naszym salonie i pracuje z moim mężem. Wciąż otwiera przede mną drzwi i patrzy na mnie tymi oczami, które mogłyby topić lodowce.

Na samą myśl o nim trzaskam pudłem z książkami tak energicznie, że Gavin, agent czuwający dziś nad moim bezpieczeństwem, wtyka głowę przez drzwi, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Przeganiam go, a potem biorę kilka głębokich wdechów i dla uspokojenia wymyślam

listę synonimów dla nazwiska *Embry Moore*. Perfidny. Fałszywy. Zmienny. Kłamliwy. Niewierny.

Użycie tego ostatniego słowa w odniesieniu do kogokolwiek nabiera w moich ustach, Greer Galloway-Colchester, szczególnego znaczenia, czego jestem w pełni świadoma. A jednak nie staje się ono przez to mniej prawdziwe. I pomyśleć, że zszargałam swoją reputację dla *niego* – któremu prasa już wszystko wybaczyła i zapomniała, który ni stąd, ni zowąd wziął sobie do łóżka Abilene, który złamał mi serce…

Trach, *trach*. Przekładam kolejne pudła, wymyślam kolejne inwektywy. Kiedy słyszę pukanie, spodziewając się, że to znowu Gavin, unoszę głowę, aby mu wyjaśnić, że to tylko pudła, i zamieram. To nie Gavin.

Embry wchodzi do gabinetu i zamyka za sobą drzwi. W zestawieniu z jego złotym zegarkiem i wysokimi kośćmi policzkowymi wszystko wokół wygląda na tandetne i zakurzone, a błękit jego oczu przyćmiewa wszelkie inne barwy. Przygląda mi się przez chwilę i naraz dociera do mnie, że jestem zgrzana i spocona od szamotania się z ciężkimi pudłami w bijącym zza okna dusznym upale sierpnia w Dystrykcie Kolumbii. Prostuję się, odgarniam z twarzy zbłąkane loki.

Embry na ułamek sekundy przygryza wargę, a potem włącza – jak zwykle, kiedy brakuje mu pewności siebie – swój urok.

– Czy naprawdę nie minął jeszcze rok, jak cię tu odwiedziłem? – Uśmiecha się do mnie i wykonuje gest, jak rozumiem, ogarniający Wydział Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Georgetown. Jego zegarek połyskuje w blasku słońca.

Ten uśmiech, te dołeczki, ten szykowny garnitur na jego wysokiej, zgrabnej figurze – wszystko to przyciąga mnie z magnetyczną siłą i muszę się nieźle natrudzić, by stawić jej opór.

Dwulicowy. Zdradziecki. Podstępny.

Niewierny.

– Co tu robisz, Embry? Na pewno nie przyszedłeś po to, żeby wspominać dawne czasy.

– Chciałem z tobą porozmawiać. Nie rozmawialiśmy, odkąd… no wiesz.

– Odkąd uznałeś, że wolisz Abilene od nas? – pytam, nie starając się maskować urazy i złości.

Na policzki występuje mu rumieniec, ale nie zaprzecza.

Wieczorem w przeddzień spotkania, podczas którego Embry przyznał się do swego związku z Abilene, Ash posadził mnie sobie na kolanach i wyjaśnił głosem tak obojętnym i rzeczowym, że wyczuwałam w nim z trudem powściąganą wściekłość, jak doszedł do wniosku, że to ona wydała mnie w łapy Melwasa. Powiedział mi również, że jego zdaniem to ona przekazała nagranie mediom, by uniknąć jakichkolwiek dających się wyśledzić powiązań z Karpatią.

– Nie da się tego udowodnić, w każdym razie jeszcze nie, ale proszę, zachowuj się w stosunku do niej z najwyższą ostrożnością.

Zabolało mnie rzecz jasna potwierdzenie podejrzenia, że najbliższa przyjaciółka przysporzyła mi tyle wstydu i zgrozy, a jednak odczułam to bardziej jak tępy ból, niż jak dźgnięcie sztyletu. Jeśli chodzi o Abilene, to noszę już w sercu tyle blizn po jej pchnięciach, że przez ich zgrubiałą bliznowatą tkankę odczuwam ból kolejnego ciosu jako ledwie odczuwalny.

Jednak gdy Embry oznajmił nam, że zaczął się z nią spotykać, poczułam się tak, jakby grunt usunął mi się spod nóg. Jak mógł spojrzeć jej w oczy, wiedząc, co zrobiła? Dotykać jej? Całować ją? Pierdolić?

Tamtej nocy wtuliłam się w ramiona Asha i złożyłam mu głowę na piersi, niezdolna do płaczu, choć rozpaczliwie spragniona ulgi, jaką mógłby mi przynieść. W przypadku Embry’ego, mojego serca nie chroniła

dostatecznie gruba zbliznowaciała tkanka. Fakt, że porzucił nas dla Abilene, ranił i kroił bardziej niż najostrzejszy nóż.

Teraz w moim gabinecie Embry patrzy na mnie błagalnie.

– Greer, proszę. Nie chciałem, żeby to tak wyszło.

– Nie sądzę, bym kiedykolwiek była w stanie zrozumieć, jak *chciałeś*, żeby to wyszło.

Odwraca wzrok, ściągając brwi w wyrazie delikatnego arystokratycznego nadąsania.

– Sądziłem, że to najlepsza szansa, jaką mam – odpowiada trochę żałośnie, i jest w tym jego tonie coś, co sprawia, że przyglądam mu się uważniej, że dostrzegam w jego wyrazie twarzy nowe drzwi w miejscach, gdzie kiedyś były okna.

– Najlepsza szansa na co?

Rozchyla usta. W profilu ze swoją fryzurą w stylu pana Darcy'ego i dumnym czołem wygląda, jakby zszedł z okładki broszurowego wydania romansu z epoki regencji.

– Ja…

Spogląda na mnie i w jego oczach coś się zmienia. A ja natychmiast wiem, o co chodzi – w tej chwili zmienił zdanie i postanowił rozminąć się z prawdą.

– Ja jej nie kocham – mówi to, zamiast powiedzieć coś, cokolwiek to było, co zamierzał wyjawić pierwotnie. Mam wrażenie, że w jego słowach jest coś z prawdy, ale niewiele. Mniej niż połowa.

– Miłość to nie jest po prostu uczucie, Embry. Miłość to czyny, to dzielenie z kimś czasu i przestrzeni, a ty dzielisz swój czas i przestrzeń z *nią*. Wybierasz ją, chociaż przysięgałeś Ashowi i mnie, że wybrałeś nas.

Krzywi się boleśnie.

– Wiem, że na to wygląda. To znaczy, wiem, że tak jest… poniekąd, ale uwierz mi, że kocham ciebie i Asha bardziej niż kiedykolwiek. Gdybym mógł w jakiś sposób…

– Na ma takiego sposobu – odpowiadam sucho, na przekór emocjom przelewającym się przez granice mego serca. – Nie mogę być z tobą, kiedy ty jesteś z nią. Wiesz, co ona zrobiła, jak mnie zraniła. Jak mogłeś?

– Wiem, wiem – jęczy, zasłaniając oczy. – Wiem, co ona zrobiła. Wiem, że boli cię to do dziś. I gdybym tylko mógł temu zaradzić, zrobiłbym to.

Podchodzę do niego i staję na pudle z książkami, żebyśmy byli równie wysocy.

– Możesz – rzucam wściekła. – Możesz w każdej chwili, ale nie chcesz. Dlaczego? Czy jest ode mnie bystrzejsza? Ciekawsza?

Jego oczy wycinają błękitne ścieżki do moich ust, do mojej szyi, a potem wracają do moich oczu.

– Nie ma nikogo bystrzejszego ani ciekawszego od ciebie.

– Więc o co chodzi, Embry. Ma słodszy smak? Jest miększa? Ciaśniejsza?

Nim dociera do mnie, co się dzieje, przyciąga mnie do siebie i mocnymi dłońmi przyciska moje ciało do swojego. Stojąc na pudle, znajduję się na takiej wysokości, że czuję jego sterczącego fiuta wprost na cipie. Bije od niego gorąco, słyszę, jak głośno dyszy. Niemal od razu moje ciało wypełnia lekkość, ciepło i żądza. Jestem nie do wytrzymania mokra.

– Nikt nie smakuje słodziej od ciebie – mruczy, wtulając twarz w moją szyję. – Nikt.

Jakoś tak wychodzi, że zaraz potem się całujemy, jego usta na moich, moja noga oplatająca go w pasie, żebym mogła do niego mocniej przywrzeć. Łapie mnie za drugą nogę i ją również unosi, podtrzymuje moją dupę rękami, a potem jesteśmy przy ścianie i tak go nienawidzę, tak go,

kurwa, nienawidzę i nie mogę przestać go całować, nie mogę przestać się o niego ocierać.

– Udowodnij – rzucam mu wprost w usta. – Udowodnij, że nikt nie smakuje słodziej ode mnie.

Moje półdupki wyślizgują się z jego rąk, moje uda puszczają jego talię, stopy opadają na podłogę, a on klęka przede mną i zadziera mi sukienkę do bioder. Jego palce zagłębiają się w moje majtki i ściągają je w dół, a potem czuję jego usta na mojej nagiej skórze.

Leciuteńkie muśnięcia języka na mojej łechtaczce.

– Słodka – mruczy.

I sięga językiem głębiej, wsuwając go między wargi sromowe.

– Taka słodka – powtarza.

A potem rozchyla wargi sromowe palcami, odsłaniając mokry, różowy środek i jednym pchnięciem wpycha we mnie język i wierci nim w mojej głębinie.

Skończywszy, unosi na mnie wzrok, jego usta błyszczą od moich soków, powieki ma półprzymknięte.

– Kurwa, jaka słodka.

Jestem rozłożona. Ciągnę go za wszystko, za włosy, ramiona i szyję, ocieram się cipką o jego usta, a on równie chętnie poddaje się mojej przemocy, jak ja używam jej wobec niego. Jego usta poruszają się, nienasycone, przechodząc płynnie od pocałunków do ssania, od ssania do pierdolenia językiem, sprawiając, że drapię palcami ścianę za moimi plecami w poszukiwaniu oparcia. Nie mogę tego znieść, tego jego przystojnego wyglądu, jego ze zmierzwionymi włosami i mokrymi ustami na klęczkach u moich stóp. Nie mogę znieść tego, jak bardzo go nienawidzę, ani tego, jak bardzo go kocham.

Wpycha we mnie długi palec, potem dwa. Żałuję, ale nie potrafię oprzeć się chęci nadziewania się na nie. Żałuję, ale nie potrafię nie rozkładać szerzej nóg, ani nie odrzucać głowy w tył, ani nie dyszeć tak, że aż na marginesach pola widzenia widzę gwiazdy. Ale cholera, Embry jest mi to winien. Jest mi winien ten raz na klęczkach przede mną, jest mi winien cześć i uwielbienie.

Od czasu do czasu jęczy – kiedy jego język omiecie jakieś szczególnie słodkie miejsce albo kiedy mocniej napieram biodrami na jego twarz. Jęczy, jakby szczytował, choć jedną ręką nieustannie dopieszcza moje wnętrze, a drugą przytrzymuje moje udo na swoim barku, by mieć mnie otwartą szerzej, więc wiem, że nie ma mowy o tym, żeby mógł walić swego udręczonego żądzą konia. Wyobrażam to sobie i ślinka napływa mi do ust, a do tego przenikają mnie dwa impulsy – żądzy pierdolenia i żądzy panowania.

Pragnienie pierdolenia się jest niezmiernie silne, lecz to, że on wielbi mnie, nie dostając niczego w zamian, jest takie cudowne, że nie mogę tego znieść. Mocniej zaciskam dłoń na jego włosach, szybciej kołyszę biodrami, ujeżdżając jego usta, a do tego syczę przez zęby:

– Tak jest, to twoje miejsce. – Moje okrutne słowa sprawiają, że jęczy jeszcze głośniej, a jego język i palce jeszcze sprawniej obsługują moje czułe miejsca. Jego mokre usta zasysają moją łechtaczkę, jego język rozpycha wejście do pochwy, palce masują jej głębiny.

– Doprowadź mnie na szczyt – rzucam bez tchu, wplatając palce głęboko w jego włosy i przytrzymując jego usta przy piździe. – Doprowadź mnie.

Spełnia mój rozkaz i to tak zręcznie, że każdy krok w drodze na szczyt jest jak najcudowniejsza udręka – czuję wzmagający się żar w piersi, ściskanie w brzuchu, napięcie w dolnej części ud. Jedno nabudowuje się na

drugim, nabudowuje się i nabudowuje, a ja patrzę na jego głowę między moimi nogami, i moja uraza z powodu zdrady, jakiej się dopuścił, i moja rozkosz, tak ściśle splatają się ze sobą, że nie jestem w stanie ich rozwikłać, a potem to już traci znaczenie, bo szczytuję, szczytuję, szczytuję. Jego usta wydobywają ze mnie ten orgazm, a ja wibruję, zwieram się, drżę i kwilę. A jego błękitne oczy nieustannie się we mnie wpatrują.

Zatracam się w tym spojrzeniu, zatracam się we wzbierających w głębi mego ciała falach i przez moment rozmywa się wszystko oprócz tej chwili. Pozostaje widok przystojnego mężczyzny na kolanach, jego chętne usta dobrze użyte. Doznanie wilgotnego ciała i mokrego języka. Więź między nami, której żaden czas ani przemoc, ani miłość skierowana do innych ludzi nie jest w stanie zniweczyć.

Kończę, a on wstaje, nie patrząc na mnie, lecz starannie wygładzając moją suknię doświadczonymi rękami człowieka, który zna się na dobrych tkaninach. Nie śpieszy się, a ja pozwalam mu na to, ponieważ wiem, że kiedy skończy, ta chwila przeminie. Zdaję sobie sprawę z faktu, że mój leżący na stole telefon wibruje, lecz ignoruję go, nie chcąc zrywać tego rozejmu. Jednak musi się on zakończyć, jak wszystko.

W końcu spogląda mi w oczy i ociera mokre usta grzbietem dłoni.

– Nie jest od ciebie słodsza, Greer. Pod *żadnym względem* nie jest od ciebie lepsza.

Nie wiem, co na to powiedzieć, ani nie wiem, co chcę zrobić. Chcę, żeby wyciągnął swego zaniedbanego dotąd fiuta i pierdolił mnie do przyszłego tygodnia. Chcę krzyczeć na niego, aż ochrypnę. Chcę rzucić go z powrotem na kolana i zmusić, żeby przysięgał mi na wszystko w świecie. Ostatecznie nie robię nic.

On cofa się i zamyka oczy.

– Nie przyszedłem, żeby się kłócić ani się wygłupiać.

– Więc po co przyszedłeś?

– Chciałem powiedzieć ci coś, zanim dowiesz się o tym skądinąd. Zanim usłyszysz o tym od Abilene.

Jakimś sposobem wiem. Zanim cokolwiek doda, zanim jego słowa naprawdę do mnie dotrą. Po prostu wiem.

– Abilene jest w ciąży. Wystąpiłem o ustalenie ojcostwa, żeby mieć pewność, ale jest szansa, że dziecko jest moje.

Nienawidzę takich scen w filmach i operach mydlanych, kiedy rozhisteryzowana bohaterka daje komuś w twarz. Są melodramatyczne, seksistowskie i groteskowe, a jednak teraz rozumiem tę potrzebę lepiej niż kiedykolwiek. Jestem taka wściekła, że robi mi się ciemno przed oczami, tak zszokowana, że mam ochotę dać mu w pysk. Ręce mi się trzęsą i świerzbią mnie, tak strasznie korci mnie, żeby go uderzyć, popchnąć, rzucić czymś w niego.

Z najwyższym wysiłkiem powściągam się przed wybuchem. Nie policzkuję Embry’ego, nie wrzeszczę, choć po jego bolesnej minie domyślam się, że chyba by to wolał. Zdaje sobie sprawę, że zasłużył na karę, ale to właśnie jest dostateczny powód, żeby mu jej nie wymierzyć. Nie dam mu tej satysfakcji, nie dam mu poczucia, że zmazał swoje winy, że odpokutował swoją nikczemność.

– Wynoś się – mówię spokojnie.

– Greer. – Przełyka, zaciska wargi. Te same wargi, które przed chwilą były między moimi nogami. A wcześniej między nogami Abilene. Myślę o jej brzuchu, o miejscu, w którym zacznie rosnąć, o tym samym miejscu, które u mnie pozostanie płaskie. Myślę o testach ciążowych, które zrobiłam sobie w łazience Białego Domu, z ich smutnymi, pojedynczymi niebieskimi liniami.

– Wynoś się – powtarzam.

– To nie było zaplanowane. To nie było nawet… – Wygląda, jakby mu było niedobrze, ale widzę, że znów kombinuje, jak by się tu minąć z prawdą. – To nie było to, czego chciałem – kończy.

– Trzeba było myśleć, zanim ją wypierdoliłeś. Wynoś się.

Przeczesuje włosy, przygryza wargę, po czym ku memu zaskoczeniu bez dalszych protestów robi to, czego żądam. Wychodzi. Ze zranionym, smutnym spojrzeniem i wyrazem bólu na obliczu opuszcza mnie, nie dodając ani słowa, wychodzi z mego gabinetu z moimi sokami na ustach i ze spojrzeniem moich załzawionych oczu na plecach.

Opadam na fotel i siłą woli powstrzymuję się od płaczu. Jeszcze nie teraz. Jeszcze się wypłaczę. Później, kiedy już w pełni dotrze do mnie, jak głębokie i długotrwałe są konsekwencje jego zdrady, ale na razie…

Bzzzz.

To znów mój telefon. Z westchnieniem rozkładam go i widzę na wyświetlaczu nowojorski numer kierunkowy. Akceptuję połączenie i jedną ręką przykładam telefon do ucha, podczas gdy drugą ocieram łzy wzbierające w moich oczach.

– Czy to pani Greer Galloway?

– Tak, to ja.

Głos w słuchawce brzmi przepraszająco.

– Mówi funkcjonariusz Murphy z Policji Miasta Nowy Jork. Dzwonię, żeby poinformować panią, że pani dziadek zmarł dziś we wczesnych godzinach rannych.

25

Embry

po

*D*zięki, że się ze mną spotkałeś.

Ash unosi wzrok znad folderu, który przegląda, wzdycha i rzuca katalog na biurko.

– Jesteś moim wiceprezydentem, Embry. Trudno byłoby mi uniknąć spotkania z tobą, nawet gdybym nie miał na nie ochoty.

– A masz? Czy wolałbyś mnie nie widzieć?

Kolejne westchnienie.

– Oczywiście, że nie. Tęsknię za ruchaniem ciebie.

Wciąż waham się na progu, lecz ostatnie słowa w jakiś niepojęty sposób rodzą we mnie pragnienie podejścia do Asha i padnięcia przed nim na klęczki. Złożenia mu głowy na kolanach. By poczuć, jak gładzi mnie po włosach, i usłyszeć, jak mówi, że cokolwiek by się działo, wszystko będzie dobrze, zawsze będzie mnie kochał. I już nawet nie chcę z nim walczyć. Po

prostu chcę znaleźć spokój w jego zapewnieniu, w jego pewności i niewyczerpywalnej sile.

Ale nie mogę. Niezależnie od stoickich postaci agentów służb specjalnych za oknami gabinetu, prawda wygląda tak, że utraciłem ten przywilej. Utraciłem go z chwilą, gdy obudziłem się w łóżku z Abilene – a może nawet wcześniej, w momencie gdy wszedłem do biblioteki mojej matki, gdzie oczekiwały mnie Morgan i Abilene. Zawarłem pakt z diabłem, dobrze wiedząc, jakie mogą być tego konsekwencje, wiedząc, że zostanę odsądzony od czci i wiary, choć pozostałem wierny jak nikt inny.

Dopada mnie poczucie niesprawiedliwości, więc podchodzę do sofy koło kominka i sadowię się tak, żeby Ash nie widział mojej twarzy.

– Jak ma się Greer?

– Jest zdruzgotana. Załamana. A czego się spodziewałeś? Był dla niej jak ojciec.

Opuszczam wzrok na swoje dłonie. Mój własny ojciec zmarł, gdy byłem maleńkim dzieckiem, a jego miejsce zajął ojciec Morgan, nim skończyłem dwa lata. Nie mam pojęcia, co to jest autentyczna żałoba.

– Pogrzeb odbędzie się w czwartek, gdybyś nie wiedział. – Słyszę ciche skrzypnięcie fotela i szelest jego butów na dywanie. Podchodzi i siada przede mną, rozpinając przy tym marynarkę. Przez chwilę podziwiam to, jak koszula opina jego płaski brzuch i szeroką klatkę piersiową. Na przekór wszystkiemu w jego oczach pojawia się przelotny błysk, gdy przychwytuje moje łakome spojrzenie, jednak zaraz przypominamy sobie minionych sześć tygodni i obaj odwracamy wzrok.

– Znam termin pogrzebu. Będę tam.

– Będziesz? Och. Abilene.

Tak, Abilene również jest wnuczką Leo Gallowaya i chociaż ma serce mechanicznego ptaka, wiem, że śmierć dziadka także dla niej była ciosem.

I właśnie zagadka jego śmierci sprowadza mnie do Asha.

– Ustalono coś więcej?

– Od naszej wczorajszej rozmowy? Niewiele. – Trze czoło kciukiem. Ten słodko znajomy gest sprawia, że przez chwilę przytłacza mnie poczucie samotności tak głębokiej i bolesnej, że ledwie mogę zaczerpnąć tchu. – Nawet nie wysilili się na tyle, żeby nadać jego śmierci pozór zgonu z przyczyn naturalnych. Oczywiste ślady włamania do jego penthouse'u, igłę wbili mu w kark, wstrzyknęli digoksynę, lekarstwo na serce, którego nigdy nie zażywał.

– To sprawka Melwasa.

Ash mierzy mnie badawczym spojrzeniem, powoli opuszcza rękę, by poprawić srebrny zegarek.

– Wstępne dochodzenie wskazuje, że to mogli być irańscy rebelianci, z którymi Leo i Penley Luther weszli w konflikt trzydzieści lat temu.

– To bzdura. Polityczni przeciwnicy sprzed trzydziestu lat, którzy nigdy nie doszli do pieniędzy ani do władzy, nie mordują cię, zwłaszcza kiedy już od dawna nie stanowisz dla nich zagrożenia. To Melwas po raz kolejny usiłuje zranić Greer. Mało mu było zszargać jej reputację, wziął się do mordowania jej najbliższych. I jeśli czegoś nie zrobimy, ona może być następna.

Palce Asha wciąż bawią się zegarkiem, ale kiedy się odzywa, uważnie na mnie patrzy.

– Być może masz rację, Embry. Mało tego, przeczucie podpowiada mi, że ją masz. Nie byłoby poniżej godności Melwasa wynająć zbirów i uwierz mi, gdybym tylko miał choć cień dowodu, że to jego sprawka, zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, żeby mu odpłacić. Jednak sprawa wygląda tak, że nie mogę działać pod wpływem intuicji i podejrzeń.

– Na wojnie nigdy nie ma się stuprocentowej pewności – cytuję starą prawdę. – To dzięki twoim przeczuciom uratowaliśmy w Karpatii niejedno istnienie. Ile razy brakowało nam pełnych danych wywiadowczych albo były błędne lub niekompletne, a jednak wkraczaliśmy do akcji?

– Takie były rozkazy – przypomina mi na to Ash. – Ale teraz to ja wydaję rozkazy. I nie chodzi po prostu o wojnę, Embry. Obecnie mamy większe zmartwienia niż to, gdzie ustanowić przyczółek.

– Wiem, że chodzi o coś więcej…

– Tak? Nie wydaje mi się. Zresztą wyrzekłeś się prawa do chronienia Greer, kiedy zrobiłeś dziecko Abilene.

No i mam.

No i, kurwa, mam.

– Nie mogłeś się doczekać, aż to powiesz, co? – pytam lodowatym tonem.

Ash odpowiada równie lodowato:

– Czekałem dłużej niż ty, zanim wypierdoliłeś Abilene.

Patrzymy sobie w oczy, aż pierwszy spuszczam wzrok na jego buty.

– To nie było tak.

– Powiedziałeś, że to będzie czysto formalne, dla szerokiej publiczności. Powiedziałeś, że nie będziesz z nią sypiać.

– I nie zamierzałem tego robić! Ja po prostu…

Ash wywraca oczami.

– Tak jakoś *wyszło*? Boże, Embry, pomijając już wszystko inne, czy mógłbyś przynajmniej nie posługiwać się takim wyświechtanym frazesem?

Patrzę na niego złym okiem.

– Pomijając wszystko inne? A cóż to ma, kurwa, znaczyć?

– A jak myślisz? Greer i ja kochamy cię, ufaliśmy ci, pomimo że dwukrotnie mnie odrzuciłeś, pomimo że wtedy, w Chicago, przed laty ją także opuściłeś, a przez ostatnie pięć lat pierdoliłeś wszystko, co się rusza…

– Łącznie z tobą, pamiętasz?

– Ile czasu potrzebowałeś, żeby znaleźć sobie zieleńsze pastwisko? Półtora tygodnia od nocy poślubnej.

Widzę, jak trzepoczą długie, czarne rzęsy, jak skacze mięsień szczęki, i nagle rozumiem, że nie jest na mnie zły, lecz że czuje się *zraniony*. Zazdrosny. To, że będzie zły z powodu Greer, było dla mnie oczywiste, kiedy tu wszedłem, lecz fakt, że cierpi *osobiście*, że czuje się osobiście przeze mnie zdradzony, porusza we mnie jakąś nową strunę. Niezależnie od tego, jakimi może to grozić konsekwencjami ze strony Abilene, nie jestem w stanie zrobić nic innego, jak przedstawić mu brzydką prawdę.

– Abilene podała mi prochy.

Namyśla się przez chwilę, rozważa nową informację.

– Jakie?

– Dla pewności zrobiłem badanie krwi, chociaż ona sama mi to powiedziała. GHB, Cialis i koktajl z kilku innych świństw. Okazało się, że wszystko na recepty wystawione na moje nazwisko.

– Nigdy nie zażywałeś GHB ani Cialis.

– O to chodzi. Abilene zdobyła i zrealizowała fałszywe recepty. Skontaktowałem się z moją lekarką w Białym Domu i okazało się, że dokumentacja zawiera nawet daty wizyt, podczas których te prochy mi przepisano.

Ash marszczy brwi.

– Doktor Ninian by tego nie zrobiła.

Wzruszam ramionami.

– Zamierzam to wyjaśnić. Jednak nawet gdyby to zrobiła, nie zmieniłoby to faktu, że Abilene jest w ciąży. – Z wysiłkiem zdobywam się na wyznanie: – Prawdopodobnie ze mną.

– Masz rację. – Głos Asha w końcu brzmi normalnie. Teraz już tylko wygląda smutno. – To niczego nie zmienia.

Przypominam sobie Greer w jej gabinecie w Georgetown, dosłownie promieniującą sprawiedliwym gniewem, jej blond włosy wilgotne i zmierzwione w prześwietlonym słonecznym blaskiem pokoju, gdy lizałem jej cipę. Przypominam sobie noc poślubną i to, cośmy wtedy sobie powiedzieli i cośmy razem robili.

– Brakuje mi ciebie, brakuje mi Greer. Brakuje mi nas trojga.

– Mnie również, mały książę.

– Czy to wszystko stracone? Czy ja to zaprzepaściłem?

Ash nie odpowiada. Zamiast odpowiedzieć, przypatruje mi się, a potem stawia mnie na nogi i wlecze do łazienki sąsiadującej z gabinetem, gdzie przygważdża mnie do ściany. Jego ciepłe usta, ciepłe i jędrne, lądują na moich ustach i to jest tak cudowne uczucie, że aż nie do zniesienia. Elektryzujące i delikatne, skóra i szczecina, czternaście lat współżycia dwóch mężczyzn zbyt dumnych, by się ugiąć, wolących raczej się połamać i rozbić, niż ugiąć.

Nie jestem w stanie się powstrzymać, opanować głodu ciała spragnionego pierdolenia i miłości. Przywieram do niego, chwytam jego krawat, szarpię niecierpliwie marynarkę. On zaś przywiera do mnie z jękiem, jego sterczący fiut bodzie mnie w biodro, a głowa pochyla się, by dać mi dostęp do szyi, żebym mógł ją całować i ssać. Jego ręce są silne i pożądliwe, łapią mnie za moje wąskie biodra, za bicepsy, ujmują moją twarz, by mógł całować mnie z zaborczą gwałtownością, którą tak uwielbia.

Ja pragnę, by mnie posiadł. By mnie zniszczył. Chcę, żeby rzeźbił mnie swoim spokojem i opanowaniem. Chcę, żeby nie było niczego poza jego oddechem i moim oddechem, tętnem jego i mojej krwi.

– Zrób to – tchnę mu błaganiem w usta. – Po prostu to zrób.

Lecz on tego nie robi. Z roztrzęsionym oddechem i bolesnym ociąganiem malującym się we wszystkich liniach jego ciała, odstępuje ode mnie, opierając dłonie na mojej piersi, żeby stworzyć między nami pewien dystans. Aż mnie skręca w żołądku, dławi w piersi.

– Zniweczyłem to – mówię bardziej do siebie niż do niego. Jakimś sposobem zdołałem spierdolić najlepszą rzecz w moim życiu, zaledwie w kilka dni, odkąd ją dostałem. A powinienem był wiedzieć, *powinienem był wiedzieć*, bo czy nie to właśnie potrafię najlepiej? Spierdolić każdą sprawę? Zerżnąć i orżnąć każdego, kto mi zaufa?

– Chcę tego – mówi Ash. Źrenice wciąż ma wielkie, tętnica szyjna ciągle pulsuje mu dziko pod rozluźnionym kołnierzykiem. – Boże, *jak ja tego pragnę*. Ale to by ją zabolało.

Na usta ciśnie mi się nikczemna, zdradziecko logiczna sugestia. *Nie musi o tym wiedzieć. Nie musimy jej mówić*. Nienawidzę siebie za samą myśl, bo jest tak poniżej godności Asha, poniżej godności Greer. Tak dalece poniżej godności nas trojga i wbrew obietnicom, któreśmy sobie składali tamtej nocy – przejrzystości i miłości, ciężkiej pracy i uczciwości. Potajemne pierdolenie się z jej mężem po tym, jak złamałem jej serce… Chryste. Czy mogę upaść jeszcze niżej?

Wciągam głęboko powietrze.

– Nie chcę skrzywdzić jej bardziej, niż już to zrobiłem.

– Wiem, że nie chcesz – odpowiada Ash niskim głosem.

Przeczesuję palcami włosy, poprawiam marynarkę i napalonego kutasa. Ash robi to samo i przychodzi chwila, kiedy gorycz i ból bledną, podczas

gdy my odprawiamy znajomy rytuał. Ile razy wyłanialiśmy się z jakiegoś przypadkowo wybranego zakątka rozchełstani i uśmiechnięci, z policzkami pałającymi rumieńcem. Ile razy w tejże samej łazience namęczyłem się, wkładając na powrót spodnie? Ile razy dokonywałem drobiazgowej inspekcji garderoby w poszukiwaniu jakiejś zbłąkanej kropli spermy, a potem jednak odkrywałem, że mam plamę na krawacie, podczas narady z dyrektorem Krajowej Rady Gospodarczej?

To wciąż boli. Ciągle między nami są Greer, Abilene i Melwas. Podchwytuję spojrzenie Asha i szczerzę zęby w uśmiechu.

– Jak za dawnych dobrych czasów, co?

Ash odwzajemnia mój uśmiech, ukazując dołeczek w lewym policzku.

– To cud, że przez pierwszych kilka miesięcy udało nam się cokolwiek zrobić. Cud, że nikt nas nie przyuważył. W każdym razie nie za często.

Kładzie mi dłoń na ramieniu. Spoglądam na nią i przypominam sobie, że kiedyś oddałbym wszystko za jej dotknięcie. Wciąż bym oddał wszystko.

– Mam plan, jak załatwić Melwasa, Embry. Pracuję nad nim, lecz dopóki go nie ukończę, musisz mi zaufać. Czy jesteś w stanie to zrobić?

W półmroku rozjaśnionym ledwie odrobiną światła przesączającą się pod drzwiami studiuję jego twarz. Twarz o mocnych konturach, imponujących brwiach i pełnych ustach. Twarz króla.

Czy mogę zaufać memu władcy?

Wzdycham.

– Spróbuję.

Kiwa głową. Dość na teraz.

Wracamy do pustego gabinetu pojedynczo. Tego zwyczaju trzymamy się od żenującej chwili, gdy Kay nakrył nas wychodzących razem z łazienki, w obłoku zapachu lubrykantu i potu. Ash zasiada za biurkiem,

a ja wychodzę bez pożegnania. Zobaczę się z nim jeszcze dziś, jutro i pojutrze. Tak częste spotkania nie wymagają *do widzenia*.

Tak częste spotkania niewiele znaczą, gdy jestem pozbawiony upragnionej miłości.

Dopiero we własnym gabinecie uświadamiam sobie, że Ash nie odpowiedział na moje pytanie, na moje: *Czy wszystko stracone? Czy ja to zaprzepaściłem?* Nie odpowiedział, gdyż obaj znamy odpowiedź. Ta odpowiedź rozbrzmiewa drażniąco i boleśnie w głębi moich kości, dosięga szpiku.

Tak. Wszystko zaprzepaściłem.

Greer ani spojrzy na mnie, choć rozdziela nas tylko wąskie przejście między kościelnymi nawami. Wbija wzrok w księdza przed ołtarzem, śpiewa hymny i modli się, kiedy trzeba, a wygląda jak duch Grace Kelly w czarnej sukni do kolan z dopasowanym stanem. Włosy ma zebrane w ciasny kok, dzięki czemu widać jej długą, wdzięczną szyję i pomimo emanującego od niej spokoju wygląda młodo, dużo młodziej od stojącego obok Asha.

Jest dziś tak opanowana i blada, jak była zaczerwieniona i wściekła w swoim gabinecie, kiedy powiedziałem jej o Abilene, i to sprawia mi ból z powodów, których nie potrafię wyrazić. To niesamowite, widzieć ją tak nieugiętą i zrównoważoną na pogrzebie dziadka. To tak bardzo w jej stylu, ta królewska obojętność, ta niczym niezmącona równowaga. Aż się prosi o zakłócenie i przełamanie. Na myśl przychodzą mi tamte momenty, gdy z zaczerwienioną twarzą wiła się pode mną lub miotała na mnie, tamte razy, kiedy obdarzała mnie przywilejem oglądania swoich łez. Teraz odczuwam zazdrość z powodu tych łez, jestem zazdrosny na myśl, że to Ashowi

przypadło ocierać je z jej twarzy i trzymać ją w ramionach, kiedy kapituluje przed bólem.

To taka zazdrościć, która doprowadza mnie samego na granicę płaczu.

Obok mnie jest Abilene, kolejne wcielenie równowagi starej plutokracji, szczupła i opanowana w obcisłej, czarnej sukience i szpilkach, z rudymi włosami ściągniętymi w długi, gładki koński ogon. Kiedy zabierałem ją rano, w pewnej chwili wydawało mi się, że może się rozpłakać. Inaczej niż zwykle, nie miała do powiedzenie nic uszczypliwego ani kokieteryjnego. Przez całą drogę patrzyła w okno i wodziła palcami po krawędzi torebki. Przejawem elementarnej kurtuazji z mojej strony było zapytanie, jak się trzyma.

Za grosz kurtuazji nie było w tym, co dorzuciłem zaraz potem:

– Wiesz, że to ludzie Melwasa go zabili?

Nie odpowiedziała.

– Tego samego Melwasa, któremu pomogłaś uprowadzić Greer. Jak się z tym czujesz?

Na to odpowiedziała mi groźnym spojrzeniem, jej niebieskie oczy skojarzyły mi się z błękitem oceanicznych głębi zamieszkiwanych przez drapieżne ryby.

– Kochałam dziadka. I jeśli choćby w najmniejszej mierze sugerujesz, że miałam cokolwiek wspólnego z jego śmiercią albo że się z niej *cieszę*…

– Nic takiego nie sugeruję – odparłem łagodnie. – Chciałem jedynie zwrócić ci uwagę na to, jak twoje starannie obmyślone knowania obracają się przeciw tobie samej.

Spodziewałem się repliki, jadowitego przypomnienia, że ja, a co za tym idzie, również moja siostra i Ash, i inni ludzie, których kocham, jesteśmy od niej zależni, lecz nic takiego nie nastąpiło. Po prostu dalej wpatrywała się w okno i nie odzywała ani słowem, dopóki nie przybyliśmy na miejsce.

Ledwie wysiedliśmy na chodnik przed kościołem, jej zachowanie całkowicie się zmieniło. Unosiła i opuszczała brodę w odpowiednich chwilach, jej uśmiech wyrażał stosowną dozę żalu i drżącej boleści, jej nieskazitelnie ułożony koński ogon kołysał się ładnie, gdy obchodziliśmy dziedziniec przed kościołem, witając żałobników i ściskając im dłonie. To było doskonałe przedstawienie, i teraz, podczas odbywającego się właśnie nabożeństwa, nadal takie jest.

W trakcie tegoż nabożeństwa udaje jej się nawet kilkakrotnie chlipnąć, dość, by wypadało jej osuszyć chusteczką wielkie wilgotne oczy. Ujmuje mnie pod rękę, opiera głowę na moim ramieniu, splata palce w rękawiczce z moimi palcami, jakby wyłącznie moja siła i nieugiętość pozwalały jej przejść przez te trudne chwile.

Akceptuję to. Nie mam wyboru, nie mogę przecież odepchnąć jej w trakcie nabożeństwa żałobnego. Pozwalam jej więc na to, niech się dzieje wola boska, i wyobrażam sobie, że to Greer tuli się do mnie, że ją pocieszam. Wyobrażam sobie twarz Morgan, wpatruję się w mocne zarysy barków Asha, przywołuję w myślach imiona wszystkich osób, które chronię, spełniając żądania Abilene.

Greer wciąż ani na mnie nie spojrzy.

Po mszy rodzina zmierza do kruchty, by się przygotować na wyprowadzenie zwłok. I wtedy do tego dochodzi. W tłumie ubranych na czarno żałobników agenci służb specjalnych otaczają Asha i Greer, by ich wyprowadzić bocznymi drzwiami. Naraz wybucha zamieszanie, ogólny szok.

I rozlega się krzyk.

Abilene i ja jesteśmy dość blisko, żeby zobaczyć nóż, kobietę, która go trzyma, i Greer osuwającą się w ramiona męża, gdy agenci ochrony rzucają się naprzód. Jestem tam szybciej, niż zdążę pomyśleć. Przeskoczywszy nad

oparciem ławki, rzucam się w spanikowane stado uczestników uroczystości odzianych w czarną wełnę. Dopadam Greer i Asha. Ash trzyma Greer w ramionach, a ona powtarza:

– Nic mi nie jest, naprawdę, nic mi nie jest.

– Co się stało? – pytam Asha.

Powoli kręci głową.

– Nie wiem, jeszcze nic nie wiem.

Jednak widzę, jak jego czujny wzrok ogarnia chaos wokół nas i agentów wywlekających napastniczkę z kościoła, i uświadamiam sobie, że doskonale wie, co się dzieje, lecz teraz nie pora na pogaduszki.

Greer odwraca się i spogląda na mnie, po raz pierwszy tego dnia, a jej szare oczy wyrażają łagodne zaciekawienie. Widzę, że nie została zraniona, a wszystko to niewiele ją obeszło, co zresztą wydaje się najzupełniej zrozumiałe. Być obiektem ataku nożowniczki w kościele pełnym ludzi to nie to samo, co zostać porwaną i zdaną na łaskę Melwasa. Nic więc dziwnego, że zachowuje zimną krew.

Ku memu zdumieniu odkrywam, że gorzej jest z moją zimną krwią. Ręce mi się trzęsą, serce mam w gardle, a teraz, kiedy wiem, że jest bezpieczna, wszystko to odczuwam jeszcze dotkliwiej. A gdyby agenci spóźnili się o ułamek sekundy? A gdyby zamachowczyni była o ułamek sekundy szybsza? A gdyby zamiast stać bezpieczna w ramionach Asha, Greer leżała bezwładna i zalana krwią na kościelnej posadzce?

Zastanawiam się, czy ona jest w stanie wyczytać to wszystko z mojej twarzy, bo widzę, jak marszczy swoje subtelne brwi i leciutko kręci głową.

Bo nie chcę, żebym się zamartwiał? Bo odmawia mi prawa do troski o nią?

– Powinniśmy wracać do domu – mówi do niej Ash. – Nie wiemy, czy na cmentarzu będzie bezpiecznie.

– Idę na pogrzeb – mówi Greer twardo, odrywając wzrok ode mnie. – To była jakaś samotna wariatka. Nie ma powodu się spodziewać, że na cmentarzu czeka na nas zorganizowana szajka morderców.

Włączam się.

– Greer, nie możesz. Odkąd wróciłaś z Karpatii, jesteś nieustannie celem ataków i…

W jej oczach pojawia się płomień, wszelka łagodność z nich znika.

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić. Żaden z was. Idę na pogrzeb mego dziadka i wszystko będzie, kurwa, świetnie.

Po czym wyrywa się z objęć Asha i rusza przed siebie pewnym i mocnym krokiem. Przystaje koło Gavina i Luca, mówi coś do nich. Obaj kiwają głowami i eskortują ją z kościoła, przy czym Luc ogląda się na Asha. Ash rusza za nimi, a nasi agenci służb specjalnych otaczają nas i wyprowadzają z kościoła. Zwlekam przez chwilę, żeby się upewnić, że Abilene znalazła podwózkę na cmentarz, po czym wsiadam do samochodu Asha. Zajmujemy miejsca na dwóch końcach tylnego siedzenia.

– Ta kobieta syknęła coś do Greer – mówi Ash. – Coś po ukraińsku.

Czuję się tak, jakby mój strach był czymś żywym, czymś, co skacze z mojego gardła do mojego żołądka, a potem do moich rozedrganych rąk.

– Po ukraińsku.

– To było „Siła w górach, siła aż do śmierci”.

– Dewiza Karpatii.

– Tak.

Strach zmienia się w kwas w moich ustach, w mojej krwi.

– *Ash*.

Jego głos brzmi jak żużel.

– Nie.

Patrzymy na siebie i coś się zmienia. Nie potrafię tego wyjaśnić, nie potrafię nawet uchwycić tego we własnym umyśle, lecz czuję to, jakby lina wymykała mi się z rąk, jakby między naszymi stopami pojawiała się szczelina w posadzce.

– Powiedziałeś, że będziesz mi ufał – przypomina mi miękko król.

– Powiedziałem, że spróbuję – poprawiam go.

Znów patrzymy na siebie, a szczelina, która nas dzieli, staje się coraz szersza i szersza.

– Melwas nie da jej spokoju – mówię – dopóki go nie powstrzymasz.

– Istnieją inne sposoby niż wojna, Embry. Inne metody niż nasyłanie na niego zamachowców, którzy go zgładzą.

– Po prostu tego nie rozumiem. – Czuję, jak ogarnia mnie morderczy zapał. Przeczesuję włosy palcami. – Czy ciebie to nie *obchodzi*? Nie kochasz jej? Nie przysięgałeś jej, że będziesz ją chronić? Mimo tamtej przysięgi raz po raz…

– Zrobię to, co uznam za stosowne – przerywa mi. – A *ty* jesteś moim wiceprezydentem i zrobisz, co ci każę.

Wpatruję się w niego, jakbym widział go po raz pierwszy. Mocny nos, ostro zarysowane policzki, kanciasta szczęka i zielone oczy. Upór i stanowczość w ułożeniu ramion. Nic go nie ruszy. Pomimo uprowadzenia Greer, mimo nagrania, mimo śmierci Leo, mimo tego ataku – nic go nie ruszy.

– Do kurwy nędzy, Ash, jeśli to nie skłania cię do działania, to co cię do niego skłoni?

– Czy tak nisko mnie oceniasz, że uważasz, iż moja bierność wynika z tchórzostwa? Z samozadowolenia? Nie ufasz mi, że szukam bezpieczniejszego rozwiązania?

Kilka miesięcy temu nawet bym się nie namyślał nad odpowiedzią. Lecz obecnie…

– Nic już, kurwa, nie wiem. Czy tak będzie przez resztę twojej kadencji? I przez następną kadencję? Będziemy siedzieć na dupie i czekać, aż Karpatia nas zaatakuje? A co, jeśli następnym razem to nie będzie tylko Greer? A jeśli oni przeprowadzą prawdziwy atak terrorystyczny? Albo napadną kogoś z naszych sojuszników? Co wtedy?

Mruży oczy.

– Co sugerujesz? Czy może chcesz coś przez to powiedzieć, Embry?

Mówię co. Mówię to, bo boję się o Greer, bo jestem zły z powodu Greer, bo Ash jest, kurwa, zbyt uparty, żeby posłuchać *choćby przez sekundę*, co usiłuję mu powiedzieć. Bo jestem coraz głębiej przekonany, że Melwas nie poprzestanie na Greer, że wkrótce spróbuje dopaść nas wszystkich.

– Myślę, że jesteś słaby.

Zarówno dobrze, jak i strasznie jest to mówić, zrzucam z siebie ten ciężar, lecz usta mam pełne tłuczonego szkła.

Zaciska szczęki, oczy mu błyszczą, a dzieląca nas przepaść rośnie i rośnie. I jesteśmy na cmentarzu, otwarto przed nami drzwi, przerywając naszą utarczkę.

– Powinienem poszukać Greer – mówi. Przed chwilą jego głos brzmiał mi jak żużel, ale teraz nie brzmi wcale. – Żegnaj, Embry.

– Żegnaj, Ash.

Spoglądam za nim, gdy odchodzi, a w moje myśli wdziera się coś pełnego dzikiej determinacji, idea tak krzywdząca i mściwa, że nigdy nie pozwoliłbym jej zagnieździć się w mojej głowie, gdybym tylko był przy zdrowych zmysłach. Najmniej jednak teraz zanurza ona zęby w moich myślach, wgryza się w tę część mnie, która kocha Greer tak gwałtownie, że

nie mogę złapać oddechu, wgryza się w tę część mnie, która niegdyś uważała wojnę za wspaniałą przygodę.

Odnajduję Abilene. Kiedy stoję obok niej podczas ceremonii pogrzebowej, wyglądam na spokojnego – ot, polityk sprawujący się na pogrzebie jak należy ze względu na żonę przyjaciela. Jednak w środku myślę wyłącznie o pociskach, kąsaniu i krzywdzeniu. Myślę o spalonej ziemi. Jestem rycerzem gotowym na wszystko dla ratowania królowej.

W powrotnej drodze z cmentarza piszę wiadomość do siostry.

Zadzwoń. To ważne.

26

Embry

przed

Nie ma okrutniejszej osoby niż senator Morgan Leffey, kiedy jest nie w humorze.

Nie ma.

Dlatego nie wiedziałem, czego się spodziewać, kiedy pukałem do drzwi jej domu w szeregowej zabudowie w Georgetown dzień po pogrzebie Jenny Colchester. Nie wiedziałem, czy zastanę ją przygnębioną, zmartwioną czy rozzłoszczoną, nie wiedziałem nawet, czy będzie skłonna mnie przyjąć. Wiedziałem tylko, że nic mnie to nie obchodzi. *Rodzina chroni rodzinę*, mawiała Vivienne Moore, lecz Ash także był moją rodziną. A po tym, co Morgan zrobiła mu wczoraj, odczuwałem potrzebę roztoczenia nad nim ochrony.

Siostra otworzyła drzwi osobiście, istna „trzydziestokilkuletnia pani senator w wolnej chwili” z bosymi stopami, w jedwabnej bluzce bez

rękawów i spodniach za dziewięćset dolarów. Na mój widok przerzuciła luźno zapleciony warkocz kruczoczarnych włosów przez ramię.

– Jeśli chodzi ci o pogrzeb…

– Wpuść mnie.

Mierzyła mnie wzrokiem przez dobrą chwilę, po czym z westchnieniem odstąpiła na bok, by mnie wpuścić. Nie czekałem na zaproszenie, żeby usiąść, poszedłem prosto do salonu i z leniwą wrogością rozsiadłem się na jej ulubionym fotelu.

Westchnęła ponownie i usiadłszy na niewygodnym tapicerowanym fotelu w stylu królowej Anny, założyła nogę na nogę.

– No to mów.

– Kiedy się dowiedziałaś?

Uniosła brwi, jakby nie tego pytania oczekiwała.

– Nie wiedziałam w Karpatii, jeśli o to pytasz.

Wpatrywałem się w nią, w te jej zielone oczy… oczy w równie pokręconych odcieniach zieleni jak oczy Asha. Mieli takie same czarne włosy, takie same pełne usta. Ten sam królewski wygląd.

– Nie mogę uwierzyć, że nigdy dotąd nie zauważyłem, jak bardzo jesteście do siebie podobni.

Prychnęła.

– Sama także tego nie zauważyłam, więc nie obwiniaj się przesadnie.

– Możesz mi wierzyć, że się nie obwiniam.

Bez mrugnięcia przełknęła moją zjadliwą odpowiedź, ja zaś ani mrugnąłem na jej kamienny spokój.

– No więc kiedy się dowiedziałaś?

Odwróciła wzrok, światło poranka padało na jej twarz z ukosa.

– Zawsze wiedziałam, że matka miała jeszcze jakieś dziecko. Chłopca. Ojciec zadbał o to, żebym zapamiętała to na zawsze, żebym nigdy nie zapomniała, że Penley Luther zabił moją matkę.

Skwitowałem to lekkim skinieniem głowy. Goran Leffey, mój ojczym i ojciec Morgan, był w trakcie rozwodu z Imogen Leffey, kiedy zmarła, rodząc syna prezydenta Penleya Luthera. Pomimo trwającej procedury rozwodowej ciężko przeżył jej śmierć, nienawidził Luthera i dziecka, które ostatecznie zabiło Imogen. To nie było tajemnicą w domu Moore'ów nad jeziorem – nawet Vivienne Moore źle wspominała Luthera ze względu na Gorana Leffeya.

– Ale jak się dowiedziałaś, że tym dzieckiem jest Ash?

Potarła skronie opuszkami palców.

– Od pewnej młodej kobiety, która babrze się w sekretach i prawdę mówiąc, wykazuje trochę niezdrową obsesję na punkcie Maxena. Otóż dostatecznie wiele wydobyła od swego dziadka, żeby zacząć węszyć, gdzie trzeba, a potem przyszła do mnie. Parę miesięcy temu.

– Wiesz to od paru miesięcy? – Nie mogłem uwierzyć. Mam na myśli to, że wprawdzie między Morgan i mną była rzeczowa, biznesowa relacja, ale gdybym się dowiedział, że mam brata, o którego istnieniu nie miałem pojęcia i z którym *spałem*, to na pewno podzieliłbym się tą wiadomością z bratem, o którego istnieniu wiedziałem od zawsze.

No dobrze, z przyrodnim bratem. Ale jednak.

Morgan wstała i zaczęła chodzić z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– W pierwszej chwili aż się skręcałam. Po prostu… I byłam kompletnie ogłupiała. Jakim cudem? Jakie jest prawdopodobieństwo, że ze wszystkich mężczyzn trafię akurat na własnego brata? Że będę z nim sypiać i… – umilkła i zagryzła wargę.

– Ale dlaczego musiałaś powiedzieć mu o tym w taki sposób?

Na wspomnienie wczorajszego dnia do mego głosu na powrót wkradła się wrogość. Październikowy deszcz kapiący na liście mieniące się barwami klejnotów, nisko przetaczające się grzmoty. Twarz Asha, kiedy to od niej usłyszał – zszokowana, zniesmaczona do mdłości, odrętwiała.

Gotów byłem zabić ją na miejscu, przed trumną Jenny gustownie udekorowaną orchideami.

Teraz jednak spodziewałem się charakterystycznego dla niej okrucieństwa. Oczekiwałem, że będzie bronić tego, co zrobiła, że będzie atakować Asha, atakować mnie. Najwyraźniej wczoraj czuła się dostatecznie usprawiedliwiona, żeby powiedzieć mu to w mojej obecności, więc dlaczego dzisiaj miałoby być inaczej?

A jednak było inaczej. Morgan przystanęła, nie rozplatając rąk, i spojrzała mi w oczy.

– Nie wiem – powiedziała zmęczonym głosem. – Nie wiem. Mówiłam sobie, że robię to, żeby go dobić, żeby skłonić go do zaprzestania kampanii, gdyby nie wystarczyła do tego śmierć żony, ale im dłużej się nad tym zastanawiam, tym mocniej jestem przekonana, że czułam się… samotna… będąc jedyną osobą, która dźwiga brzemię tej wiedzy.

– Więc powiedziałaś mu, bo było ci smutno? – W moim głosie było tyle pogardy, że zaskoczyło to nawet mnie samego.

Morgan rzuciła mi spojrzenie pełne złości.

– Powiedziałam mu, bo moja partia nie ma szans na wygranie tych wyborów. I nie chodzi nawet o jego głupią Nową Partię, chodzi o *niego*. Maxen jest młody, przystojny, jest bohaterem wojennym, jest czarujący. Ma wszystko, czego brak naszemu kandydatowi. I dopóki Partia Republikańska nie będzie mogła wystawić kontrkandydata takiego *jak* on, będziemy na przegranej pozycji.

– Ale nikogo takiego jak on nie macie.

– Nie. Nie mamy. Ale liczyłam na to, że jeśli zmuszę go do wycofania się… – Pokręciła głową. – Wszystko jedno. Masz rację. Zapewne prawdziwa przyczyna była taka, że zbyt mnie to bolało. Chciałam, żeby i on poczuł ten ból, a nawet więcej, pragnęłam podzielić się z nim brzemieniem tego bólu. Sądziłam, że będzie mi lżej, jeśli i on będzie wiedział.

– I co, ulżyło ci?

Przycisnęła ręce do brzucha, jakby chciała zatrzymać tam swoje uczucia, i wbiła wzrok w podłogę.

– Nie.

Wstałem i podszedłem tak blisko, że mógłbym jej dotknąć. Nie zrobiłem tego. Nawet bez tego, co wydarzyło się na pogrzebie Jenny, nie byliśmy skłonni do wylewnych gestów.

– Zraniłaś go, Morgan. Moje gratulacje. Jest nieszczęśliwy, pogrążony w żałobie, a teraz dowiedział się, że na dodatek pierdolił kiedyś własną siostrę. Dowiedział się, że jego matka nie żyje, a ojciec nigdy go nie chciał. Karpatianie nie mogli tego spowodować, śmierć Jenny nie mogła tego wywołać, ale tobie się udało. Złamałaś Maxena Colchestera. Właśnie tego chciałaś, prawda?

Ponownie pokręciła głową, wciąż unikając mego wzroku.

– Sama nie wiem, czego chcę, jeśli chodzi o niego.

Kurwa, a kto to wiedział, gdy szło o Maxena Colchestera? Tyle lat minęło, odkąd oświadczył się Jenny, a ja wciąż nie mogłem zacząć żyć na powrót własnym życiem. Nie przestawałem tęsknić za przypadkowym muśnięciem jego palców lub otarciem się ramieniem o ramię, za tymi nocami, kiedyśmy się razem upijali i kiedy on zaczynał wodzić wścibskimi palcami po mojej szyi, po mej porośniętej szorstką szczeciną szczęce. Żadna doza pierdolenia ani picia, ani wojowania nie była w stanie wyleczyć

mnie z tego i wiedziałem, że nigdy nie będzie. Prędzej bym umarł, niż przestał kochać Asha.

Jednak to niczego nie załatwiało, zwłaszcza po śmierci Jenny. Jakimże nikczemnikiem bym był, gdybym żywił nadzieję, że jej śmierć przywróci mu swobodę odwzajemnienia mojej miłości?

Byłbyś takim nikczemnikiem, jakim już jesteś.

Na powrót skupiłem uwagę na Morgan, na tu i teraz, idąc do drzwi i mówiąc:

– Lepiej zastanów się, czego chcesz, siostrzyczko. Bo tak czy siak jesteś za to odpowiedzialna.

– Stało się – szepnęła. – Już się nie odstanie.

– Być może. Ale myślę, że gdybyś go teraz ujrzała, znienawidziłabyś samą siebie za to, co zrobiłaś.

– Nie masz pojęcia, za co się nienawidzę – odparła głuchym głosem. – Nie masz pojęcia, jakie rzeczy robiłam.

– Nie obchodzi mnie to – odparłem szczerze. – Mnie obchodzi Ash. I jeśli kiedykolwiek go kochałaś, jeśli kiedykolwiek kochałaś mnie, to jego los również ciebie powinien obchodzić.

Nie odpowiedziała. Zostawiłem ją stojącą na środku salonu, z rękami przyciśniętymi do brzucha, patrzącą pustym wzrokiem przez okno na ulicę, na której nikogo nie było.

Puk.

Puk, puk, puk.

Piłem od czwartej po południu i sen, w który w rezultacie zapadłem, był tak płynny i głęboki, że za nic nie mogłem się z niego wydobyć, odnaleźć

drogi na jawę. Odgłosy… odgłosy stukania do drzwi… pukanie… *Ktoś tu jest*.

W końcu udało mi się unieść powieki i zwlec z kanapy wśród jęków i ze skrzywioną twarzą. Wypiłem co najmniej cztery martini, może pięć, ale szczerze mówiąc, nie miałbym sobie za złe, gdybym wypił sześć czy siedem. Dziś był pierwszy dzień, odkąd Ash podjął na nowo kampanię po śmierci Jenny, i pojechałem z nim do Norfolk, gdzie miał wygłosić przemówienie.

Nie poszło mu dobrze.

W pewnej chwili w trakcie przemówienia – kiedy ręce mu się trzęsły, bo próbował odnaleźć właściwą stronę wśród pliku notatek, gdy zgubił wątek, bo nie był w stanie się skupić – wymieniliśmy z Merlinem tak spanikowane spojrzenia, że pomimo całej niechęci wobec tego faceta, poczułem coś w rodzaju pokrewieństwa z nim. Pod wieloma względami to było bardziej przedsięwzięcie jego niż nasze. To on spędził lata na montowaniu Nowej Partii na szczeblu krajowym, na tworzeniu koalicji i zdobywaniu poparcia rozczarowanych demokratów i republikanów. To on szykował Asha do jego roli, to on stopniowo przekonywał go, że nie jest przejawem aroganckiej pychy ubiegać się o stanowisko – a przynajmniej że jest to wybaczalnym przejawem pychy. Wydawało się, jakby całe jego życie zmierzało do doprowadzenia Asha do tego punktu… Zastanawiałem się, co będzie z Merlinem, jeśli wszystkie jego plany legną w gruzach.

Przemówienie okazało się katastrofą, lecz nie dlatego po powrocie do domu wlałem w siebie pół butelki ginu. Współczucie i litość na twarzach słuchaczy upewniły mnie, że na razie nasze rokowania nie wyglądają źle. W gruncie rzeczy roztrzęsiony głos Asha tym dobitniej przekonywał słuchaczy o wadze ofiar ponoszonych w służbie ojczyźnie przez żołnierzy obojga płci. Na poły podejrzewałem, że gdybyśmy ustawili kabiny do

głosowania przed miejscem wiecu, wszyscy uczestnicy zagłosowaliby na pogrążonego w żałobie Maxena.

Nie chodziło o mowę. Chodziło o samego Asha. O jego udręczone oczy, znękany głos, ręce drżące zbyt silnie, by mogły przekładać kartki z tekstem przemówienia. Zgarbione ramiona, pustkę w twarzy. Widząc go takim, tak wyzutym z siebie, czułem się, jakbym tonął.

Czy to był naprawdę ten sam człowiek, który imponując spokojem i wdziękiem osobistym, wygrał dwie pierwsze debaty? Ten sam człowiek, który ze mną na plecach wyrwał się z budynku opanowanego przez rebeliantów. Ten sam człowiek, który bez zmrużenia oka obserwował błotnistą i grząską, spowitą w mgłę równinę Badon i poderwał wystraszonych żołnierzy do ataku.

To nie mógł być on. To nie był on.

W drodze powrotnej do mego nadto kosztownego apartamentu na Capitoll Hill myślałem dwie rzeczy:

Po pierwsze, mój król jest załamany.

Po drugie, nie wiem, jak temu zaradzić.

Oboma myślami gryzłem się i trapiłem – stąd gin. Teraz tego żałowałem, z wysiłkiem stając na nogi i idąc do drzwi. Duży zegar dobrany przez dekoratora Morgan wskazywał niemal północ. *Kurwa*. Jak ja długo spałem?

Pukanie zmieniło się w walenie, nocny gość dobijał się do drzwi, jakby chciał je rozbić w drzazgi.

– Chwila – mruknąłem, mocując się z zamkami i łańcuchem. Jezu Chryste. Czy ludzie nie mają za grosz szacunku dla polityków usiłujących odespać ciężki dzień?

Ledwie przekręciłem zamek, drzwi otworzyły się z hukiem i stanął w nich mój współkandydat do Białego Domu, przemoczony do suchej nitki,

nie mając na sobie nawet pierdolonego płaszcza, z mokrymi czarnymi włosami przylegającymi do policzków i szyi.

– Ash, co kurwa…

Nie zdążyłem dokończyć zdania, gdyż jego usta przylgnęły do moich, a jego ciało przyparło mnie do ściany. Kopniakiem zamknął drzwi. Jego usta były głodne, jego ciało jeszcze bardziej, cały był gorący i twardy, i ociekający wodą. A to ciało i te usta były mi tak znajome, tak boleśnie znajome, i zarazem tak nowe. *Siedem lat*. Siedem lat upłynęło, od kiedy ostatni raz te usta polowały na moje, przywierały do moich, zagarniały je i dokonywały na nie inwazji.

Czułem na jego wargach smak deszczu.

Jedna dłoń zacisnęła się na mojej koszuli, by trzymać mnie przy ścianie, druga rozszarpywała guziki koszuli, rozpinała pasek, chcąc usunąć wszystkie przegrody między jego skórą i moją. Cofnąłem głowę, by zobaczyć jego twarz. Spodziewałem się ujrzeć tę samą pustą maskę, którą obserwowałem po południu, lecz oczy, w które spojrzałem, okazały się oczami mojego króla.

Wpatrywałem się w niego zdumiony.

– Ash?

– Potrzebuję cię – warknął, wciąż zmagając się z moim pasem. – Czy mogę cię wziąć?

Miałem poczucie, że moja pierś jest obnażona i otwarta, pełna delikatnych niepogrzebanych nadziei, jak delikatne zielone pędy kiełkujące z ledwie rozmarzniętej gleby.

– Zawsze mnie miałeś – wymamrotałem, i mówiąc to, musiałem zamknąć oczy, bo inaczej za wiele by zobaczył, a tego nie mógłbym znieść. Nie zniósłbym, gdyby wiedział, jak strasznie go pragnąłem, jak do szpiku kości się za nim stęskniłem. Jak tych ostatnich siedem lat wydrążyło mnie,

pozostawiając żałosną łuskę, wędrującą na zimnie, podczas gdy on szczęśliwy grzał się w cieple Jenny.

Nie pozwalała mi tego okazać duma, ale też współczucie – nie mogłem znieść myśli, że tak szybko po śmierci Jenny wiedziałby, jak wiele bólu mi przez nią przysporzył. Ale jak zwykle bywało z Ashem, to, czego chciałem, nie miało znaczenia, bo kiedy na powrót otworzyłem oczy, poznałem, że i tak wszystko z nich wyczytał. Przeniósł wzrok z moich oczu na resztę twarzy i powiedział czule:

– Patroklosie.

Nie chciałem słuchać nic więcej, zresztą nie miało to znaczenia. Wybrałem to życie, przedłożyłem jego przyszłość ponad naszą wspólną, więc w jakimś sensie zasługiwałem sobie na dręczący mnie ból. Nie wiedziałem, jaka była przyczyna jego nocnej wizyty, tego zlanego deszczem obrazu seksu i desperacji, lecz byłem zanadto napalony i wygłodniały, żeby pozwolić, by minęła, nie nacieszywszy się każdą jej chwilą. Wychyliłem się do niego i pocałowałem go, żeby nie mógł mówić, a moje pocałunki zdawały się podsycać w nim płomień, który sprawił, że wcześniej omal nie wyważył moich drzwi.

Czułość odeszła, a on znów szarpał mój pas i pożerał moje usta.

– Nie mogę czekać – wymamrotał, nie odrywając od nich warg.

Że go pili, było oczywiste, sądząc po głosie, po naglących rękach, po erekcji napinającej materiał spodni. Umierałem z ciekawości, co też wydarzyło się między popołudniowym przemówieniem a tą chwilą w środku nocy, co go tak odmieniło.

– Przepraszam – powiedział, w końcu rozpinając mój rozporek i chwytając mego penisa łapą tak twardą i wielką, że zapomniałem, jak się nazywam. – Kiedyś myślałem, że ta chwila… gdybyśmy kiedykolwiek zeszli się na powrót… że będzie inaczej, wolniej, słodziej, ale…

– Nie przepraszaj – odpowiedziałem bez tchu, a całe moje jestestwo napięło się jak cięciwa łuku, kiedy tarmosił kutasa, tuląc mnie i całując. – Nie kajaj się tak.

– No cóż, nie będę się *aż tak* kajać. – Ukryty dołeczek pokazał się na moment i przez tę chwilę widziałem młodzieńca stojącego nade mną w lesie i pragnącego, bym go błagał. W następnej leżałem, rzucony na stół w jadalni, a jego najważniejsza ozdoba – ją także ulokował tam dekorator Morgan – spadła na posadzkę i roztrzaskała się z hukiem. Żaden z nas nie zwrócił na to uwagi. Ash nachylił się nade mną i obrócił moją głowę tak, żebym mógł go całować, a sam kąsał moje plecy, zmierzając wzdłuż kręgosłupa w dół. Ból ukąszeń łagodzony był nieco przez bawełniany materiał koszuli. Ściągnął mi spodnie do kostek, rozsunął stopy kopniakiem.

– Embry.

– Sypialnia – stęknąłem. – Górna szuflada komody.

Zajęło mu to tylko chwilę, choć z obnażoną i wypiętą dupą odczułem, jakby minął miesiąc, a w moim ciele panika ścigała się z żądzą. Czy nie zmienił zdania? Czy nie uznał, że jednak za mało czasu upłynęło od śmierci Jenny? A jeśli poszedł do mojej sypialni jak król, a wróci na powrót załamany i zgnębiony?

Niepotrzebnie się martwiłem. Wrócił do mnie raźnym krokiem tygrysa dopadającego zdobycz, a obchodząc stół, przesunął dłonią po moich rozpłaszczonych plecach. W jego głosie pobrzmiewał śmiech, gdy spytał:

– Czy w końcu nauczyłeś się cierpliwości, mały książę?

– Pierdol się.

– Takie brzydkie słowo. A ja myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

Schwycił mnie za włosy, by odciągnąć moją głowę ponad stół. W oczach stanęły mi łzy. Moja krew śpiewała na jego widok i dotknięcie,

i odczucie jego obecności, tej jego części, której tak długo mi odmawiał. Tej jego części, której tak długo odmawiał *samemu sobie*.

Wciąż byłem wypięty, a on wetknął mi palec w odbyt, w ten swój pobieżny, nieco szorstki sposób, który stał się dla mnie tak upragniony w latach naszego pobytu w Karpatii. Lubrykant był zimny, palec ciepły, a głos Asha zimny i ciepły naraz, gdy szeptał:

– Dokładnie taki, jak pamiętam. Taki ciasny i taki, kurwa, zwarty... – Jego dłoń puściła moje włosy, by złapać mnie za dupę, ścisnąć mięśnie lewego uda, uszczypnąć mnie i wreszcie klepnąć, jakbym był nagrodzonym ogierem – …cały ty.

Czułem w swoim fiucie bicie własnego serca. Czułem jego pulsowanie wszędzie, jakby było poza mną i wypełniało cały pokój.

Oczywiście, że moje serce było poza mną. Przed laty oddałem je temu żołnierzowi, którego miałem teraz za plecami.

– Nie mogę czekać – mruknął ponownie. Utratę jego palca odczułem jak utratę części samego siebie, a potem usłyszałem odgłos rozpinania klamry od pasa, metaliczny ślizg suwaka. W chwili gdy jego żołądź ucałowała wrażliwą, napiętą skórę mego odbytu, wpadłem w nieopanowane drgawki.

– Z nikim – wyznałem roztrzęsionym głosem. – Z nikim. Od ostatniego razu z tobą.

Jeśli myślałem, że tym uzyskam zwłokę, obłaskawię tygrysa, to się myliłem. Jeśli cokolwiek osiągnąłem, to tyle, że rozniecіłem w nim żywszy ogień, podsyciłem jakąś mroczną, pierwotną żądzę.

– Dobrze – warknął.

I wetknął mi tak brutalnie i szybko, jak mógłby wejść w kobietę, wsuwając tępą główkę za pierwszym pchnięciem, a resztę fiuta za drugim.

Pochrząkując, wpychał się do mego wnętrza, a jego wielkie dłonie przytrzymywały mnie w miejscu, gdy wiłem się pod nim.

– *Kurwa*. – Był taki ogromny. Tak niemożliwie wielki, że miałem wrażenie, jakby mnie rozłupywał. – Ja pierdolę.

Nie znał zmiłowania ten żołnierz za moimi plecami, nieskłonny był mi ulżyć. Wbijał we mnie kutasa, wyciągał go i wbijał ponownie. Wierciłem się, a on dociskał mnie do stołu, próbowałem poruszać nogami, a on kopniakiem rozsuwał je na powrót. To był *on*, we mnie, nade mną i za mną, to był *on* – brał, czego chciał, czego potrzebował, to był *on*, ten, którego pragnąłem tak mocno i tak długo, że zapomniałem już, jak to jest nie pragnąć.

To nie było łatwe, to nie było fair, jedynymi przejawami, że mnie zauważa, były wymierzane sporadycznie klapsy lub drapanie paznokciami pod koszulą. Czułem, że jeśli tak dalej pójdzie, dojdę za szybko.

– Zaraz cię tak wypierdolę, że się spuścisz – mruknął mi do ucha i zgodnie z zapowiedzią złapał mnie za sterczącą fujarę i wciągnął ją między moje nogi. Krawędź stołu utrzymywała mego fiuta skierowanego pionowo w dół i wszystka krew oraz doznania mego ciała skupiły się w dwudziestu pulsujących centymetrach, które on wówczas wypuścił z dłoni.

Chciałem błagać, by przynajmniej nadal mnie trzymał, skoro już nie chciał mnie brandzlować, bo inaczej to było nie do zniesienia, jakby rozkosz była zbyt mocna, by znosić ją samotnie. Chciałem błagać, by przestał mnie rżnąć lub by rżnął mnie mocniej, by mi wybaczył lub by mnie ukarał, by odszedł lub by został. W tamtej chwili chciałem wszystkiego, wszelkich bolesnych, elektryzujących doznań, jak długo pochodziły od niego, jak długo to on mnie nimi obdarzał.

– Ash, proszę – jęczałem. – Dotknij go albo pozwól mi…

Bez trudu złapał rękę, którą usiłowałem sięgnąć do kutasa, i roześmiał się. *Roześmiał się*.

– Nie, Patroklosie. Nie tym razem. Tym razem chcę zobaczyć, jak dochodzisz w ten sposób. Od tego tylko, że nadziewam cię na swojego fiuta. Czekałem tak. Kurwa. Długo. Na. To. – Punktował każde słowo pchnięciem, pchnięciem tak głębokim, że łzy piekły mnie pod powiekami, tak celnie wymierzonym, że bezradnie kuliłem palce stóp na wypolerowanej drewnianej posadzce.

– Ja zaraz… to zbyt… ja zaraz…

– Pokaż mi.

Nie mogłem oddychać. Dosłownie nie mogłem oddychać. Powietrze skręcało się w moich płucach, dostawało pazurów, nigdzie w moim ciele nie było tlenu ani krwi, lecz wyłącznie w pulsującym kutasie. Czułem się tak, jakby ktoś wywlekał ze mnie duszę przez jaja. Całe ciśnienie i gorąco w dół, w dół, w dół i wtem krzyczałem i wierzgałem pod Ashem, miotając strugi spermy na podłogę. Moje ręce drapały blat, a biodrami tak ciskałem przy każdym skurczu, że popychałem stół. Wiedziałem, że nazajutrz będę mieć na biodrach siniaki, lecz nie obchodziło mnie to, nie mogło mnie to obchodzić, dwa boleśnie urażane miejsca zatracały się w gęstych, mlecznych falach, które mnie unosiły, które ze mnie tryskały, a ja byłem wobec tego bezradny, bezradny wobec *niego*.

Ash panował nad sytuacją, ale mój orgazm pchnął go poza krawędź i w ostatniej chwili poszedł na całość i dźgał mnie niekontrolowanymi, brutalnymi sztychami, od których pulsowałem i pulsowałem wstrząsany skurczami wytrysku, aż opróżniłem jądra do ostatniej kropli. I wówczas, tuż przed tym, nim sam spuścił się we mnie, powstrzymał się od pchnięć i wypowiedział szeptem moje imię.

– Embry.

Po czym wytrysnął z niskim pomrukiem, wbijając palce w moje i bez tego posiniaczone biodra.

Delektowałem się każdą chwilą, każdym doznaniem, każdym szczegółem – mokrym gorącem, posuwającym mnie grubym fiutem, pogłosami pulsowania w jajach. Każdym dźwiękiem, każdym westchnieniem Asha, każdym drgnięciem i każdą pulsacją jego fiuta w najsekretniejszym zakątku mego ciała. Jak mogłem zapomnieć, jak to jest być pierdolonym przez niego? Jak mogłem zapomnieć ciszę i spokój następujące po byciu przez niego zerżniętym? Jak czułem się wówczas bardziej sobą niż kiedykolwiek indziej?

Jak bardzo czułem się przez niego kochany i jak mocno kochałem go w zamian?

Jego ciało zwolniło i znieruchomiało, aż wreszcie było po prostu nas dwóch oddychających, wciąż złączonych ze sobą. Zaryzykowałem spojrzenie na jego twarz i niemal tego pożałowałem, bo to, co zobaczyłem, rozłożyło mnie.

– Mały książę – powiedział głosem, który mógłby przenosić góry.

Ja jednak nie chciałem przenoszenia gór, jeszcze nie wtedy. Nie chciałem rozmawiać o Jenny ani o Morgan, ani o kimkolwiek innym, nie chciałem, żeby rzeczywistość i historia wdzierały się między nas. Chciałem wyłącznie tego. Jego, nas, odblokowania, które tylko on był w stanie mi dać. I zdawałem sobie sprawę, że to egoistyczne. Miał żonę, która dopiero co umarła, miał kampanię wyborczą do wygrania, obaj mieliśmy teraz wspólną siostrę.

Dobry człowiek oczyściłby się, zaproponowałby Ashowi drinka i niesamolubnie wysłuchałby wszystkiego, co ciążyło mu na sercu. Dobry człowiek nie chwytałby Asha za koszulę i nie ciągnąłby go do sypialni na więcej. Dobry człowiek nie spędziłby kolejnych pięciu godzin na

brutalnych i brudnych uściskach, nie poświęcając ani jednej myśli tej, którą Ash wciąż nosił na palcu.

Lecz jak już powiedziałem na początku tej historii, nie jestem dobrym człowiekiem.

Prawda wygląda tak, że przez tych pięć godzin raz po raz przysięgałem mu dozgonną wierność i lojalność. Przysięgałem swymi palcami i ustami, i wszystkimi mięśniami, i krągłościami, i zakamarkami ciała, które wydawałem na jego namiętne, miłosne pożądanie. Przysięgałem nieproszony, oddawałem mu się ze względu na jego żałobę i jego zawstydzenie tym, co robił z Morgan, przysięgałem mu, bo w ciągu tych pięciu godzin był sobą w większej mierze niż przez minione pięć lat.

I nie pozwalałem, by rzeczywistość wdarła się między nas. Może i trwała kampania wyborcza, może wciąż była moja siostra, może był tysiąc powodów, dla których nie mogłem należeć do Asha, a on nie mógł być naprawdę mój. Lecz tamtej nocy nic z tego wszystkiego się nie liczyło. Liczyło się wyłącznie to, że on był moim królem, ja byłem jego księciem i zawsze, zawsze miałem stać u jego boku.

27

Embry

po

Rano Greer wyszła, by robić porządki w mieszkaniu dziadka, więc kiedy wchodzę schodami na górę, w rezydencji słychać jedynie subtelne dźwięki walca wiedeńskiego dobiegające z gabinetu Asha. Serce mi się ściska na wspomnienie tamtego pierwszego tańca, pierwszego razu, gdy trzymał mnie w ramionach. Aż muszę przystanąć w korytarzu, by siłą woli je od siebie odepchnąć. Dopóki będę myślał o tym, jak tańczyliśmy wtedy, u zarania naszego związku, nie starczy mi sił, by zrobić to, co zrobić muszę, co musi zostać zrobione.

Jednak nie jestem w stanie przewidzieć tego, co zastaję na miejscu, przekroczywszy próg gabinetu. Ash bez koszuli, bosy nachyla się nad biurkiem, sięgając po jakąś teczkę. Przez chwilę stoję wsparty o futrynę i przyglądam się mu. Napięta skóra, sploty muskułów ramion, barków i grzbietu. Jodełka włosów od pępka w dół.

– I znów Strauss?

Unosi wzrok, lekkie zaskoczenie na mój widok ustępuje miejsca uśmiechowi tak ciepłemu i szczęśliwemu, że nie jestem w stanie go znieść i muszę odwrócić wzrok.

– Przypomina mi o tobie – mówi czule, tak czule, że z trudem panuję nad pragnieniem ukrycia twarzy w dłoniach. Jestem bezbronny wobec tego, wciąż pozostaję bezbronny wobec jego miłości. Ktoś tak niewinny jak on, zasłuchany w starą melodię walca z sentymentalnego powodu, który właśnie wyjawił, powala mnie na kolana. *Wciąż*.

Bądź mocny.

Ash prostuje się i przeciąga, a ja znów na niego patrzę. Być może to ostatni raz, gdy mam okazję podziwiać imponującą rzeźbę jego mięśni brzucha w działaniu, kuszący zarys bioder pod spodniami.

– Trudno oprzeć się chęci podejścia do ciebie – mówi szorstko. – Kiedy tak na mnie patrzysz.

– To czemu nie podejdziesz? – Nie mam pojęcia, dlaczego zadaję mu to pytanie. Wiem, dlaczego do mnie nie podchodzi, wiem lepiej od niego. Lecz w tej chwili jesteśmy jedynie dwoma spragnionymi siebie samcami, dwoma złaknionymi siebie mężczyznami, którzy akurat znaleźli się sam na sam.

– Nie pamiętam dlaczego – mruczy, obchodząc biurko i zmierzając ku mnie. – Zdaje się, że to miało coś wspólnego z faktem, że jesteś nieznośnym skurwysynem.

Opiera dłoń o futrynę, tuż koło mojej głowy, a ja czuję zapach dymu i gorąco bijące od tego obnażonego, umięśnionego ciała.

– Zawsze wiedziałeś, jak karać mnie za moje skurwysyństwo.

W oczach Asha zapala się niebezpieczny błysk.

– Tego chcesz, mały książę? Ponieść karę.

– Ja… – Słowa zamierają na moich ustach, gdy opiera głowę na mojej szyi i przesuwa czubkiem nosa wzdłuż mojej żuchwy.

– Wydaje mi się, że wciąż są takie rzeczy, których nigdy nie robiliśmy, ty i ja – szepcze mi w szyję, szepcze we mnie całego. – Rzeczy, które ci obiecywałem.

– Och? – Usiłuję mówić niby to niewinnym tonem, ale ciarki mnie przechodzą, a mój głos tłumi pożądanie.

– Owszem – szepcze mi w ucho, a potem raczej czuję niż słyszę, jak guzik w jego spodniach wymyka się z dziurki. Czuję metaliczny szelest zamka. Całe westchnienie, z jakim jego sterczący fiut wysuwa się ze spodni.

Chwyta mnie za rękę i kładzie ją sobie na sercu.

– Pamiętasz? – Przesuwa moją dłoń z umięśnionej piersi na rzeźbiony brzuch. – Pamiętasz, co ci obiecałem?

– Ja… być może…

– No to pozwól, że odświeżę ci pamięć. – Jego rozchylone wargi delikatnie skubią płatek mego ucha, jego ręce przesuwają moje dłonie pod rozpiętym paskiem wokół bioder. Aż do chwili, gdy obejmuję nimi jego gołą dupę. Zaczynam się trząść.

Już mi się zdarzało, trzymać go za dupę, oczywiście działo się to wówczas, gdy mu obciągałem, klęcząc przed nim, lub kiedy rżnął mnie, a ja leżałem pod nim z kolanami dociśniętymi do piersi. Jednak nigdy jeszcze nie było jak *teraz*, żeby z rozmysłem wprowadził tam moje ręce i pozwolił mi eksplorować do woli. I korzystam na całego, nie potrafię się powstrzymać, miętoszę jego muskularne pośladki, wsuwam mu w spodnie drugą dłoń, jak w lustrzanym odbiciu, by nacieszyć ręce ciepłym, jędrnym ciałem.

On zaś unosi ręce do mojej twarzy, a potem, kiedy moje eksploracje stają się wnikliwsze i brutalniejsze, opuszcza mi je na szyję. Zachowuje się tak powściągliwie, aż niemalże podejrzewam, że może mu się nie podoba to moje obmacywanie. Że może znosi je wyłącznie dlatego, bo wie, że tego pragnę, ale sam nie czerpie z tego żadnej przyjemności.

Potem leciutko muskam czubkiem środkowego palca gorącą, zwartą skórę jego odbytu, a on wydaje z siebie odgłos tak bezradny, bezbronny i nierówny, że czuję go aż w zębach. Obwisa na mnie, a jego dłonie osuwają się na mój tors, palce zaciskają się na klapach marynarki, a jego twarz zagłębia się jeszcze bardziej w zgięcie mej szyi. Przyciskam mocniej szorstki, twardy palec do delikatnego, gorącego i pofałdowanego zwieracza, a on nagradza mnie odczuwalnym dreszczem i jękiem stłumionym przez kołnierzyk mojej koszuli.

Nigdy w życiu nie przypuszczałem, że mnie to spotka. Prezydent Maxen Colchester bez koszuli, bezwolnie wiszący na mnie i dyszący, podczas gdy ja eksploruję jego dupę.

– Trudno nie… – dyszy i milknie, niezdolny dalej formułować słów, lecz ja mimo to wiem, co chciałby powiedzieć. Trudno mu wyrzec się sprawowania kontroli. Trudno mu utrzymać własne ciało w spokoju i pozwolić, by ktoś inny sprawiał mu przyjemność. Zanadto przywykł do tego, że zawsze to on dyktuje warunki.

Jednak tym razem przyzwala na to, znosi delikatny, nienachalny napór mego palca, aż w końcu zanurzam go po knykieć i masuję to miejsce głęboko w środku, co wywołuje jego krzyk i napieranie na mnie. I o kurwa, usłyszeć jego ochrypłe jęki i poczuć palcem tę dupę gorącą jak piec, to niemalże za wiele, zwłaszcza odkąd zaczyna ocierać się wzwiedzionym penisem o moje biodro.

– Chcę, żebyś mnie wypierdolił – mamrocze, nie wypuszczając klap mej marynarki z uścisku. – Teraz. Dziś wieczorem.

Jak długo czekałem na tę pierdoloną chwilę? A on zdecydował się właśnie dziś, w dniu, którego wieczór nie może do mnie należeć? Przez chwilę kombinuję, czy nie dałoby się tego zrobić, masując mu prostatę i ocierając się własnym kutasem o jego jaja – ale nie potrzebuję wiele czasu, żeby przypomnieć sobie, jakim byłoby to błędem. Wiem to z góry.

Wiem to z góry.

– Ash, nie możemy – powiadam, a żal sprawia, że łamie mi się głos, gdy wysuwam z niego palec. – Greer.

Wyczuwam, jak kiwa głową wspartą na mej szyi, lecz jednocześnie czuję, że jest półprzytomny z pożądania.

– Nie możemy? Choć trochę?

Niemal się na to uśmiecham, na to jego błaganie, bo to taka słodka nowość widzieć, jak on, mój pan i władca, gotów jest oddać się w moją władzę. I mówiąc, że niemal się uśmiecham, mam na myśli łzy palące mnie pod powiekami i dławiące w gardle. Dlaczego akurat tego wieczora musiałem przyłapać go na słuchaniu walca? Dlaczego akurat dziś zdobył się na to, by podarować mi coś takiego? Dlaczego akurat w ten wieczór przypomniał mi, jak bardzo mnie kocha? I przypomniał mi, jak bardzo ja go kocham?

– Ash – powiadam i mam nadzieję, że nie wyczuje łez w moim głosie. – Wiesz, że nie możemy.

Przez jedną trudną chwilę myślę, że będzie się upierał, a jeśli to zrobi, to przepadłem. I tak ledwie jestem w stanie trzymać się wytycznych rozsądku i moralności, więc jeśli będzie nalegał, to się ugnę. Nie potrafię oprzeć się jego długim udom, twardemu brzuchowi, jękom i kwileniu

wydobywającemu się z tego wspaniałego ciała, ani wizji tego, jak leży na brzuchu, podczas gdy ja wtykam mu fiuta w spragnioną mnie dupę…

– Masz rację – powiada w końcu, tak znużonym głosem, że powietrze wokół nas robi się ciężkie. – Masz rację. Poprzednio to ja powiedziałem, że nie możemy, i tak jest, nie możemy. Zranilibyśmy Greer. – Dźwiga głowę, by spojrzeć mi w oczy, a ja widzę, że jego piękne usta układają się w smutny uśmiech. – Nie mógłbyś jakoś dojść do ładu z Abilene, żebyś mógł poprosić Greer o wybaczenie i żebyśmy mogli na powrót być razem?

Nie chcę być z nim szczery.

Nie chcę niczego poza ciałem i miłością, i zapachem seksu w powietrzu wokół nas.

A jednak to robię, wybieram drogę moralności. Pora zostać uczciwym człowiekiem.

– Zamierzam poślubić Abilene.

Wypuszcza klapy mej marynarki z rąk.

Biorę głęboki oddech, zdecydowany natychmiast przejść do rzeczy.

– Rezygnuję ze stanowiska wiceprezydenta. Jutro wieczorem otrzymasz formalną rezygnację wysmażoną przez mój sekretariat, ale wolałem porozmawiać z tobą o tym zawczasu.

Wygląda, jakbym dał mu w pysk. Cofa się, mrugając, a potem odwraca.

– Ash.

– Daj mi, kurwa choć jedną pierdoloną chwilę, Embry.

Nie mogę, nie mogę, bo te jego plecy, ból w jego głosie… to mnie rozdziera, wznieca we mnie ból nie do zniesienia.

– Musiałeś zdawać sobie sprawę z tego, że nie mogę spokojnie patrzeć na to, jak zaniedbujesz bezpieczeństwo Greer.

Moje słowa opadają między nas jak żelazna kurtyna. Ash odwraca się do mnie, lecz jego twarz nie wyraża już niczego. Spodnie ma zapięte, odchyla się, oparty o krawędź biurka i splata ręce na piersi. Ani śladu bezbronnego, błagającego człowieka sprzed chwili – na powrót stał się władczym królem.

– Patrzeć na to, jak zaniedbuję bezpieczeństwo Greer – powtarza powoli, jakby chciał się upewnić, że dobrze usłyszał.

Wystarcza mu jeden rzut oka, by przejrzeć moje kłamstwo. Z tą samą przenikliwością, z którą widział, gdzie za skałami kryją się karpatiańscy separatyści, z którą potrafił przeprowadzić swoich ludzi jedyną bezpieczną ścieżką w płonącej wsi, teraz patrzy na mnie, prześwietlając moje słowa, aż widzi ukrytą za nimi prawdę. Wciąż nie wiem, jak on to robi, mimo tylu lat znajomości, ale przynajmniej znam go na tyle, żeby się tego po nim spodziewać.

Powoli wypuszcza powietrze z płuc, po czym kiwa głową.

– Jako republikanin czy jako demokrata?

Wiem, że od razu mnie przejrzy, lecz mimo to jego westchnienie, jego zrezygnowane skinienie głową są dla mnie udręką.

– Republikanin.

– Jak rozumiem, twoją partnerką w ubieganiu się o stanowisko będzie Morgan?

– Jeśli przejdę prawybory.

– Przejdziesz. – Znużenie i duma w jego głosie są nie do zniesienia. Muszę na chwilę uciec przed nim wzrokiem.

– Więc sam rozumiesz, że muszę ożenić się z Abilene… Kandydując na stanowisko, nie mogę zostawić jej w ciąży z dzieckiem, które być może jest moje.

– Inaczej mówiąc, ożenisz się z kobietą, której nie kochasz, żeby mi dojebać. – Jego głos to czyste znużenie i pustka. – Zranisz Greer, żeby zranić mnie.

– Nie chodzi mi o to, żeby cię ranić, Ash.

Prycha niedowierzająco.

– Mówię serio.

Prostuje się i zbliża do mnie o krok.

– To ja, Embry. Spodziewasz się, że uwierzę w to, co mówisz? Rezygnujesz ze stanowiska, by konkurować ze mną w wyborach, ponieważ *nie chcesz* mnie zranić, czy skrzywdzić, jeden chuj. Powiadasz, że zaniedbuję bezpieczeństwo mojej żony i wiążesz się z kimś, kogo nie cierpisz, po to, by mnie *nie* zranić?

Sięgam do postanowienia, które podjąłem na wypadek ataku takiego jak ten.

– Nie chodzi mi o krzywdę i zadanie ci bólu, Ash. Chodzi o bezpieczeństwo Greer. Ktoś musi powstrzymać Melwasa i skoro ty tego nie zrobisz, ja to zrobię.

– Skąd wiesz? – pyta zbolałym głosem. – Skąd wiesz, że nie dbam o bezpieczeństwo Greer? Fakt, że nie widzisz wojny i mordowania ludzi, nie oznacza, że nie robię wszystkiego, co w mojej mocy, by chronić moją żonę i nasz kraj.

– Różnica polega na tym, że ja nie boję się zrobić tego, co zrobić trzeba. A myślę, że ty się tego boisz.

– Opuszczasz mnie. Bo myślisz, że jestem tchórzem.

Nie zaprzeczam. Tyle mu się przynajmniej należy, spojrzenie w oczy prawdzie, która nas dzieli raz na zawsze.

– Mój Boże – powiada i przeczesuje włosy palcami, a potem splata je na karku i chodzi, chodzi po gabinecie, podczas gdy dociera do niego

prawda. Wcześniej reagował z kamiennym spokojem żołnierza, kierując się czystą logiką, lecz teraz… teraz reaguje jak człowiek.

– Mój Boże. Opuszczasz mnie. Znów mnie opuszczasz, a ja omal… omal nie pozwoliłem ci… – Głos mu drży na całego. – Nie mogę uwierzyć, że omal nie pozwoliłem, żebyś…

Zatrzymuje się, rozplata dłonie i patrzy w ich puste wnętrza. Zastanawiam się, czy wspomina teraz, jak czuł się, ściskając klapy mojej marynarki i wypinając dupę.

Moje serce wypełnia się cementem.

Bądź twardy. Przypomnij sobie twarz Greer w Karpatii, przypomnij sobie jej łzy.

– Powinienem był to przewidzieć – szepcze do siebie. – Powinienem był to przewidzieć.

– Ash…

Odwraca się do mnie i jest w nim tyle gniewu i zawziętej urazy, że aż cofam się o krok.

– Jest tak samo jak zawsze, Embry. Zawsze. Czerpiesz ze mnie i czerpiesz, a kiedy już masz dość, wtedy się ode mnie odwracasz. Odwracasz się i na pożegnanie mnie ranisz.

– *Ash!*

– Nie – rzuca z wściekłością. – Ani słowa. Robisz mi to za każdym razem. Oświadczam ci się, a ty dajesz mi kosza, oświadczam ci się *ponownie*, a ty *ponownie* dajesz mi kosza. Dopuszczam cię do udziału w moim małżeństwie, dopuszczam cię do swojego łóżka i do swojego serca, a ty mnie zostawiasz. Mało tego, usiłujesz skraść dla siebie coś, co powinno być *nasze*.

Pomimo wściekłości ma w oczach łzy, a ja czuję się tak, jakby mnie żywcem obdzierano ze skóry.

– Kocham cię, Ash – szepczę. – Zawsze cię kochałem.

– Doprawdy? Bo ja też zawsze cię kochałem, ale najwidoczniej tego było za mało.

Biorę głęboki oddech i ponownie odwołuję się do powziętego postanowienia.

– Mówisz tak, jakby to było dla mnie łatwe, Ash. A to, kurwa, wcale nie jest łatwe, to, kurwa, łamie moje pierdolone serce. Za każdym razem, kiedy mówiłem ci *nie*, serce pękało mi z bólu, za każdym razem nienawidziłem siebie za to, co robiłem, ale robiłem to, bo musiałem. I teraz też muszę. Nie potrafisz tego zrozumieć?

Teraz to ja błagam, rozkładając szeroko ręce, jakbym dopraszał się, żeby ujął je w swoje dłonie.

Nie robi tego. Zaciska szczęki.

– Nie potrafię. Ani trochę. Widzę, że postępujesz równie egoistycznie jak zwykle. Troszczysz się wyłącznie o siebie, nigdy… przenigdy nie troszczyłeś się… o mnie. – Głos mu się łamie i odwraca się do mnie plecami, żebym nie widział jego twarzy.

Jego słowa totalnie mnie rozpierdalają, napełniają bólem i grzebią mnie w bagnie moich grzechów, ale jednocześnie *wkurwiają* mnie na maksa. Jak on śmie zarzucać mi egoizm, nie mając pojęcia – nie wiedząc, kurwa, nic a nic – ile ja poświęciłem dla niego? Ile wciąż dla niego robię.

Prostuję się i odzywam głosem tak lodowatym, na jaki się mogę zdobyć:

– Merlin powiedział mi, że nie mogę za ciebie wyjść.

Trwa to dobrą chwilę, nim do niego dotrze. Odwraca się do mnie, wspierając się jedną ręką o biurko, jakby nie był w stanie ustać na własnych nogach.

– Słucham?

– To wydarzyło się dawno temu w Karpatii. Wracałem do bazy, wylizawszy się z ran, jechaliśmy razem w przedziale i wówczas wyjaśnił mi, dlaczego nie możemy ujawnić, co nas łączy. *Jeśli naprawdę go kochasz, to nie ma takiej rzeczy, której byś nie poświęcił w imię miłości*. Wiedziałem, że ma rację… do diabła, każdy głupi mógłby dostrzec, że jesteś stworzony do wielkich rzeczy. Gdyby to się zdarzyło teraz, w tym roku, powiedziałbym Merlinowi, żeby się pierdolił. Ale wówczas… wówczas, Ash, nie miałem pojęcia, czy zdołasz dokonać tego, do czego jesteś przeznaczony, jeśli nasz związek wyjdzie na jaw. Jeszcze w ubiegłym roku, kiedy mi się oświadczyłeś… w tym kraju mógłbyś nie zostać wybrany ponownie na stanowisko tylko dlatego, że jesteś biseksualny. Jak miałbym wziąć to na swoje sumienie? To, żebyś zrezygnował dla mnie ze swoich marzeń? Nienawidzę tego, *nienawidzę*, ale prawda jest taka, że dokonałem wyboru wtedy, przed laty, podczas rozmowy z Merlinem. Przedłożyłem twoją przyszłość ponad naszą wspólną.

Teraz naprawdę opiera się o biurko, dyszy ciężko.

– Nie wiedziałem… ty nie… naprawdę gotów byłeś za mnie wyjść?

– Chryste, Ash, zgryzłbym tamte góry własnymi zębami, gdyby tylko tyle było trzeba, żebym mógł za ciebie wyjść. Przeprowadziłbym się z tobą do Kanady, zamieszkałbym na farmie i hodowałbym konie… zrobiłbym wszystko, poszedłbym za tobą na koniec świata. Bywały dnie, kiedy nie byłem w stanie myśleć o niczym innym poza tym, żeby mieć cię wyłącznie dla siebie, żeby istnieć wyłącznie dla ciebie, tak jak obaj tego pragnęliśmy. Ale nie mogłem. Mógłbym obwiniać Merlina, czasami niczego więcej nie pragnę, ale wiem, że ostatecznie to ja dokonałem wyboru. Ty miałeś pierwszeństwo.

– Powinieneś był mi powiedzieć.

– Nie słuchałbyś mnie! Zawsze byłeś taki głupi i szlachetny. Gdybym ci powiedział, przekreśliłbyś własną przyszłość i teraz hodowalibyśmy razem konie w Montanie.

– I uważasz, że to byłoby takie okropne? – pyta załamany.

– Nie zakończyłbyś wojny bitwą pod Badon. Nie mielibyśmy Greer.

Na wzmiankę o żonie twarz mu się rozjaśnia. Nawet w całym tym zamęcie jego miłość dla Greer płonie czystym i jasnym płomieniem.

– Nie ty powinieneś był dokonywać tych wyborów – powiada, patrząc mi w oczy. – Nie potrzebuję ochrony. Nigdy nie prosiłem, żeby mnie okłamywano. Jezu Chryste, Embry, przez wszystkie te lata żyłem w przeświadczeniu… żyłem w przekonaniu, że nie kochasz mnie tak mocno, jak ja kocham ciebie. I to mnie *bolało*, Boże, czasami bolało tak strasznie, że nie mogłem złapać tchu. Jakbym usiłował oddychać pod wodą. Żyłem z tym przez lata. Całe lata.

Nie takiej reakcji się spodziewałem, obwieszczając mu swoją rewelację. W najsamotniejszych chwilach najsamotniejszych nocy, kiedy fantazjowałem o wyjawieniu mu prawdy o przyczynach swojej odmowy, nigdy nie wyobrażałem sobie czegoś takiego.

– Gdybyś zdobył się na *dzięki ci*, byłoby miło – mówię ciut urażony.

– *Dzięki ci*? – powtarza z oburzeniem. – Chcesz, żebym ci, kurwa, dziękował za złamane serce? Za lata przeżyte w udręce?

– Ja też cierpiałem! – Wzbiera we mnie gniew. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jak cierpiałem, ale zrobiłem to dla ciebie!

– Nigdy cię o to nie prosiłem! Nie możesz winić mnie za coś, czego nigdy od ciebie nie oczekiwałem, że zataisz przede mną coś, czego nie powinieneś był przede mną ukrywać!

Wpatruję się w niego, a w moich żyłach wzbiera prawdziwa furia.

– Nawet nie wiesz, co zatajam dla twego dobra, prezydencie Colchester, więc lepiej, kurwa, uważaj!

Ash wpatruje się we mnie, a ja widzę mięsień drgający w jego perfekcyjnie rzeźbionym policzku.

– Masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

A co, do diabła. Jak jechać, to jechać. Niech szlag trafi Abilene, niech szlag trafi Morgan, niech szlag trafi wszystkie ofiary złożone przeze mnie w ciągu minionych dwóch miesięcy. Warto poświęcić to wszystko, żeby zranić Asha, żeby odpłacić mu ciosem za cios.

– Abilene szantażuje moją siostrę i mnie, chodzi jej o to, żeby zranić Greer, ale szantażuje nas tajemnicą dotyczącą ciebie, o której ty nawet nie wiesz.

Czeka.

Nie każę mu czekać długo.

– Masz syna, Ash. Z Morgan. Nazywa się Lyr i ma czternaście lat. Ma zielone oczy, czarne włosy i ładną buzię. Czemu nie miałby jej mieć? Skoro z obojga rodziców tacy ładni ludzie.

Ash się chwieje. Dosłownie się chwieje, trzyma się na nogach tylko dlatego, że wspiera się o biurko. Zgarbił się, zamknął oczy.

– Nie, na pewno coś bym wiedział, coś by mi powiedziała, *coś* by się zdarzyło…

Kręcę głową, choć on na mnie nie patrzy.

– Wtedy w Pradze brała pigułki antykoncepcyjne, ale tamtego wieczora się porzygała, pamiętasz? To wystarczyło. A kiedy przyjechała do bazy w Karpatii, wróciła, żeby ci powiedzieć. Była w ciąży od trzech miesięcy, kiedy ryzykowałeś, że spłonie w kościele razem z waszym dzieckiem, byle tylko uratować tamte, cudze dzieci z płonącej łodzi. Dziwisz się, że potem

już nic ci nie powiedziała? Że nie powiedziała ci, że omal nie skazałeś na śmierć własnego dziecka?

Na wspomnienie starego przewinienia Ash wstrzymuje oddech. Widzę, że zadałem mu świeżą ranę. Dobrze.

Kontynuuję.

– Matka nakłoniła Morgan, by powierzyła syna ciotce Nimue, która wychowuje go jak własnego. *To tym* szantażuje nas Abilene. Zagroziła, że pójdzie do mediów i opowie o wszystkim: jak spłodziłeś dziecko z własną siostrą, a potem omal nie skazałeś obojga na śmierć. Morgan nie mogła znieść myśli, że Lyr miałby doznać publicznie takiej hańby. Błagała mnie o pomoc. No więc dobiłem z Abilene targu: w zamian za milczenie obiecałem jej pomóc dopiec Greer do żywego, bo zdawałem sobie sprawę, że ujawnienie prawdy o Lyrze wyrządziłoby dużo więcej szkód niż to, że Greer przez kilka miesięcy będzie cierpiała, sądząc, że szczerze lubię Abilene. Widzisz, w przeciwieństwie do ciebie ja potrafię podejmować naprawdę trudne decyzje, by chronić Greer.

Ash opada ciężko na najbliższe krzesło.

– Mam syna – mówi tępo.

– Tak.

– Z własną siostrą.

– Tak.

Chowa twarz w dłoniach i kiedy na niego patrzę, poczucie satysfakcji, którą odczuwałem jeszcze przed chwilą, rozwiewa się bez śladu. To takie straszne widzieć te potężne ramiona obwisłe bezwładnie, dumną głowę nisko pochyloną. I naraz nie czuję nic poza zmęczeniem. Zmęczeniem podróżą, którą mamy za sobą, i podróżą, która nas jeszcze czeka. I dźwiganiem brzemienia całej tej zatrutej miłości i ujawnionych tajemnic.

Podchodzę do Asha i przeczesuję mu włosy palcami. Są takie gęste i czarne, głowę ma taką dużą, kark taki mocny. Jego skóra jest ciepła i żywa, chociaż widać, że każdy jego oddech okupiony jest bólem. Minęło czternaście lat, odkąd poznałem mego króla, lecz czternaście lat to za mało, by poznać wszystkie wymiary jego miłości i jego siły. Nie wystarczyłaby na to nawet cała wieczność.

Nachylam się i całuję go w czubek głowy.

– Żegnaj, Achillesie – szepczę i zostawiam Maxena Ashleya Colchestera trzymającego się rękami za głowę. Opuszczam go i wsiadam do samochodu, i jadę do domu, unosząc na wargach wspomnienie jego włosów.

Myślę, że przestanę go kochać. Wydrę z siebie tę miłość, wypalę ją.

I po raz pierwszy w życiu wiem, co mam robić. Wiem, że jestem dobrym człowiekiem. Wiem, że będę dobrym przywódcą. Wiem, że potrafię powstrzymać Melwasa i zapewnić bezpieczeństwo Greer. Wiem, jak to zrobić.

Muszę zostać kimś więcej niż księciem.

Muszę sam zostać królem.

PODZIĘKOWANIA

Lauro, jesteśmy procesem śmierci. Pewnego dnia uzgodnimy, jak pisać łatwe książki, okej?

Kayti McGee i Melanie Harlow, moje płatki, dzięki za znoszenie całego mego łóżkowego wrzasku. Nie dałabym rady bez waszego ciętego humoru i doskonałych darów.

Jenn Watson i zespół Social Butterfly, ogromne dzięki za pracę w sytuacjach podbramkowych po to, by moje książki prezentowały się jak najlepiej. Rozpierdalacie mój umysł. Za każdym razem.

Rebecco Friedman, pełnomocniczko do zadań nadzwyczajnych, wielkie dzięki za przewodnictwo i radę, i wykonanie całej nudnej roboty tak, że nie musiałam w ogóle zawracać sobie nią głowy!

Ashley – po prostu przepraszam, że zawsze mam tyle pretensji. Pretensje, pretensje, pretensje. Kocham cię!

Candi, Sereno, Melisso – ogromne dzięki za codzienny trud i promocję, dzięki czemu mogę zniknąć w mojej sadzawce dla żółwi i pisać.

Podziękowania należą się też No Shadow Bitches, które wciąż mnie kochają, chociaż często bywam naburmuszona i nie lubię warzyw, i wszystkim, którzy odpowiadali na moje pytania i szukali dla mnie danych, zachęcali mnie, krytykowali lub pozwalali mi się męczyć, kiedy potrzebowałam się wygadać, a potem kładli mnie do łóżka jak wrednego berbecia. Trzeba całej wioski.

I w końcu dziękuję moim dzieciom i mojemu mężowi, nawet jeśli żadne z was nie szanuje świętości zamkniętych drzwi gabinetu. Nie chciałabym, żeby było inaczej.

INNE KSIĄŻKI SIERRY SIMONE:

Trylogia *Amerykańska królowa*:

Amerykańska królowa

Amerykański książę

Amerykański król

Seria *Ksiądz*:

Priest

Midnight Mass: A Priest Novella

Sinner (2018)

Napisane we współpracy z Laurelin Paige:

Gwiazdor

Gliniarz

Seria *Markham Hall*:

The Awakening of Ivy Leavold

The Education of Ivy Leavold

The Punishment of Ivy Leavold

The Reclaiming of Ivy Leavold

Seria *Londyńscy kochankowie*:

The Seduction of Molly O'Flaherty

The Persuasion of Molly O'Flaherty

The Wedding of Molly O'Flaherty

O AUTORCE

Sierra jest bestsellerową autorką z list „USA Today”, byłą bibliotekarką, która spędziła za wiele czasu na czytaniu romansów za biurkiem. Żyje z mężem i rodziną w Kansas City.

Zapraszamy do zapisania się do newslettera, by regularnie dowiadywać się o jej nowych książkach, promocjach i innych rzeczach!

www.authorsierrasimone.com

thesierrasimone@gmail.com

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

CZĘŚĆ II. Książę

- 1. Embry
- 2. Embry
- 3. Greer
- 4. Embry
- 5. Embry
- 6. Embry
- 7. Embry
- 8. Greer
- 9. Embry
- 10. Greer
- 11. Embry
- 12. Greer
- 13. Embry
- 14. Embry
- 15. Embry
- 16. Embry
- 17. Greer
- 18. Embry
- 19. Embry
- 20. Embry
- 21. Greer
- 22. Embry
- 23. Embry

24. Greer
25. Embry
26. Embry
27. Embry
Podziękowania
Inne książki Sierry Simone
O autorce
Karta redakcyjna

TYTUŁ ORYGINAŁU:
American Prince

Redaktor prowadząca: Marta Budnik
Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan
Korekta: Beata Wójcik
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie na okładce: © Dorota Zietek (Shutterstock.com)

Copyright © 2017 Sierra Simone.

Copyright © 2019 for the Polish edition
by Wydawnictwo Kobiece Łukasz Kierus
Copyright © for the Polish translation by Marcin Stopa, 2019

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne
Białystok 2019
ISBN 978-83-66338-81-4

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece

Wydawnictwo Kobiece
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

Na zlecenie Woblink
woblink.com
plik przygotowała Katarzyna Rek